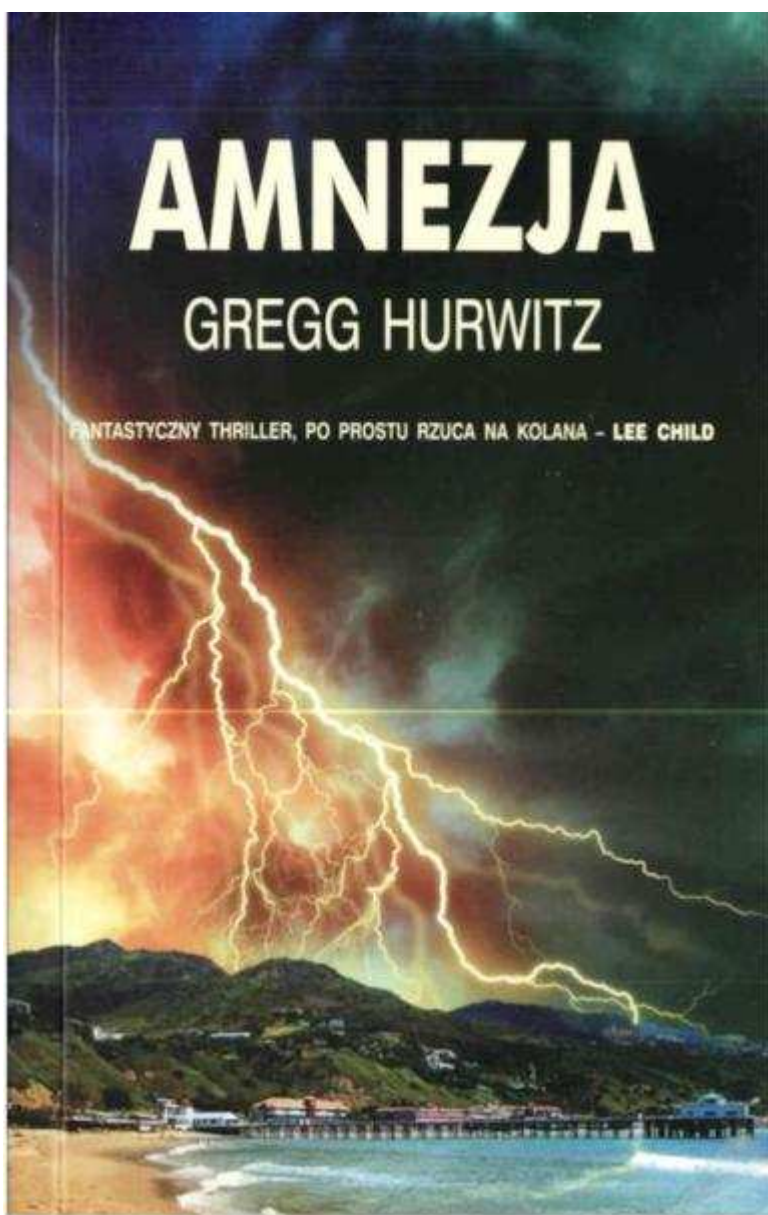


# AMNEZJA

GREGG HURWITZ

FANTASTYCZNY THRILLER, PO PROSTU RZUCA NA KOLANA - LEE CHILD





GREGG HURWITZ

Gregg Hurwitz ma swoim dorobku dziesięć powieści sensacyjnych, nominowanych w kategorii „najlepszy thriller” przez International Thriller Writers i Crime Writers Association. Pracuje jako scenarzysta dla największych amerykańskich wytwórni filmowych, jest autorem serii popularnych komiksów wydawanych przez Marvel Comics. O jego twórczości z najwyższym uznaniem wyrażają się takie sławy jak Lee Child, Michael Connelly, Denis Lehane, Tess Gerritsen i James Patterson.

Autor kryminałów Drew Danner budzi się w szpitalu po trepanacji czaszki. Dowiaduje się, że usunięto mu guza mózgu. Niczego nie pamięta. Nie przypomina sobie ani ostatniego dnia ani tygodnia, nie pamięta, że znaleziono go z nożem w ręku, leżącego po ataku padaczki na ciele zamordowanej bylej narzeczonej. Czy jest winny? – tego nie wie. Sąd uznaje, iż na skutek chwilowej niepoczytalności nie może ponosić odpowiedzialności za zabójstwo, które zapewne popełnił. Drew próbuje zrekonstruować swoją zaginioną przeszłość, przemierza ulice Los Angeles w poszukiwaniu prawdy. Wkrótce w podobnych okolicznościach ginie kolejna młoda kobieta...

ISBN 978-83-7359-720-4



9788373597204

# AMNEZJA

GREGG HURWITZ

Z angielskiego przełożył  
WIESŁAW MARCYSIAK



Tytuł oryginału:

THE CRIME WRITER

Copyright © Gregg Hurwitz 2007 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Wiesław Marcysiak 2010

Redakcja:

Eliza Kujan

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-720-4

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.gandalf.com.pl](http://www.gandalf.com.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

*Stephenowi F. Breimerowi,*

*z wielkim oddaniem i wdzięcznością*

Obudziłem się. Do rąk miałem podłączone kroplówki, a do nosa wepchnięty zgłębnik. Język, odrętwiały i nabrzmiały, jak jakiś gałgan, napierał na zęby. W ustach czułem gorąco i posmak miedzi. Od zgrzytania zębami obluzowały mi się trzonowce. Zmrużyłem oczy przed ostrym światłem i z trudem skierowałem wzrok na czyjąś rozmazaną twarz. Znajdowała się zbyt, blisko, aby był to przypadek — na krześle z oparciem odwróconym do przodu siedział okrakiem jakiś mężczyzna. Silne ramiona splótł na piersi, z jego kwadratowej pięści zwisała kartka. Za nim inny facet, ubrany podobnie — w wymiętą, sportową marynarkę, rozluźniony krawat pod rozpiętym kołnierzykiem, na biodrze błysk metalu. Lekarz, zepchnięty do roli gapia, stał w drzwiach, ignorując elektroniczne piski. Leżałem w szpitalu.

Wraz ze świadomością pojawił się ból. Żadnych tuneli ze światłem na końcu, żadnych fajerwerków ani innych wyświechtanych pisarskich frazesów, tylko ból, ogłupiały i zawzięty, niczym rottweiler obrabiający kość. Przez moje gardło przedarła się odrobina powietrza.

— Obudził się — odezwał się z daleka lekarz. Zmaterializowała się pielęgniarka i wprowadziła igłę do wenflonu. Po sekundzie ciepło rozeszło

się żyłami i rottweiler przerwał pracę, aby złapać oddech.

Uniosłem rękę, ciągnąc wężyki kroplówek, i obmaciałem głowę tam, gdzie czułem łaskotanie. Zamiast na włosy dłoń trafiła na istny kaktus — linię szwów i szczeciny. Mojemu zaskoczeniu towarzyszyły zawroty głowy i mdłości. Kiedy dłoń z powrotem wędrowała do piersi, zauważyłem pod paznokciami czarne półksiężyce. Czyżbym się gdzieś przekopywał?

Policjant na krześle odwrócił kartkę i zobaczyłem, że to zdjęcie.

Pełnowymiarowe. Z miejsca zbrodni. Zbliżenie kobiecego tułowia. Szerokie ujęcie brzucha oblepionego skorupą pociemniałej krwi. Wąskie nacięcie pod żebrami, niedostrzegalne w czerni, jak gdyby do wydobycia głębi potrzebna była silniejsza żarówka.

Uniosłem rękę, usiłując odepchnąć ten obraz i w uporczywym jarzeniowym świetle zobaczyłem, że brud pod moimi paznokciami ma lekko karminowe zabarwienie. Nie wiem, czy za sprawą leków, czy bólu, poczułem, jak treść żołądkowa unosi się i dociera mi do gardła. Próbowałem dwukrotnie, ale mój głos nadal był ledwo słyszalny i chrypiący za sprawą plastikowej rurki.

— Kto to?

— Twoja była narzeczona.

— Kto... jej to zrobił?

Szczęka detektywa poruszyła się raz, powoli, z lewej na prawą.

- Ty.

## 1

Mój samochód zajmował miejsce numer 221 na policyjnym parkingu zarekwirowanych pojazdów. Toyota highlander, hybrydowa wersja wybrana po to, abym mógł jeździć SUV-em, a jednocześnie nie tracił szacunku do samego siebie. Zapaliłem silnik i siedziałem z dłońmi na kierownicy, na nowo przyzwyczajając się do przedmiotu, który należał do mnie. Szumiało mi w głowie. Rana, teraz w dużym stopniu zakryta odrośniętymi włosami, swędziała. Czulem napór na twarz, tak jakby chciało mi się płakać, ale łzy nie znajdowały ujścia. Radio pozostawiono włączone, Springsteen wciąż wędrował nad rzekę, chociaż od trzech dziesięcioleci nic z tego nie wynikło poza bólem, jaki rodził się w sercach klasy robotniczej. Zastanawiałem się, czy to ja zostawiłem włączone radio, czy może ktoś podczas holowania przypadkowo nacisnął przycisk. Czy słuchałem muzyki podczas mojej ostatniej, nocnej jazdy? Czy to ja prowadziłem? Byłem sam?

Oczywiście musiałem zapłacić za przechowanie samochodu: sześćset doliców z kawalkiem. Skorzystałem z karty kredytowej. Moi opiekunowie zostawili mi ją w portfelu, który troskliwie dla mnie zabezpieczyli. Jadąc do domu, minąłem migający, żółty neon i poczułem ukłucie ekscytacji,



gdy parkowałem — perspektywa zakupów w nowym sklepie z alkoholem.

— Burbona poproszę. Macie Blantona?

— Nie. — Facet za ladą nie odrywał wzroku od czarno-białego telewizorka wielkości radio-budzika. Z ust zwisał mu papieros, a wraz z nim niewyobrażalnej długości popiół. Nie widziałem ekranu telewizora, ale słyszałem, że reporter donosił coś o jakimś ćwoku, który nazywał się tak samo jak ja.

— A Knob Creek? — pytałem. Facet potrząsnął głową. — Maker'sa?

Przeniósł na mnie spojrzenie i zatrzymał je na chwilę.

— Mam Jacka Daniel'sa.

Mogłem mu wytłumaczyć, że Jack Daniel's to kwaśny moszcz z Tennessee, a nie burbon, ale pomyślałem, że moja pierwsza utarczka w świecie powinna dotyczyć czegoś o poważniejszych konsekwencjach. Może kartonu wina.

— Single Barrel? — dopytywałem się o lepszy gatunek.

— Tak, mamy Single Barrel.

Wychodząc ze sklepu, czułem na plecach jego wzrok. Dwie minuty później jechałem Mulholland Drive. Asfaltowa płatanina dróg wczepiła się w góry Santa Monica i wypuszczała macki na północ, przez dolinę rzeki Santa Ana i na południe w dolinę Los Angeles. Po lewej stronie zatrzymywali się turyści, aby sfotografować wielkie białe litery tworzące napis „Hollywood”. Na wierzchołkach i zboczach wzgórz przysiadły perskie pałace i zmutowane puebla, kryjące się za bramami i kamiennymi murami. To niebezpieczna droga, przesycona zbytkiem i romantyzmem, kraina przerwanej barierki na poboczu, błędzącego Marlowe'a, fantazji Davida Lyncha i czołowych zderzeń po pijaku o drugiej nad ranem. Pojedziesz za szybko i będziesz z tego zadowolony.

Tego wieczoru nie przekraczałem dozwolonej prędkości, uznawszy,

że uzbierało mi się już dość kłopotów. Jechałem Mulholland na zachód, odbiwszy w dół tuż przed czterysta piątką, a przy znaku stopu skręciłem w prawo. Uliczkę, przy której mieszkałem, jak zawsze, oświetlały jedynie punkciki lamp na gankach i węże świetlne wzdłuż podjazdów, a odgłosy z odległej autostrady przypominały szum morza. Mój dom był nieoświetlony, ale rozpoznałem jego zarysy i zatrzymałem się. Pomimo mojej nieobecności wciąż wyglądał tak samo — niskobudżetowa wersja modernistycznego projektu Richarda Neutra: stal, szkło i beton tworzące płaszczyzny krzyżujące się pod kątem prostym, które, co prawda, pasowały do siebie, ale do elegancji było im daleko. Po kontrakcie na trzecią książkę zebrałem, pożyczałem i pożyczałem, aby uchwycić wiecznie uciekającą falę, jaką jest rynek nieruchomości w Los Angeles. Zapłaciłem za dużo, ale widok za milion dolarów upchany w stromym ogródku pocieszał mnie po tym nieszczęściu. Skoro nie było mnie stać na to przed procesem, to teraz z pewnością tym bardziej.

Na trawniku przed domem nie koczowały ekipy telewizyjne. Paparazzi nie chowali się w podejrzanych samochodach. Żaden Geraldo Rivera — specjalista od skandali, ukryty za krzaczastym wąsem — nie szykował się do skoku.

Wjechałem do garażu, wyciągnąłem słoik z uchwytu na kubek i sięgnąłem po brązową tutkę z tylnego siedzenia. Udałem się do domu. Dziwne uczucie nieść tak niewiele po tak długim okresie. Żadnych walizek, żadnego podręcznego bagażu, tylko butelka w torebce i guz mózgu w słoiku.

Nie było mnie cztery miesiące, ale nadal pamiętałem każdy szczegół. Drzwi, trące o próg przy otwieraniu. Charakterystyczny zapach wnętrza: wielowarstwowa mieszanka wykładziny i kafelków, kawy i świeczek. Przedmioty przeze mnie kupowane i wybory, jakich dokonywałem.

Emocje narastające mi w piersi pękły w momencie, gdy zamknęły się za mną drzwi. Sam w domu, w końcu zapłakałem. Stałem ze zwieszoną głową, a łzy znaczyły plamami podłogę u moich stóp, chociaż przyciskałem dłoń do oczu w daremnej próbie powstrzymania rozpacz. Nie wiem, jak długo tak stałem, roztrzęsiony, ale kiedy oderwałem rękę, oślepiło mnie światło górnej lampy.

Powlokłem się przez kuchnię wyposażoną w urządzenia ze stali nierdzewnej i szafki z drewna tekowego, potem korytarzem z grafikami Warhola, których monotonia dawno temu zmęczyła nawet i mnie, i dalej obok schodów. Wszystko było zimne i ostre — kamienna posadzka pod stopami, marmurowe narożniki blatów, ostro zakończone gałki szuflad. Atmosfera domu wydawała mi się sztuczna, napuszczona. Powinienem raczej czuć ulgę z powrotu, nawet szczęście, a tymczasem brakowało mi pewności siebie.

Podszedłem do jedyne go mebla noszącego oznaki używania, klubowego fotela w salonie. Przetarta skóra, mosiężne ćwieki, z pufem do kompletu. Ktoś wystawił go na chodnik przed domem w okolicy Melrose, chcąc widocznie pozbyć się staroci, a ja na jego widok zahamowałem z piskiem opon moim highlanderem. Ustawiłem Jacka Daniel'sa razem z guzem mózgu na ławie, żeby mogły powymieniać między sobą tajemnice zawodowe, osunąłem się na fotel i po raz pierwszy od miesiący poczułem, jak rozluźniają mi się ramiona. Głęboki oddech. I wydech, dłuższy, niż wydawało się to możliwe.

Nic, co napisałem, nie mogło się z tym równać. Miałem sporo okazji do planowania. Wydałem pięć książek, trzy z nich zostały kupione przez studia filmowe, a na podstawie jednej z nich nakręcono już film — niestety nierozpoznawalny dla moich czytelników — tych trzech, którzy go obejrzeni — i mnie samego, pomimo faktu, że sam napisałem pierwszą wersję. Ostateczny scenariusz, o księdzu-łowcy nagród, nosił tytuł, wstyd

się przyznać, *Złożony w ofierze*, a w roli głównej występował gwiazdor telewizji, który okazał się prawdziwą ofiarą. W moich książkach główną postacią jest Derek Chainer z wydziału zabójstw Komendy Głównej Policji Los Angeles (na potrzeby wspomnianej klapy filmowej nieszczęśliwie przerobiony na wielebneho Chainera). W tych książkach ból doprowadza do białych eksplozji przed oczyma, a złość wściekle pulsuje w głowie. Natomiast to, czego w moich książkach zdecydowanie nie ma, to obraz okaleczonego ciała byłej narzeczonej na policyjnych zdjęciach. Nie ma też opisu, jak trudno jest usunąć zaschniętą krew spod paznokci.

Myślałem, że znam ten świat. Lecz znałem go tylko z zewnątrz. Kiedy już raz znalazłem się w trzewiach bestii, kiedy zabrały się za mnie soki trawienne, odkryłem, że tak naprawdę nic nie wiem. Byłem zaledwie turystą, który zablądził po ciemnej stronie i przyglądał się przez lornetkę tym stworom, jak poruszały się i żerowały.

Przeniosłem wzrok na rząd moich tytułów — edycje w okładkach twardej i miękkiej, a także wydania zagraniczne — i uderzyło mnie, jak bardzo przeceniałem nawet tę pomniejszą wagę, jaką im wcześniej przypisywałem. Nagle poczułem, że brak mi podstaw, aby uwierzyć światu na słowo, i trudno mi było uwierzyć, że istnieje jakakolwiek fundamentalna wartość „skazująca” coś na porażkę lub sukces. Mój fotel z demobilu, zapewniający mi solidną i wygodną podstawę, był nieoceniony. Ale nie moje nazwisko, wydrukowane na pięciu połyskliwych grzbietach. Pewnego dnia popadnę w niepamięć, razem z innymi drugorzędnymi znakomitościami, trafiając w zakurzone szeregi tych, którzy otarli się o sławę. Za ileś lat jakiś mądryła, chcąc rozpaczliwie ożywić rozmowę przy stole, przypomni sobie pewien zwrot. Inni zaś pokiwiają głowami i skłamią przychylnie. „Andrew Danner. Tak, coś gdzieś mi dzwoni. Przypomnij mi”.

A jak zareaguje nasz mądrała? Zagadkowa fabuła odzyskana w mroczkach zniedołężnienia? Reakcja wyczulona na kruczki prawne? Albo wymysły brukowca? „To był morderca”.

Jak zawsze z trudem powstrzymywałem się, aby nie dotykać głowy, tego pasma twardniejącej tkanki, jedyne rozpoznawalnego faktu, jaki wyniosłem z całej mgły amnezji. Blizna w miejscu, gdzie zagłębili się w mój mózg, ciągnęła się prosto od lewego ucha, tuż za linią włosów, a potem lekkim łukiem przechodziła do czoła. Teraz, dzięki palcom, znałem już na pamięć każdy milimetr różowego szwu, jakby wybrzuszenia i krawędzie kryły odpowiedzi zapisane brajlem.

Włączyłem telewizor, aby uciec przed samym sobą, ale proszę, też tam byłem. Mój szok, kiedy odczytywano wyrok. Ekran, przykładnie niczym w serialu rodzinnym, dzielił się między adwokatów i obrońców praw ofiar a oskarżycieli. Wywiad z moją wychowawczynią z siódmej klasy. To samo co zwykle ujęcie domu Genevieve z helikoptera. W dowcipnej relacji na kablówce obrobili komputerowo zdjęcia z sądu w taki sposób, że naśladują słynne statuetki trzech małpek, z których jedna nie chce widzieć, druga słyszeć, a trzecia mówić.

Jako powieściopisarz odniosłem pewien sukces, ale sławę osiągnąłem dopiero jako morderca. Galeria zabójców: rodzinka Mansona, Johnny Stompanato, O. J. Simpson, bracia Menendez. Teraz stałem się jednym z nich. Historia o złym losie, nagięta do klasycznego modelu. Kolejna wersja starożytnego mitu o tych śmiesznych ludziach w wieńcach oliwnych, z bulwiastymi kolanami. Głupia Pandora nie umiała pohamować się przed otworzeniem puszek. Prawdziwy wariat, walnął ojca w łeb i zerznął matkę. A słyszeliście o tym gościu, co to się obudził i nawet nie wiedział, że zabił swoją byłą? Plotkowali o mnie w kawiarniach, wpisali w dzwonki i tapety komórek, używali jako puenty pogaduszek w

radiu dla kierowców. Wyłączyłem telewizor i siedziałem w przenikliwej ciszy.

O czym bym pomyślał, gdybym siebie nie znał? O motywie. O sposobie. Okazji. Co mi podpowie mój instynkt? Co powiedziałem w sądzie? „Jestem przekonany, że każdy jest zdolny do wszystkiego”.

Niestety, nie byłem wiarygodnym narratorem. Potrzebowałem konkretnych faktów, które mogłem cisnąć na stół obok Daniel'sa i mojego uroczego guza.

Dzieciak od sąsiadów, puciołowaty tyran-okularnik, wyjęty wprost z gazetowych karykatur, znowu dobrał się do trąbki i ćwiczył piosenkę z *Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*, nie przejmując się ani tempem, ani tonacją. *Hej HA, hej HO, do PRACY by się SZŁO.*

Wstałem i zacząłem kręcić się po domu, przyzwyczajając się do niego na nowo. Na koślawym stole w kuchni, obok dwóch toreb na zakupy wypełnionych pocztą, stał blok z zestawem japońskich noży marki Shun, spowity w przezroczysty policyjny worek na dowody. Na ten widok zamarłem. Powitalny prezent od prokuratora albo policji, obliczony na to, aby mnie powalić, gdybym miał ochotę przywrócić normalność we własnym życiu. Ten komplet z nierdzewnej, hartowanej stali był biernie-agresywnym podarunkiem od Genevieve, dziesięciokrotnie przewyższającym mój tani komplet z plastikowymi rączkami. Taki sam kosztowny zestaw, jaki ona posiadała, idealnie dopasowany. Moje noże odegrały w procesie znaczącą rolę, nieomal jak rekwizyty w teatrze. Ława przysięgłych raczy zauważyć, że podejrzany posiada komplet noży identyczny z tym, który miała zamordowana, lśniących i ostrych. To był prezent od samej ofiary! Inspiracja do zbrodni! Nóż do filetowania z kompletu Genevieve stanowił kluczowy dowód. Jak mi powiedziano, właśnie ten wbiliśmy jej w brzuch.

Wyciągnąłem z szuflady nożyczki i rozciąłem worek. Z dziwną ceremonialnością przeniosłem blok na miejsce na blacie kuchennym. Zmiałem worek i wyrzuciłem go, a potem na chwilę oparłem się o blat. Starałem się skoncentrować, przypomnieć, jak o sobie zadbać. Nie mogłem pozwolić sobie na pooperacyjny szok, więc wyszperałem w kieszeni tabletki i przełknąłem dilantin, popijając wodą prosto z kranu. Cóż za patetyczny powrót do domu.

W zlewie stała pusta szklanka i biała miseczka z zaschniętym, pomarańczowym wzorkiem — kantalupa, niekwestionowany dowód. Śniadanie z dwudziestego trzeciego września. Ostatnie, konkretne wydarzenie sprzed operacji, jakie pamiętam. Naczynia dorównywały wagą archeologicznym reliktom. Oplukałem je i odstawiłem na miejsce. Potem wspiąłem się na piętro, dźwigając torby z pocztą i własny guz, i poszedłem długim korytarzem, który zdawał się falować pod moimi nogami. Agent nieruchomości nazywał go wybiegiem dla modelek.

Od sąsiada dobiegał coraz zapamiętaleszy zgiełk — *hej ha, hej ho, do pracy by się szło*.

Z okien mojego gabinetu rozciąga się najlepszy widok w całym domu. Wyciszone, podwójne drzwi prowadzące do głównej sypialni, były teraz zamknięte. Fotel leżał, przewrócony. Ten widok był dość niesamowity. Kiedy wszedłem, rzucał się w oczy jak trup. Spoglądałem na niego przez kilka minut, zanim go podniosłem. Przewrócił go policjant podczas przeszukania? Może jakiś intruz? Czy szczerze wam oddany w zapaści wywołanej guzem mózgu?

W koszu na śmieci znalazłem zmiętą ofertę od włoskiego wydawcy, zużyte bilety z meczu Dodgersów i jakieś reklamówki. Resztki zwykłego dnia o zapomnianym scenariuszu. Sprawdziłem w palmtopie, przelatując do tyłu wszystkie umówione spotkania, które mnie minęły, aż dotarłem

do dwudziestego trzeciego września. Ekran był stosownie pusty. Kiedy odkładałem palm na widełki, uderzył mnie dziwaczny fakt, że oto śledzę samego siebie. Byłem intruzem we własnym domu.

Nacisnąłem guzik mikrofonu w domowym telefonie i przeszedłem do wybierania numeru, rozumując, że powinienem zamówić coś z dostawą, na wypadek gdyby kiedyś wrócił mi apetyt, ale po trzech cyfrach zauważyłem, że nie słyhać żadnych tonów. Zagłębiłem się w torby z pocztą i dokopałem się do garści upomnień grożących zawieszeniem usługi. Inne serwisy, na szczęście, automatycznie pobierały płatności z kurczącego się konta, jak za moją komórkę, pilnie ładującą się na regale. Podłączyłem słuchawki z mikrofonem do motoroli i wybrałem numer.

Kiedy melodyjka operatora Pac Bell współzawodniczyła z ryczącą *Królewną Śnieżką* z domu obok, odnalazłem moją pocztę elektroniczną. Wyrazy wsparcia od przyjaciół i czytelników, kilka paszkwili od innych, przekonanych o mojej winie, sporo propozycji dostawy viagry i specyfików na powiększenie penisa, które postanowiłem potraktować jako spam, a nie docelowy marketing. Kiedy przejechałem do dat w okolicy śmierci Genevieve, poczułem jednocześnie rozczarowanie i ulgę, nie znajdując niczego niezwykłego.

Wylogowałem się z konta i wpatrywałem się w pusty ekran. Myśl, że mam coś pisać — teraz czy kiedykolwiek — była przerażająca. Nic, tylko odrobina staromodnej traumy, aby odnaleźć się w pracy. I jeszcze ta niepraktyczność. Żałowałem, że nie mogę przeprowadzić operacji, przed którą muszę wyszorować ręce albo — skoro to niemożliwe — złamać na nowo tekst do publikacji. Coś poza kontemplowaniem monitora i udawaniem, że to, co mógłbym wymyślić, będzie interesujące dla setek tysięcy ludzi, z których większość wykonywała przyteczne zawody.



W końcu w słuchawce odezwał się Serge i zapytał, w jaki sposób może służyć mi pomocą. Wyjaśniłem, że nie uiściłem płatności za telefon, ale zamierzam zrobić to teraz i chciałbym, aby na nowo uruchomiono linię. Kiedy Serge natarł mi już uszu, strasząc ogromnymi karami i opłatami za wznowienie abonamentu, które ja ze skruczą zobowiązałem się zapłacić, westchnął rozczarowany i zapisał numer mojej karty kredytowej.

— Czy mogę zatrzymać dotychczasowy numer telefonu? — zapytałem, pragnąc zachować coś znajomego.

— Pańskiej usługi nie anulowano, jedynie zawieszono — wyjaśnił Serge — ale i tak przyślemy pracownika, aby na nowo podłączył linię.

— Kiedy?

— Najpóźniej w przyszły czwartek.

— A możecie przysłać kogoś wcześniej?

— Może. Gwarantowany termin to przyszły czwartek.

Nie wyglądało mi to na chęć służenia pomocą.

— Proszę posłuchać — powiedziałem. — Nie mogę teraz zostać bez telefonu.

— To może nie był to najlepszy pomysł, aby zapomnieć o rachunku na cztery miesiące?

— Czy ja dodzwoniłem się do centrali w Indiach?

Krótką przerwa, po czym Serge odezwał się znowu:

— Oj, dobrze. Andrew Danner. Coś panu przeszkodziło.

Chociaż okoliczności łagodzące gwarantowały mi wolność, to dla operatora telefonii nie stanowiły zadośćuczynienia. Serge pozostał niewzruszony, wyłączyłem więc telefon, a potem komputer, pogrążając gabinet w ciszy.

Sypialnia miała własną historię. Opowieść o odejściu April. Drzwi uchylone. Pościel odciągnięta. Kilka moich przyborów toaletowych rozrzuconych na blacie w łazience, kiedy w pośpiechu pakowała torbę. Różowa maszynka do golenia przeoczona pod prysznicem. Może użyję jej

później, w imię starych czasów. April w pośpiechu upuściła jedną ze skarpet obok umywalki.

Nasz romans dopiero rozkwitał. Aprii, pani doktor, ortopeda o subtelnych, ładnych rysach twarzy i spokojnym temperamencie, który przypisywałem tradycyjnemu, farmerskiemu wychowaniu na Środkowym Zachodzie, badała mnie, kiedy złamałem sobie obojczyk podczas gry w kosza w Balboa Park. Zdecydowany, lekarski dotyk, troska utemperowana rozsądkiem, bliskość naszych twarzy, kiedy manipulowała moim ramieniem; nie miałem szansy. Znaliśmy się trzy miesiące, byliśmy pełni marzeń, które wydawały się młodzieńcze, jak na parę zatwardziałych trzydziestoosmiolatków. Telefony na dobranoc. Lody prosto z pojemnika w łóżku. Klasyka filmowa Howarda Hawksa i pizza od Fabrociniego. Od czasu do czasu wspólnie spędzona noc, tylko na próbę. A potem brutalne morderstwo.

To przerwało rodzaj beztroski i nadziei, w które zwątpiłem po rozstaniu z Genevieve, kiedy pół roku wcześniej każde z nas błędziło własną drogą. Albo, według prokuratora i dziennikarzy, wybrało zgorzknienie i obelżywość.

Podniosłem skarpetę April, czując, jak znowu wzbierają we mnie emocje, ale postanowiłem nie rozklejać się nad elementem garderoby. Odstawiłem słoik z guzem na nocny stolik, pościeliłem łóżko, a potem usiadłem na kołdrze i zacząłem się zastanawiać, na jaką samotność jesteśmy skazani. Ja i mój guz.

Wpatrywałem się w tę pływającą masę szarych komórek, a moje myśli znowu powędrowały do Genevieve, jej przerażającej śmierci i mojego jeszcze bardziej przerażającego i zagadkowego w niej udziału. Swoje gusta, swoje wizje zabarwiała odrobiną egzotyki, której nie mogłem się oprzeć. Stanowczość jej sądów. Pewność jej pasji. Była dużą kobietą, o grubych udach i biodrach, ożywczo kojącą — nie, raczej zdecydowaną —

za sprawą swojego ciała i tego, czego mogło ono dokonać. Przypominałem ją sobie głównie jako zbiór odczuć. Gładkość policzka ocierającego się o moją pierś. Woń Petite Cherie na poduszce. Kropelki potu na jej alabastrowych plecach. Jej śpiąca twarz — gładka jak u dziecka. Genevieve nie miała złych stron ani złych humorów. O wiele trudniej jest czuć urazę, kiedy ktoś nie ma wad. Potrzeba więcej brzydoty w zachowaniu. Lecz kiedy zaczęło to powoli do mnie docierać, ona już na to wpadła, pokazując swoje fochy za nas oboje. Kochałem ją, na pewno, ale bardziej kochałem bycie z nią. Z nas dwojga tylko ona była na tyle spostrzegawcza, aby wychwycić tę złożoność.

Tego wieczoru, kiedy się rozstaliśmy, zaprezentowała całą gamę swoich możliwości. Wyszedłem z gabinetu, a ona siedziała w sypialni i oglądała Ceremonię Róży z *Kawalera do wzięcia*, z kartonem lodów na kolanach. Uniosła łyżeczkę w moją stronę, dając mi do zrozumienia, żebym nie odciągał jej uwagi od reality show.

— Jane to wredna krowa i niech wraca do domu. — Cień francuskiego akcentu osłabił tę prozaiczną deklarację, aż musiałem opanować śmiech, a potem, z diabelskim chichotem dodała: — Chodźmy gdzieś coś wszamać. Jak zostaniemy, to będziemy się kłócić albo rżnąć.

W restauracji trzymała moją dłoń na stole, jej twarz łagodziła ekstaza, kiedy wymieniała przyprawy w kiełbasce merguez. Wróciliśmy do domu i kochaliśmy się, pocąc się w ciepłym podmuchu powietrza. Tej nocy zabrał mi ją kolejny ponury nastrój, który doprowadził ją do szloch, kiedy brała prysznic.

— W niczym nie ma już godności. Wszystko jest takie tanie.

Siedziała na kafelkach. Woda lała jej się na pierś. Przykucnąłem, wyczuwając znajomą bezradność. Strumień zahaczał o mój rękaw.

— O co chodzi?

— O wszystko. O telewizję. O nic. Przepraszam. Coś mam nie tak z głową. To jedna z tych... przepraszam. To niesprawiedliwe wobec ciebie. Powinam iść.

Później obudziłem się gdzieś nad ranem i uświadomiłem sobie, że jej spocone dłonie zaciskają się na mojej ręce. Zagryzała boleśnie bladą, dolną wargę. Wzrokiem szukała pocieszenia.

— Nie uda się nam — powiedziała.

Nie miałem siły, aby cokolwiek więcej jej tłumaczyć. Spakowała kilka swoich rzeczy, które u mnie trzymała, i puściła na swoim iPodzie operę, żebyśmy nie zaczęli się kłócić, chcąc ukryć zdenerwowanie.

Te wszystkie konfabulacje mediów pomogły mi zrozumieć, jak trudno było ją poznać. Chociaż zaklinała się, że musi uporządkować dokumenty rodzinnych posiadłości, nic z tym nie robiła. Dużo czytała, chodziła na poranne seanse filmowe. Znała dobre piekarnie. Nie żądała wiele od życia i w ostateczności ono dało jej mniej. Nie mogłem przestać myśleć o tych wszystkich rzeczach, których już nie doświadczy. Cały świat, nieodwracalnie, został jej odebrany.

Chciałem otrząsnąć się z ostatnich czterech miesięcy niczym z niepokojącego snu. Lecz pewne fakty są niczym głązy. Leżą na twojej drodze. Mają ostre krawędzie, o które się kaleczysz, próbując je przesunąć. Po śmierci matki całymi tygodniami budziłem się nad ranem, owładnięty prostymi, dziecięcymi myślami. Żeby to nie była prawda. Żeby to się nie wydarzyło. Nie mogłem poddać się tym myślom. Śmierć ojca sprzed półtora roku była równie bolesna, ale przynajmniej miałem już jakieś doświadczenie. Ale jak w tym wszystkim umieścić Genevieve z wielką raną w splocie słonecznym?

— Ja tego nie zrobiłem — powiedziałem do guza.

Gapił się na mnie obojętnie.

Poszedłem na dół, otworzyłem Jacka Daniel'sa i zaciągnąłem się bogatym, satysfakcjonującym aromatem. Potem udałem się do kuchni i wylałem do zlewu przedni, brązowy trunek. Żydzi zostawiają kielich wina dla Eliasza. Buddyści składają w ofierze owoce. Gangsterzy wylewają kielonka dla martwych kumpli. Trzeba karmić bogów. Bo inaczej bogowie nakarmią się tobą. Nie żeby zaraz mieli ciebie pożreć.

Cały blat, niczym wylegujący się labrador, zdominowała mosiężna maszynka do cappuccino. Wybrałem ją dla Genevieve w tym pięciominutowym okresie, kiedy sprawy między nami układały się dobrze. Jak dotąd wypłuła piętnaście porcji błotnistej espresso po sto czterdzieści siedem dolarów za filiżankę. W lodówce znajdowały się trzy różne butelki wody i tabliczka ciemnej czekolady, do połowy zjedzona przez April. Podszedłem do szafki i wyjąłem szklanę i białą miskę, które przed chwilą tam odłożyłem. Ustawiłem je na blacie i wpatrywałem się w nie, jakbym się spodziewał, że zaraz przemówią.

Śniadanie, dwudziesty trzeci września. Moje ostatnie wspomnienie, zanim obudziłem się na sali pooperacyjnej.

Nie potrafiłem odwrócić spojrzenia od noży spoczywających w drewnianym kločku na blacie. Gdzieś we mnie obudziła się ponura ciekawość. Odczuwałem ją jako niebieski płomień. Jak dwudziestoletnią szkocką uderzającą w żyły po dwugodzinnym joggingu. Podszedłem do drewnianego bloczka, poprawnie zgadując, który z noży służy do wykrawania kości. Wyszarpnąłem go, wyczuwając jego wagę. Nierdzewny błysk, japoński znak na ostrzu. Używałem tych noży cztery, może pięć razy. Dlaczego moja dłoń tak łatwo natrafiła właśnie na ten do wykrawania kości?

Bardzo długo przyglądałem się swoim dłoniom, potem własnemu odbiciu w oknie nad zlewozmywakiem. Jakiś facet z nożem w ręku, wyraźna

linia włosów nad raną. Wzdrygnąłem się na ten widok.

Zajrzałem do pojemnika na cygara, potem położyłem się na leżaku, wsparłem nogi o balustradę i wypaliłem cygaro aż do żółto cętkowanej opaski. Cała słabość, na jaką było mnie stać. Poza pisaniem. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek będę pisał.

Noc była ciemna i mroźna, jak to w styczniu. Ludzie zapomnieli, jak zimno potrafi być zimą w LA — podmuch od Pacyfiku, wiatry znad Santa Ana, wściekle ulewy z nieśmiałymi błyskawicami, jak monsun z zatwardzeniem chcący znaleźć ulgę. Widok leczy wszelkie rany. Widok sprawia, że czujesz się, jakbyś posiadał coś większego od siebie, jakbyś miał jakieś miejsce na tym padole leż.

Patrzyłem, jak w oddali dolina migocze w gorączce niczym ocean, tylko ładniejsza, ponieważ było to morze światła, ponieważ był to ruch i życie, ponieważ byłem odseparowany i jednocześnie połączony z tysiącami ludzi w tysiącu domów, z tysiącami historii, o wiele smutniejszych od mojej. Autostrada Sepulveda zmierzająca na północ, w pogarszającą się demografię. Van Nuys, piękne jedynie z daleka, gdzie każdego ranka w dni powszednie Meksykanie grają w piłkę nożną, żegnając się przed rozpoczęciem gry, zupełnie jakby Boga obudził wynik przypadkowego meczu. Cztery Pięta, wygięty wodospad białych reflektorów. Ventura, kierująca się na wschód szlakiem „moteli na godziny” o nazwach słynnych wytwórni filmowych, gdzie kible wabią rozbite dzieci ulicy albo odwrotnie. A w okolicy Cahuenga Pass, gdzie miasto czeka jak nienasycona i nieokiełznana kochanka, leżąca na neonowym łożu z uśmiechem Sfinksa, z łapami, w które właśnie schwyciła podziurawione sny.

Zamknąłem oczy, krążąc po Hollywood beatników i naśladowców, kulturze konsumentów z nazwiskami markowych projektantów wydrukowanymi na welurowych dupskach. Włókłem się bulwarem osiem

kilometrów na godzinę za kompaktowymi oldsmobilami z tablicami rejestracyjnymi z Arkansas, nie korzystającymi z klaksonów, kiedy głowy w środku na potężnych karkach południowców obracały się za czarnymi dzieciakami rapującymi na wywróconych do góry dnem białych wiadrach, za niemieckimi kinolami z łuszczącą się skórą, za kleistym zapachem olejku do opalania, za odurzającym smogiem, srebrnymi kolczykami przekłuwanymi opalone na brąz pępuszki, za wypełniającymi puste parcele billboardami z pop-sensacjami w zwiewnych kapeluszach, i dalej, w górę, zaułkami prawdziwego Hollywood, gdzie dziwki kłęczą nad kałużami rzygowin, a dealerzy narkotyków wypadają z drzwi i drapiąc się po plecach, mamrocą nocną pieśń: *Gotta get well*, będzie ci dobrze.

Przez ciąg kabaretów, gdzie mężowie z Wichita śmieją się z żartów o Jezusie, nie zważając na spojrzenia rzucane ukradkiem przez sznurujące usta żony, gdzie amatorzy poca się podczas numerów i może, może, kiedy kelnerki, co niejedno słyszały, usuną drugą pustą szklankę z kolejki „minimum-dwa-drinki”, wpadnie ten słynny aktor z sitcomu, żeby wypróbować nowy materiał. Potem na zachód, do „Miasteczka dla Dużych Chłopców”, gdzie mnożą się gejowskie pary wszelkiej maści, zaprzeczając ograniczonej, heteroseksualnej wyobraźni, gdzie softowe billboardy spoglądają na wystawy ze skórzaną odzieżą nabijaną ćwiekami, z połyskliwymi kartami do tarota i salonami tatuażu, gdzie kochankowie popijają kawę w bezpośrednim sąsiedztwie pałaców pornografii z totemami ze znaków parkowania z fioletowego polistyrenu ustawionych jeden na drugim, całkowicie niezrozumiałych. Dalej, obok Urth Café, gdzie rozwiedzeni rozbitkowie o zapadniętych od leków i obrzmiałych od kolagenu twarzach, przeżywają zdrową sałatę, cielesna wojna pozycyjna. Potem śliskim węzem Bulwaru Zachodzącego Słońca ze starymi

rezydencjami, z bezwstydnym i krzykliwym sklepem Hustlera, ze świetlnymi girlandami podczas świąt. Szpalerami palm w Beverly Hills, tak często filmowanymi, choć nigdy nie uchwyconymi, letnie garniturki na skuterach-segwayach w drodze do Valentino po pizzę, karierowiczki przechadzające się z miniaturowymi psami, agenci z niewidzialnymi słuchawkami telefonów wetkniętymi w uszy, mamroczący solo przed restauracjami i na świetłach, wydziejczona paplanina.

Jedź do Westwood, jedź do Brentwood, gdzie trzysta dziesięć mam pcha przez chłopskie stragany markowe spacerówki z foremnymi dzieciaczkami i marzy o hotelach na Bali. I dalej do Palisades, Santa Monica Canyon i Malibu, w górę migoczącego wybrzeża cuchnącego spalinami, pokrytego mewim guanem, potem ciągami kanionów, głębokich, rdzawych fałdów, niczym żyły rudy albo kobiece zmarszczki, gdzie powietrze jest zadziwiająco rześkie i zaprawione solą.

Policzki miałem mokre od bryzy, a moje serce rwało się do światła w dole. Los Angeles. Miraż miasta, który pojawiał się nagle niczym zimny pot na plecach poszukiwaczy złota i robotników kolejowych, i nabierał cielesności, kiedy dystrybutorzy pirackich filmów, omijając listę patentów Edisona, zaryzykowali i postawili wszystko na jedną kartę wsparci przez siły ze Wschodniego Wybrzeża.

Los Angeles, ziemia nieskończonych obietnic. Niekończące się fiasko. Los Angeles drobnych okrucieństw. Los Angeles bezpośredniej hierarchii, opalenizna w sprayu, trefna intuicja. LA nosa zabandażowanego po operacji, hinduskiego menu, procesu o zniesławienie. Garażu na dwa SUV-y. LA z otwartymi umysłami i zgrabnie sformułowanymi opiniami. LA wysokooktanowego zachodu słońca, ciepłego, nocnego powietrza, od



którego jesteś pijany. LA przedłużonego okresu dojrzewania, uwodzenia w zwolnionym tempie, jednorazowej blondynki w nieokreślonym wieku. LA, gdzie gwiazda porno ubiega się o urząd gubernatora, a wygrywa bohater filmów akcji. LA, gdzie w dowolnym momencie wszystko może się przytrafić jakiemuś biednemu ćwokowi albo gnojkwiszczęściarzowi. Gdzie wszystko mi się przytrafiło.

## 2

Siedzę w highlanderze, wjeżdżam ostro pod górę, jedyne światło dochodzi z moich reflektorów i latarni przysłoniętych gałęziami. Pot zalewa mi czoło, szczypie w oczy. Dławiący zapach, jakby palonej gumy, zostaje mi w nozdrzach. Jadę szybko. Ulica jest absurdalnie wąska. Wymijam zaparkowane samochody. Znam tę ulicę. Wchodzę w agrafkę z piskiem opon i jest, pojawia się gwałtownie. Dom Genevieve.

Wznosi się posępnie, drewniana fasada spogląda ze ściany klifu. Pale sięgają do ziemi niczym macki. Drżący bluszcz pnie się w górę po deskach sidingu.

Zegar na desce rozdzielczej wyświetla pierwszą dwadzieścia jeden po północy.

Nagły spazm strachu chwyta mnie za serce. Wjeżdżam zbyt gwałtownie, przednia opona podskakuje na krawężniku i rozgniata zraszacz na brzegu skromnego trawnika. Otwieram gwałtownie drzwi, wbiegam stromym chodnikiem, betonowe płyty migają pod nogami. Za mną gong sygnalizuje otwarte drzwi wozu, współzawodnicząc ze świerszczami.

Nieomal potykam się o ostatni stopień i upadam na ganek.

Słyszę muzykę... coś klasycznego i majestatycznego. W mojej własnej głowie?

Filodendron drży na wietrze. Pochylam się, chwytam w spocone dłonie glinianą doniczkę, a lśniące liście ocierają mi się o twarz. Roślina łatwo się przekrzywia i wyślizguje mi się z rąk. Pęka gliniana podstawka i tworzy się wzorek podobny do błyskawicy, który sięga prawie do krawędzi. Wycieram dłonie w dzinsy, znowu przekrzywiam donicę i widzę go – połyskuje w ziemi – metalowy klucz.

W głowie mam krzyk. Budzę się w płataninie pościeli, zagubiony w lepkiem, adrenalinowym strachu. Przez bliznę przechodzi gorąco, tak intensywne, że kiedy dotykam zrostu, wydaje mi się, że jest mokry. Mija kilka chwil, zanim orientuję się w sytuacji. Moje łóżko. Pierwsza noc w domu. Okno rozdzieliło się na dwa niezależne prostokąty. Wysiłem wzrok, walcząc, by połączyć rozedrgane tafle w jedno. Na języku cierpki smak, jak skorupa twardego owocu. Jedenasta dwadzieścia trzy wieczorem gapi się na mnie z zegara przy łóżku.

Starłem się uspokoić oddech, ale po głowie krążył mi jeszcze ten sen w dezorientującej pętli podniecenia. Różnił się od dotychczasowych koszmarów. Bardziej realny, a jednocześnie bardziej surrealistyczny. Czyżbym odzyskał jakiś segment czasu? Jazdę do domu Genevieve w nocy dwudziestego trzeciego września? Dzisiaj? A może to powtórka z Freuda, rozbuchane fantazje, kiedy cenzorzy zrobili sobie przerwę na kawę.

We śnie opona samochodu najechała na zraszac. A gliniana doniczka wyślizgnęła mi się z rąk, rozbijając podstawkę. Obrazy nie oznaczały nic. Ale co, jeżeli zraszac i podstawka naprawdę były uszkodzone? W końcu coś konkretnego, co mogłem potwierdzić na własne oczy.

Odrzuciłem pościel i wytoczyłem się z łóżka, senny, czując się tak, jakbym szedł pod wodą. Było niewytłumaczalnie zimno i nagle uświadomiłem

sobie, że na dole coś się rusza. Wszedłem na wybieg dla modelek i zerknąłem przez barierkę do salonu.

Na dywanie spoczywał ponadmetrowy metalowy pręt. Zaspany, potrzebowałem dobrej chwili, żeby rozpoznać w nim zabezpieczenie przesuwanych, szklanych drzwi na taras, które wkłada się w prowadnicę. Słyszałem, jak wiatr wsysa się przez framugę, chociaż była poza zasięgiem wzroku, i ponownie uświadomiłem sobie, że moją nagą skórę omiata zimne powietrze. Odgłos samochodów na autostradzie był słaby, ale nie wyciszony.

Stojąc tam, próbowałem odtając i znaleźć w tym logikę. Prawdopodobnie wróciłem z tarasu wyczerpany i zapomniałem zamknąć drzwi. W końcu przez ostatnie cztery miesiące zupełnie nie kontrolowałem tego, czy drzwi są otwarte, czy zamknięte. Jednak wątpliwości nie ustępowały. Być może zapomniałem włożyć pręt zabezpieczający, ale żeby zapomnieć zasunąć za sobą drzwi? Skoro na dworze zrobiło się tak zimno?

Zszedłem ostrożnie po schodach. Rozsuwane drzwi balkonowe rzeczywiście były szeroko otwarte. Do środka wpadło kilka liści; wielkie, żółte łuski podrygiwały na dywanie. Wpatrywałem się w czarny kwadrat tarasu, starając się zapanować nad nerwami, po czym skierowałem się w tamtą stronę. Pozbierałem liście i wyslizgnąłem się na zewnątrz. Taras był pusty, podobnie jak mały kwadrat trawnika po prawej stronie, przed pochyłością pokrytą bluszczem. Moją uwagę zwrócił jakiś odgłos dobiegający gdzieś z boku domu, może to płot zaklekotał na wietrze? Skręciłem za róg i spojrzałem w stronę ulicy. Zamigotały światła na podjeździe domu naprzeciw, jedno po drugim, jakby przed nimi przechodziła jakaś postać, ale skąd mogłem mieć pewność? Byłem zadowolony, że miałem wyłączone światła, dzięki temu widziałem po ciemku, ale księżyc, zagubiony gdzieś za sykomorą Johnsonów, niewiele mi pomógł. Zbiegłem

bocznym podjazdem. Szczęknęła brama — ten sam odgłos co wcześniej — klamka była niedomknięta. Przeszedłem i brukowanym wjazdem wyszedłem na środek ulicy. W bokserkach. Rozglądałem się na boki, zdezorientowany. Nikogo ani śladu, żadnego odgłosu zapuszczanego silnika.

Wróciłem tą samą drogą, wszedłem do domu i zabezpieczyłem szklane drzwi. Na dywanie, ledwo dostrzegalna w łunie odległych świateł miasta, była odcisnięta ziemia. Powtarzający się kształt litery C, zrobiony zapewne krawędzią buta.

Telefon wyłączony. Komórka na górze. Ja, ulubieniec mediów w bieleźnie, zdrowy na umyśle, ukochany miejscowych stróżów prawa.

Bezgłośnie podążyłem po śladach do kuchni. Nie spuszczać oczu z drzwi, sięgnąłem po dwudziestopięciocentymetrowy nóż szefa kuchni, by wysunąć go z drewnianego bloku. Palce trafiły na pustkę. Zerknąłem w dół. Wśród sterczących rękojeści ziała czarna wyrwa. Brakowało noża do wykrawania kości.

### 3

Nieposzlakowana członkini znaczącej francuskiej społeczności, której życie zostało przerwane przez pnącego się po drabinie kariery autora powieści kryminalnych, choć teraz przestał już przeć ku górze. Pół roku po tym, jak go porzuciła, włamał się do jej domu o pierwszej trzydzieści w nocy. Wszedł do kuchni i chwycił rzeźnicki nóż, z identycznego zestawu, jaki kupiła mu w prezencie. Zakradł się do sypialni, gdzie nie był już miłym gościem, i ją zadźgał. Został złapany na gorącym — gorącym jak krew — uczynku nad jej ciałem. Zanim przyjechała policja, ona już nie żyła, a on miał atak. Zawieziono go do szpitala, gdzie rozpoznano u niego guz mózgu i przeprowadzono natychmiastową trepanację. Kiedy obudził się nazajutrz rano, guz został już usunięty, a wraz z nim — jak twierdził — cała pamięć od śniadania poprzedniego dnia. Dogodna amnezja. Repertuar z tanich powieści. Taki rodzaj obrony może się sprawdzić jedynie w Los Angeles.

Tak ujął to „Enquirer”. I „LA Times”, Fox News, a nawet „Vanity Fair”. W tej historii wszystko jest nie tak, we wszelkich szczegółach i niuansach, ale za to opowiadają ją z zapalem godnym brukowca.

Mogę opowiedzieć to jedynie po swojemu.

Pierwszą noc pozbawienia wolności wymiotowałem do nierdzewnej

misy, aż śluzówka żołądka stała się zdarta tak samo, jak wąski materac na nabitej ćwiekami ramie. Po prawie czterdziestu ośmiu godzinach spędzonych w strzeżonym szpitalu na oddziale szeryfa, wylądowałem w izolatce na szóstym piętrze największego więzienia na świecie — Twin Tower Correctional Facility. Pomieszczenie było ciasne i metalowe. Miało wylot w ścianie, którym dostawało się ożywcze powietrze Los Angeles. Brakowało mi własnego łóżka i oprawionych w ramki kart z papierosów z postaciami z Szekspira, zawieszonych obok szafy. Brakowało mi matki i ojca. W swoim czasie spędziłem wiele bezsennych nocy, nie wspominając niespokojnych godzin przed świtem w trakcie niedołączenia rodziców — moja mama po serii wyniszczających udarów zaraz po sześćdziesiątce, a ojciec półtora roku później, mniej okrutnie, z tętniakiem. Lecz nic — nic — z tego, co mi się przytrafiło, nie można było porównać do kompletnych ciemności tej nocy.

Dzień i noc strażnicy wydawali polecenia więźniom w, jak przyjąłem, wąskim spacerniaku na dole, skąd po szarych ścianach pięło się w górę podzwanianie kajdan na nogach wraz z bezcielesnymi głosami, silnymi i urywanymi, z których większość narzekała. Śpiewali więzienne pieśni.

Nie ja.

Jakiś skurwiel mnie wrobił.

Jestem niewinny. Pilnował ja własnego nosa, jak...

Wysoko, w tej lodówce, bez wpływowych kontaktów, mądrze było nie włączać się do tego chóru. Ale wiedziałem, że tego nie zrobiłem. Wiedziałem, że nie mogłem zabić Genevieve, pomimo iż ogarniało mnie przerażenie, że to zrobiłem.

Chic zjawił się pierwszy, oczywiście, kiedy tylko na to zezwolili. Prowadzono mnie jaskrawo oświetlonym korytarzem, w którym czuć

było amoniakiem, do oddzielnego pokoju przesłuchań dla więźniów odizolowanych od ogólnej populacji. Drewniane krzesło z bliznami po niejednej stoczonej bitwie, tarcza z pleksiglasu, wulgaryzmy wysmarowane palcem na metalowym blacie — istny powrót do szkoły.

Strażnik niepoprawnie wymówił jego imię, jakby po francusku wychwalał jego fryzurę, chociaż Chic może być wszystkim, tylko nie tym. Był ubrany jak zwykle, jakby pierwszy raz poszedł na zakupy bez mamy. Dżinsowe szorty rozciągnięte poniżej kolan. Za duża, jedwabna, oliwkowo-zielona koszula, zapięta na szerokiej piersi. Wysoce przesadzony łańcuch na szyi w parze z masą złota na serdecznym palcu lewej dłoni.

Swoją wielką posturę sadowił w poszukiwaniu wygody na krześle nie przeznaczonym dla zawodowych sportowców. Na jego widok aż łzy naszły mi do oczu, a to z powodu tego, jak potoczyło mi się życie, od kiedy ostatni raz go widziałem. Tydzień temu? Osiem dni?

Chic położył zadziwiająco białą dłoń na pleksiglasie. Przyłożyłem do niej rękę. Strasznie surrealistycznie było naśladować gest, który znałem jedynie z filmów.

— Czego potrzebujesz? — zapytał.

Mój głos, mało używany, zabrzmiał tak samo chropowato jak te, które wlatywały do mnie po ścianach.

— Ja tego nie zrobiłem.

Wykonał uspokajający gest w moją stronę, dłonie rozłożone, głowa przekrzywiona i nieco pochylona.

— Tylko nie płacz, Drew-Drew — powiedział cicho. — Nie tutaj. Nie przy nich.

Wytarłem oczy połą koszuli więziennego sortu.

— Wiem. Już nie płacę.

Chic wyglądał tak, jakby chciał przejść przez pleksi i stoczyć za mnie



kilka walk, dla pewności, że te dranie dadzą mi szersze kojo.

- Co mogę zrobić?
- Po prostu bądź tu.

Zmarkotniał trochę, najwidoczniej, jak się domyślałam, miał ochotę działać, znaleźć jakiś lepszy sposób, aby mi pomóc. Urodzony w Filadelfii, Chic ma we krwi lojalność typową dla Wschodniego Wybrzeża i lubi to udowadniać. Dowiem się później, że na widzenie ze mną czekał na dole cztery i pół godziny.

Zacisnął potężne dłonie.

- Jest zupełnie jak w jednej z twoich książek. Tylko gorzej.
- Traktuję to jako komplement.

Palce znowu wędrowały przy głowie, odnajdując paciorki blizny po podwójnym szwie. Zauważyłem, że Chic przypatruje mi się, więc opuściłem rękę.

Wyglądał na zatroskanego.

- Trzymasz się?

Gapilem się w sufit, czekając, aby mój wzrok przestał być zbyt wodnisty.

— Boję się do posrania. — Nagły przyływ paniki ścisnął mnie za gardło, przypominając mi, dlaczego lepiej nie rozmyślać na wyrost o strachu.

Chic najwyraźniej rozważał następne słowa.

— Byłem w więzieniu, ale nie takim. Twój cień pewnie boi się swojego cienia.

Potarłem powieki, aż serce przestało bić jak werbel na szubienicy. Wtedy powiedziałem:

— Sprawdź, co u April. Nie zaglądała do mnie. Ani do szpitala, ani tutaj.

- Nie byliście razem tak długo.
- Raczej trudno jest sobie z tym poradzić.

Chic uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Tak myślisz?”. Nie mogłem rozmawiać o stracie April i udawać twardziela, więc zapytałem:

— Jakie wiadomości z frontu?

— Normalne gówno. Sąd w telewizji, trzyminutowe fragmenty o piątej, pięciominutowe o trzeciej. Reporterzy nie mają sobie nic do zarzucenia, bo pamiętają, żeby wtrącać „domniemany”.

Wiedziałem już, że wersja prokuratora zaraziła media i na odwrót. Ofiara była fotogeniczna i spodobała się opinii publicznej, która miała dla mnie to, co mi się należało. Historia toczyła się własnym życiem, a mnie przypisano najpaskudniejszą rolę.

Przyjrzał mi się bacznie.

— Sypiasz w ogóle?

— Pewnie.

Lecz nie sypiałem wiele. Zeszłej nocy nie zmrużyłem oka, wpatrując się we własne dłonie, zdumiony ich tajemniczą historią. Pod paznokciem prawego kciuka utkwiała plamka zaschłej krwi. Wydlubywałem ją bez końca, aż uległem frustracji i czemuś przerażającemu, co skończyło się odgryzieniem koniuszka paznokcia. Później śniła mi się Genevieve — o bladej, paryskiej skórze i zapraszających, szerokich i miękkich biodrach; wypoczywała u mnie na leżaku i łyżeczką wydobywała skrawki awokado z ciemnej łupiny, a następnie moczyła je w kleksie majonezu wypełniającym miejsce po pestce. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się wybacząco, a ja obudziłem się zlany potem, chociaż przykryty byłem jedynie cienką płachetką. Poliestrowa kołdra była marna i wiedziałem, że pośród ciemności stanowią żaloszny widok, drżący i przerażony za sprawą czegoś, czego nie potrafiłem określić.

— Możesz przekazać kondolencje rodzinie Genevieve? — powiedziałem cicho. — Powiedz im, że ja tego nie zrobiłem.

— Z całym szacunkiem, ale oni chyba niespecjalnie chcą mieć teraz

z tobą kontakt. — Uniósł rękę, kiedy zacząłem protestować. — A jak spisują się ci prawnicy, których znalazł dla ciebie nadgorliwy wydawca?

— Zdaje się, że wiedzą, co robią.

— Miejmy nadzieję. — Wyciągnął złączony zszywką dokument i włożył go do okienka.

Podbiegł strażnik, wyrzucając z siebie:

— Muszę to zobaczyć, proszę pana.

Chic czekał niecierpliwie, kiedy strażnik wertował papiery, szukając łomu ukrytego między kartkami. Zadowolił się usunięciem zszywki z narożnika. Plan B do chrzanu. Nie będzie ucieczki na zaczarowanej zszywce.

Kiedy tylko dokument przeszedł przez ochronę, Chic wsunął go do mnie. Na mocy prawa Chic Bales otrzymuje szerokie pełnomocnictwo w kwestii moich finansów i spraw prawnych.

— Szerokie pełnomocnictwo — powtórzyłem. — To obejmuje zdjęcia rentgena czy tylko zmianę wyglądu?

Uśmiechnął się lekko, ale w zmarszczkach okalających jego oczy widziałem, jak bardzo się martwi.

— Firma prawnicza żąda dwóch i pół zaliczki za dyspozycyjność. Będziesz musiał wziąć drugą pożyczkę pod dom.

— Trzecią. — Samo kontemplowanie stanu moich finansów wprawiło moje skronie w pulsowanie. Doszło do jakichś biurokratycznych komplikacji, zanim strażnik znalazł pieczętkę notariusza, aby uwiarygodnić dokument. Kolejny realistyczny drobiazg, który przegapiłem na stronach moich — o zgrozo, jakże nierealistycznych — powieści.

Podpisałem i odesłałem dokument. Chic zauważył notatkę, którą dołączyłem.

— Co to?

— Dla Adeline.

— Dla siostry Genevieve? Naprawdę myślisz, że ona chce się z tobą

kontaktować? — rozłożył kartkę, nie pytając mnie o zgodę, i obejrzał moje dorosłe pismo.

*Nie zabilem Twojej siostry.*

*Daj znać, czy coś mogę zrobić.*

*Rozumiem Twoją strategię.*

Złożył kartkę i schował do kieszeni. Jego spojrzenie mówiło wszystko.

— Jak cię oskarżą, to nie masz już prawa do ludzkich reakcji? — zapytałem.

— Masz, ale nikt w to nie uwierzy. Jeżeli mówisz szczerze, to przepa-  
dłeś. Wszyscy pomyślą, że odgrywasz scenę przed ławą przysięgłych.  
Podjąłeś grę. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej.

— Więc co mam robić?

— Wyglądaj na niewinnego.

— Jestem niewinny.

— Wyglądaj.

Przez kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na siebie.  
Podszedł strażnik.

— Koniec widzenia.

Chic nie poruszył się, jedynie jego spojrzenie drgnęło i przeniosło się  
na odbicie strażnika w szybie.

— Dopiero przyszedłem.

— Wyjdzie pan na prawo. Zrozumiano?

Chic wciągnął powietrze przez zęby i wykrzywił usta.

— Pewno — a potem do mnie: — Trzymaj się mocno. Obojętnie, co  
się będzie działo, możesz na mnie liczyć. — Ze zgrzytem odsunął krzesło,  
a potem jego kroki odbiły się echem od zimnych betonowych ścian.

Nazajutrz rano zostałem wezwany przez moich prawników do Pleksi-  
glasowego Pawilonu położonego za korytarzem cuchnącym amoniakiem.

Siedzieli na krzesłach, czekali, ich sylwetki obrysowane jaskrawym, porannym światłem; jeden pochylał się do przodu, z łokciami na kolanach i ustami wydętymi od ciężaru decyzji, które przyjdzie mu podjąć; kciuk robił dołek w policzku, a palec wskazujący obrysowywał górną wargę. Obaj mieli głowy pochylone niczym do modlitwy. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że natknąłem się na słynne ujęcie Johna i Roberta Kennedych, kiedy frachtowce Chruszczowa kierowały się na Kubę.

Rozumiałem ich troskę. Już jako klient okazałem się trudny we współpracy. Pomimo ich rad zdecydowałem się nie odrzucać mojego prawa do szybkiego procesu. Za sprawą niezdecydowanego sędziego, jaki nam się trafił, który chronił własny tyłek, nie przyznano mi zwolnienia za kaucją, czemu towarzyszyły narastające pogrożki ze strony prasy. Miałem wybór: „winny” albo „niewinny”. Kwestia tymczasowej niepoczytalności będzie rozpatrywana w drugiej fazie procesu — jeżeli zostanie uznany za winnego.

Donnie Smith, z włosami ulizanymi po prysznicu na siłowni, zaczął dokładnie tam, gdzie skończył.

— Jeżeli będziesz trzymał się wersji, że jesteś niewinny, to sędzia, opinia publiczna, prasa i ławnicy nastawią się przeciwko tobie. A właśnie ta grupa decyduje o twoim losie. Nie tylko dwunastu przysięgłych. Musisz przyznać się do winy, żeby zyskać na wiarygodności, kiedy będą kwestionować twoją poczytalność. Zważywszy na to, co podają media, proces poprowadzi Harriman i tu bądź pewien, że ona wetrze nas w podłogę, udowadniając winę, i zostanie po tobie tylko mokra plama. Musimy szybko przejść z czystą kartoteką do rozstrzygnięcia poczytalności, a nie ciągnąć cię przez cały proces, którego i tak nie wygrasz.

Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

— Ale ja tego nie zrobiłem. I nikt, kurwa, nie chce w to uwierzyć!

Nie pierwszy raz usłyszeli takie twierdzenie. Nieme spojrzenie. Cierpliwość ustępująca zniecierpliwieniu.

— Więc twoje stanowisko jest takie: nie pamiętasz, że jej nie zabiłeś?  
— Donnie mówił powoli, jak do umysłowo upośledzonego dziecka.

Nie odpowiedziałem. To też uważałem za głupie. Tak jak przedtem, z każdą minutą narastał we mnie strach, że nie mam żadnej linii obrony. A na dodatek, jeżeli nie chcę zdechnąć w pierdłu, to muszę przyznać się do czegoś, czego nie zrobiłem.

Moja frustracja znalazła ujście.

— Czy ktoś w ogóle zamierza dowiedzieć się, kto to na prawdę zrobił?  
Czy może wszyscy są zbyt zajęci układaniem procesów, jak my tutaj?

Donnie i Terry popatrzyli po sobie zafrasowani.

— Co? — zmartwiłem się. — Co to spojrzenie ma oznaczać?

— Policja natknęła się wczoraj na coś niepokojącego — powiedział Donnie. — W noc morderstwa, o pierwszej zero osiem zadzwoniła do ciebie Genevieve, mniej więcej na dwadzieścia minut, zanim została zamordowana.

— Już to słyszałem.

Donnie wyciągnął z aktówki zalakowaną policyjną torbę na dowody. Znajdowała się w niej płyta kompaktowa.

— Nagrała dla ciebie wiadomość.

— Jest zła? — zapytałem.

Nie było odpowiedzi. Podniecony wstałem, zrobiłem małe kółko i usiadłem z powrotem.

— To dlatego zmienili dostęp do mojej poczty.

Donnie wrzucił CD do laptopa i nacisnął kilka klawiszy. Znajomy głos, zza grobu, brzmiał niesamowicie. „Chciałam ci powiedzieć, że jestem z kimś innym. Mam nadzieję, że to boli. Że czujesz ten ból. Że czujesz się samotny. Żegnaj”.

Minęło kilka chwil, zanim po wysłuchaniu nagrania Genevieve do-  
szedłem do siebie. Siedziałem tam, serce waliło mi w uszach, a moi  
prawnicy przyglądali mi się z troską i spokojem. Jej głos, akcent, te sub-  
telne zwroty. Zaczepność tego nagrania pozbawiła mnie sił. Policja wy-  
słuchała ostatnich słów Genevieve przede mną. Wiadomość — jak reszta  
mojego życia, zmrożona przez oskarżenie, a dostępna mi tylko z drugiej  
ręki — była gwoździem do trumny moich praw i wolności.

Oczywiście, nie pamiętam, abym tamtej nocy odsłuchiwał wiadomość  
od Genevieve. Ta gorycz uderzyła w miejsce, w którym się rozstaliśmy,  
ale Genevieve czasami poddawała się nastrojom i bywała trudna, więc  
ton mnie nie dziwił. W żadnym razie nie wyobrażałem sobie, abym mógł  
ją skrzywdzić. Jednak z narastającym przerażeniem uświadamiałem  
sobie, jak ładnie zabrzmiało przed ławą przysięgłych na tle zdjęć jej spo-  
niewieranego ciała.

— To jeszcze bardziej potwierdza motyw — powiedział łagodnie  
Donnie. — Więc musimy ławie przysięgłych sprzedać prostszą wersję.  
Tymczasowa niepoczytalność to jedyna droga, żebyś z tego wyszedł.  
Czysta i oczywista. Poparta faktami. To wina guza mózgu.

Rzuciłem mu poirytowane spojrzenie. On zaś naciskał dalej.

— Zaprezentujemy fakty, a ty stąd wyjdiesz, resztą możesz się mar-  
twić kiedyś we własnym łóżku. — Przyglądał się mojej minie i znalazł w  
niej coś, co mu się nie spodobało. — Jak źle to rozegramy, co mają nam  
do zarzucenia...

Myśl o trudnościach sprawiła, że poczułem się jak płód. Zgarbiłem  
ramiona i uniosłem stopy o kilka centymetrów z podłogi, zanim po-  
wstrzymałem się przed przyciągnięciem kolan do piersi. W filmach,  
obojętnie co się dzieje, więzienie jest takie samo. Wchodzisz tam przera-  
żony, nazywają cię „świeżakiem” i zakładają się o papierosy, jak długo

potrwa, zanim się rozplączesz. Srasz w celi razem z Bubbą, który zaznaja cię z sytuacją, i potem hardziejiesz, umierasz w środku, handlujesz batonami, rezasz frajera na warsztacie, bo inaczej jego parafia by cię napadła z kindybałem w rękę, a zresztą i tak cię zerzną grupowo dla nauzki.

— Pisziesz kryminały — powiedział spokojnie Terry. — Pozwól, że pomożemy ci spojrzeć na to tak, jak by spojrzeli ławnicy. Przerobimy to jeszcze raz.

I przerobili, od samego obrzydliwego początku. Siedziałem na twarzym krześle, z zaschniętymi ustami i oszołomiony — jak to określają w telewizji — wagą dowodów. Oczywiście znałem części składowe, ale wysłuchanie w całości opowieści o zamordowaniu przeze mnie Genevieve miało miazdzący efekt. Kiedy uspokoiłem nerwy, zostało miejsce na jedną rozsądną myśl: miałem przerąbane.

Moje przekonanie co do nie przyznawania się do winy będzie musiało ustąpić pod naciskiem — i za sprawą realiów — w obliczu których stałem. Ze swojej strony mogłem oferować jedynie wewnętrzne przekonanie i może trochę ponad to. Nic nie wydawało się ważniejsze niż pozostanie przy życiu, niż pozostanie wolnym.

Kiedy skończyli, chciałem podać odpowiedź, którą przygotowywałem w głowie, ale byłem jak skamieniały. Położyłem ręce na pokierszowanym drewnie i przez chwilę na nie patrzyłem, a potem usłyszałem własny głos:

— Nie przyznam się do morderstwa, skoro nie jestem przekonany, że je popełniłem.

Prawnicy spojrzeli po sobie. Spełniły się ich najgorsze obawy. Wydawali się zszokowani moją decyzją, podobnie jak ja.

— Z całym szacunkiem — odezwał się Terry — jak możesz nadal myśleć, że tego nie zrobiłeś?

— Bo czułbym w kościach, gdyby było inaczej.



Na zewnątrz głośno odchrząknął strażnik. Terry podrapał się w tył głowy, a jego paznokcie wydały wyraźny odgłos skrobania. Słońce przesunęło się wyżej w oknie, aż musiałem zmrużyć oczy przed jego blaskiem.

W końcu Donnie przebił westchnieniem pęczniejącą ciszę. Pochylił się gwałtownie do przodu, klepnął się w kolana i wstał.

— Nie przyznam się do winy — powiedziałem. — Co teraz?

— Przedyskutujemy każdą fazę, jakby zależało od tego twoje życie. — Podniósł wzrok, pakując sterty papierów do aktówki. — Ponieważ zależy.

Kuliłem się przed zimnem pod kołdrą, z oczami wbitymi w przeciwległą ścianę. Beton kilkanaście centymetrów nade mną znaczyło odbarwienie; wielka, nieregularna plama, sączący się naciek. Na pewno nie powstał z niczego o łagodnej naturze. Pomyślałem o tych, którzy zajmowali tę celę przede mną, o tych, którzy spali niespokojnie i śnili nieszczerze sny.

*Nie ja.*

*Jakiś skurwiel mnie zrobił.*

*Jestem niewinny.*

Nadszedł strażnik i wsunął kopertę przez kraty.

— Masz list.

Podniosłem kopertę z podłogi. Moje nazwisko napisane ręką kobiety. Usiadłem i otworzyłem list. Kartka papieru podarta na strzępy.

*lem Twojej siostry.*

*Daj znać,*

*Nie żabi*

*Rozumiem*

*mogę zrobić.*

*Czy coś*

*Twoją stratę.*

Skrawki mojego listu do Adeline wypadły mi z rak i rozsypały się po podłodze. Jeden z nich leżał wprost przede mną: *Twoją stratę*. Nie zauważyłem, że niczym w zwolnionym tempie osuwam się na beton, wciskając w niego policzek, aż zwinąłem się w kłębek, z kolanami przyciągniętymi do piersi. Mniej więcej w tej pozycji pozostałem aż do rana, kiedy wezwano mnie do sądu.

Przez cały okrągły rok Los Angeles musiało obywać się bez procesu gwiazdy oskarżonej o morderstwo. Nie byłem ani powszechnie znaną osobą, ani — jak mniemałem — mordercą, ale siły rynkowe zespoliły się, czyniąc mnie jednym i drugim. Dowody zaczęto wytaczać przez sześćdziesiąt dni od wtórnego postawienia mnie w stan oskarżenia. Było to dosyć czasu, abym schudł, pozółkł i zmarniał, a w każdym razie wyglądał na potencjalnego skazańca.

Już po pierwszych kilku minutach procesu wiedziałem, że moi prawnicy mieli rację i że sprawa skończy się katastrofą. Jak mi obiecano, wschodząca gwiazda pani prokurator — zabójczo ubrana Katherine Harriman, rozsądnie wyposażona w czólenka z gołą piętą na niskim obcasie, i jakiś ojciec, który przyleciał z Chicago, aby promienieć w pierwszym rzędzie — wytarła mną podłogę, stosując profesjonalny sprzęt sprzątający marki Swiffer, zaś ława przysięgłych pomknęła ku werdyktowi zaledwie po ośmiu dniach procesu i godzinnych wahaniach.

Zostałem skazany. Teraz pozostała kwestia, czy uda mi się uciec przed wyrokiem na podstawie stwierdzenia tymczasowej niepoczytalności. Początkowo mogłem opóźnić powolne załamanie, jakie przechodziłem, wyłączając się z tego wszystkiego. Szybko nauczyłem się, że —

podobnie jak inni uczestnicy tej gry — musiałem poświęcić uwagę nie na części składowe procesu, ale cukrowy glans.

Miałem wsparcie przyjaciół, którzy, jak z radością odnotowali moi obrońcy, stanowili ładny, demograficzny przekrój. Chic walił się pięścią w pierś, gdy tylko napotykałem jego spojrzenie. Od czasu do czasu Preston spoglądał znad tekstu, nad którym pracował, i obdarowywał mnie kiwnięciem głową pełnym otuchy. Gdziekolwiek nie szedł, towarzyszyła mu sterta papierów niczym wierny spaniel-miniaturka — pod pachą, wzierający z torby, usadowiony na kolanach, gdy siedział. Niejeden raz, kiedy uciszano salę sądową, słyszałem wyraźnie, że pisał. Natomiast April, Boże miej ją w opiece, pojawiła się tego ranka tak, jak obiecała, pomimo że narażała się na pełne wstydu nieuniknione przejście publicznym chodnikiem obleganym przez fotoreporterów. Było jasne, że nie łączy nas już wspólna przyszłość, ale byłem jej głęboko wdzięczny za ten ostatni gest wobec mnie.

Jednak bardziej niż ktokolwiek inny uwagę sądu skupiała Katherine Harriman. Teraz zwracała się do ławy przysięgłych, starając się całkowicie ignorować mój guz mózgu, który Donnie sprytnie postawił w słoju na stole obrony. Wyglądał złowrogo w burej zawieszynie, niewybuch ręcznego granatu. Cierpiałem poniżenie, będąc zmuszonym siedzieć przed nim podczas oskarżenia wstępnego i jeszcze potem. Wyobrażałem go sobie we własnej głowie, wpasowany w mózg, sterujący mną jak zniewolonym robotem. Ze wstydem przyznaję, że bałem się narośli szarych tkanek.

A dlaczego nie? Biegły sądowy grający po naszej stronie, siwy jak gołąb neurolog o postawie pełnej godności, określił go właśnie jako przednioskroniowy glejak zwojokomórkowy, inaczej ganglioglioma. Było sporo dyskusji na temat komór mózgowych, gruczołów, co, jak wnioskowałem,

miało służyć wprawieniu ławy przysięgłych w przerażenie za sprawą medycznej terminologii. Ganglioglioma? Już sama powtórzona sylaba przeraża. Pomimo złowrogiego brzmienia słowa, glejaki w kategorii guzów mózgu są w porządku. Po ich usunięciu procent przeżywalności pacjentów sięga stu i nie musimy wachać kolorów ani smakować muzyki. Płat skroniowy, dowiedział się sąd, jest zaangażowany w przetwarzanie pamięci, stąd wzięła się u mnie stosowna amnezja. Jak się okazuje, przypadki takie jak mój kończą się psychozą podobną do schizofrenii, urojeniami i epizodycznym, agresywnym zachowaniem.

— A co w konsekwencji wywołuje tę ujmującą konstelację symptomów? — dorzuciła swoje pytanie Harriman, ustawiając lśniący policzek przed starannie wybranymi mężczyznami, ławnikami od trzeciego do siódmego.

— Oczywiście guz musi osiągnąć, proszę wybaczyć określenie, tak zwaną masę krytyczną, kiedy zacznie wpływać na podstawowe funkcje — mówił nasz neurolog. — Co się tyczy momentu krytycznego? Dodanie jeszcze kilku komórek. Zablokowanie naczyń krwionośnych. Ze względu na wielorakie zaangażowanie płatu skroniowego w reakcje emocjonalne i podniecenie, istnieją liczne dowody na to, że kiedy pacjent osiągnie ów newralgiczny stan, ostateczne załamanie umysłowe może zostać uruchomione przez intensywnie silne emocje. — Doktor wyczyścił szklą chusteczką z monogramem. — Chociaż wiele wiemy o mózgu...

— Jest jeszcze tyle rzeczy, których nie wiemy — dokończyła z uśmiechem na twarzy Harriman.

W ciągu pół roku przed operacją migreny zdecydowanie nie były mi obce, nawet dochodziło do takich, które przyprawiały mnie o problemy ze wzrokiem. Początkowo miałem typowe podejrzenia — stres, monitor komputera, odwodnienie — ale wtedy straciłem przytomność, gdy robiłem

pranie. Doszedłem do siebie po piętnastu minutach, czując, jak coś wzbiera mi w żołądku i że płyn do prania cieknie mi po rękach.

— Jednak czy nie jest prawdą, że większość pacjentów z tego rodzaju guzem nie przekracza tej linii i w ogóle nie ulega psychozie?

Neurolog odpowiadał:

— Nieprzewidywalne, gwałtowne zachowanie nie jest nietypowe, szczeg...

— Może nie usłyszał pan mojego pytania. Zapytałam, czy to prawda, że większość pacjentów z tego rodzaju guzem nigdy nie ulega psychozie.

— Mówiąc statystycznie.

— A jest inny sposób mówienia, który lepiej pasuje do medycznych kwestii, takich jakie poruszam?

Nie było.

— Czy istnieje jeden medyczny precedens, który może pan przytoczyć dla osoby... — złośliwie podmieniła „pacjenta” — z przednioskroniowym glejakiem zwojokomórkowym, inaczej zwanym gangliogliomią, która popełnia morderstwo?

Doktor wciągnął wargi, aż twarz mu nabrzmiała.

— Nie.

W cichej zgodzie Donnie, Terry i ja odetchnęliśmy. Katherine Harri-  
man nie odetchnęła.

— Czy większość osób z przednioskroniowym glejakiem zwojokomórkowym, inaczej zwanym gangliogliomią, doświadcza wstecznej amnezji?

— W większości nie, ale kiedy towarzyszy temu ostry stres, ponad trzydzieści procent...

— A zatem jest możliwe, aby osoba z takim właśnie guzem, jak ten u podsądnego, mogła zachowywać się całkowicie racjonalnie aż do momentu przeprowadzenia operacji?

— Możliwości jest wiele. Ludzkie ciało jest zadziwiające i nieustannie zaprzecza naszym oczekiwaniom. A mózg jeszcze bardziej. Umysł jeszcze bardziej niż mózg.

— A zatem, tak?

— Tak.

— A czy także jest możliwe — kontynuowała Harriman, okrążając mnie i przesywając jaśniepańskim spojrzeniem — że bardzo sprytny osobnik, ktoś bardzo podobny do naszego podsądnego, mógł wykorzystać te wszystkie okoliczności, które pan tak skrupulatnie wyłuszczył, jako zasłonę dymną dla ułożonego z premedytacją planu?

Kiedy moi obrońcy zerwali się z miejsc, aby zaprotestować, Harriman pozostała całkowicie nieruchoma, z lekkim uśmiechem zastygłym na ustach i oczyma wbitymi w moje. Była elokwentna i przebiegła, wyczułona na absurdalność sytuacji. Jej spokój odebrał mi siły. Na sali słychać było głosy i ogólny harmider, a sędzia skinął na woźnego, który zarządził przerwę.

Po naszym powrocie atak zaczął się od nowa. Nasi świadkowie. Ich świadkowie. Detektyw Trzeci, Bill Kaden, stanął przy mównicy, w każdym calu tak samo krzepki jak wtedy, kiedy odzyskałem przytomność. Krzaczasty wąs, grube przeguby, polo pod blezerem. Niechlujny, pozbawiony brody Ed Delveckio przyglądał się z galerii i kiwał głową w takt zeznań Kadena, a dzieliło go od starszego partnera sześć metrów sali rozpraw i rząd osób. Pojawił się nóż do wykrawania kości, poplamiony nieomal po samą rękojeść, zwisający jawnie w worku na dowody. Musiałem mocno panować nad sobą, aby się nie załamać albo nie zareagować złością.

Następny był Lloyd Wagner, kryminolog, który wielokrotnie poświęcał mi swój czas, aby przestudiować zmyślone dowody, i który zjawiał się w domu Genevieve razem z ekipą laboratorium. Kolejny, niepokojący przeciek z mojego poprzedniego życia. Dobrze nam się współpracowało.

Okazywał się przerażająco przydatny, gdy pomagał mi dopasować elementy fabuły, i to do tego stopnia, że czasami przynosiłem mu całe sceny, aby poddał je własnej obróbce. Lloyd, ubrany w staromodny, sądowy garnitur, trzymając duplikat noża zabrany z mojej własnej kuchni, skinął przepaszająco głową w moją stronę, zanim zaprezentował na manekinie siłę pchnięcia, za sprawą którego powstało uszkodzenie ciała. Ja osobiście, wraz z ławą przysięgłych i publicznością, wzdrygnąłem się na tę zjadliwość.

Po pokazie Lloyda po raz kolejny z laptopa Katherine Harriman odtworzono wiadomość głosową, którą Genevieve zostawiła mi w noc swojej śmierci.

Milczenie pełne szacunku dla zmarłej. „Chciałam ci powiedzieć, że jestem z kimś innym. Mam nadzieję, że to boli. Że czujesz ten ból. Że czujesz się samotny. Żegnaj”.

Oczywiście Genevieve nie była z nikim innym, a przynajmniej z nikim, o kim opowiedziała swoim przyjaciółom i rodzinie. Ta jej, nie taka sprytna, manipulacja nie była dla mnie ciosem tu, gdzie siedziałem, chociaż oskarżenie zapewniało, że tak było w nocy dwudziestego trzeciego września. Obrona zapewniała na osobności, że ta wiadomość czyniła Genevieve mniej sympatyczną, natomiast oficjalnie, że był to ostateczny wstrząs, który przyczynił się do uaktywnienia mojego glejaka gangoglioma. Zważywszy u mnie brak kryminalnej przeszłości, Donnie utrzymywał, że guz jest jedynym logicznym wytłumaczeniem mojego zachowania.

Piątego dnia procesu dotyczącego mojej poczytalności, przecinając się przez zrogowacenia, które, jak mi się wydawało, wytworzyłem, zjawiła się długo oczekiwana rodzina Genevieve. Jej matka, o długiej kości i szerokiej piersi, w nieodzownym, francuskim szalu od Hermesa udrapowanym na ceglanych ramionach, uwiesiła się na ramieniu męża,

ubranego w jeszcze bardziej nienaganny, szyty na miarę strój. Choć nosili się z charakterystyczną elegancją, ich policzki zdawały się zapadnięte, ślad ledwo dostrzegalnej erozji w postawie, to wszystko zdradzało druzgocącą stratę. Przy drugim boku Luca kroczyła Adeline o jasnej twarzy, zarumienionej, aby ukryć piegi. Choć spoglądali na mnie z nieskrywaną nienawiścią, realizm ich pojawienia się pełnych rezerwy, gdy Luc drżącą ręką dotykał twardego drewna, zanim usiadł, pozbawił mnie ochronnej obojętności, w jaką się uprzednio uzbroiłem. Ich przybycie, wyznaczone na moment tuż przed moimi zeznaniami, wywarło na mnie wrażenie dokładnie takie, jakie zaplanowała sobie Harriman. Ścisnęło mi się gardło, rozdziawiłem usta, pochyliłem się nad stołem i obie dłonie przycisnąłem do twarzy, jakby miała mi się rozsypać. Prawdopodobnie ława przysięgłych potraktowała moją reakcję jako wstyd, ale to było coś gorszego. Było to ostateczne uświadomienie sobie straty Genevieve, kobiety, którą kochałem, może niemądrze, ale mimo to kochałem.

Donnie poprosił o przerwę, abym mógł się pozbierać przed złożeniem zeznań, ale sędzia odmówił. Z walącym sercem wszedłem po trzech niskich stopniach na mównicę dla świadków z drewna brzoźowego i podniosłem prawą rękę, mogąc w końcu otwarcie spojrzeć na galerię, zamiast ukradkiem zerkać przez ramię. Na sali dało się odczuć podwyższone napięcie, a zarazem pospolitość pełną przeprosin. Reporterzy w eleganckich garniturach, kamerzyści ze sprzętem cyfrowym, sądowa stenotypistka udająca, że nie żuje gumy.

Donnie przesłuchiwał mnie łagodnie i z wielką empatią. Harriman, kiedy nadeszła jej pora, zbliżyła się do mnie spacerkiem, zrelaksowana, z otwartym tekstem w jednej ręce niczym *Księgą Psalmów*. Zdjęła obwolutę, więc nie wiedziałem, co zamierzała przeczytać, aż wreszcie zacytowała:



*Wszyscy mamy byłego partnera, którego chcemy zabić. Jak dopisze nam szczęście, mamy dwóch lub trzech.*

Zatrzasnęła książkę niczym krokodyl paszczę, aż ławnicy podskoczyli w swoich fotelach.

— Wierzy pan w to?

— Nie — odparłem.

— Napisał pan to, prawda?

Przyznałem, że owszem.

— Więc nie chce pan, abyśmy uwierzyli w to, co pan pisze?

— Oczywiście, że nie — powiedziałem. Terry pogratulował mi na mi-gi, więc kontynuowałem śmielej. — To mówi główny bohater, Derek Chainer. Autor niekoniecznie podziela poglądy wyrażane przez swoje postacie. Tworzę postacie, które nie są mną i... w dobry czas... ożywiam je.

— Więc pisze pan rzeczy, w które pan nie wierzy?

— Staram się, aby postacie wyrażały własne poglądy.

— To taki sposób, żeby sprzedać więcej makulatury w supermarketach?

— I na lotniskach.

Uśmiechnęła się. Ot, droczący się przyjaciele.

— A może ta linijka? *W głębi nieczystego serca wierzę, że kiedy los i namiętność zejdą się, każdy z nas, co do jednego, od kaznodziei po staruszczkę na przystanku, zdolny jest do morderstwa.* — Okręzała mnie coraz ciaśniej. — Czy to pańskie przekonanie, czy tylko pogląd postaci?

Zapadła grobowa cisza, powietrze wypełniała jakaś elektryczność, której wszyscy byli świadomi.

— Uważam, że każdy z nas jest zdolny do wszystkiego — powiedziałem.

Moi obrońcy skurczyli się w sobie, co w innych okolicznościach mogłoby ująć za śmieszne, zaś oczy Harriman zaiskrzyły się z podniecenia.

— A zatem w tej chwili wierzy pan, będąc zdrowym na umyśle, że byłby pan zdolny do popełnienia tego okrutnego czynu, o który został pan oskarżony.

— Zdolny, tak — tutaj musiałem podnieść głos, aby zagłuszyć jej wtrącenie — tak samo jak pani.

— Z małym wyjątkiem. Jak ostatnio sprawdziłam, Genevieve Bertrand nie zerwała ze mną zaręczyn. — Harriman zareagowała głową na reprimendę sędziego, unosząc przepraszająco dłoń.

Powieści, obojętnie jak złe, płyną w krwioobiegu Los Angeles. Założę się, że pani Harriman, jak każdy prokurator, którego spotkałem w zasięgu aparatury nagłaśniającej studiów filmowych, została poproszona o konsultacje w jednogodzinnym programie. Albo jakiś pisarz, taki jak ja, zasypywał ją pytaniami na procesie. Kuzyn męża, który potrzebował kilku minut przez telefon, żeby móc dopieścić trzeci akt swojego rękopisu. Wielokrotnie byłem tym facetem, tym potulnym podsłuchiwcem tego, co huczało w systemie prawnym Los Angeles. Miałem do czynienia z gliniarzami, którzy oglądali w telewizji za dużo programów policyjnych, więc zachowywali się jak gliniarze, których widzieli w telewizji, którzy z kolei naśladowali najprawdziwszych doradców policji. Fikcja i zbrodnia — wąż połykający własny ogon. *Nie ja. Pilnował ja własnego nosa, jak...*

Kilka godzin później, kiedy byłem zasłuchany w kończącej przemowę Katherine Harriman, przyszło mi do głowy, jaka z niej niezwykle utalentowana pisarka. A oto, według niej, moja historia.

W nocy dwudziestego trzeciego września o pierwszej zero osiem, zbudzony przez telefon, wstałem z łóżka, zostawiając w nim śpiącą April. Kiedy odsłuchałem wiadomość od Genevieve Bertrand, cała moja odraza

i niezadowolenie skryształizowały się w plan. Pojechałem do jej domu, nadmorskiej chaty ukrytej w kanionie nad Coldwater. Znalazłem klucz pod doniczką z filodendronem na werandzie i wszedłem do środka. Skręciłem w lewo, do kuchni, gdzie z dębowego bloku wyjąłem nóż do wykrawania kości. Zakradłem się schodami do sypialni Genevieve. Zbudzona ruchem, natknęła się na mnie w połowie drogi do drzwi, na środku białego dywanu, gdzie wbilem nóż w górną część jej splotu słonecznego, omijając żebra i dziurawiąc serce. W zasadzie umarła natychmiast. Później trzymałem i przetaczałem ciało w zwiewnym, jedwabnym szlafroku, niczym kot bawiący się ranną myszą. W ostatnim akcie, prerażony własną zbrodnią, doznałem załamania psychicznego, złożonego ataku, który — kiedy zjawiała się policja i pogotowie — wtórnie przeszedł w padaczkę. Upadłem na jej ciało i drżałem nieomal bez przerwy, aż dowieziono mnie na izbę przyjęć szpitala Cedars-Sinai, gdzie dożylnie podano mi ativan, aby ustąpiły spazmy. Tomograf wykazał gapowicza usadowionego w przednich rejonach płatu skroniowego, jak również wylew krwi, zostałem zatem odtransportowany na operację. Obudziłem się w okolicach śniadania z wysoce stosowną wymówką.

Katherine Harriman podziękowała ławie przysięgłych za ich czas i uwagę, uśmiechnęła się rozbrajająco i usiadła, pogrążając się w papierkowej robocie, aby uniknąć wymiany grzeczności z Donniem, kiedy zaczynał swoją mowę kończącą.

— Nasz zdolny morderca, nasz najobrzydliwszy spiskowiec, nie mógł wymyślić lepszego planu od tego? Zakradł się do domu Genevieve Bertrand i wtedy co? Postanowił zostawić szeroko otwarte drzwi? Żeby system monitoringu Westecu i sąsiedzi mogli wezwać policję. Ponieważ także dokładnie zaplanował, kiedy dostanie ataku. Wstrzymywał się do ostatniej chwili. Ten człowiek, ten przebiegły człowiek, pomyślał, że dobrze

będzie, aby jego glejak nabrzmiął o dodatkowy milimetr właśnie tam, w sypialni pani Bertrand, i wywołał u niego atak epilepsji, a policja mogła go znaleźć w kompromitującym stanie, zapewniając sobie dowody na niepoczytalność, które bez wątpienia przydadzą mu się podczas procesu, który także z góry przewidział. To zdecydowanie najbardziej logiczne podejście dla trzeźwo myślącego osobnika, nie sądzicie państwo? Cóż, szczęściem ten szczegółowo dopracowany plan opłacił się mu. Ponieważ bezapelacyjnie wyprowadził mnie w pole. W mojej karierze miałem obowiązek prowadzić ponad trzydzieści spraw o morderstwo i nigdy — podkreślam — nigdy nie byłem bardziej przekonany o ograniczonej poczytalności klienta w momencie zajścia niż dzisiaj.

Kiedy Donnie kontynuował, pełen pasji i przekonania, poczułem nagły przypływ uczuć, czegoś w rodzaju miłości do tego człowieka, który, za pewną opłatą, przyjął moją sprawę i przedstawiał ją jak własną. Kiedy skończył czterdzieści pięć pełnych napięcia minut później, usiadł, praktycznie dysząc adrenaliną i wetknął papiery w czeluść swojej rozwartej aktówki.

Gdy ławnicy wymaszerowali, pochyliłem się w jego stronę, ścisnąłem za kark i powiedziałem do niego i Terry'ego:

— Bez względu na to, jak potoczą się sprawy, wiedzcie, że doceniam to, co dla mnie zrobiliście.

Przez chwilę całą trójką trzymaliśmy się za ręce.

Drugi wyrok zapadł trzy godziny i dziewiętnaście minut później.

## 4

Pod bosymi stopami podłoga w kuchni była zimna niczym stalowa rączka dużego noża. W ciemnościach wpatrywałem się w pustą szczelinę w drewnianym bloku, gdzie powinien znajdować się nóż do wykrawania kości. Zasułem szklane drzwi — czyżbym zamykał w domu jeszcze kogoś razem ze mną? Serce pracowało na wysokich obrotach. Powiodłem wzrokiem po śladach na podłodze, które brałem za odciski stóp. Kilka ostatnich było widocznych na dywanie, zanim przeszły na kamienną posadzkę przy wejściu.

To nie brud, jak się spodziewałem. To krew.

Momentalnie ogarnęło mnie przerażenie, zupełnie jakbym był dzieckiem zostawionym w ciemności, zanim przypomniałem sobie, że jestem dorosły i nie mam innego wyboru jak tylko opanować się i zająć się tą sprawą. Zaciskając chwyt na rękojeści kuchennego noża, przeszedłem do wejścia. Nikt mnie nie śledził znad górnej balustrady opasającej wybieg dla modelek między schodami, gabinetem a sypialnią.

Ślady nie kończyły się w holu, chociaż na kamieniu były trudniejsze do zidentyfikowania. Ale widziałem je, drugi stopień na wykładzinie

schodów, kolejne krwawe C. Podniosłem wzrok. Schody ginęły w ciemnościach.

Thumiąc strach, ruszyłem dalej. Każdy następny stopień nosił ten sam ślad.

Dotarłem do szczytu schodów. Odciski stóp prowadziły wprost do mojej sypialni. Ruszyłem przed siebie. Nóż trzymałem skierowany ostrzem do przodu, jak nauczyłem się od doświadczonego nożownika, kiedy poszerzałem repertuar Dereka Chainera. Doszedłem do progu, wzięłem się w garść i wpadłem do środka.

Sypialnia była pusta. Ale na dywanie, w nogach łóżka, błyszczał nóż do wykrawania kości. Zrobiłem krok naprzód i przykucnąłem nad nim. Skórę prawej stopy miałem poplamioną, tuż nad małym palcem i dalej na podbiciu. Sięgając w dół, zauważyłem, że na opuszkach palców także mam ciemne plamy. Rękojeść noża również była pomazana. I czubek ostrza. Zakręciło mi się w głowie.

Podniosłem stopę i zobaczyłem wyraźne, chociaż teraz trochę mniej, C pozostawione na dywanie. Moja własna krew. Mój własny ślad.

Zapaliłem światło, odłożyłem nóż szefa kuchni i zająłem się nożem do wykrawania kości z podłogi. Nieregularny odcisk krwi na lewym kciuku pasował do śladu pozostawionego na stalowej rękojeści. Krew na palcach od — jak się domyślałem — dotykania cięcia na stopie, także zostawiła oczywiste ślady pasujące do mego chwytu. Moje własne odciski palców na moim nożu do filetowania.

Umyłem nogę w wannie. Pomimo tej całej krwi rana była skromna. Czyste nacięcie, nie dłuższe niż dwa centymetry, mniej więcej szerokości kciuka. Do zabezpieczenia wystarczył plaster.

W głowie nadal miałem niesamowity mętlik — ganglioglioma, ciąg

dalszy nastąpi? Próbowałem ocenić, czym trzeba się martwić, a czym nie, ale nagle zostałem pozbawiony perspektywy. Czy ktoś wpuścił mnie do labiryntu i kazał biegać jak szczurowi? Albo ja sam doprowadzałem się do szaleństwa, albo ktoś zadał sobie niespodziewanie wiele trudu, aby mieć pewność, że tak się ze mną stanie. Usiadłem na brzegu wanny, obejmując brzuch i trzęsąc się, aż coś mnie zmusiło, by obejść cały dom, zapalić wszystkie światła i szukać ciała, intruza, ukrytej kamery Allena Funta z ekipą.

Szukałem śladów włamania. Sprawdziłem, czy pręt zabezpieczający drzwi nie jest wygięty i czy w prowadnicy, w której jest osadzony, farba nie jest zadrapana, ale nie było żadnych oznak tego rodzaju. Czyżbym zszedł we śnie na parter i sam otworzył drzwi? Po co miałbym wychodzić na dwór?

Wróciłem na górę i przyglądałem się łóżku, zdeorientowany. Kilka krwawych maźnięć na pościeli, tej samej pościeli, w której właśnie śnił mi się dom Genevieve. Niesamowicie żywy sen, w którym jak lunatyk zszedłem na parter, wziąłem nóż do wykrawania kości, wróciłem do łóżka i przeciąłem sobie stopę? Po co? Czy nie mogłem znaleźć bardziej skutecznego sposobu na ukaranie samego siebie?

Sen powrócił niczym fala, z całym swoim znaczeniem, a ja poczułem nagle podniecenie. Nie wiedziałem, czy doznałem chwilowego szaleństwa, ale mogłem zweryfikować coś, co już wiedziałem. Jeżeli zraszczone Genevieve rzeczywiście był złamany, a podstawka pęknięta, to nie tak całkiem uległem halucynacjom. Przynajmniej potrafiłem określić, czy odzyskałem fragment nocy, w którą zginęła Genevieve.

Ubrałem się i zszedłem na dół. Sprawdziłem przebieg dzienny w mojej hybrydzie, jakby to miała być odpowiedź na wszelkie zagadki, których sam nie potrafiłem rozwiązać. Zacząłem prowadzić zapis przebiegów w notesie, który trzymałem w schowku, żeby w przyszłości wiedzieć, czy

zabierałem swój przegniły mózg na przejażdżkę.

Jechałem Mulholland Drive w smudze księżycy i czułem, że to, co robię, jest nielegalne. I chyba rzeczywiście tak było.

Zjechałem serpentynami Coldwater, zwalnając przy ostrym skręcie oznaczonym znakiem drogowym. I znowu znalazłem się w moim śnie, jadąc ostro pod górę. Uliczne oświetlenie, przefiltrowane przez niepokorną gałąź. Zbyt wąska ulica, wybudowana w czasach, zanim gospodarstwa domowe wyposażone w trzy samochody ustawiały zapasowego SUV-a przy krawężniku. Na czoło wystąpił mi pot, jakby zgodnie ze scenariuszem. Może to wszystko teraz mi się śniło. Może sam stworzyłem — a teraz odtwarzałem — to wszystko.

Agrafka pojawiła się szybko, opony obowiązkowo zapiszczały, a z góry spojrzął na mnie dom Genevieve. Na tym wyniesieniu napawał przerażeniem — wtulony tyłem w zbocze, podpory bezceremonialnie wbite w ziemię, jakby mój samochód był szczurem, a dom dogiem niemieckim panującym nad sytuacją.

Wysiadłem, otwarte drzwi samochodu odezwały się gongiem. Na skraju trawnika gwałtownie zatrzymał mnie złamany zraszacz.

Nie chcę, żeby to było prawdą. Nie chcę, żeby to się wydarzyło.

Nie wiedziałem, że zraszacz jest pęknięty, poza zdarzeniem ze snu, kiedy mój highlander wskoczył na krawężnik. To oznaczało jedno: to nie był sen.

Boże, o Boże, byłem sam w highlanderze. Sam wszedłem na górę. Sam znalazłem klucz. Byłem ja i tylko ja.

Poszedłem w górę zbocza. Pod stopami chygotały się luźne płyty chodnikowe, uwalniając spod siebie strużki piachu. Wiedziałem, co znajduję, ale musiałem to potwierdzić.



Deski zaskrzypiały, kiedy stanąłem na werandzie. W domu panował spokój i miałem nadzieję, że nikogo tam nie ma. Jakże mogłem wykrztusić wytlumaczenie, gdyby w drzwiach pojawiła się siostra Adeline?

Filodendron o rozczapierzonych liściach pomachał do mnie z glinianej doniczki. Wytarłem dłonie w dżinsy i przykucnąłem, odsuwając wybijające liście, żeby zajrzeć głębiej.

Zygzakowate pęknięcie znaczyło glinianą podstawkę, błyskawica sięgała prawie do krawędzi. To nie sen. To fragment z mojej brakującej przeszłości.

## 5

Jechałem do domu odrętwiały i próbowałem przetworzyć konsekwencje mojego odkrycia. Jeżeli sen zgadzał się z rzeczywistością, na co najwyraźniej wskazywały zraszacz i podstawka, w takim razie wcześniej znalazłem się osobiście w domu Genevieve. Nie wyglądało to dobrze. Lecz pytania pozostawały niezmienione. Dlaczego pojechałem tam pamiętnej nocy? Czy widok, jak ktoś morduje Genevieve, doprowadził do aktywowania guza i utraty przytomności? Dawna frustracja perkotała pod powierzchnią. Dlaczego nikt — policja, prokuratorzy, moi prawnicy — nie przyjrzał się krytycznie wszystkiemu innemu poza moją własną poczytalnością? Czy wszyscy nie wskoczyliśmy do fabuły za późno?

Zastanawiałem się nad aktami sprawy, które wydział zabójstw przedstawił razem z innymi dowodami, ale ani w notatkach śledczych, ani w policyjnym raporcie nic nie wskazywało konkretnego śladu — żaden z martwych wątków albo zaniechanych poszlak, które układają się wokół wystrzępionych brzegów każdego rekonstruowanego obrazu zbrodni. To wszystko zbyt zgrabnie układało się w jedną całość, śledztwo, które było obmyślane od początku do samego końca. Ja też od początku byłem przekonany, chociaż moje argumenty miały przewagę braku dowodów i większej niewiarygodności — kiedy zastanawiam się nad tym, nad tą brzytwą Ockhama.

Pomimo wszechogarniającego zmęczenia pojawił się promyk nadziei. Gdybym odzyskał choć jedno wspomnienie z nocy, kiedy zginęła Genevieve, wtedy mógłbym odzyskać pozostałe. A to znaczy, że mógłbym dotrzeć do prawdy, obojętnie, jak brzydkie przybrałaby kształty.

Zadzzwoniła komórka. Przycisnąłem słuchawkę do ucha, zastanawiając się jednocześnie, kto może do mnie dzwonić o północy.

Powitał mnie głos Donniego:

— Gdzie się podziewasz? Próbowaliśmy cię znaleźć przez całą noc. Terry w końcu wysledził twoją komórkę.

— Wszystko w porządku — powiedziałem. — Wybrałem się na przejażdżkę.

— Czasami pierwsza noc w domu może być trudna.

Przyjrzałem się swoim dłoniom dzierżącym kierownicę.

— Nie mam pojęcia dlaczego.

Odpowiedział w podobny sposób.

— Potrzebujesz towarzystwa? Możemy wpaść z Terryem.

— Dzięki, ale tak mi dobrze.

— No, jak będziesz czegoś potrzebował.

— W zasadzie... — ten pomysł przyszedł mi do głowy nagle, zaskakując mnie samego, chociaż cały czas krążył gdzieś na progu świadomości.

— Zastanawiam się, czy mógłbym dostać akta sprawy.

— Wygraliśmy sprawę, Andrew. Zostałeś od tego całkowicie uwolniony. — Wtedy nastąpiła przerwa, a potem Donnie dodał: — Piszesz książkę?

— Staram się tylko uporać z tym, co się stało.

— A co powiesz na małą przerwę? Nawet Katherine Harriman wyszła,

żeby się napić. Jeden z naszych asystentów właśnie zauważył ją, jak wyplakuje się do martini na Promenadzie.

— Katherine Harriman nie płacze. A już na pewno nie publicznie.

— I ty też nie powinienesz. W każdym razie nie dzisiaj. Posłuchaj, razem z Terryem wiele razy widzieliśmy to u naszych oswobodzonych klientów. Wracają do procesu, jakby męczył ich chory ząb, próbują znaleźć... no, nie wiem, rozgrzeszenie. Tam go nie znajdują. Dam ci dobrą radę: daruj sobie. Wracaj do życia.

Dojechałem do mojego skrzyżowania. W prawo do domu. W lewo na autostradę. Skręciłem w lewo.

— Chciałbym mieć te akta, Donnie.

W słuchawce dało się słyszeć jego oddech.

— Przecież są twoje, Andrew. Na pewno nie zamierzamy ich przed tobą chować. Potrzebujemy tylko dzień lub dwa, żeby je skopiować.

— Dzięki.

— Coś jeszcze?

— Tak — powiedziałem. — W którym barze wasz asystent widział Katherine Harriman?

Voda, skromnie usytuowana pół kwartału od wiecznie zatłoczonej Promenady na Trzeciej Ulicy w Santa Monica, serwuje ponad sto gatunków wódki i jedyny gatunek kawioru, który się liczy. Ze swoimi portierami w czarnych garniturach i rezerwacją miejsc utrzymuje się w przekonaniu o swojej wyjątkowości, ale zarządzanie nią nie wykracza ponad zaganianie turystów, kiedy skórzane kanapy nie chcą się zapełnić. Za bramkarzem, który zawahał się, rozpoznając mnie, ale nie potrafiąc

umiejscowić, znajdowały się importowane butelki, sterczące ze ścian na kamiennych półkach i mnóstwo oszalałymi mężczyzn i kobiet, także dostępnych do konsumpcji. Świeczki, hawajskie kwiaty i skalne wodospady dopełniały motywu tropikalnego gulażu.

Harriman siedziała przy barze z czarnej laki, krzyżując smukłe nogi. Piklowaną cebulką nadzianą na wykałaczkę stukła o brzeg kieliszka z gibsonem i obserwowała, jak się zbliżam, nawet nie unosząc brwi.

Klapnąłem na obrotowe krzesło obok niej i zamówiłem wódkę Brilliant z lodem, którą następnie powąchałem i odstawiłem na koktajlową serwetkę. Ignorowała mnie, jakby doskonaleniu ignorowania mężczyzn poświęciła większość życia, więc siedzieliśmy i gapiliśmy się, jak woda ścieka po kamieniach, a ja zbierałem się na śmiałość.

— Wiedziałem, że mam guz — słowa, w końcu wypowiedziane, dalej niosły mi się po głowie. — Skończyła mi się polisa. Czekałem na kolejny scenariusz, żeby odzyskać ubezpieczenie ze Związku Literatów. Od pół roku miewałem migreny, potem jeden raz na krótko straciłem przytomność. Poszedłem do prywatnego ubezpieczyciela w Ventura, więc jeśli badania rzeczywiście coś wykazały, nie byłyby uznane za wcześniej istniejący stan. Dlatego w dokumentacji lekarskiej dołączonej do dowodów niczego nie było.

Nie dodałem, że moja niezdolność działania nie wynikała jedynie z kwestii finansowych — chociaż pieniądze odgrywały znaczącą rolę. Miałem przestój, ponieważ zbliżał się termin oddania książki, trasa, a do tego nowy związek. I jak każdy inny, byłem przerażony. Gdy operacja jest tylko jedną z możliwości, kiedy ostatecznie się decydujesz, żeby jakaś banda grzebała ci w mózgu? Jak wybierasz ten dzień? Co będzie, jak się nie obudzisz? Albo gorzej, co będzie, jeśli się pomylą? Kilka dni

po zapachu przy pralce poszedłem do neurologa, który postawił mi nie-wesołą diagnozę. Zachęcał mnie do operacji, ale ja, chroniony tajemnicą zawodową, powiedziałem mu, że chcę zaryzykować i poczekać. Proces dał mi sporo czasu, aby zastanowić się nad jego odpowiedzią. Czy zamie-rza pan ryzykować życie rodziny w minivanie, w który pan wjedzie po utracie przytomności?

Harriman zdjęła zębami cebulkę z plastikowej szpilki i kiedy ją miażdżyła, zastanawiałem się, czy mi odpowie. W końcu odezwała się:

- Ile miała kosztować operacja?
- Sześćdziesiąt dwa tysiące.
- A honorarium prawników?
- Dwa i pół.

Parsknęła śmiechem — nie mogła się opanować — i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że śmieje się z nas obojga.

— Cóż — mówiła dalej. — Teraz na pewno dostaniesz sporo zamówień na scenariusze.

— Tak właśnie myślałem. Że będzie to efektywna strategia rozwoju kariery.

— Jest w tobie spora naiwność. Nawet szczerść. — Zrobiła minę i dała znak barmanowi, by nalał kolejnego drinka. Nie drugiego.

— Dlaczego?

— Właśnie potwierdziłeś, że nie był to żaden grom z jasnego nieba. Rozważaliśmy to, oczywiście, kiedy prowadziliśmy śledztwo.

— Dlaczego nie zapytałaś mnie o to w sądzie?

— Ponieważ nie mieliśmy pewności, a nawet gdybyśmy mieli rację, skłamałbyś.

— Dlaczego tak uważasz?

— Nie szedłbyś do lekarza na własną rękę, żeby oszukać firmę ubezpieczeniową, gdybyś był uczciwy.

— Całkiem szczerze. Ale także nie kłamałbym pod przysięgą.

— Hm, musisz wybaczyć mi sceptycyzm i niechęć ryzykowania mojego punktu widzenia na rzecz twojego morale. — Wzięła potężny łyk. — Prokurator nie może tak po prostu oskarżyć świadka o kłamstwo. To nie jest przerwa w szkole podstawowej. Wydając te swoje książki, powinienes o tym wiedzieć. Musiałam przedstawić odpowiednie dowody albo zeznania. A twoi prawnicy nigdy nie odsłonili celu. Tak na marginesie, są przepłacani. Ale co tam, coja wiem? Ty wygrałeś. W pewnym sensie. — Nagrodziła mnie szerokim uśmiechem. — Oczywiście, jeżeli sumienie szczerzego faceta obudziłoby się w tobie, powiedzmy, wczoraj... to, kto wie, czy oboje siedzielibyśmy tutaj? — Pstryknęła w brzeg kieliszka polakierowanym paznokciem. — Dlaczego dzisiaj, Danner? I po co mnie odnalazłeś? Szukasz przebaczenia?

Ton jej głosu zdradzał, jakie jest jej stanowisko w tej kwestii.

— Nie.

— To dlaczego tym się zajmujesz? Uwolnili cię.

— Werdykt jest nieistotny.

— Jest istotny — powiedziała. — „Niewinny ze względu na niepoczytalność” na pewno nie znaczy „nie zrobił tego”.

— I dochodzimy do sedna sprawy. Nie skazałaś mnie. Może powinnaś.

— Hm, na pewno każdy szanujący się, choć drugoligowy autor kryminałów wie, że nie można sądzić dwa razy za to samo przestępstwo.

— Przy... — Swędziały mnie ręce, aby chwycić drinka, ale trzymałem je nieruchomo. — Coś sobie przypomniałem. Z nocy, kiedy zamordowano Genevieve. Sprawdziłem to i zgadzało się.

— Pozwól, że się domyśle. To oczyszcza ciebie z zarzutów.

— Nie — odparłem. — Wręcz odwrotnie. Przypomniałem sobie, że jechałem tam samochodem. Byłem sam.

Opuszkami palców dotknęła otwartych ust, udając wielkie zaskoczenie.

— Chyba mogę dojść do tego, co wydarzyło się tamtej nocy — powiedziałem. — Nadal chcę się dowiedzieć, czy to ja wbiłem nóż w brzuch Genevieve. A ty możesz mi w tym pomóc.

Zaśmiała się.

— Wiesz, dlaczego oskarżałam ciebie, Danner? Nacisk rynku. Gdybyś był nikim, zredukowałbyś winę do mandatu za złe parkowanie i wyszedłbyś przed procesem. Ale ponieważ, z jakiegokolwiek powodu, to miasto zdecydowało wybrać cię jako oskarżoną gwiazdę, musieliśmy coś zrobić z naszą statystyką procesów gwiazd, co, jak mogłeś zauważyć, wcale nie jest widowiskowe.

— Więc chodzi ci tylko o wyroki skazujące? Nie ma spraw, w których chcesz poznać prawdę?

— Prawdę? Prawdę? Kiedy jest się prawnikiem sądowym, dowiadujesz się czegoś w pośpiechu. Prawdopodobnie przesłuchujesz potencjalnych świadków, ale masz z nimi kontakt wcześniej i już to wiesz. Kiedy świadek opowiedział ci wersję, w której stworzeniu sam mu pomogłeś, to każesz mu powtarzać ją ciągle na nowo. I ostatecznie ta wersja, wersja, którą razem stworzyliście, staje się prawdą. A jak nie uważałeś albo uważałeś za mało, prawda będzie zawierać rzeczy, których przede wszystkim miało tam nie być. I będziesz miał to, co chciałeś, tylko gorzej. Możesz chcieć powtarzać historię nocy z dwudziestego trzeciego września tysiąc razy, ale ona została zinterpretowana, zanim jeszcze się obudziłeś. Nigdy nie dojdiesz prawdy. — Skończyła drinka. — Wiesz



dlaczego? Fakty to surowy materiał, a nie skończony produkt. A jak będziesz poszukiwać prawdy, skończysz na uganianiu się za własnym ogonem. Lepiej szukaj rozgrzeszenia. — Machnęła ręką. — Ale nie tutaj.

Rzuciłem dwadzieścia dolarów i ześlizgnąłem się ze stołka.

— Dzięki za czas.

Nawet nie chciało się jej podnieść głowy znad kieliszka.

— Dopiszę cię do mojego rachunku.

Było już po pierwszej, kiedy niechętnie wróciłem do domu. Żalowałem, że nie mam dokąd iść, że nie mam co robić. Kiedy zagłębiłem się w ciemnościach kuchni, uderzyło mnie, że nie chcę być sam na sam ze sobą. W te chłodne noce w więzieniu wyobrażałem sobie wiele, ale nie wyobrażałem sobie, że zaszufładowanie tylko jako „niewinny z powodu niepoczytalności” wpędzi mnie w takie samopoczucie, że wolałbym raczej umrzeć, niż żyć we własnej skórze. Przyszło też na mnie dużo więcej i musiałem z tym żyć. Pomimo ostrzeżeń mojego neurologa, postanowiłem zaryzykować — dla własnego dobra, dla dobra czteroosobowej rodziny w minivanie, dla Genevieve. Cena mojego egoizmu przyprawiała mnie o mdłości.

Zdrapałem krew z podłogi, jak najlepiej umiałem, i umyłem nóż. Potem poszedłem na górę i położyłem się. Druga trzynaście. Jeszcze tylko cztery godziny do świtu. Co potem? Jakie życie mnie czeka?

Wpatrywałem się w sufit i nasłuchiwałem odgłosów w domu. Próbowalem spać, ale za każdym razem, kiedy przysypiałem, wyrывałem się ze snu, przerażony tym, co może się wydarzyć. A może zmartwiony tym, co ja sam mogę zrobić.

Kiedy minęła trzecia, przyniosłem cyfrową kamerę z gabinetu i trójnóg z garażu. Ustawiłem je w odległym kącie sypialni i skierowałem

obiektyw na łóżko. Wcisnąłem „nagrywanie” i położyłem się pod kłodą. Jeśli teraz zamienię się w Niewiarygodnego Hulka, będę miał dokumentację. Albo jak włamie się tu Fetyszysta Stóp-Nożownik i zabierze się za drugi paluszek. Może profilaktycznie powinienem włożyć kalosze. Może powinienem zaprosić Katherine Harriman na randkę.

Gapilem się w obiektyw. Gdzie się schować przed samym sobą?

## 6

Wczesnym rankiem, całkowicie wyczerpany, usiadłem przy koślawym stole w kuchni, jadłem stęchłe migdały i przeglądałem pocztą. Nie udało mi się zasnąć, aż w końcu zwlokłem się na dół. Nie potrafiłem otrząsnąć się po ostatniej nocy — po sennym wspomnieniu o nieistniejącym intruzie. Konsekwencje jednego i drugiego nie dawały mi spokoju.

Z kopczyka poczty sterczał rachunek ze szpitala, przyciągając mój wzrok. Otworzyłem go i znalazłem żądanie dwunastu tysięcy dolarów za anestezję. Uwaga u dołu informowała, że skoro nie posiadałem ubezpieczenia, powinienem być udać się na operację do szpitala okręgowego. W trakcie następnego psychotycznego ataku amnezji nie omieszkał poprosić, aby wpadli na oddział ratunkowy w Wilshire i Crack Central. Albo — to dobry pomysł — może podczas następnego kryzysu zdecyduje się go ominąć, zanim jeszcze stworzy zagrożenie dla innych, a mnie wpędzi w tarapaty.

W rzędzie okien od północnej strony niebo wyglądało na posiniaczone i mokre. Smog ponaglał zmierzch. Gus, moja tłusta, artretyczna wieściorka, kicał po tarasie. To cud, że jeszcze nie dopadły go kojoty. Przekrzywił lebek, przyglądając się mi niby ze współczuciem, a potem uniósł

łapki niczym skarżący się Żyd.

— Ty i ja razem, chłopie — powiedziałem.

Dalej przeglądałem pocztę. Z mojej agencji kilka zadziwiająco szczodrych honorariów. Trzy propozycje małżeństwa, z załączonymi zdjęciami, jedna od atrakcyjnej gospodyni domowej z Idaho. Wyciągi bankowe, oferty medyczne i reklamówki od firmy przycinającej drzewa.

Powrót do banałów codzienności nie obył się bez zgrzytu. Moja rzeczywistość: okruszki na stole, reklamówki oferujące refinansowanie hipoteki — nie taką ją sobie wyobrażałem. A czego się spodziewałem? Że będę przemykał po kolonialnej Nowej Anglii z piętnem mordercy wyhaftowanym na piersi, splugawiony i wyrzucony, żywiący się leśnym roślnictwem?

Pragnąłem nieromantycznego pijaństwa, zamglonego spojrzenia, lekarstwa na alkoholu, popijawy z przebudzeniem w rzygowinach po włamie na chama. Znałem to, niezrównane oddanie się samozniszczeniu. Kiedy nie masz nic do stracenia, masz coś do zyskania. Dlatego pieprzysz cały świat. Dlatego nieśmiały kumpel z klasy zaskakuje cię na dziesięciolecie ukończenia szkoły nowo nabytą pewnością siebie i piętnastoma ćwiekami na bladej twarzy. Stąd propozycje małżeństwa dla ciebie i Charliego Mansona. Zważywszy, że perspektywa poślubienia pani Sue Ann Miller z Coeur d'Alene była, jak na razie, niesmaczna, zastanawiałem się nad następnym ruchem.

Stał przede mną dość ważny wybór. Położyć się i umrzeć. Albo nie.

Wyciągnąłem z kieszeni komórkę i wybrałem numer. Czekając, aż Lloyd Wagner odbierze, przypomniałem sobie, jak skinął w moją stronę głową, zanim wbił nóż do filetowania w manekin. Czuł się źle, ale musiał

wykonać swoją robotę. Nie miałem mu tego za złe. Byłem z Lloydem w laboratorium sądowym, nawet raz czy dwa na miejscu zbrodni. Umówiliśmy się parę razy na kolację, kiedy pomagał mi rozpracować różne elementy fabuły. Miał pociągłą twarz, faliste blond włosy i głupekowaty uśmiech, który rzadko przywoływał. Nie stronił od rumu z colą. Ranny ptaszek. Nieco chłodny, jak przystało na kryminologa, chociaż zawsze uważałem, że ma przyzwoity charakter. Co najważniejsze, owinął w worki ręce i stopy Genevieve, szukał odcisków palców, analizował DNA. Połączyłem się z jego pocztą głosową, więc spróbowałem złapać go w domu. Jego żona była chora. Późna faza nowotworu, o ile już nie zmarła.

Sekretarka. Ale staromodnie.

Po sygnale powiedziałem:

— Cześć, Lloyd. Tu Andrew Danner. Wiem, że to wygląda na wariactwo, skoro do ciebie dzwonię, ale chyba jestem wolny. Zastanawiam się, jak mógłbym zrekonstruować tamtą noc... kiedy pojechałem do Genevieve. Oczywiście nigdy nie rozmawialiśmy o dowodach, ale chciałbym uzyskać twoją bezstronną opinię. Chyba... mam nadzieję... chyba ktoś mnie wrobił. Albo nadal cierpię na tymczasową niepoczytalność, a to bardzo możliwe. Potrzebuję twojej rady. Zadzwoń.

Rozłączyłem się i krążyłem po kuchni. Wyciągnąłem nóż z bloku i przyglądałem się mu, jakby mógł mi powiedzieć coś nowego. Potem jeszcze raz zadzwoniłem.

Sygnał zabrzmiał trzy razy, zanim odezwał się znajomy głos:

— Halo?

— Chciałbym się z tobą zobaczyć — powiedziałem. — Tylko na kilka minut, zanim wyjdiesz do pracy. Możesz?

Pauza była tak długa, aż pomyślałem, że April się rozłączyła.

— Kilka minut mogę — powiedziała.

Uświadomiłem sobie, że nadal trzymam nóż, więc wsunąłem go na miejsce. Podziękowałem jej i ruszyłem w drogę.

Piąłem się przez wzgórze Encino. Domy w stylu małżeństwa Eisenhowerów migały za owalnymi trawnikami w światłach moich reflektorów, zanim rozplynęły się w porannej szarości. Sprzed domu April zadzwoniłem jeszcze raz. Poza mroczną poświatą za zasłonami jej sypialni dom wyglądał na martwy.

Kiedy odebrała, powiedziałem:

— Jestem tu.

Po kolei zapalały się światła, znacząc jej drogę do drzwi. Wreszcie rolety w wejściu zmieniły kąt ustawienia.

— Mogłeś zadzwonić do drzwi — powiedziała przez domofon.

— Nie chciałem cię przestraszyć.

— No dobrze, wejdź.

Kiedy wszedłem na werandę, drzwi szarpnęły na łańcuchu. Zaśmiała się zawstydzona, zwolniła łańcuch i dała mi znak, abym wszedł. Usiedliśmy naprzeciw siebie na kanapach z białego pluszu, zupełnie jak w telewizyjnej reklamie tamponów.

Obejrzała bliznę na mojej głowie.

— Żadnego uczulenia po dilantynie?

— Z lekarskami w porządku.

Poprawiłem się na kanapie, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji.

— Chciałem ci podziękować, że przyszedłaś do sądu. Na pewno miało to na mnie wpływ, a gdyby nawet nie, to dziękuję ci.

— Proszę. Cieszę się, że cię nie skazali, i przykro mi, że musiałeś przez to przechodzić.

Pomimo obojętnego wyrazu twarzy siedziała sztywno. Miała na sobie

płócienną spódnicę, pomarszczoną na wysokości ud, i bluzkę z ramiączkami przechodzącymi przez kark i plecy, zawiązanymi na pępku, co podkreślało jej szyję z nerwowymi plamami, które nie chciały zniknąć. Siedziała niezręcznie na brzegu kanapy, jakby gotowa zerwać się do ucieczki, rzucała na boki niekontrolowane spojrzenia. A dlaczego nie? Co miała powiedzieć?

— Brakuje mi ciebie — odezwałem się.

Spuściła wzrok na kolana, a mnie nagle zrobiło się zimno, jakbym był odślonięty, świadomy cięcia na głowie. Czy ona się bała, że jest ze mną sam na sam? Czy ja to wszystko zmyślałem?

Było jej z tym trudno. Dziennikarze obozowali na trawniku przed jej domem. Helikoptery w nocy. Policja przetrząsała jej dom, opróżniała kubły na śmieci. Nawet przyszli z nakazem rewizji do jej biura. Czekala pięć dni, żeby odwiedzić mnie w więzieniu, co doskonale sygnalizowało mi, w którą stronę zmierzały sprawy. Martwiła się o mnie, współczuła mi, ale to tylko pogarszało jej odejście. Przypomniała mi, że dopiero co zaczęliśmy, nie byliśmy nawet zaręczeni. Trudno było poradzić sobie z trzymiesięcznym romansem.

Myślałem o tych szaroniebieskich godzinach poranka, kiedy budziłem się, a ona leżała obok mnie, jak otulałem ją sobą i z powrotem osuwałem się w sen. Kiedy droga jest gładka, jakże szybko zapominamy, że potrzebujemy ludzi, że tak naprawdę są nam niezbędni. Nie dotykałem April jeszcze od czasu sprzed morderstwa. Przyglądałem się jej przez balistyczne szkło, pod czujnym wzrokiem oficera więziennictwa, a teraz oddzielony od niej pasem używanego, białego dywanu. Mogłem jedynie myśleć o ciepłe jej ciała, gdy spała, jak i o tym, że nie jest pewne, czy kiedykolwiek znowu będę go dotykał.

Jej stres był wyczuwalny i mocno mnie bolało, że to ja ją na to skazałem.

— Przykro mi, że tak to ciebie dotknęło — powiedziałem.  
Zawinęła rąbek koszuli wokół palca, potem go odwinęła.  
— Posłuchaj, Drew, jestem... — głos jej zadrżał i zamilkła.  
— Nie martw się. Rozumiem, że chcesz nie mieć z tymwięcej nic  
wspólnego.

Zerknęła na zegarek.

— To przyszedłeś tylko mi podziękować?  
— Tak i... — Zauważyłem, że bawię się palcami, więc położyłem je na  
kolanach. — Mogę cię o coś poprosić? O jedną rzecz?

Nie potrafiła ukryć cienia zmęczenia.

— Opowiedz mi o tej nocy jeszcze raz.

— Co... dlaczego?

— Ponieważ tylko ty możesz to zrobić. Od powrotu do domu próbuję  
złożyć do kupy te brakujące godziny, ale mam tylko miskę po śniadaniu i  
pękniętą podstawkę...

— Drew, o czym ty mówisz? Proces się skończył. Jesteś wolny. Powi-  
nienesz widywać się z kimś, starać się o tym wszystkim zapomnieć. A  
przynajmniej spróbuj się wyspać. Nie miej mi za złe tego, co powiem, ale  
w więzieniu wyglądałeś lepiej.

— Cały czas mam nadzieję, że kilka odpowiedzi pomoże mi zasnąć.

— Albo poprowadzi cię do dalszych pytań.

— Racja — przyznałem.—Ale przynajmniej tym razem będą to wła-  
ściwe pytania. — Poczekałem, aż przestudiowała ścianę nade mną. —  
Proszę, April. Nie będę ciebie więcej niepokoił.

Zrobiła głęboki wdech. Czekałem, aż zrobi wydech, ale nic nie usły-  
szałem. Powiedziała tylko:

— Jest tak, jak mówiłam ci w więzieniu. Tego dnia pracowałeś. Przy-  
szłam do ciebie koło szóstej. Pojechaliliśmy na obiad. Do Fabrocini's.



— Czy spotkaliśmy kogoś znajomego?  
— Nie. Potem wróciliśmy do domu. Kochaliśmy się.  
— Gdzie?  
— Na kanapie. Z widokiem.  
— Ktoś dzwonił? Potrzęsnęła głową.  
— A potem znowu dostałeś migreny. Mocnej. Położyłeś się, zgasiłeś światła. To wszystko. Czytałam przy lampce, żeby być przy tobie. Ale nie działo się nic innego niż zwykle przy takich okazjach. Poszedłeś do łóżka normalny...

Niewypowiedziana część zdania zawisła w powietrzu. „A obudziłeś się mordercą”.

Zdjęła nogę z nogi, znowu założyła, pociągnęła za kolano splecionymi dłońmi.

— Obudziłam się sama w twoim łóżku koło czwartej nad ranem, kiedy zjawiała się policja.

Miała mocny sen, ciężko się ją budziło. Wyobrażałem sobie, jakie było jej zaskoczenie na widok pustego miejsca obok w łóżku. Może szukała mnie w łazience. Uparty drugi dzwonek u drzwi. Dezorientacja ustępuje obawie, obawa strachowi. Gołe stopy na dywanie, kiedy wśród ciemności odnajdywała drogę do wejścia. Policyjne światła błyskały przez mrożone szyby frontowych drzwi, wznosiły się otwartym holem, obmywając sufit piętra błękitem i czerwienią. Jakże długo musiało trwać to zejście krzywizną schodów.

— Nie pamiętasz, aby późno w nocy zadzwonił telefon? Nie rozmawiałem z tobą po rzekomym wysłuchaniu wiadomości od Genevieve?

— Nic nie pamiętam.

— To potrafię zrozumieć — powiedziałem. — Dziękuję, Aprii. Za wszystko.

Wyrzuciła z siebie te słowa, jakby długo je w sobie tłumiała:

— Gdybyś był ze mną bardziej szczery w kwestii tego guza, moglibyśmy temu zapobiec.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale gardło miałem suche i musiałem zacząć na nowo.

— Bałem się.

— Pewnie. Bałeś się, ale postanowiłeś nic mi o tym nie mówić. Więc widzisz, to wyjaśnia, czego między nami brakowało.

Nie potrafiłem wyrazić, jak bardzo chciałem to wszystko cofnąć, więc jedynie skinąłem głową raz, powoli. April wstała i zrozumiała mój przekaz. Podziękowała jej — miałem jej za co dziękować — a ona przytuliła mnie przy drzwiach, uściskała mocno i odwróciła się, żebym nie widział jej twarzy.

— Dbaj o siebie, Drew.

— Postaram się — odpowiedziałem.

Desperacko potrzebowałem snu. Położyłem się w łóżku, pragnąc usnąć i odzyskać kolejny fragment utraconego czasu, lecz mój wewnętrzny zegar postanowił mnie obudzić i zwrócić uwagę na fakt, że jest jedenasta rano. Zszedłem na dół. Usiadłem przy stole w kuchni ze zjełczalymi migdałami i szklanką soku z granatów. I zastanowiłem się nad sytuacją. Nadal próbowałem przyzwyczać się do dnia, który nie jest filtrowany przez więzienne kraty.

Po wizycie u April na pierwszą wycieczkę przy dziennym świetle udałem się do Whole Foods po jedzenie. Ludzie wydawali mi się nadszpodziewanie ciepli. W dziale suszonych owoców starsza kobieta w daszku na głowie pozdrowiła mnie ukradkiem gestem uniesionego kciuka. Kasjerka, przynosząc moje zakupy do toreb nadających się do kompostowania, wychyliła się nieco, kiedy czekaliśmy na wydruk paragonu, i powiedziała ściszym głosem:

— Cieszę się, że się panu udało.

Wiedziałem, że mam do czynienia z niereprezentatywną próbką społeczeństwa — ci, którzy nie uważali mnie za bredzącego wariata, bardziej byli gotowi podejść — ale te ciche, uprzejme komunikaty aż z nadwyżką

czyniły zadość lajaniu, jakie sprawiali mi moi ulubieńcy prowadzący poranne talk show. Zadzwoiła komórka.

— Co robisz? — zapytał Chic.

Wyciągnąłem migdał z fałdu koszuli i wrzuciłem sobie do ust.

— Piszę.

— Co powiesz na gry-laa? Żeby przestać się zamartwiać kondycją ludzkości?

— Nie, dzięki.

— Wpadnę po ciebie za dwadzieścia minut.

— Dobra — odpowiedziałem sygnałowi w słuchawce — będzie w dechę.

Chic jeździ wiśniowym pick-upem chevroleta tak wielkim, że siedząc w nim, czujesz się jak zabawka firmy Playskool. Oficjalnie mam metr osiemdziesiąt, od kiedy dodałem sobie dodatkowe dwa centymetry przy wypełnianiu podania o prawo jazdy po ukończeniu szesnastu lat, ale Chic góruje nade mną i wymaga większej przestrzeni na głowę w pojeździe.

Swego czasu pierwszy bazowy Dodgersów, któremu przez dwa lata z rzędu udało się dostać do zespołu All-Star, ale było to przed słynnym wielkim wybiciem, zwanym przez baseballistów „Pop-Up”. Potem otworzył sieć barów z żeberkami, którą ochrzcił Żeberka Chicka i od tego się zaczęło. Niesamowity geniusz, domorosły.

Jego chevy na tylnych drzwiach ma olbrzymi napis ŻEBERKA U CHICKA, tym razem z literą „u”, którą pewnego dnia dodałem magicznym markerem, kiedy on martwił się złapaną gumą. Fakt, że jego wóz nadal ma tablicę rejestracyjną z obwódką Dodgersów, mówi o tym człowieku więcej, niż ja kiedykolwiek mógłbym.

Sposób, w jaki prowadzi samochód — wolny i pewny — pasuje do jego osobowości. Chic nie epatuje pewnością siebie, ale wyluzowanym sposobem bycia wychodzącego z nałogu alkoholika, który odnalazł swoje priorytety. Kogoś, kto żył ostro i odkrył, że to się nie sprawdza, kto teraz wie, co jest ważne i czym jest strata energii. Spotkaliśmy się w tych pokojach przed pięciu laty, kiedy „zresetowałem” sobie życie, i natychmiast zbliżyła nas do siebie siła ciężenia. Pomimo jedno- albo dwunastokrotnego rozbitcia małżeństwa, koniecznych ciągów głośnych rozstań, potężnych wahań fortuny, nadal był z ukochaną z liceum. Nie był zabójczo przystojny, chyba że się uśmiechał. A śmiał się słodko, delikatnie, tak że przydrożne dziewczyny wymiękały. Przynajmniej przed Pop-Up.

Grał już, gdy nadeszły lata dziewięćdziesiąte, tuż przed tym, gdy sportowcy zaczęli zarabiać wielkie pieniądze. I chociaż był przekonany co do własnych talentów, to powie ci, że nie zaczynał żadnego z dwu Meczów Gwiazd i że się rozsypał, kiedy najlepsze lata miał jeszcze przed sobą. Pomimo publicznego potępienia prowadził teraz spokojne życie na łonie rodziny w Mar Vista, „sypialni” upchniętej między Santa Monica a Venice. Nieruchomość — położona wystarczająco blisko plaży, żeby sól dawała się we znaki, ale zbyt daleko, aby cieszyć się widokiem morza — podobnie jak większość jej podobnych na Westside, przeszła pospiesznie z klasy średniej do wyższej w ciągu minionej dekady. Kiedy restauracje Chica rozkręciły się, mógł przenieść się szczebel wyżej do Brentwood albo Palisades, ale zamiast tego kupił dom sąsiada, zburzył go i zrobił gigantyczne podwórko dla swoich ośmiorga dzieciaków, wyposażone w miniboisko do baseballu.

Angela przywitała nas w drzwiach, z maleństwem uczeptionym u boku, szlochającym brzdącem przywierającym do jej nogi, trójką lub czwórką

dzieci różnych wielkości śmigających tam i z powrotem za jej plecami, gdy kręciły się wokół kuchennego stołu, bawiąc się na śmierć i życie w berka.

— Drew, Drew, Drew, Drew, Drew, Drew, Drew. — Angela odsunęła na bok mokrą od fasoli warząchew, i podsunęła mi rozkosznie gładki policzek do pocałunku, co uczyniłem z radością. — Chłopcze, modliliśmy się za ciebie, aż ta podłoga miała już dość naszych kolan.

Kilkoro z latorośli Balesów wyleciało niczym tajfun i zderzyło się z moimi nogami, wykrzykując moje imię. Poczochrałem je po głowach.

- Ronnie, ale urosłeś.
- Bo ja jestem Jamaal.
- A gdzie Ronnie?
- O, tam.
- Myślałem, że to Keyshawn.
- Drew, tu nie ma żadnego Keyshawna.

I zabawa potoczyła się dalej.

Angela, żonglując trojgiem dzieci i półmiskiem pieczonych kurczęcych udek bez kości — gdyby to była powieść, poszedłbym na łatwiznę i wstawił coś innego, ale to był kurczak — zagoniła nas do bocznego wejścia. Usiedliśmy przy turystycznym stole pośrodku byłego ogródka przed domem sąsiada. Obserwowałem ją, jak często to czyniłem, z podziwem. Dla mnie była Wielką Matką, piękną kobietą o miękkich kształtach i wiecznym uśmiechu; zawsze była w ciąży, karmiła lub właśnie kładła ciastka kukurydziane na świeżo wytartym stole. Zjedliśmy lunch. Wiaderka słodkich ziemniaków, tace kukurydzy, skibki chleba na zakwasie.

Angela przycisnęła dłonie do szczytów piersi.

- Nabrzmiały mi. Muszę któreś przystawić.
- Nie patrz na mnie — powiedziałem.

Zmarszczyła nos, rozbawiona, zarzuciła koc na jedno ramię, a Jamaal podał jej niemowlę.

Chic szedł jak piła tarczowa przez talerz kurczących grzbietów, aż leciały odłamki. Przerwał, żeby czknać, a wtedy Asia, sięgająca brodą do stołu, powiedziała:

— Tylko nie rób tego, jak zaczniesz przedszkole.

— Dobra, mała. — Chic wskazał talerz Ronniego. — Zamierzasz zjeść to wszystko?

Ronnie obiema rękami zasłonił talerz.

— Y-hy.

— W porządku. Jeśli nie skończysz, to będziesz szczoteczką do zębów czyścił kible.

— E-eh.

— Tylko poczekaj, a zobaczysz.

Ronnie wrócił do dziobania talerza. W końcu przesunął go w stronę taty, który przygarnął syna mocno i pocałował, zostawiając mu na czole tłustawą plamę, aż inne dzieci zaczęły jęczeć na ten widok. Angela siedziała z niemowlęciem na kolanach, obgryzając paznokcie i wypluwając je w bugenwille. Było chłodno i w powietrzu roznosił się zapach jaśminu, a ja spojrzałem na Angele i powiedziałem:

— Dziękuję.

Puściła do mnie oko i wstała, sygnalizując, że rozpoczęła się faza sprzątanania. Dzieci, które opanowały sztukę chodzenia, pomagały; potem dostały dyspensę i mogły udać się do swoich pokojów drzemać, czytać albo podpalać.

Chic i ja siedzieliśmy przy stole, popijając piwo bezalkoholowe i licząc przejeżdżające samochody. Doliczyliśmy do piętnastu, zanim kierowca wywrotki w średnim wieku wrzasnął:

— Bales, powinieneś, kurwa, wisieć!

Chic i ja pomachaliśmy mu, jak już czyniliśmy wiele razy, odruchowo, niczym królowa piękności.

Kilka lat wcześniej zanim poznałem Chica, w San Francisco rozegrał jeden mecz play offu, aby zakończyć National League Dywizji Zachodniej. Pop-Up. Przeklinałem to wybiecie na żywo, a tysiące powtórek nie pozwalały mi o tym zapomnieć. Ostatnie podanie w ósmej rundzie, Dodgersi wchodzili w pole po kolei. Biegacze w narożnikach. Remis. Robbie Thompson wybija piłkę w kosmos, pop-up, dwóch wypadła z gry zgodnie z zasadą *infield-fly*. Dotyczy to Balesa, daje znak drugiemu bawozemu. Mija wieczność, kiedy piłka walczy z wirującymi wiatrami w Candlestick. Uribe, biegnąc od pierwszej, jest w połowie drogi do linii trzeciej bazy, kiedy piłka ociera się o rękawicę Balesa, trafia go w udo i toczy się do ławki rezerwowych Dodgersów. Niebiescy przesuwają się w górę o trzy punkty, trzy w dół po dziewiątej rundzie i tracą mistrzostwo. Chic wychodzi się upić i nie wraca przez dwa lata.

— Przynajmniej teraz mogę dotrzymać ci towarzystwa w szeregach tych znieawidzonych — powiedziałem. — Czuję się, jakbym grał na tubie w liceum.

Chic uśmiechnął się.

— Liceum. Najgorsze sześć lat w życiu.

— Dokucza ci to czasami?

— Nie.

— Naprawdę?

— Pewnie, że tak, Drew-Drew. Ale wtedy mówię sobie: każdy dźwiga swój krzyż. Rzecz w tym, z jaką gracją zdecydujesz się go nosić. Nie czytasz Pisma? — parsknął i wydlubał coś spomiędzy zębów. — Mój krzyż to wyprodukować furę kasy, a potem być największym kozłem ofiarnym w historii Dużej Ligi Baseballu. Więc zrobiłem z siebie głupca przed dwudziestoma milionami ludzi. Ponad dziesięćnastoma, o których nie wiem i nigdy nie będę wiedział. — Wzruszył ramionami. — To gorsze od



zbiorowego gwałtu w obozie jenieckim w Rwandzie. Rozumiałem go.

— To, co robiłem, to żadna P-R-A-C-A. Twoja też nie. Nie ma zapotrzebowania na nasze tak zwane usługi, żadne chore dziecko nie wyzdrowieje dzięki powieści ani podaniu na przeciwległą linię — przerwał i wyprostował potężne ramiona. — Może to i ładne. To, co ja świadczyłem, nawet nie klasyfikuje się jako luksus. Mam lamentować, że zepchnięto mnie na margines? Że mnie znienawidzono? Gównu, wolę zająć się sosem do barbecue. Bo do tego, chłopie, musisz mieć łeb na karku.

— Ale ja nie przepuściłem piłki — powiedziałem.

— A ty w ogóle wiesz, co zrobiłeś, czy nie zrobiłeś? — strzepnęła ziarno kukurydzy z kolana. — W zeszłym tygodniu James napisał raport dotyczący środowiska. Ten zapijaczony kapitan tankowca *Exxon Valdez* rozlał ponad czterdzieści milionów litrów ropy naftowej w tej tam zatoce koło Alaski. Ponad czterdzieści milionów litrów. Zabił jakiś kazillion ptaków, wydr i innego gówna. Rząd powiedział — a rząd, moim skromnym zdaniem obywatela z maturą, jest nad wyraz optymistyczny — że minie trzydzieści lat, zanim to się oczyści. To potrwa, o cholera, do dwa tysiące dwudziestego! A ja udaję, że pomagam Jamesowi napisać to gówno, aż Angela skończy z Asią kąpiel, i przez cały czas zastanawiam się, jak tamten skurwiel rano wstał? Więc kiedy James idzie spać, sprawdzam go. Ocenia straty dla agencji ubezpieczeniowej na Long Island. Wstaje rano, pije kawę i idzie do pracy jak cała reszta nas, żałosnych biedaków. Też ma gęby do wykarmienia. A ja mówię, dobrze mu tak. — Spojrzał na mnie i zapytał: — O co chodzi? To ma być budujące.

— Wiedziałem o guzie. Od miesięcy... — Spodziewałem się dostrzec

w jego twarzy szok albo potępienie, ale nic nie znalazłem. — Byłem zbyt przerażony i przygnębiony, żeby coś z tym zrobić. Zachowałem to dla siebie; martwiłem się, że kiedy znowu odzyskam ubezpieczenie, nie zapłacą za operację, jak dowiedzą się, że ten stan istniał wcześniej.

— Więc?

— Więc?

— Nie słyszałem, żeby któryś z prawników pytał cię, czy wiedziałeś, że masz guz. Nie popełniłeś krzywoprzysięstwa. I o ile wiem, myśl o oszukaniu firmy ubezpieczeniowej nie jest zbrodnią. Poza tym wątpię, czy miałbyś odwagę przeprowadzić to do końca.

Było to przejście do złośliwej ironii, która wywoływała u mnie bezsenność przez ostatnie miesiące. Genevieve mogła zginąć przez mój guz mózgu, ale jej śmierć prawdopodobnie uratowała mi życie.

— Przez to staję się winny, nawet jeżeli nie jestem — powiedziałem.

— Nie, wcale nie stajesz się przez to winny. Jedyne czujesz się winny. Możesz czuć się jeszcze bardziej winny, jeżeli faktycznie to zrobiłeś. Obojętne, jak do tego doszło czy nie, kryję cię.

— Nawet jak jestem naprawdę winny?

— Jeżeli jesteś niewinny, to nie potrzebujesz pomocy, co?

Nie ufałem własnemu głosowi na tyle, aby podziękować Chicowi, ale widział wdzięczność w moich oczach. Mrugnął do mnie i pociągnął kolejny łyk prawie piwa.

— Mówią, że prawdziwy przyjaciel, to ten, który pomaga ci w przeprowadzce. W dzielnicy, z której pochodzę, prawdziwy przyjaciel to ten, który pomaga ci przenieść ciało. — Przekrzywił głowę, wpatrując się we mnie brązowymi oczami. Jego zakręcone prawie kobiece rzęsy, nie pasowały do całej reszty. — Dobra, to może powiesz mi wreszcie, co się naprawdę dzieje.

Opowiedziałem mu o śnie z zeszłej nocy, o przeciętej stopie i jeździe do domu Genevieve.

— Nie mogę z tym żyć. Budzę się i nie wiem, gdzie jestem. Cholera, nawet ustawiłem kamerę w sypialni, żeby obserwować samego siebie! Sprawdzam dzienny przebieg w samochodzie, żeby wiedzieć, czy wyjeżdżałem z domu. Oczywistym wytłumaczeniem jest moje szaleństwo. Ale wiem, że nie zwariowałem.

— A może tylko trochę zwariowałeś, jak my wszyscy.

— Myślisz, że sam sobie przeciąłem stopę?

Chic wzruszył ramionami.

— Pierwszego dnia po powrocie do świata możesz dostać w głowę, co? Stawiałbym na tak. Szczególnie przy tych wszystkich tajemnicach z guzem powinno być jasne, dlaczego nachodzą cię te obsesje. Ale powiem ci jedno: jeżeli ktoś się z tobą zabawia, to jest to tylko wstęp.

— Ale dlaczego?

— Musi mieć jakiś powód. A zważywszy, że nie jesteś politykiem ani ekscentrycznym miliarderem, to ktoś zadaje sobie sporo trudu, żeby... co?

Potężną dłonią przecesał włosy zgolone blisko przy skórze z głupią kreską udającą przedziałek, zrobioną po przekątnej z przodu.

— Więc czego mam się spodziewać? — zapytałem w końcu. — Że ktoś ze mną pogrywa? Że popadam w obłąd?

— A co kryje się za Drzwiami z Numerem Trzy?

Wypuściłem powietrze z płuc.

— Sam się zastanawiam, ale jeśli nie spodoba mi się to, co tam znajduje?

Chic skończył swoje bezalkoholowe i zadumał się głęboko, jak to tylko on potrafi.

— Prześledźmy wszystko — odezwał się w końcu. Rzucił pustą butelką i trafił w otwarty kubel na śmieci oddalony o dziesięć metrów. — Dzień po dniu.

W milczeniu pojechaliśmy do mojego domu. Po drodze Chic raz lub dwa ścisnął mnie za kark. Pokonałem połowę chodnika przed domem, kiedy on zagwizdał przez zęby. Stanął na krawężniku, za plecami miał wóz z włączonym silnikiem.

— Wiem, że sporo się o tym mówiło, ale nikt nie powiedział, że to kiepska sprawa. — Obliznął usta, nie odwracając wzroku. — Przykro mi, że tobie się to przytrafiło.

Kiedy wracał do wozu, człowiek uprawiający jogging wytknął w jego stronę środkowy palec. Chic mu pomachał.

## 8

Tego wieczoru siedziałem i oglądałem reklamy. Tylko reklamy. Nie byłem w nastroju na ciągnący się dramat. Potem nastąpiły, jak zwykle, pełne napięcia filmy akcji. Produkty z detergentami walczyły z wżartym brudem. Bałagan w szafie przytłaczał roztrzęsione gospodynie domowe. Ożywione grzyby wrastały pod paznokcie stóp.

Telefon zawibrował prosząco w kieszeni. Wydobyłem go.

— Co robisz? — zapytał Preston.

— Leżę sobie bez ducha. Skarżę się na niesprawiedliwość na świecie.

— Jestem w okolicy. Wpaść?

— Nie?

— Będę za dziesięć minut.

Dzwonek zadzwonił czterdzieści pięć minut później.

— Masz klucz! — wrzasnąłem.

Preston wszedł i rozejrzał się po salonie.

— Zaciągnięte zasłony. Brudne naczynia. Pogniecione ubranie. Może tak napiszemy tę scenę na nowo?

Preston jest lepszym przyjacielem, niż się wydaje. Odwiedził mnie w więzieniu zaraz po Chicu i naciągnął młodego strażnika na przedłużenie

czasu odwiedzin. Chociaż nie palił, za szybą z pleksi wyciągnął papierosa, jak mi się wydawało, z braku poszanowania dla miejsca. Starając się opanować kaszel, wydmuchnął dym, omijając grzywę włosów i stwierdził:

— Nie drukują chyba pocztówek z tej okazji, co?

Będąc dobrze po czterdziestce, Preston miał intensywnie błękitne oczy i kwadratową szczękę z pracującymi mięśniami, kiedy wyniszczał swój punkt widzenia, a to zdarzało się często. Wydał moje wszystkie pięć książek i jeszcze domagał się opinii na temat dowolnych kwestii — trywialnych lub zagrażających życiu. Wściekle zawzięty, dominujący, osobiście zaangażowany, ale wszystkie te jego cechy wskazywały, jak mocno przejęty jest tym, że to wszystko rozgrywa się na gorąco.

Przekrzywiwszy głowę, dokonywał oceny mojej osoby.

— Co powiesz na wyjście? — Najwyraźniej zdążył się przeobrazić w sprytnego ulicznika o zatwardziałym języku.

— Niechętnie. — Wzruszyłem ramionami. — W horoskopie jest napisane, że to przez Jupitera w dwunastym dniu.

— To kiepsko. — Zamyślił się. — Kiedyś, jak dorastałem, mieliśmy oposa w wychodku. — Preston wychował się w rodzinie akademickiej w Charlottesville i od czasu do czasu wystawała mu słoma z butów. Apartamenty na Manhattanie i w West Hollywood z pensji wydawcy nie uwalniają cię od wtrąceń o wychodkach i oposach, ale, jeżeli pominąć pretensjonalność Prestona, to nie byłoby z kim się kłócić.

Rozejrzał się, zaplatając ręce na piersi, bezradny wobec bałaganu panującego w moim domu.

— Chyba trzymasz się jakoś, zważywszy na okoliczności — przyznał.

— Moje cierpienie mnie uszlachetnia.

Wydał usta i przyjrzał się mi, jakby nie była to prawda.

— Dziękuję za odbiór poczty — powiedziałem. — Nie wspominając o tym, że podpisałeś refinansowanie hipoteki.

Preston machnął na to ręką — nie było czasu na uprzejmości — a potem ruchem głowy wskazał plaster na mojej stopie.

— Co się stało?

— Zaciąłem się nożem do wykrawania kości.

— Naturalnie. Dlaczego?

— Bo jestem wariat.

— A może zapoznasz mnie szerzej z tematem?

Udawał cierpliwość, kiedy informowałem go o dziwnych wydarzeniach zeszłej nocy. Kiedy skończyłem, powiedział:

— Zrobię ci herbaty. — Zniknął w kuchni i po chwili zawołał stamtąd: — Masz limonkę?

— Sprawdź w lodówce.

Wrócił po kilku minutach ze szklanką lodu i butelką Havana Club, którą przeschmugował, wracając z pokazowego wyjazdu służbowego na Kubę, i podarował mi, równie ostentacyjnie, jako upominek z — „ojej!” — kontrabandy. Ukrywał ją w mojej kuchni, aby inni goście nie mieli do niej dostępu. Usiadł na długim ramieniu „L” mojej kombinowanej kanapy i sączył rum. Zauważyłem, z pewną dozą irytacji, że nie pofatygował się przynieść mi czegokolwiek.

— Nie miałeś przypadkiem być w Nowym Yorku?

— Przedłużyłem sobie wyjazd. — Chytry uśmiech zagościł na jego twarzy. — Pracuję tutaj przez następne kilka miesięcy, żeby służyć pomocą. — Postukał wymanikiurowanymi paznokciami jednej ręki w drugą. — Słuchaj, Drew, nie zamierzam cię okłamywać. Nie wiem, czy to zrobiłeś, czy nie. Ale wiem jedno, gdybym miał choćby cień wątpliwości co do własnej winy, nie siedziałbym beczynnie.

— A co byś zrobił?

— Śledztwo.

— Daj mi ekipę śledczą, zestaw do badania krwi i satelitarny obraz kanionu.

— Nie wymądrzaj się. Nie możesz sobie na to pozwolić. Może i jesteś wolny, ale opinia publiczna postrzega cię jako mordercę. Zasufladkowali cię. I w przeciwieństwie do O. J. Simpсона nie możesz przejść na emeryturę na pole golfowe i żyć z rozdętych kont bankowych. Jeżeli uznajesz werdykt za ostateczny, świetnie. Postaraj się znowu nie pić, ale jeżeli nie akceptujesz wyroku, musisz uwolnić się od tego guza, wgryźć się w to, co się wydarzyło i oczyścić się. — W zamyśleniu rozgryzał lód. — Historia, nad którą powinieneś pracować, pracuje nad tobą.

Popił kolejny łyk, kostki lodu zadźwięczały melodyjnie w szklance. Nie potrafiąc poradzić sobie z własnym życiem, z radością manipulował na skalę mikro z moim. Czy wmanipuluje mnie do pokoju bez klamek? Usadowiłem się na powrót w swoim fotelu i przyglądałem się gładkiemu, białemu sufitowi.

On mówił dalej:

— Harriman udało się odmalować ciebie jako mordercę. Lecz ten nonsens być może nie jest prawdziwą wersją wydarzeń. A jeśli nie, musisz doszukać się własnej. Prawdziwej. — Oczy mu zabłyśły. Ekscytowały go możliwości. — Może tego nie zrobiłeś. Może ktoś włamał się do ciebie. Może gdzieś macza tu palce Hitchcock, żeby pokręcić ci w głowie. Nie czytamy książek, w których coś działa dobrze tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy. Czytamy te, w których jeden raz coś się psuje. Albo udziwnia. Albo wyróżnia. A tutaj mamy dosyć niezwykłych elementów, że to... — tutaj wskazał mnie palcem — ...mógłby być ten przypadek. — Wbił we mnie wzrok, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, mówił dalej: — To jest twoje życie. Co zrobiłeś od powrotu do domu, żeby zbadać sprawę?



— Rozejrzałem się po domu, sprawdziłem pocztę w Internecie i na palmtopie. Myślałem, że coś uda mi się z tego sklecić, rozmawiałem z...

— Och, cóż, jestem zafrapowany. Czy może też dużo i boleśnie umarwiałeś się? Grałeś po ciemku na saksofonie?

Twarz mi płonęła.

— Staralem się ograniczyć zamartwianie się do minimum, ale tak, może trochę się martwiłem. Umiarkowana ciemność. Ale żadnych sentymentalnych instrumentów dętych.

— Co dzisiaj robiłeś?

— Otworzyłem pocztę. Jadłem słodkie ziemniaki.

— Jadłeś słodkie ziemniaki?

— W domu u Chica.

Wyrzucił ręce w górę, jakby to wszystko tłumaczyło.

— Chcesz posunąć się do przodu, czy chcesz być zły?

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Chcę być zły.

— Co zrobiłby Dirk Dupkobrody?

Preston miał rozmaite, mało pochlebne przezwiska dla Dereka Chainera. To jest dobre u wydawców. Dowcip.

— Dirk Dupkobrody jest detektywem w wydziale zabójstw — powiedziałem. — Ma oficjalną władzę. Ja nie.

— Daj spokój! Tkwisz w pierwszym akcie i nie prowadzisz narracji. Wiesz lepiej. Wypełniasz fabułę. Bo inaczej fabuła wypełni ciebie.

— To nie jest, kurwa, powieść.

Pochylił się, dźgając palcem w podłogę.

— Wszystko jest, kurwa, powieścią. A nad tą tracisz kontrolę. Musisz wywalić kopniakiem drzwi, wpaść do środka fabuły, uderzyć w narrację. Zareaguj. Zadziałaj. Ale skoro najprawdopodobniej tak się nie stanie, musisz odsłonić to, co już się wydarzyło. Jeżeli się nie boisz... — Zmierzył mnie wzrokiem. Być może wyczuł moją słabą stronę. — Praca pisarza,

może bardziej niż każda inna, polega na tym, aby nie bać się możliwości.

— Ale ja się boję. — Nie uświadamiałem sobie tego, dopóki nie wypowiedziałem tych słów głośno. Bałem się tego, co odkryję, i ten strach mnie paraliżował.

Zmieniliśmy temat na „uczucia pisarza”, niewygodny obszar dla Prestona. Zerwał kontakt wzrokowy, sięgnął po pasek torby, jego zainteresowanie nagle pierzchnęło. Wstał i otrzepał spodnie.

— Nie chcę, żeby wyszło, że nie cierpię Los Angeles, ale mam bikram jogę.

— Jogę z muppetami?

— Gorący pokój. Ponad czterdzieści stopni. — Preston, mistrz ostatniego słowa, zatrzymał się na progu salonu. Po raz pierwszy miał szczerzy wyraz twarzy. — Dirk Dupkobrody nie przyjąłby tego na leżąco.

Drzwi zamknęły się za nim gładko, a zaszuwa osunęła się z zadowolającym kliknięciem.

Nigdy nie przypuszczałem, że wolność tak bardzo ogranicza. Gdybym był skazany, przynajmniej miałbym przywilej wysłuchiwania przeraźliwych historii więziennych i stoickich ostatnich słów, kiedy wiązałyby mnie pasami do krzesła. Preston miał rację co do jednego: znalazłem się w narracyjnym ślepych zaułku. Rozważałem moje opcje. Żadna nie wydawała się zachęcająca, więc poczłapałem na górę, a z każdym człapnięciem echa słów Prestona osaczały mnie coraz bardziej. Dokąd pójdziesz, kiedy sprawa zostanie zamknięta, a sądy, policja, prasa, opinia publiczna i może nawet ty sam uwierzysz, że jesteś mordercą? W realnym życiu? Czyli, kurwa, nigdzie, ot, gdzie.

A może, jak będziesz miał szczęście, pójdziesz spać, co właśnie miałem zamiar uczynić.

Zrobiłem dwa kroki do sypialni i zamarłem. Mój guz zniknął. Poza zegarem i lampką, nocny stolik był pusty. Nie było słoja, nie została choćby jedna kropla formaliny. Poczułem, jak przechodzą mnie ciarki.

Ostatni raz, jeśli dobrze pamiętam, widziałem go, kiedy wróciłem z tarasu po wypaleniu cygara. Czyżbym go gdzieś schował albo pozbył się go w transie podczas okaleczania stopy? Panika zmateriałizowała się gdzieś głęboko w moim gardle, tamując oddech. Przesesałem rękoma włosy, mocno, lewą dłoń wyczułem krawędź blizny.

Odrzuciłem koldrę i zająrzałem pod łóżko. W szufladach stolika nocnego znajdowała się typowa zawartość. Potem przeszukałem szafki w łazience, wyrzucając fiołki i pudełka z lekami na przeziębienie na blat. Przewróciłem do góry nogami gabinet, wyszarpywałem i zatraskiwałem szuflady, przekopywałem się przez kubły ze śmieciami. Następny był pokój gościnny na dole, potem salon. Wpadłem do kuchni i dostrzegłem coś połyskującego w zlewie. Krzywiznę grubego szkła.

Zbliżyłem się. Znajome wieko, odłamki szkła. Brak glejaka.

Byłem dzisiaj w kuchni tylko po puszkę migdałów. Czy zaglądałem do zlewu? Chyba nie. A zeszłej nocy, po tym, jak szedłem po własnych, krwawych śladach? Czy tu zaglądałem? Niezbyt uważnie.

Wybrałem odłamki i ułożyłem na blacie. Przez chwilę gapilem się w gumową gardziel młynka do odpadków, podciągnąłem rękaw bluzy i ostrożnie wsunąłem dłoń do środka. Nerwowo zerkałem na przełącznik, który mógłby wprawić w ruch miażdżące łopatki. Szukałem po omacku, obawiając się, jaki będzie w dotyku mój guz. Śliski i twardy? Wilgotny? Drobinę szkła dźgały mnie w palce. Szukałem dokładnie, ale młynek był

pusty. Czy włączałem go zeszłej nocy i w ten sposób pozbyłem się guza raz na zawsze? Czy może mój prześladowca porwał go, aby jeszcze głębiej pchnąć mnie w odmęty dobrze znajomej mi paranoi?

Z drewnianej skrzynki z zamknięciem wyjąłem dwudziestoletnie porto Warre, odkładając na miejsce butelki resztki potłuczonego słoja. Potem zakończyłem ceremonię, wylewając pełną butelkę porto w gardziel młynka do odpadków, gdzie, być może, także trafił guz.

Wyczerpany i otumaniały, z trudem powędrowałem na górę, wpelzłem do łóżka i w końcu zasnąłem.

O czwartej nad ranem mój dom implodował.

## 9

Huk wyrwał mnie z łóżka, aż krzyknąłem. Potem usłyszałem zgrzyt ciężkich przedmiotów, ostry brzęk tłuczonego szkła. Zalew uzbrojonych ludzi. Łomot podkutych butów na schodach. Jeszcze nie w pełni przytomny uznałem intruzów za diabły powstałe z piekieł. Przez moment znowu znajdowałem się w mojej celi, do której docierały upiorne głosy.

Ogłupiały gapilem się w drzwi, które gwałtownie wpadły do środka, a za nimi wlał się strumień postaci odzianych na czarno i uzbrojonych w gogle, kamizelki i jakieś zaczepne środki bojowe. Czarne rękawice schwyliły mnie za prawy przegub ręki i kostkę i wyrwały z łóżka.

— Nie ruszaj się, kurwa!

— Pokaż ręce, pokaż ręce!

Moje ręce i nogi rozpostarły się, niby z własnej woli, a czyjeś dłonie obszukały mnie, co nie było trudne, gdyż miałem na sobie tylko bokserki. Upiorny napis z białych, dużych liter unosił się na wysokości moich oczu, chociaż twarz miałem wtłoczoną w dywan. LAPD SWAT.

Szarpnąłem głową, żeby móc oddychać. Detektyw Trzeci Bill Kaden pojawił się z boku, przez ramię zerkał mu Ed Delveckio. Kaden wcisnął

mi palec w policzek, aż zatrzymał się na zębach.

— Teraz masz przesrane — powiedział.

Kiedy Kaden przeprowadzał mnie, skutego i ubranego w pośpiechu, obok policjantów przetrząsających mój dobytek, potem w dół po schodach, dalej holem po rozsypanych odłamkach szkła z szybek we frontowych drzwiach, zauważyłem pewną niedorzeczność, wstyd działający wstecz za to, że wrobili mnie wcześniej, zanim jeszcze się o tym dowiedziałem. Kiedy niepomny niczego śliniłem się w poduszkę, powstawały scenariusze, wybierano pozycje, szykowano taran. Serce chciało mi wyskoczyć z piersi. Być na złym końcu pościgu? To wcale nie taki ubaw, jak sądzicie.

Widziałem, jak gazety ścigają się w doniesieniach, nagłówki krzyczą: **NOWE DOWODY W SPRAWIE ZABÓJSTWA BERTRAND**. Ale czy nie chroniło mnie prawo, w końcu już raz mnie za to sądzono?

— Domyślam się, że macie nakaz — powiedziałem.

Dokument, zmięty w pięści Kadena, pojawił się mi przed oczyma. Byłem aresztowany za morderstwo, chociaż nakaz nie podawał nazwisk. To będzie, jak domniemałem, moje zadanie. Kaden wrzucił mnie na tył nieoznakowanego sedana i siadł za kierownicą. Delveckio zajął miejsce dla pasażera. Moi sąsiedzi stali w drzwiach albo w oknach.

— Mogliście zadzwonić — powiedziałem. — Przyjechałbym. Zawsze szedłem na współpracę. — Kilka przecznic dalej nadal cisza. Mój niepokój zaczął w końcu ustępować oburzeniu. Odchrząknąłem. — Mówię: O co tu chodzi? Odpowiadasz: Chyba wiesz, gnoju. Wtedy ja znowu mówię: Chcę rozmawiać z moim adwokatem. A ty na to: Jak cię spiszemy.

Tyły ich głów niczego nie zdradzały.

Byliśmy teraz na autostradzie, pędziliśmy w stronę śródmieścia. Pierwszy raz w życiu jechałem 101, na której w ogóle nie było korków. Opustoszała autostrada, na co dzień zapchana zderzak w zderzak, sprawiała postapokaliptyczne wrażenie.

Nie zdziwiłem się, kiedy piętnaście minut później zobaczyłem w przedniej szybie Centrum Parkera. Dom Dereka Chainera oraz elity komendy policji z wydziału kradzieży i zabójstw. Sześcian Parkera, szklano-betonowe świadectwo oszczędności lat pięćdziesiątych, zasłaniał wschodzące słońce.

Poprowadzono mnie na górę, do pokoju przesłuchań. Zostawili otwarte drzwi, policjanci wchodzili i wychodzili z papierami, wymieniali szeptem najświeższe informacje. Po raz kolejny czułem się zdeorientowany, nerwowy, pozbawiony należnego mi miejsca. Znałem te korytarze. Znałem ten budynek. Studiowałem tych ludzi i pisałem o nich w pochlebny sposób. Kiedy wyszła moja pierwsza książka, zajrzałem w każdy kąt z oficerem prasowym jak z prawdziwym kumplem i widziałem najprawdziwsze przesłuchanie z drugiej strony weneckiego lustra. Jakież to odmienne z tej strony szyby.

— Dlaczego tu mnie przywieźliście? — zapytałem.

— Rozbieraj się — polecił Kaden.

— Dobra, ale od przodu, za pięćdziesiąt baksów i nie całuję w usta.

— Dość.

Wbiłem w niego wzrok.

— Nie, dopóki nie porozmawiam z moim adwokatem.

— Jak cię przeszukamy.

— Na wypadek gdybym schował w dupie bazookę?

— Zostań w bokserkach.

Zrzuciłem kopnięciem buty. Kaden spojrział na moje bose stopy i powiedział:

— Stop. Plaster proszę zdjąć.

Przystąpiłem na to. Strzelił palcami w stronę drzwi. Wszedł facet z przerośniętym polaroidem i zrobił zdjęcie rany, gdy ja pozowałem, stojąc na jednej nodze.

Skończyłem ściągać z siebie ubranie, a oni upewnili się, czy nie mam innych otarć lub skaleczeń. Kiedy się ubierałem, fotograf wyszedł i zniknął za sobą drzwi, zostawiając mnie z Kadenem, Delveckio, stołem, krzesłem oraz błyszczącym lustrem na ścianie. Światła były gorące, a ktoś przyniósł mi kawę. Moim zadaniem było ją wypić, w efekcie czego zrobię się niespokojny, będę musiał się wysikać i wyjawię wszystkie sekrety, żeby tylko wyjść do kibla. Poszedłbym bardziej na współpracę, gdybym tylko wiedział, jakie tajemnice skrywam.

Delveckio ruchem głowy wskazał moją stopę.

— Wygląda na świeże skaleczenie nożem, co?

— Ty też mówisz?

— Kurwa, odpowiadaj na pytania — syknął Kaden.

— Dobra. Wygląda na świeże skaleczenie. A teraz, o co tu, do diabła, chodzi?

— Byłeś trochę nieostrożny?

— Kiedy?

— Ty mi powiedz.

Otarłem dłońią pot z czoła. Gorące lampy sufitowe pracowały.

— Być może jakiś intruz był u mnie w domu przedwczoraj w nocy. Chyba ktoś się włamał, jak spałem, i przeciął mi stopę.

— No jasne — odezwał się Delveckio. — Może zajacek wielkanocny.

Rzuciłem mu spojrzenie.

— W styczniu? Raczej myślałem o spóźnionym elfie.

— Dlaczego nie wezwałeś policji? — zapytał Kaden.

— Cóż, panowie, nie byliście zbytnio sympatyczni.



— I ten tajemniczy napastnik skaleczył cię, a ty dalej spałeś?

— Byłem zupełnie nieprzytomny. Moja pierwsza noc w domu. Chyba obudziłem się zaraz potem. Facet mógł jeszcze być w środku, ale wtedy nie byłem tego pewien...

Kaden położył mi ciężką dłoń na piersi i pchnął mnie tak, że poleciałem na oparcie. Kopnął stół, który zatrzymał się tuż przede mną. Siedziałem teraz przy stole przesłuchań. Sprytna sztuczka.

— Gdzie byłeś zeszłej nocy między dwudziestą drugą trzydzieści a drugą?

Zeszłej nocy?

— Dobra — odpowiedziałem, nadaremnie starając się utrzymać fason. — Dobra.

Delveckio podał mi kawę, co było dziwnie uprzejmym gestem w tych okolicznościach.

— Wycwanileś się, co? — mówił Kaden. — Tym razem przeniosłeś ciało. Obmyłeś je wybielaczem.

Skoro zrobiłeś to Genevieve, to do czego jeszcze jesteś zdolny?

Poczułem łopoczące uderzenie paniki.

— Czy chodzi o April? Nic się jej nie stało?

Wpatrywali się we mnie, z rękami założonymi na piersiach, stojąc w rozkroku. Delveckio stanowił szczuplejszą wersję tego dużego.

— Powiedźcie, że nic jej nie jest — domagałem się. — Już mnie tu przyciągnęliście. Nie ma potrzeby poniżać, skoro sprawiliście ból.

Delveckio pochylił się i uderzył mnie w głowę. Otwartą dłonią, ale mocno.

— Jesteś kupą gówna — powiedział. — To jest poniżenie.

Moja klatka piersiowa stężała. Nie mogłem wciągnąć dosyć powietrza.

— Powiedzcie tylko, czy to chodzi o April.

Kaden położył przede mną na stole zdjęcie sekcji kryminalistycznej. Wzdrygnąłem się tak mocno, że kawa wylała się przez krawędź styropianowego kubka i oparzyła mi knykcie. Kobieta na stole koronera, znajome głębokie cięcie na brzuchu. Ale to nie April.

Poczułem, jak wstępuje we mnie nadzieja. Dwa ciała, ten sam *modus operandi*. Jeżeli nie zabiłem tej kobiety, to prawdopodobnie nie zabiłem też Genevieve. Może oczyszcze własne imię. Już nieomal odetchnąłem z ulgą, kiedy uzmysłowiłem sobie swoje położenie. Pokój przesłuchań. Centrum Parkera. Zgodnie z logiką — główny podejrzany.

— Nie zrobiłem tego. Absolutnie. Myślicie, że to ja, co? Poślizgnąłem się, dźgając ją w brzuch i zaciąłem się w bosą nogę?

— Rozebrałeś się, żeby nie obrzygać ubrania — wyjaśniał Delveckio.

— Kiedy manipuluje się ciałem z nożem w ręku, zdarzają się wypadki.

— Dajcie spokój. To nie są dowody.

— O? Chcesz dowodów? — zapytał Kaden.

Znowu to samo. Kurwa, *déjà vu*.

— W twoim śmietniku znaleźliśmy folię. Jakby z bagażnika twojego wozu.

Oddech zostawił mnie z suchym kaszlem. Wiedziałem jedno: muszę walczyć. Na oślep. I wierzyć, że nie jestem mordercą, a co dopiero dwukrotnym.

— Po co miałbym wyrzucać to do własnego śmietnika? — zapytałem.

— Otóż nie — odparł Delveckio. — Najpierw ją spaliłeś. Ale pominąłeś brzeg. A pozostałości na nim odpowiadają klejowi z taśmy izolacyjnej, którą związałeś jej nadgarstki.

Nie potrafiłem tego wyjaśnić.

Kaden zaśmiał się, widząc moją zdziwioną minę, chociaż w jego oczach nie było rozbawienia.

— Znowu cię wrobili, co? Jednoręki na trawiastym wzgórzu?

— Nie zrobiłem tego — powiedziałem spokojnie.

— To dziwne, ponieważ morderca powtórzył każdy szczegół. Dokładny kąt zadania pchnięcia. Ułożenie ciała. Sposób, w jaki odwrócona była głowa, z włosami opadającymi na prawe oko. Takich szczegółów w zasadzie nie podajemy w wiadomościach o szóstej.

Myśli zlewały mi się jedna w drugą.

— Oto, co cię wydało — kontynuował Kaden. — Mały fragment nie spalonej folii malarskiej, którą znaleźliśmy w twoim śmietniku? Miał dla nas więcej niespodzianek. Krew ofiary. Twoja krew. A kąpiel z wybielaczem? Ominąłeś kilka kropel. Twój włos pod paznokciem. Ślady twojej krwi na jej podeszwie.

Nie mogłem tego zrobić. Niemożliwe, że to zrobiłem wczoraj w nocy!

— O ile możemy to określić, ofiary łączy tylko jeden element — powiedział Kaden. — I to jesteś ty.

Wskazałem ciało na fotografii.

— Nie znam tej kobiety. Dlaczego miałbym ją zabijać?

— Chcesz nam powiedzieć, że tego nie zrobiłeś, a spędziłeś trzydzieści sześć godzin od wypuszczenia na wolność, grzebiąc się w bagnie sprawy, w której zostałeś uznany za niewinnego? Śledziłeś Katherine Harriman. Próbowaleś skontaktować się z głównym kryminologiem biorącym udział w śledztwie. Nadajesz nowe znaczenie zjawisku powrotu na miejsce zbrodni.

Skinął na Delveckio, który podszedł do narożnika, sięgnął do góry, do wycelowanej w nas kamery ochrony i wyłączył ją. Kaden położył obie ręce na krawędzi stołu i pochylił się tak, że jego twarz znalazła się niecały

metr od mojej. Pchał stół, aż krawędź blatu uderzyła mnie w dolne żebra, a ja razem z krzesłem przesunąłem się do tyłu. Rogi stołu zatrzymały się na prostopadłych ścianach, przez co zostałem uwięziony w narożniku.

— Taki potężny gościu jak ty może się teraz czuć nieco ograniczony ruchowo. Przyzwyczaisz się. Bo to jest rozmiar twojej celi na resztę życia.

Kaden cofnął się. Chodząc po pokoju, podciągnął rękawy na szerokich przedramionach.

— Umówmy się, że jestem złym gliną. Ale uwaga, tym razem zabawa wygląda inaczej. Nie ma dobrego gliny. To gra w złego i złego gliniarza. Delveckio i ja nikogo nie nienawidzimy bardziej niż mordercy kobiet. Widzieliśmy, jak raz się wyslizgnąłeś. Więcej na to nie pozwolimy.

Zerknąłem na Delveckio. Kaden zachował się rozważnie, gdy, pozorując macho, zostawił dla niego miejsce. Delveckio, o wątlej posturze i wodnistych oczach, nie napawał nikogo strachem. Z drugiej strony Kaden wyglądał na takiego, co gotów jest wepchnąć mi w twarz palce i użyć mojej głowy jako kuli do kręgli.

— Chcemy cię trochę pomęczyć — mówił dalej. — Chcemy połamać ci paluchy. Chcemy połamać ci żebra. Chcemy udowodnić, że zmusiłeś nas do tego, ponieważ byłeś agresywny i wojowniczo nastawiony. Nie mamy na to ochoty, ale musimy. Możesz przez to przejść albo nie, ale obojętnie, co powiesz, nie masz guza mózgu, żeby tym razem uratował ci dupę, morderco.

Zdjęcie koronera ześlizgnęło się ze stołu prosto na moje kolana. Do góry nogami wyglądało jeszcze bardziej groteskowo. Krew i rozcięte ciało, całkowity brak orientacji.

Gdzieś w żołądku poczułem znajome mdłości, aż zwilgotniała mi skóra. Była zupełnie jak przepocona szpitalna pościel. Głosy odbijały się

echem od ścian celi. Strupy zniknęły, odsłaniając tę samą, okropną scenę. Gdzie byłem? Co takiego zrobiłem? Nagle poczułem się słaby w swoim postanowieniu. Poczulem całkowitą demoralizację po długo oczekiwanej przegranej, po złożeniu broni i poddaniu się temu co nieuniknione. Może to zrobiłem. Nie mogłem właściwie stwierdzić, że pamiętam ostatni raz, kiedy natrafiłem na ciało w podobnych okolicznościach. Dowody. Genevieve, moje utraty świadomości... Tego wszystkiego było nazbyt wiele.

Gdzie byłeś zeszłej nocy między dwudziestą drugą trzydzieści a drugą?

Sam w domu. Całkiem nieprzytomny. Tak, dobra.

Bill Kaden, zdecydowanie niesympatyczny, zbliżył się do stołu, a ja otworzyłem usta, aby rozedrganym głosem przyznać się „niewiadomo do czego”, kiedy jak piorun z jasnego nieba spadło na mnie olśnienie, aż wyprostowałem się, waląc pięściami w porysowane drewno.

— Kamera! — krzyknąłem. — Nagrywałem się, jak śpię!

Trzymali mnie w pokoju przesłuchań przez godzinę i czterdzieści pięć minut. Z początku siedziałem na krześle ze zdjęciem z miejsca zbrodni, które umyślnie zostawili mi dla towarzystwa. Na odwrocie wydrukowano *Kasey Broach, J/22, 2:07*. Detektywi nie tracili czasu, spiesząc się do mnie. Kiedy nie mogłem już dłużej znieść tego przerażającego zdjęcia, pozostało mi gapić się we własne, zniekształcone odbicie w lustrze. Zniekształcenie wzmocnione włosami najeżonymi wokół blizny, a może tak właśnie wyglądałem.

Mam kamerę cyfrową, z pamięcią na sto dwadzieścia godzin, co znaczy, że nagrywała nieprzerwanie, od kiedy ją nastawiłem, rejestrując moje chrapanie, wiercenie się, chrząkanie. Lepszą czy gorszą, ale da odpowiedź. Ja, śpiący spokojnie albo mordujący w lunatycznym śnie.

Po jakimś czasie przenieśliem stół i krzesło z powrotem na środek pokoju. Kiedy krążyłem w zamknięciu, przyłapałem się na mimowolnym dotykaniu opuszkami palców ukrytej blizny. Po godzinie powiedziałem do lustra, że oddam mocz w kącie, jeżeli ktoś nie zaprowadzi mnie do łazienki. Chwilę później drzwi otworzyły się i ponury żółtodziób powiódł mnie na koniec korytarza, a potem na powrót do pokoju.

Kaden i Delveckio w końcu wrócili, przynieśli krzesła i wyglądali na poirytowanych. A przynajmniej Kaden. Z tego, co wiedziałem o Delveckio, był to normalny wyraz jego twarzy. Czytając z ich min, nie wyczuwałem nic, co sygnalizowałoby radość. Nie ja. Nie ja.

Usiedli naprzeciwko. Skoroszyt na kolanach Kadena nosił ślad od spoconej dłoni.

— Obejrzelśmy nagranie — odezwał się Kaden. — Według laboratorium nie było montowane. Żadnych zmian w ciągłości.

Wydałem z siebie przeciągły oddech. Ulga była tak wielka, że aż zakręciło mi się w głowie.

— Ale mogłeś mieć współnika — mówił Kaden. — Albo czas śmierci według koronera jest niedokładny. Nie ma ciebie na taśmie przez całe popołudnie i początek wieczoru.

— Mam alibi. Po południu byłem u przyjaciela, potem przyszedł do mnie mój wydawca.

— Jest jeszcze jedno — powiedział Kaden. — Dlaczego niewinny facet, którego wszystkie dowody na miejscu zbrodni niezbitnie oskarżają, przygotowuje sobie żelazne alibi?

— Ponieważ myślałem, że mogłem we śnie uciąć sobie stopę, i bałem się, że tracę rozum.

Kaden roześmiał się.

— „Tracę”?

— Zacznijmy od początku. — Wyciągnąłem rękę. — Drew jestem.

Kaden gapił się na moją rękę, jakby miał ochotę na nią napluć, ale po chwili skinął głową. Delveckio niechętnie poszedł za jego przykładem.

— Dobra. Nie lubicie mnie, a ja też szczególnie za wami nie przepadam. — Zerknąłem na Delveckio. — Szczególnie za tobą.

— Dlaczego szczególnie za mną?

— To „poniżenie i ból” było nie fair. Może Kaden zachowuje się przesadnie, ale robi większe wrażenie, więc myślę, że ma do tego prawo. Ale... — zrobiłem pauzę dla zwiększenia efektu — ...wam obu przypadła ciężka sprawa. Może dwie. Tkwię w tym śledztwie. Wyjątkowo. Jestem tu bez wsparcia adwokata. Więc wykorzystajcie sytuację.

— Wiesz, co lubię bardziej od hollywoodzkich mądrali? — zapytał Kaden. — Powrót do spraw, które już zamknąłem.

— Skoro moja sprawa jest zamknięta, to kto zabił Kasey Broach?

Fakt, że użyłem jej nazwiska, zaskoczył go na moment, ale wtedy przeniósł wzrok na zdjęcie leżące między nami.

— Nie wiem, Danner... ktoś, kto ma identyczne włosy, identyczną grupę krwi i korzysta z twojego śmietnika. Więc zgadnij, kogo będziemy szukać, jak uporamy się z tą gównianą, cyfrową kamerą i będziemy mieć prawdopodobny motyw?

Prawdopodobnie nie faceta, który mnie wrobił.

Przyglądałem się ciału Kasey Broach i zastanawiałem się, co, jeżeli w ogóle cokolwiek, łączy ją ze mną. Albo z Genevieve. Może istniał jakiś związek między Broach a kimś z rodziny Bertrand. A może została zamordowana tylko po to, aby mnie wrobić. Kto miał motywację, aby widzieć mnie za kratkami? To znaczy, poza detektywami naprzeciwko mnie. Czy Genevieve spotykała się z kimś nowym, kto uważał, że nie powinienem bezkarnie jeździć ulicami? Może Luc Bertrand wynajął kogoś, aby mnie pogrążył przy użyciu dowolnych środków. Trudno uwierzyć, skoro ma takie obwisłe oczy, ale przecież miałem guz. Umysł pracował na wysokich obrotach i przywołał agenta, którego zwolniłem, faceta, któremu przypadkiem złamałem nos, grając w kosza, a także dziwny list, który otrzymałem od anonimowego czytelnika po wydaniu *Ogniwa Chainera*.



— Jak mam wam pomóc rozpatrzeć tę sprawę? — zapytałem. — Od czego zaczniecie?

— W tym konkretnym momencie — powiedział Del-veckio — nie mamy nic do wyjawienia.

— Czy Genevieve i Kasey Broach coś łączy?

— Rozpaczający rodzice. Cierpiące młodsze siostry. — Potrząsnął głową. — Przekazywałem wiadomość Adeline jako najbliższej krewnej ofiary. Szkoda, że wcześniej nie pożyczyłem od ciebie kamery, aby pokazać ci jej reakcję.

Opanowałem się i nie zareagowałem tak, jak tego oczekiwał.

— Więc nie znaleźliście żadnego związku między ofiarami?

Uśmiech znikł z jego twarzy, a skóra wokół oczu napięła się.

— Tylko ciebie.

Kaden wstał, aby wyjść, Delveckio podnosił się z lekkim opóźnieniem.

— Znaleźliście coś niezwykłego w jej krwi? — zapytałem.

Zatrzymali się. Kaden wykonał powolny obrót.

— Dlaczego pytasz?

— Dwa dni temu, w nocy, kiedy się przebudziłem, byłem naprawdę mocno zamroczony. Myślałem, że to skutki guza albo stresu. Ale może podano mi leki, żeby przeciąć mi stopę. — Oparłem się na krzesło, założyłem ręce na piersi. — Zbadajcie mi krew.

Delveckio uniósł brwi, patrząc na Kadena, który wykonał dwa zdecydowane kroki z powrotem do swojego krzesła i usiadł.

— Dlaczego w takim razie obudziliś się tak szybko, skoro podano ci jakiś lek?

— Nie wiem. W czasach szumnej młodości wyrobiłem sobie niezłą tolerancję. Pobierzecie krew?

Kaden wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer.

— Tu Kaden. Dajcie Wagnera. — Wstał i wyszedł z pokoju.

— Lloyd Wagner pracuje przy tej sprawie?

Delveckio wyglądał na rozdrażnionego tym, że musi ze mną zostać.

— Oczywiście. Pracował przy pierwszym morderstwie, nie? Czy nie dlatego do niego dzwoniłeś? Poznałeś go podczas procesu i myślałeś, że możesz mu się naprzykrzać?

— Znałem go wcześniej. Pomagał mi w niektórych projektach.

— Dobra, dobra, powiedzmy, że on nie ma ochoty więcej tobie pomagać.

Głos Kadena pobrzmiwał zza ściany, ale nie potrafiłem odróżnić słów. Delveckio starał się nie nawiązywać ze mną kontaktu wzrokowego.

— Czy na nagraniu zauważyłeś... — zapytałem — zauważyłeś, że ruszam coś z nocnego stolika?

— Hm?

— Coś w słoiku?

— Miałem nadzieję, że zrobi się większe wariactwo.

— Zauważyłeś?

— Nie.

Więc mój guz ulotnił się już, zanim ustawiłem kamerę. Co znaczy, że prawdopodobnie zniknął mniej więcej w czasie, kiedy została nacięta moja stopa. Kolejna dziwna rzecz, zupełnie nieprzydatna.

Wrócił Kaden.

— Do teraz znikłoby z krwi.

— Co by znikło? — zapytałem.

Kaden przestąpił z nogi na nogę, traktując mnie jak powietrze.

— No. Jeżeli podano mi jakiś środek, przynajmniej powiedzcie, co to mogło być.

— Xanax i sevofluran. Alprazo-coś, to znaczy xanax, działa krócej.

Ten drugi też. To gaz paraliżujący. „Gwałtownie usuwany z krwiobiegu”, jak mówią.

— To jak znaleźliście to u Broach?

— Szybka odpowiedź. Patrol zgłosił ciało. Usłyszeliśmy, że wyglądało podobnie jak Genevieve Bertrand, i wezwaliśmy zmechanizowane oddziały, żeby nikt nie zdeptał dowodów. Nasz kryminolog podrzucił do Rampart szczegółowy raport z zebranych dowodów, był kilka przecznic dalej i zjadał burrito. Popędził natychmiast na miejsce zbrodni. Zawsze od razu pobierają krew.

Delveckio oblizal zeschnięte usta.

— A poza tym metabolizm u Broach nie działał już tak szybko, kiedy ją znaleźliśmy.

— Po co komuś dawać xanax, jak chce się go pozbać przytomności? — zapytałem.

— Ty byś nie podał — powiedział Kaden. — Sądzimy, że wzięła go przed pójściem spać.

— Więc została napadnięta we śnie?

— Oznaki walki.

— Sevofluran nie wystarczył?

— Albo podano go jej później.

— Zabrał ją, jak wrzeszczała i wierzała, a dopiero potem uciszył? — zapytałem. Kaden wzruszył ramionami, więc dodałem: — Jakiej walki?

— Pościel ściągnięta z materaca, rzeczy zrzucone ze stolika, z budzika wypadła bateria o dziesiątej dwadzieścia siedem.

— Jakie staromodne.

— Budzik na baterię?

— Wskazówka.

— Masz podejrzliwy umysł.

— Wykorzystajmy to.

— Nie zaprosimy głównego podejrzanego, żeby dłużej w naszym śledztwie.

— Nigdzie nie musicie mnie zapraszać. Dajcie mi tylko obejrzeć zdjęcia z miejsca zbrodni. Zobaczę ciało, jak je zostawiono. Może coś mi się przypomni.

— Co przypomni? — Kaden zmierzył mnie wzrokiem, a potem skoroszytem klepnął Delveckio w kolano. — Chodźmy.

— Obojętnie, czy mi wierzycie, czy nie, nie wiem, co wydarzyło się w nocy dwudziestego trzeciego września. I obojętnie, czy mi wierzycie, czy nie, chcę wiedzieć, czy ja to zrobiłem. Szukacie odpowiedzi. Jesteście zawodowymi śledczymi. Przypuszczam, że potraficie wydobyć ze mnie to, co chcecie, nie rezygnując z tego, czego nie chcecie.

Kaden wpatrywał się we mnie, potem zaśmiał się i rzucił skoroszyt na stół, aż rozsypały się papiery. Rozłożyłem je na blacie. Były to laserowe odbitki o całkiem dobrej rozdzielczości, liczne kopie każdego ze zdjęć.

Nagie ciało Kasey Broach zostało porzucone pod betonową rampą autostrady. Leżała na plecach, z brodą skierowaną ku górze, w bok, jakby próbowała odrzucić włosy z twarzy. Prawe biodro znaczyło paskudne obtarcie, a skóra na prawym policzku wyglądała na rozciętą. Nadgarstki miała związane taśmą, zaś kostki białym sznurem. Dookoła niej ze szczelin w asfalcie wyrastały chwasty. W tle pozostawał szkielet płotu z obsuwającą się siatką na trzech słupkach. Wrak coupé zapadnięty na przeciętych oponach, z wybitymi szybami, z dachem wgniecionym aż po zagłówki, maska gęsto pokryta ptasim łajnem. Za nim, na opadającym podbrzuszu rampy, artysta graffiti porzucił rozpoczętą robotę.

Zbliżenie ramion Broach ukazało miejsca, gdzie rozpoczęły pracę muchy. Z jakiegoś powodu podkreśliło to jej śmierć. Tak bezradną, niepotrafiącą przegonić żerujących na niej owadów.

Spojrzałem na Kadena.

— Morderca powtórzył każdy szczegół z zabójstwa Genevieve? Nabieracie mnie? Porwał kobietę, uspił, przeniósł ciało, rozebrał, związał nadgarstki i nogi, a potem porzucił w publicznym miejscu.

— Jest niepokojąco duża liczba podobieństw — stwierdził Delveckio. — Jeżeli chodzi o różnice? Przeważnie obserwujemy tendencje zwykłe, kiedy morderca nabiera doświadczenia, uczy się na błędach.

— Zapomnieliście wspomnieć o tym wcześniej, kiedy rozwaliliście mi drzwi. Dlaczego sądzicie, że jest naga?

— Robi się coraz śmielszy — zasugerował Kaden, przyglądając mi się uważnie. — Być może za sprawą rozbuchanej fantazji.

— Albo rozebrał ją, żeby oblać wybielaczem — dodał Delveckio. — To znaczy, że wiedział, że zbadamy ciało w poszukiwaniu śladów i substancji cielesnych.

— I? Została zgwałcona?

Delveckio pokręcił głową.

— Co znaleźliście?

— Poza twoją krew i włosami? — Kaden wertował notes. Postukał piórem w kartkę. — O, jest: Kurwa, nie twój interes.

— Sińce na nadgarstkach i kostkach wskazywałyby, że została związana przed fatalnym pchnięciem, prawda?

Detektywi wymienili poirytowane spojrzenia, ale nie odpowiadali. Zręczna praca detektywistyczna, trzymać mnie tak długo w niewiedzy.

— Sevofluran. Była utrzymywana przy życiu. Nie tak jak Genevieve. To sugeruje tendencje sadystyczne? — Wytrzymałem ich spojrzenia. — Mrugnijcie dwa razy, jak będzie ciepłej. A co z obtarciem na biodrze i policzku? Powstały przy wyrzuceniu z pojazdu?

Delveckio obdarzył mnie kwaśną miną, ale Kaden tylko uśmiechnął się krzywo, rozbawiony.

— Wiesz, mamy pewne doświadczenie z denatami — powiedział. — Może nawet tyle co ty. — Zadzwoił jego telefon komórkowy, zerknął na niego, a potem skinął na Delveckio i wstał. — Nie jesteś naszym współpracownikiem. Nie jesteś policjantem. Tylko, kurwa, pisarzem. A według pierwszego werdyktu, mordercą. Kiedy będzie potrzebna nam twoja pomoc, poprosimy cię.

Gdy odwrócili się do mnie plecami, zasłaniając jednocześnie widok na mnie z lustra, zsunąłem garść zdjęć ze stołu na swoje kolana. Ten ruch był zaskakująco czysto instynktowny.

Kradzież dowodów w pokoju przesłuchań w Centrum Parkera. Ustanawiałem nowe standardy złego zachowania.

Kaden zatrzymał się przy drzwiach. Wielkie zejście zostało przerwane i wrócił po swoje zdjęcia, minus kilka duplikatów. Wyszedł na korytarz razem z Delveckio i skinął na jednego z niewidocznych podkomendnych.

— Spisz pełne zeznania. A potem kopa w dupę i won z nim.

Drzwi się zatrzasnęły i zostałem sam na sam z własnym odbiciem i zdjęciami z miejsca zbrodni wepchniętymi w spodnie.

Chic odwiózł mnie do domu. Ukłonił się, dotykając daszka czapki.

— Czy to będzie wszystko, miss Daisy?

— Wy, ludzie, macie takie dobre maniery. — Wskoczyłem z wozu.

Mój kubek na śmieci został wywrócony do góry dnem, a jego zawartość rozsypana po całym bocznym chodniku. Tenisówki zazgrzytały na odłamkach szkła w wejściu. Dwie noce w domu, dwa najścia. Odtwarzałem w głowie przeszukanie domu w półśnie, kiedy się obudziłem z raną na nodze. Czy napastnik był w domu razem ze mną? Czy już zdążył się wymknąć? Czy przyszedł ulicą, czy zakradł się z boczem? Zbadałem przesuwane drzwi balkonowe, czy nie mają smug, które mogłem pominąć w ciemnościach, a potem wszedłem na taras i wyjrzałem za balustradę, jakbym potrafił odróżnić lekko podeptany bluszcz od nie podeptanego. Z powrotem w środku podążyłem wypranymi krwawymi odciskami stóp na górę. Oczywiście w mojej nowo zepsutej kamerze cyfrowej nie było taśmy. Co za rozczarowanie, ponieważ chciałem zachować dla potomnych moją minę pod tytułem „o, cholera” tuż przed tym, zanim dziewięć dziesięciu siedmiu członków SWAT-u rozłożyło mnie płasko na podłodze.

Chyba przyszli Dannerowie będą musieli się zadowolić nocnymi powtórkami *Hunter Pray*.

W gabinecie policjanci zostawili pootwierane szuflady, skoroszyty i rachunki powciskane nie na swoje miejsca albo rzucone na podłogę. Sterta nieprzeczytanej poczty została posegregowana na nowo i usłużnie pootwierano te koperty, do których jeszcze nie dotarłem.

Wziąłem gorący prysznic. Strumienie wody starały się usunąć z mojej pamięci bezkrwistą twarz Kasey Broach. Jej przykurczone dłonie niczym cieliste szpony. Jej odsłonięte ramiona poznaczone ukąszeniami owadów. Co by pomyślała, gdyby ktoś wziął ją na bok w trzeciej albo dziesiątej klasie i powiedział jej, że skończy kiedyś porzucona pod estakadą autostrady w Rampart? Porównałem mój tak zwany ciężki poranek z porankiem, który nadal przeżywa jej rodzina, i zadziwiająco jasne się stało, że nie mam się o co pieklić. Pomyślałem o gorącej wodzie, którą nadal mogłem czuć, o powietrzu, którym mogłem oddychać. O Chicu i Angeli, i Prestonie. O tym, że miałem prawo milczeć, że miałem prawo do adwokata i ławy przysięgłych, którzy inteligentnie rozważą moją winę. Żyłem. Byłem wolny. Byłem zdrowy. Nie czułem winy — nie, nie to — ale, co dziwne, wdzięczność. I z tej wdzięczności — nie z gniewu, czy nawet z winy — wynikła myśl, że mogę wybrnąć z tego, gdzie wylądowałem.

Wytarłem się. Na samoprzylepnej karteczce na lustrze swoimi dziecinnymi bazgrołami Chic napisał cytat z Eleonory Roosevelt: *Trzeba akceptować to, co niesie życie, a najważniejsze, aby przyjmować to z odwagą i dawać innym wszystko, co masz najlepszego do zaoferowania*. Po spotkaniu nowych lokatorów Chic posłał mnie z tą kartką do domu. Spadała ona wiele razy i niezliczoną ilość razy była przyklepiana na nowo.



Przemyśl wszystko. Dzień po dniu. To potrafiłem. Potrafiłem nawet lepiej.

Skradzione zdjęcia policyjne, wydobyte ze spodni, spoczywały na blacie obok pasty do zębów. Tak jak zasugerowałem to Prestonowi, nie miałem oficjalnego wsparcia. Lecz miałem coś zamiast tego, poza moją szczególną umiejętnością myślenia pomimo niedoli, bez wsparcia przyjaciół z różnych i przedziwnych okresów życia, bez listy kontaktów dziwnie pasującej... cóż, do tego.

Miałem scenariusz. A przynajmniej początek.

Ale — jak zapytałem siebie zeszłej nocy — dokąd teraz? Wpatrywałem się w zdjęcia Kasey Broach, pogniecione po nielegalnej podróży, i chciałem wiedzieć, dlaczego to ciało zaplątało się w moim życiorysie. Przeszukałem na palmtopie listę moich konsultantów, którzy uzbierali się w trakcie kariery Dereka Chainera — z Navy SEAL\*, szeryfowie, asystenci prokuratorów okręgowych, koronerzy, bezwzględni prywatni detektywi, względni ochroniarze, strażacy, kryminolodzy. Sięgnąłem po notes z nocnego stolika i zapisałem nazwiska tych, których wiedza mogłaby mi się przydać. Poniżej sporządziłem listę wszystkich, którzy mnie nienawidzili albo chcieli mnie skrzywdzić. *Rodzina Bertrand. Fikcyjny kochanek Genevieve. Kaden i Delveckio*. Pisanie przerwała pewna myśl — znalazłem się w tej sytuacji nie do pozazdroszczenia, ponieważ szedłem na skróty. W życiu wielokrotnie chodziłem na skróty. Pytanie brzmiało: kto z nich teraz mnie ściga?

\* Oddziały United States Navy Sea, Air and Land (SEAL) to elitarne siły specjalne amerykańskiej marynarki.

Zabrzączał dzwonek przy drzwiach. W ręczniku przywitałem posłańca z mojego biura adwokackiego, który przyniósł akta sprawy. Zdziwiający,

jakich usług można sobie zażyczyć za ćwierć miliona.

Jawność rozprawy dawała mi prawo do wglądu w materiały, które policja Los Angeles zebrała podczas przygotowań do procesu — pełne, poufne dowody w sprawie Genevieve. Położyłem je na stole w kuchni, który zakolysał się w uznaniu, i zacząłem wertować.

Materiały były znajome, a jednocześnie obce. Wydawało mi się, że pochodzą z innego okresu życia, chociaż ostateczny wyrok wydano zaledwie przedwczoraj.

Gus, ciągnąc przez taras swoje potężne pośladki, zatrzymał się, aby wbić we mnie oczy podobne czarnym kamynom. Zniknął na moment w bluszczu, zanim jastrząb zaniechał lotu nurkowego i lądowania na poręcz tarasu. Jeden wiewiórczy krok przed kostuchą.

Wypełniasz fabułę. Bo inaczej fabuła wypełni ciebie.

Z półki-ołtarzyka wyciągnąłem jedną z moich powieści — odpowiedniej grubości — i wepchnąłem pod nogę stołu, aby przestał się kolebać. Włożyłem spodnie od dresu i podarty T-shirt, który nosiłem jeszcze na studiach, pozbierałem śmieci, które policja rozrzuciła pod domem, zamiotłem wejście, posklejałem popękane szybki we frontowych drzwiach i wciągnąłem do odkurzacza potłuczone szkło.

Obszedłem biurko, usiadłem, wysunąłem o jedną pozycję podłokietniki, sięgnąłem po jednorazowy długopis marki Bic i wsunąłem go za lewe ucho. Notes ułożyłem po lewej stronie. Akta sprawy po prawej, za podkładką na myszkę. Powyciągałem raporty laboratorium, raporty policyjne, notatki z dochodzenia oraz raport koronera i rozłożyłem je równo na biurku.

Dirk Dupkobrody nie będzie miał się do czego przyczepić.

Wykonałem pierwszą część badań. Znałem postacie. Miałem miejsce. Dokopałem się kilku wątków. Przysunąłem się więc do biurka i zacząłem pisać.

Obudziłem się. Do rąk miałem podłączone kroplówki, a do nosa wepchnięty zgłębnik. Język, odrętwiały i nabrzmiały, jak jakiś gałgan, napierał na zęby. W ustach czułem gorąco i posmak miedzi. Od zgrzytania zębami obluzowały mi się trzonowce. Zmrużyłem oczy przed ostrym światłem i z trudem skierowałem wzrok na czyjąś rozmazaną twarz. Znajdowała się zbyt blisko, aby był to przypadek — na krześle z oparciem odwróconym do przodu siedział okrakiem jakiś mężczyzna. Silne ramiona splótł na piersi, z kwadratowej pięści zwisała kartka. Za nim inny facet, ubrany podobnie — w wymiętą, sportową marynarkę, rozluźniony krawat pod rozpiętym kołnierzykiem, na biodrze błysk metalu. Lekarz, zepchnięty do roli gapia, stał w drzwiach, ignorując elektroniczne piski. Leżałem w szpitalu.

Wraz ze świadomością pojawił się ból.

Obudziłem się wcześniej; rzeński i pełen odnowionej ochoty do działania. Domowa linia telefoniczna nadal była głucha, przyniosłem więc komórkę z gabinetu. Zadzwoiłem do biura koronera, żeby porozmawiać z urzędnikiem, któremu wcześniej zapłaciłem za wyniesienie pewnych dokumentów, i poprosiłem o autopsję Broach.

— Jesteś mordercą — odpowiedział. — Odpierdol się i nie dzwoń więcej. — Rozłączył się.

Zszedłem na dół, zrobiłem sobie filiżankę espresso za sto trzydzieści osiem dolarów i wzniosłem toast w stronę Gusa na tarasie.

— Ty i ja jesteśmy tylko graczami w tej szalonej grze zwanej życiem.

Gus, surowy krytyk, czmychnął na rozłożystą meksykańską palmę na skraju trawnika.

Zadzwoiłem do znajomej analityczki DNA w laboratorium medycznym. Nie podeszła do telefonu, chociaż jej oburzenie wypowiedziane scenicznym szeptem przecisnęło się między niedokładnie przyciśniętą dłonią sekretarki a mikrofonem słuchawki.

Mój pierwszy rękopis był odrzucany siedemnaście razy, zanim został przyjęty. Obliczałem, że tu mam nieco większe szanse. Wróciłem do akt i ponownie sprawdziłem nazwiska wszystkich policjantów, kryminologów, koronerów i urzędników, a nawet rozszyfrowałem nieczytelne podpisy u dołu formularzy z nakazem aresztowania. Jedyнным znajomym nazwiskiem było to, od którego zacząłem — Lloyd Wagner. Poza detektywami znał on sprawę Genevieve lepiej niż ktokolwiek inny; to on zajmował się wszystkim, począwszy od odzyskania moich wiadomości głosowych do dopasowania noża do rany. Lloyd także dokonał oględzin ciała Kasey Broach. Zważywszy na nasze wspólne relacje, miałem nadzieję, że jeżeli porozmawiałbym z nim przez kilka minut, mógłbym go przekonać, aby poświęcił mi nieco więcej czasu.

Dodzwoniłem się na jego pocztę głosową w laboratorium, na komórecce i w domu. Jako że doniósł detektywom o mojej ostatniej wiadomości, nie chciałem nagrywać kolejnej. Zamknąłem telefon, potarłem skronie i wypilem kolejną filiżankę espresso, aby splukać dilantin.

Skoro nie miałem szans dotrzeć do kogokolwiek związanego ze sprawą, mogłem przynajmniej spróbować u kogoś, kto był na uprzywilejowanej pozycji. Cal Unger, mój główny konsultant w sprawach Chainera, był detektywem na okręg poza zachodnim LA. Jego praca nie miała blasku — j jeśli tego słowa można użyć w tym kontekście — spraw prowadzonych przez wydział kradzieży i zabójstw w śródmieściu. Tutaj detektywi prowadzili sprawy seryjnych morderców, napadów na banki i takie medialne przypadki jak mój. Mieli władzę nad całym miastem, lepsze wyposażenie i bardziej eleganckie garnitury. Cal — ciałem i duszą oddany piwu Coors — zamknął kilka grubszych spraw w okręgu i już od pewnego czasu szykował się do awansu do centrum. Byłem całkowicie świadom, że z niezliczonych godzin, które mi poświęcił przez ostatnie kilka

lat, większość spędziliśmy na rozmowach o wydziale kradzieży i zabójstw.

Cal i ja mieliśmy niepisaną umowę: on nie będzie zbywał moich pytań, a ja nie będę zamieszczał niepochlebnych opisów kogoś mocno podobnego do niego. Folgował mi zatem, ja zaś szanowałem jego talent i twardość, i do tej pory nie pojawiło się drukiem nic, co skłoniłoby oficera prasowego policji Los Angeles do wbicia buta w jego tyłek. Jednak zdecydowanie dawało się wyczuć pewne napięcie. Cal zawsze naciskał trochę za mocno, kiedy demonstrował na mnie chwyt z duszeniem, i raczej nie krył się z pewną zaowalowaną pogardą dla mojej pracy, biorąc się, jak mi się wydaje, z nam obu znanego faktu, że gdyby naprawdę był twardzielem, jak Bill Kaden, to nie gadałby z pisarzem ani nie brał zaocznie udziału w wyczynach zmyślonego detektywa. Cal plasował się w tej kategorii policyjnych konsultantów, którzy szczerze poświęcali własny czas, a jednocześnie otwarcie krytykowali gównianą rozrywkę, jak to dupek-pisarz powiedział na rewolwer „pistolet”, a jakiś sprzedajny aktorzyzna telewizyjny nazwał swojego glocka kaliber .357 — magnum. Wyrwaliby mi jaja na posterunku, a ja cały czas uśmiechałem się i kiwałem głową, wiedząc, że jak tylko znajdziemy się w samochodzie i pojedziemy na lunch albo patrol, odchrząkną nieśmiało i podrzucą mi pomysł na scenariusz — coś o wypalonych gliniarzach, zaginionych białych dziewczynkach, a czasami nawet o złym wpływie Jezusa.

Pomimo tego wszystkiego — albo może właśnie przez to — lubiłem i szanowałem Cala. Był przystojny, dobrze zbudowany i mógł nosić przeciwsłoneczne okulary niczym Clint Eastwood groźną minę. Niektórzy ludzie emanują pewnością siebie i Cal do nich należał. Jak Lenny Kravitz albo Bono, których bez konsekwencji mogłeś słuchać wszędzie, w każdym towarzystwie. Cecha trudna do znalezienia. Obojętnie, jak

bardzo kryjesz się z tym, że podoba ci się Kelly Clarkson, nadal na skrzyżowaniu podkręcasz okna w samochodzie, kiedy akurat leci w twoim radiu. Jednak nie Cal. Cal to Bono. Nigdy nie musiałbyś podkręcać okien, gdyby śpiewał Cal.

Zadzwońiłem do niego do pracy. Automatyczna sekretarka. Spróbowałem na komórkę. Odebrał w połowie zamówienia:

— Poczwórny, bez cebuli. — A potem na pełną głośność: — Unger.

Rozłączyłem się. Był tam, gdzie często umawialiśmy się na lunch: In-N-Out Burger w Westwood.

Zerknąłem na zegar: dziesiąta trzydzieści dwie przed południem. Wcześniej wystartował z poborem kalorii. Prawdopodobnie zaczął zmianę o siódmej, odbierając doniesienie od histerycznej rozwódki z Bel-Air o skradzionym łóżku do opalania. Słyszałem, że jest na nie duży czarny rynek.

Pomknąłem Roscomare Road do Westwood i złapałem Cala przy jakskrawo kolorowym stoliku. Ścianę za jego plecami zdobiła linia kafelków z palmami. Jego partner, nieznan mi młody policjant, dziobał frytki. Te frytki to niespecjalny atut w In-N-Out.

Cal obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem i niczego szczególnego nie zauważył. Przedstawiłem się żółtodziobowi, Samowi Pellicano i spojrziałem na Cala, który jeszcze się nie odezwał.

— Na pewno słyszałeś o mojej sprawie — powiedziałem. — Nie jest tak, jak wygląda. Tu się kryje inna historia i staram się dotrzeć do jej sedna. Będę ci wdzięczny za pomoc.

Cal wytarł stół przed sobą, chociaż wcale nie nakruszył.

— Oto, jak było — powiedział. — Znałeś kuzyna kapitana, ponieważ kiedyś skontaktowałeś go z agentem. Kapitan spiknął cię z oficerem prasowym. Rozeszła się wieść: kto chce go obstawiać? Przeklinamy LA, bo zostałem wybrany, a to dlatego, że podkochiwała się we mnie bratanica

kapitana. Prasowy kazał mi być miły, od czasu do czasu podsunąć ci jakiś temat. Pozwalam ci udawać, że co nieco wiesz, ponieważ używasz właściwej terminologii kryminalistycznej i masz kilku kumpli wśród gliniarzy, którzy trzymają z tobą dla twojej kasy i tych innych pierdoł. Biorę cię na patrole. Śmieję się z twoich żartów. Płacisz za lunch, czasami zabierasz mnie na pokazy filmowe. Masz dom na wzgórzach z ładnym tarasem, gdzie można wypalić cygaro. Dlatego ciebie znoszę.

Cal, szykując się do wyjścia, nasunął na nos okulary. Moje odbicie w lustrzankach pokazywało, jak bardzo jestem rozczarowany i ogłupiały.

— Teraz jesteś mordercą — powiedział. — Co znaczy, że więcej nie muszę udawać, że cię lubię. Ani tobie pomagać. — Wyszedł zza stolika, a ja musiałem się cofnąć, abym mógł się wyprostować. Wyglądało na to, że Sam jest pod wrażeniem, jakby było to coś najfajniejszego, co widział w ciągu całych swoich piętnastu lat.

— Po mojemu faceci tacy jak ty, to wredni wyzyskiwacze — przemaślał dalej Cal. — Wymyślcie organizacje terrorystyczne i seryjnych morderców, karmicie się strachem prawdziwych ludzi i nieźle sobie z tego życie ich kosztem. Mało gówna dzieje się na świecie, żebyście jeszcze je wychwalali? Bawiłeś się po ciemku i nie podoba ci się, co z tego wyszło. Mnie to nie obchodzi. Już nie.

— Dobra — powiedziałem. — Pokazałeś przed młodym, że jesteś lepszy moralnie?

— Tymczasem.

— W takim razie będziemy udawać, że obaj zapomnieliśmy o twoim pomysłe na godzinną sztukę, o którym mi opowiadałeś. Tę o detektywie, który bierze zbyt wiele nadgodzin, śledząc... Nie był to Morderca w Czerwonych Rękawiczkach? A żona po prostu go nie rozumie?



Cał wyminął mnie, szturchając w ramię. Sam wyglądał na zmartwionego, niepewny, czy ruszyć na mnie z miną twardziela, czy czmychnąć za swoim drużynowym.

— Chłopcy w śródmieściu są zbyt zajęci potwierdzaniem własnej wyższości, żeby na świeżo przyjrzeć się tym morderstwom — powiedziałem za nim.

Cał okręcił się na pięcie z ustami wykrzywionymi w drwiącym grymasie.

— Kaden i Delveccio? Chłopie, z radością dałbym popalić tym przebierańcom z wydziału zabójstw. Gdyby tylko szalony pisarz dał mi cynk.

Nie bacząc na sarkazm, śledził sprawę, jak byłem o tym przekonany.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnąłem zwinięte w rulon kartki i podałem mu.

— Oto jak sprawa przedstawia się na dzisiaj. Z mojej perspektywy. Gdybyś był inteligentny i ambitny, wiedziałbyś, że masz wyłączność na duże śledztwo.

— Ani jedno, ani drugie. — Wpatrywał się jednak w zwitek papierów zbyt łapczywie jak na kogoś, kto zjadł właśnie poczwórnego burgera.

— I tak to weź. To tylko dwanaście rozdziałów. Możesz sobie poczytać w wannie z bąbelkami. Niedługo do ciebie zajrzę i będę się naprzykrzać o jedno albo drugie, więc lepiej odrób lekcje, żebyś wyglądał odpowiednio idiotycznie po tym, co tak pochopnie powiedziałeś, jak będziemy palić cygara na moim ładnym tarasie.

Zamachnąłem się rulonem tak, że trafiłem Sama w pierś, a on chwycił kartki z zaskoczeniem na twarzy. Wyszedłem, zanim mógł we mnie nimi rzucić.

Oparłem się w fotelu i położyłem nogi na biurko. Od skupiania się na sądowych dokumentach, nieczytelnych podpisach na raportach i gazetowych fotografiach o dużej ziarnistości szczerze wam oddanego miałem zaczerwienione oczy. Dzielilem uwagę — pół na kartkę, pół na gmatwaninę niedokończonych myśli. Było dopiero kilka minut po piątej, a słońce już schowało się za rząd palm wieńczących grzbiet kanionu. Podświetlone od tyłu palczaste liście wprawiały mnie w podziw nawet po dwudziestu latach spędzonych w LA.

Palmy, importowane jak my wszyscy, sprowadzili przed wiekami do Los Angeles hiszpańscy misjonarze. Czytałem gdzieś, że tutaj wymierają, że najmłodsze dożywają wyznaczonej im granicy stu lat. Miejscowe władze zdecydowały, że ich rozłożyste listowie lepiej walczy z emisją spalin. Kasyna w Vegas podniosły ceny poza zasięg zarządu miasta. Spadające liście straszyły młodych nowobogackich, rysowały lakier ich mini cooperów. Piły ogrodników roznosiły grzyby. Ale pomimo wszystko palmy trzymały się. Ocalały dzięki dyskretnym korzeniom i giętkim pniom. Nie padają podczas sztormów. Chylą się wraz z wiatrem. Rozprzestrzeniają się po cienistym piachu, aż na północy podniosą szyje ku słońcu.

Są bezcenne i nieustępliwe, piękne i bezużyteczne, jak większość tego, co przeżywa w Los Angeles. Miałem nadzieję, że wytrzymają. Wyobrażać sobie Los Angeles bez palm to jak myśleć o lwie bez grzywy. Zadzwo-  
niłem do laboratorium po raz piąty i jakimś cudem odebrał Lloyd. Po mo-  
im „cześć” jego głos stęzał:

— Nie możesz do mnie dzwonić. Szczególnie tutaj.

— Przyjrzałem się pewnym rzeczom. W sprawie Broach. Muszę z to-  
bą pogadać.

Pauza wskazywała na to, że wzbudziłem jego ciekawość.

— Nie przychodź tu.

— Po pracy?

— Janice nie czuje się najlepiej.

— Przykro mi, że się pogorszyło.

Słyszałem w słuchawce jego oddech. Po chwili odezwał się cicho:

— Dziękuję.

— Na pewno sporo masz na głowie, ale naprawdę będę wdzięczny,  
jeśli zechcesz mi poświęcić kilka minut. Mogę to jakoś tobie ułatwić?  
Przyjadę do ciebie, zabiorę na obiad, cokolwiek.

Usłyszałem w tle jakieś szepty. Potem rozległ się głos Lloyda, zmie-  
niony:

— Dobra, w porządku, Freddy. Zajmę się tym jutro. Właśnie wycho-  
dziłem. — I rozłączył się.

Po drodze do domu Lloyda w północnym Hollywood zajechałem do  
Henry's Tacos, a potem zatrzymałem się w monopolowym po butelkę  
Bacardi 8, jego ulubioną, i dwulitrową colę. Mieszkał w ślepych zaułku  
wijącym się za zarośniętym parkiem, w wielkim, starym domu z dobu-  
dówkami, przestronnymi korytarzami i wrotami od stodoły strzegącymi  
żwirowego wjazdu. Przesunąłem zardzewiałą zasuwę i ruszyłem nie-  
oświetlonym podjazdem. Dom stał odwrócony od ulicy, dzięki czemu ze

środku można było cieszyć się widokiem parku, ale sprawiał wrażenie niegościnnego, zapraszając jedynie przez niewielkie kuchenne drzwi.

Zastałem Lloyda w wolno stojącym garażu tuż za domem; męczył się ze sprzętem w tyle furgonetki. Garaż zapełniały przemysłowe półki od podłogi po sufit, a pod czarną płachtą hibernował samochód. Zbliżyłem się, a on wzdygnął się na moje powitanie. Van, jak zawsze, zasypany był różnościami i bliżej nieokreślonym sprzętem. Skanery do badania odcisków palców. Sekatory do cięcia żeberek. Kolorowy gips dentystyczny do wykonywania odlewów odcisków butów. Raz spędziłem poranek, jeżdżąc z nim, kiedy zbierał siedemnaście rodzajów oleju silnikowego, który próbował dopasować do płamy pozostawionej przez samochód uciekinierów.

Wkładał do chlebaka najrozmaitsze fiolki i buteleczki, a kiedy się zjawiłem, przerwał niechętnie.

— Nie potrafię już zliczyć, ile ona zażywa środków przeciwbólowych — powiedział, jakby podjął przerwana rozmowę.

— Dzięki, Lloyd, że zgodziłeś się ze mną spotkać, kiedy tyle masz na głowie.

Tyłne drzwi furgonetki, które opierały się ciężko o uśpiony wóz, zawyły, gdy je zatrzaskiwał. Poszedłem za nim. Bywałem tu już wcześniej, przyjeżdżałem po niego, podrzucałem rękopisy, ale tym razem po pierwszy znalazłem się w środku. Dom był ciemny, jedynie kilka lamp rzucało płamy światła w kuchni i salonie. Ze zlewu wysypywały się naczynia. Czyste talerze i salaterki ustawione były na blatach, jakby nikt nie miał sił, żeby pochować je w szafkach. Zwinięta narzuta zrobiona na szydełku, poduszki do spania zmieszane z ozdobnymi. W powietrzu unosiła się para po niedawnym gotowaniu. Tęgawa kobieta siedziała w fotelu i oglądała hiszpański talk show, sącząc herbatę z filiżanki.

- Halo, mister Wagner.
- Jak ona się dzisiaj czuje?
- Ona czuje dobrze. Ona bardzo dobrze.

Lloyd wręczył jej zwitek banknotów. Kobieta opłukała kubek w zlewie, skinęła ciepło głową i powłócząc nogami, wyszła z kuchni. Przed domem nie czekał żaden samochód, w pobliżu nie było też żadnego przystanku autobusowego.

Kiedy się rozejrzałem, zrozumiałem, dlaczego Lloyd nie oddzwonił po pierwszej wiadomości ode mnie. Przy tym, co tu się działo, na pewno nie potrzebował do pełni szczęścia wizyt rzekomego psychotycznego mordercy.

— Przepraszam za bałagan. Janice jest jedynaczką, oboje rodzice zmarli. Nie mamy żadnej pomocy. — Lloyd pochylił głowę, przerywając, jakby musiał zaczerpnąć tchu. — Rozgość się. Zaraz wrócę.

Skierował się do holu, ale zamarł na chwilę, zbierając się na odwagę. Na końcu długiego korytarza pod drzwiami sączyła się smużka światła. Lloyd poprawił pasek chlebaka i skierował się w tamtą stronę.

Zrobiłem miejsce na stole kuchennym i rozpakowałem jedzenie. Kiedy otworzyły się drzwi, korytarz zalało światło, dobiegły mnie szepty i uspokajający szum sprzętu medycznego; potem zamknięte drzwi odcięły jakiegokolwiek dźwięki. Wziąłem parę szklanek z blatu, do mojej nalałem wody. Z kubka przy pojemniku z mydłem w płynie wychylała się szczoteczka do zębów. Przy drzwiach, z kopczyka obuwia, sterczał samotny sandał z odcisniętym kształtem kobiecej stopy, prosty obraz, który mnie zaniepokoił. Pomyślałem o tym drugim samochodzie w garażu, tym nieużywanym. Lloyd prawdopodobnie nie miał serca go sprzedać.

Na podłodze obok kanapy stało kilka tac. Zaniósłem je do kuchni, umyłem i na jedną załadowałem taco. Poskładałem koce na kanapie,

ułożyłem poduszki i naląłem Lloydowi drinka. Zdjęcia jego i Janice były wszędzie — wisiały na ścianach, przypięte magnesami na lodówce, stały w ramkach na biblioteczkach. Fotografie ślubne z niezdarkim Lloydem z wielkimi uszami i blond lokami, wiszącym Janice na ramieniu, jakby nadal nie mógł uwierzyć, że ją zdobył. Uśmiechnięta Janice w cytrynowo-zielonym gremlinie, z pierzastymi włosami wlatującymi poza ramkę. Standardowe zdjęcie na piętnastą rocznicę, w objęciach na tle wieży Eiffla. Nigdy nie spotkałem Janice, ale ze smutkiem zauważyłem, że te ostatnie zdjęcia Lloyd'a były przynajmniej sprzed pięciu lat. Umierała, od kiedy go poznałem.

Wyłączyłem telewizor i usiadłem w fotelu, wsłuchując się w trzeszczenie domu. Wyobrażałem sobie rozdwojone życie Lloyd'a, podzielone między ten kraniec domu a sypialnię. Jak zostawał tutaj, aby oddychać swobodniej. Jak podpierał się, aby przejść na spotkanie z żoną. Jak, być może, spędzał noce, pełząc z tego krańca domu ku tej smużce światła.

Wpatrywałem się w ciemny korytarz i rozumiałem, że boję się, i to bardzo, tego, co kryje ta sypialnia.

Strach przed śmiercią. Wszyscy go znamy. Odsuwamy go nieudolnie, uczymy się go wymijać, jak pływacy w ciemnej wodzie. Obsesyjny kultu-rysta. Niedzielny pilot kaskader. Dziwka z sali bilardowej. Za dużo pije-my. Odkładamy operacje. Gwiżdżemy pod domami starców. Kiedy do tego dochodzi, wszyscy się boimy, co jest za tymi drzwiami na końcu korytarza. Właśnie dlatego piszę te posępne gnioty. Aby udawać, że szturcham śmierć kijem. Dlatego ludzie czytają je w metrze i samolotach, myśląc, że znaleźli się twarzą w twarz z tym, co najposepniejsze i najgłębsze.

Szczelina w mojej głowie, szczelina w cudownej, białej skórze Genevieve, szczelina pod drzwiami. Same pęknięcia w tym, co uważamy, że

jest spójne. Nigdy nie czułem się tak zjednoczony z kruchością wokół mnie, z pęknięciami i rysami. Są wszędzie. Musisz jedynie zatrzymać się i spojrzeć.

Korytarz rozświetlił się na moment i wtedy usłyszałem, że zbliża się Lloyd. Podąłem mu drinka. Odłożył chlebak, osunął się na kanapę, popił łyk i westchnął.

— Dzięki, Drew. To miłe.

— Taco i Bacardi. Stary, rodzinny przepis. Jak się czuje Janice?

Machnął ręką.

— Nawrót. Tym razem druga pierś. Przy trzecim razie wóz albo przewóz.

— Gdzie się leczy?

— W Cedars.

— Słyszałem, że mają tam dobry oddział onkologiczny. — Im dłużej moja uwaga wisiała w powietrzu, tym bardziej wydawała się pusta.

Blask lamp zaciemniał ładny widok za oknami na tyłach domu. Lloyd skończył drinka i zaproponował:

— Nalać ci?

— Ale tylko wodę.

— Och, tak. — Znowu napełnił sobie szklanekę, rozpakował taco, ugryzł i odłożył. — Naprawdę przykro mi z powodu tego, co przeszedłeś, Drew, ale nie wolno mi z tobą rozmawiać. Jesteś podejrzan.

— Nie postawiono mi zarzutów. Dostarczyłem dowód, że nie miałem nic wspólnego z...

— Słyszałem.

— Wiesz, Kaden i Delveckio ujawnili mi już całkiem sporo. Chcę jedynie obgadać to, co wiem. Możemy nawet zacząć od Genevieve. Mam akta śledcze, rozprawa skończona. Tutaj nie popełnisz gafy.

W połowie drugiej kolejki rumu z colą Lloyd zamrugał ciężko oczyma, jakby mu opadała głowa.

— Nie pamiętasz tego wszystkiego z procesu?

— Jak przez mgłę. Chciałbym jeszcze raz usłyszeć to od ciebie.

Nastąpiła niezręczna pauza, a potem Lloyd powiedział:

— Dość paskudnie.

— Myślałeś, że ujdzie mi na sucho?

— Nie wyobrażałem sobie, aby ława skazała cię z guzem mózgu w słoiku, ale dowody... — Długimi palcami chwycił z góry brzeg szklanki i balansował ciemnym płynem w środku. Kontemplował mieszankę rumu. Wiedziałem, że w środku toczy się milcząca rozmowa.

Odezwałem się:

— Twój raport wykazał, że Genevieve, broniąc się, nie odniosła żadnych ran, nie odnaleziono żadnej skóry pod paznokciami.

— Według Katherine Harriman to dlatego, że Genevieve cię znała.

— Ale Katherine Harriman, w przeciwieństwie do mnie, nie znała Genevieve. Genevieve trudno było zaskoczyć, szczególnie jeżeli zerwała się z łóżka, gdy do sypialni wszedł intruz. Nie obejmowałaby noża. Gdyby zobaczyła ostrze, rzuciłaby się z pazurami i zębami.

— Pchnięcie było potężne. Śmierć w zasadzie nastąpiła natychmiast.

— Odciski na nożu?

— Poza tymi Genevieve i jej młodszej siostry? Tylko twoje.

— Profil podejrzanego?

— Wiesz, jak zwykle. Leworęczny mężczyzna, dziewięćdziesiąt kilo, diaboliczny błysk w oku.

— Leworęczny... Wnioskujesz po kącie zadania ciosu?



Zerknął na zegarek na moim prawym nadgarstku.

— Yh-hm. Lekki kąt.

— Mężczyzna?

— Siła, z jaką zadano pchnięcie.

— Ruszono ciało?

— Tak. Sporo. — Kolejna niezręczna pauza. — Ty ruszałeś. Atak taki jak twój określa się mianem „częściowo złożonego”. Nie taki, kiedy dostajesz konwulsji; to raczej utrata świadomości z automatyzacją; cmokanie ustami, powtarzalne ruchy palców. Ludzie mogą nawet chodzić w kółko. Częściowo złożone ataki wykorzystywano jako obronę w sprawach o kradzież, chociaż to lekka przesada. Ale mogłeś zachować funkcje na tyle, żeby manipulować ciałem Genevieve Bertrand. Do chwili gdy twój atak przeszedł w uogólnioną pierwotnie padaczkę.

— Mógłbym zadać jej cios w tym stanie? Częściowo złożonym?

— Raczej nie. Zgodzę się z Harriman, że ataku dostałeś raczej po morderstwie. — Przyjrzał się mojej twarzy, a potem dodał cicho: — Przykro mi, Drew.

Oparłem się, przetarłem obolałe oczy nasadą dłoni.

— Podczas pierwszej nocy w domu miałem sen. Jechałem do jej domu. Całkowicie podniecony. Ona trzymała klucz pod doniczką na werandzie. Stłukłem glinianą podstawkę, chcąc tam wejść. Kiedy się obudziłem, pojechałem do niej. — Miałem opowiedzieć mu całą resztę? Mogłem? W domu Lloyda panował taki spokój, że nieomal dobiegał do mnie cichy syk szpitalnego sprzętu z drugiego końca. — Podstawka pękła. Nie była pęknięta, kiedy widziałem ją ostatni raz. Chyba przyśnił mi się fragment pamięci. Chyba zaczynam składać fragmenty wydarzeń tamtej nocy.

Lloyd się skrzywił.

— Co rozumiesz, mówiąc, że jechałeś podniecony?

- Mocno się pocilem. Byłem przerażony.
- Czy przypominasz sobie jakiś konkretny zapach?

Pas skóry na karku nagle zrobił się zimny. Głos uwiązał mi w gardle, więc skinąłem głową.

— Gorzki? Jak spalona guma? — Lloyd nie musiał czekać na odpowiedź. Wyczytał ją z mojej twarzy. — To się nazywa aura wężowa. Często pojawia się tuż przed atakiem padaczki.

Pamiętam, że słyszałem o aurach, ale nie połączyłem tej informacji ze snem.

- Mogę cię zapytać o coś jeszcze?
- Pytanie, czy potrafisz na to odpowiedzieć?
- Chciałbym się dowiedzieć, co to jest sevofluran — powiedziałem.

Lloyd nałożył okulary, jakby pomagały mu myśleć i odpowiedział ostrożnie:

- A co z nim?
- Znalazłeś jego ślady w krwi Kasey Broach.
- Kaden i Delveckio powiedzieli ci o tym?

Nie wiedziałem, czy jest zaszokowany czy wściekły.

— Tej nocy, kiedy miałem ten sen, po przebudzeniu byłem naprawdę oszołomiony i niewyraźnie widziałem. Miałem też ranę na nodze... chyba ktoś mnie pozbawił przytomności i pobrał mi krew, żeby mnie wrobić.

Lloyd wydobył z siebie coś pomiędzy kaszlnięciem a śmiechem, choć zupełnie pozbawionym wesołości.

— Drew...

— Tylko mnie wysłuchaj, Lloyd. Poszukałem sobie dzisiaj informacji o tym sevofluranie. To idealny lek do tego celu. Łatwo się wdycha, szybko wprowadza anestezję, ma niedrażniący zapach. Jest też szybko wydalanany z krwi, więc trudno go znaleźć. Brak silnych skutków ubocznych, więc nie wiedziałbym, że mi go podano.

— A wiedziałeś?

— Cóż, morderca miał ułatwiony start, ponieważ trzeba zacząć od tego, że zakładałem własną niepoczytalność. Ale rzecz w tym, że sevofluran wywołuje amnezję.

— Więc sądzisz...

— Sądzę, że ten gaz pchnął mnie z powrotem w te same utracone obszary pamięci w mózgu, co guz. Pomógł mi odzyskać część tamtej nocy — mówiłem głośno, byłem podekscytowany. Lloyd zaczął coś mówić, ale uniosłem dłoń. — Odkryłem też, że sevofluran daje ponadto „dobry czas działania”, ale chyba obudziłem się za wcześnie. Mogłem widzieć intruza na ulicy przed domem, co znaczy, że odzyskałem przytomność szybciej, niż on tego chciał. Zastanawiam się dlaczego. Może mam zwiększoną tolerancję za sprawą wątpliwej przeszłości.

— Raczej byłoby odwrotnie. Jeżeli doszło do uszkodzenia wątroby, stałbyś się raczej bardziej wrażliwy na sevofluran. Ale strasznie dużo uzależniasz od poszlak. Weźmy na początek utratę przytomności. Nie wiesz, co ją spowodowało. Guz? Operacja? Anestezja?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Lecz było zbyt wiele ruchomych elementów, aby mieć o co się zaczepić.

— Ten sevofluran? Jak go się podaje?

Lloyd poprawił się na kanapie i zakręcił kieliszkiem z drinkiem.

— Przez maskę.

— Tak sądziłem. Więc może obudziłem się, bo niedokładnie go podano. Może u mnie w domu morderca miał maskę tlenową i rozpylił gaz w sypialni, przy mojej twarzy, gdy spałem. — Strzeliłem palcami, pochylając się do przodu. — Pamiętasz, w sypialni Kasey Broach były ślady walki.

— Kaden i Delveckio to też ci powiedzieli?

— Broach obudziłaby się, gdyby morderca przycisnął do jej twarzy maskę, ale on uznał, że jest wystarczająco silny, aby ją przytrzymać, aż gaz zacznie działać. To drobna kobieta, wygląda na jakiegoś... pięćdziesiąt pięć kilo?

— Pięćdziesiąt sześć — powiedział cicho Lloyd.

— Tak. Ale wątpię, czy ryzykowałby, że się przebudzę, gdyby przycisnął mi maskę do twarzy, więc rozpylił gaz w powietrzu, kiedy spałem.

— Masz jakiś dowód na poparcie tej teorii?

— Nic a nic. Może to wskazuje na kogoś z medycznym doświadczeniem. Trudno go dostać? Ten sevofluran?

— Jest pod kontrolą, ale nie tak jak opiaty.

— Potrafisz określić na podstawie jego poziomu we krwi Broach, jak długo pozostawała nieprzytomna?

— To prawie niemożliwe.

— Możesz powiedzieć, kiedy moje DNA znalazło się na jej ciele? Albo na tej folii malarskiej?

— Nie ma sposobu, aby określić wiek DNA. Jedynie jego obecność podczas analizy. — Lloyd podniósł ręce, rozprostowując cienkie palce. — Poczekajmy trochę. Zwolnij. Nie obrabiasz faktów...

— Jakim sposobem moje DNA znalazło się na ciele Kasey Broach?

— Jeżeli chodzi o raport, nie aresztowaliśmy cię na podstawie DNA. To nie telewizyjny show, potrzebujemy przynajmniej czterdziestu ośmiu godzin, żeby oznaczyć DNA. Wykonaliśmy tradycyjne badanie grupy krwi. Masz AB Rh minus, co plasuje cię w grupie poniżej jednego procenta populacji.

— I na podstawie tego najechał na mnie SWAT?

Pogrzebał w chlebaku i wyciągnął raport, który rzucił w moją stronę, zdenerwowany:

— Dopasowałem mieszek włosowy do rdzenia włosa z twoją próbką, którą przechowujemy.

— A co z tymi? — wskazałem cztery inne próbki dalej na stronie. — Te nie pasują.

— To dlatego, że jeden jest mój, a dwa od Teda McGraw, który pomagał mi badać ciało. — Przyjrzał się mojej twarzy i potrząsnął głową. — Zwykle zanieczyszczenie podczas czynności, zdarza się cały czas. Tylko nie zamknij biednego Teda w komórcie ze świeczką.

— A czwarty włos?

— Niezidentyfikowany. Z bazy danych nic nie pasuje. Trzymamy go, ale to chyba nic takiego. Szczerze mówiąc, dziwię się, że przy takim wie-  
trze nie trafiliśmy na więcej przypadkowych śladów.

— Więc jeden włos dla mnie, jeden dla Tajemniczego Pana. Ale to w moje drzwi walicie taranem.

— Z twoim włosiem, twoją grupą krwi i podobieństwami do ciała Bertrand, Kaden i Delveckio byli gotowi dobrać się do ciebie. W tym stadium jesteś jedynym ogniwem łączącym ofiary. — Lloydowi nawet nie drgnęła powieka. Nie oskarżał, nie wyrokował. Po prostu patrzył niewzruszonym wzrokiem. — Testy DNA wracają jutro. Nie spodziewałbym się jednak, że oczyszczą cię z zarzutów.

— To może być ktoś z wewnątrz. Kaden i Delveckio mówili, że morderca upozował ciało tak, jak ciało Genevieve i w taki sposób, że zdjęcia nie zostały przekazane prasie. A jakiś policjant albo detektyw... może chcieć pogrążyć mnie za zabójstwo Genevieve.

Lloyd spojrział na mnie jak na paranoika, którym byłem.

— Tak bardzo, że zamordowałby niewinną dziewczynę? Daj spokój, Drew. W przypadku zdjęć są przecieki z policji. — Pochylił się i wyrwał mi papier. — W przeciwieństwie do raportów kryminologów. Poza tym, zważywszy na proces, było sporo prawników i reporterów, którzy grzebali

w aktach sprawy Bertrand. Szczegóły nie były traktowane jako tajemnica państwowa. Kaden i Delveccio próbowali coś z ciebie wyciągnąć.

Zdjęcia z laboratorium kryminalistyki, które skradłem, potwierdzały punkt widzenia Lloyd'a. Kaden zrobił się nerwowy, kiedy naciskałem o więcej informacji. O, jest: kurwa, nie twój interes.

Podprowadziłem go nieco następnym pytaniem:

— A jakie są inne kluczowe dowody?

— Sznur. Czysta bawełna, używany do wiązania. Prawdopodobnie zakupiony w sex-shopie.

— Ale dlaczego wiązał kostki sznurem, a nadgarstki taśmą?

— Łatwiej transportować ciało. Łatwiej wyrzucić z samochodu. Żadne kończyny nie latają dookoła.

— Chodzi mi o to, dlaczego użył różnych sposobów związania ciała?

— Wiązałeś komuś ręce sznurem?

— Nie. A ty?

Wybuchnął śmiechem. Zapomniałem, że tak się śmiał — głośno, hałaśliwie.

— Nie. Ale to trudne. Znacznie łatwiej jest wyswobodzić ręce niż nogi.

— To dlaczego nie związać taśmą izolacyjną rąk i nóg?

— Drew, nie mam na to odpowiedzi. Ale zajmujemy się tym. Tym i innymi rzeczami. — Odstawił szklanke i ziewnął. Mogłem sobie jedynie wyobrazić jego zmęczenie; praca przez cały dzień, opieka nad żoną w każdą wolną godzinę poza snem. Odprowadził mnie do drzwi. — To chyba oczywiste, że nie możesz powiedzieć komukolwiek, podkreślam: komukolwiek, że dzisiaj z tobą się widziałem.

— Nie powiem. I nie martw się. Nie powiedziałeś mi niczego, czego wcześniej się nie dowiedziałem. — Czuję się jak ostatni łajdak. Oto

facet, który poproszony o potwierdzenie autopsji, faksuje do mnie dwustronicowy raport. Teraz zostawił pracę, zostawił umierającą żonę, żeby mi pomóc, a ja nim manipulowałem, po czym wszystkiego się wyparłem. Nie po raz pierwszy kłamałem, chcąc coś zdobyć, ale powiedziałem sobie, że nie dopuszczę, aby Lloyd miał przez to przykrości. Podaliśmy sobie ręce, a ja dodałem:

— Doceniam to, że poświęciłeś swój czas i porozmawiałeś ze mną. Wiem, że jesteś przepracowany.

Skinął głowę. Zatrzymał się w drzwiach, kiedy ja poszedłem żwirowym podjazdem. Najwyraźniej nie miał ochoty wracać do środka. Doszedłem do bramy i odwróciłem się, a on tam stał na tle słabego światła padającego z kuchni.

— Zostaw to, Drew — zawołał za mną. — To nie jest twoja kolejna książka.

Podniosłem rękę i wydostałem się na ulicę. Cholera, nie jest.

Znowu wpatrywałem się w ostatni rozdział, poznaczony teraz — niczym bliznami po ospie — uwagami Prestona.

Ktoś chciał mnie dopaść. Ktoś włamał się do mojego domu, podał leki, gdy spałem, skradł kilka kropli mojej krwi i pokropił nią denata. Przeszły mnie ciarki, wstałem z łóżka i przeszedłem od pokoju do pokoju, oglądając drzwi. Wszystkie były zamknięte na siedem spustów. Potem sprawdziłem garaż, szafy, za kanapami i pod łózkami.

Użyj czegoś mniej potocznego.

~~Byłem w domu sam.~~

A może zabić otworzyć deskami? Tu chodzi o twoje życie — nie przejmujemy się architekturą.

Rozbite szybki w drzwiach wejściowych zakleiliśmy taśmą do pakowania. Chociaż odłamki szkła i taśma stanowiły zabezpieczenie, otwory były na tyle duże, że ktoś mógł sięgnąć do zasuwy kilkadziesiąt centymetrów poniżej. Zanim wróciłem na górę, zakleiliśmy okna jeszcze raz, gdyż przyszło mi do głowy, że przy otwartych drzwiach do sypialni usłyszę, jak taśma będzie odrywana przez intruza.



Dlaczego poszedłeś do Coła bez konkretnego celu? Przychodzi do ludzi, kiedy są do czegoś potrzebni — tak jak w przypadku Lloyda — bo inaczej fabuła się ciągnie. Inaczej niepotrzebnie zużyjesz zasoby ludzkie, być może potrzebne później.

Leżę w pościeli, spocony pomimo styczniowego chłodu, w głowie tłoczą mi się obrazy i strzępy rozmów. Zdjęcia operacyjne policji leżą rozłożone na stole w pokoju przesłuchań niczym wystawny poczęstunek. Kaden i Delveckio wyłączają mnie ze śledztwa. W tym konkretnym momencie nie mamy nic do wyjawienia. Cal ma dla mnie tylko słowa potępienia i moje własne odbicie w jego lustrzankach. <sup>Cięte uwagi</sup> ~~Nieustanne~~ ~~zrzędzanie~~ ~~Pracę~~ ~~pisarza, może bardziej niż każda inna, polega na tym, aby nie bać się możliwości.~~ Czego ja się bałem? Czego jeszcze nie wziąłem pod uwagę?

Może tego, że w grę wchodziło dużo więcej zmiennych, niż to sobie wyobrażałem. Fakt, że nie zabiłem Kasey Broach, nie wykluczał mojej winy w przypadku śmierci Genevieve. Chociaż mogłem wymienić kilka znajomych osób, które miałyby ochotę zabić jakąś kobietę i zrobić mi w to morderstwo, może jakiś przeciętny telewidz — samozwańczy obrońca społeczeństwa, pchnięty do ostateczności ochotniczy rezerwowi straży obywatelskiej, pogrążony przez upadek społeczności, rozczłony mąż, który stracił żonę w podobnej zbrodni — tropił mnie i szukał zemsty.

Ktoś chciał mnie dopaść. A teraz ja chcia-  
łem dopaść jego.

Skupiasz się na sobie, ponieważ słyszałeś głos lektora z filmowego zwiastuna, jak mówi do ciebie tysiąc razy: Tym razem to osobista rzecz.

Poszedłem na taki jeden skromny, niewystawny poczęstunek w zeszłym tygodniu. Wkurza mnie, że nazywają to poczęstunkiem, rozumiesz?

W tym konkretnym momencie? Dlaczego ci faceci muszą mówić jak porucznik Borewicz? Ich zarozumiały język jest żenujący, tym bardziej że narrator go nie zauważa.

Otwórz się na możliwości narracji. Może koncentrować się na tobie i jednocześnie nie opowiadać o tobie.

Życie jest wystarczająco popieprzone — z pewnością nie potrzebujesz diabolicznych wątków. One po prostu się dzieją. Wśród numerów telefonicznych z kierunkowym 310 masz więcej zbiegów okoliczności niż Dickens.

Podniosłem wzrok znad stron z czerwonymi poprawkami. Preston rozłożył się na mojej kanapie i poprawiał rękopis jakiejś innej ofiary, a przy tym wyglądał na charakterystycznie zadowolonego z siebie.

— Prawdę mówiąc, mój kierunkowy to osiemset osiemnaście. Tuż za wzgórzem.

Preston łypnął na mnie spod oka.

— Uwierzyłem ci na słowo. — Skończył poranny kubek rumu i zostawił na ławie dla gospośi, na którą nie było już mnie stać. Dramatycznie powachlował się kartkami rękopisu, a potem je odrzucił. — Gorąco tu.

— Masz menopauzę.

Wstał, wyjął mi kartki z rąk i przejrzał je, nie mogąc opanować chichotu, gdy zobaczył jedną ze swoich uwag. Uderzył zwiłkiem w otwartą dłoń.

— To musi być opowiadanie, które zgrabnie połączy wszystkie te elementy. Musimy się naradzić. — Spojrzał na zegarek. — Mam rezerwację na lunch dla trzech osób w Spago.

— Dla trzech?

— Myślałem, że zaprosisz Cala Ungerà. Przydadzą się jego pomysły.

— Właśnie napisałeś, żeby dać sobie z nim spokój, chyba że mam... cytuję: „konkretny cel”.

— Ale to jest spotkanie towarzyskie.

Preston spotkał kiedyś Cala na przyjęciu promującym moją trzecią powieść z Chainerem.

— On nie jest gejem, Preston.

— Oczywiście, że nie. Gej to poziom samoświadomości i świadomości politycznej, których jemu brakuje. On ma tylko tendencje.

Preston myśli, że każdy ma. Co ma sens, gdyż pracuje w przemyśle wydawniczym i dzieli czas między Greenwich Village w Nowym Jorku

a West Hollywood. Kiedy wychodziliśmy coś zjeść, odwiedziliśmy restaurację w West Hollywood, po czym zaciągał mnie na jedną z tych sztuk młodego West Hollywood, autorstwa westhollywoodzkiego dramatopisarza, ukazującą targanego problemami geja — anglistę — w której jedyne postacie hetero (szczególnie gracze w football) kończą jako geje, ukrywając wstydliwą miłość do naszego delikatnego, choć nieustraszonego bohatera.

— Bez względu na jego tendencje, Herr Brokeback, nie są to skłonności w twoim kierunku — naciskałem. — Rozumiem, że kiedy twoi rodzice ochrzcili cię jako Prestona Ashleya Millsa, przypieczętowali jednocześnie jednym ruchem twój rodzaj, ale bez względu na twoją naturę czy wychowanie, ten facet nazywa się Cal Unger. Śmiem twierdzić, że to ucina wszelkie domniemania robienia ci laski. Pomijając fakt, że muszę poczekać na zgrabniejsze odnowienie dyplomatycznych stosunków. Zamiast niego zaproszę Chica.

— Tego piłkarza? — Ostatnie słowo wypowiedział z intonacją zasadniczo zarezerwowaną dla „syfilisa”.

Preston także poznał Chica na przyjęciu promującym moją trzecią powieść z serii Chainera. Pomimo pewnych obiekcji podszedł do telefonu.

— Powiem, że się spóźnimy. Każę im zainstalować przy stoliku li-zawkę. — Podniósł bezprzewodowy telefon i przyjrzał się słuchawce.

— Są zbyt zajęci zapewnianiem wytwornej obsługi, żeby odebrać mój telefon, za który pewni wydawcy odpowiedzialni za moją pocztę najwyraźniej nie raczyli zapłacić...

Zza mojego ogrodu, gwałcąc atmosferę późnego poranka, dotarły do nas dźwięki trąbki, na której ćwiczył dzieciak sąsiadów.

*I've got a CRUSH on YOU, sweet-PIE.*

Preston ściągnął brwi.

— Cóż to, do diaska?

— Chyba Gershwin.

*All the DAY and NIGHT time, hear me SIGH.*

— Zadzwonimy z samochodu — powiedział zdesperowany Preston.

Kobieta jadąca przed nami jaguarem miała tablicę rejestracyjną obwieszającą światu, że w dwie przecinek siedem sekundy robi się z niej prawdziwa suka. Jechaliśmy kanionem, mijając bawarską technologię wartą setki tysięcy dolarów, długonogie kobiety z pudełkowatymi torbami na zakupy, palmy spowite wężami świetlnymi. Te światełka spełniały jednocześnie dwie funkcje: ładnie wyglądały w nocy i były absolutnie gładkie, co miało szczególne znaczenie, bo kiedy wiewiórki próbowały obleźć pień, aby zagnieździć się w pióropuszu z liści, ześlizgiwały się i rozbiły swoje małe, wiewiórcze czaszki o chodnik w dole. Ten związek estetyki i okrucieństwa, jeśli nie czegoś jeszcze, definiuje Beverly Hills. Porcelanowe kurioza za pięćset dolarów, wysadzone klejnotami obróżki dla kotów.

Kiedy tak podróżowaliśmy, Preston wskazał okazałą wystawę moich książek w Dutton's. Przynajmniej jak księgarnia dorobi się na mojej niesławie, dostanę z tego kawałek.

Los Angeles zasadniczo żartuje z samego siebie. Jest sztuczne jak diabli, pewnie, ale wie także, jak się tym cieszyć, w przeciwieństwie do tych mamusiok z Iowa, które czytają brukowce o gwiazdach w drodze do kościoła, żeby potem mogły się obruszać i potrząsać głowami, albo absolwentów elitarnych uniwersytetów, którzy nigdy nie przyznają się, że lektura „People” podoba się im bardziej od Prousta, ale którzy, czekając u dentysty na naprawę zadrapanej emalii, zerkną ukradkiem na błyszczące fotosy, aby sprawdzić, ile przytyła ta piosenkarka albo gdzie

królewska para spędziła miesiąc miodowy. Proszę bardzo, powierz-  
chowność to nasz interes i my wszyscy — wszyscy — wierzymy, że  
uczestniczymy w tym show.

Niektórzy goście uznają Los Angeles za miasto dla wtajemniczonych.  
Prawda jest natomiast zupełnie inna. Wszyscy mają tu wstęp. Jedyne  
kruczek polega na tym, że trzeba mieć coś ciekawego, co się przynosi do  
wspólnego stołu. To bilet. Nie musi to być głębia albo umiejętność pro-  
wadzenia konwersacji czy też talent. Możesz być najlepszym fryzjerem i  
zasiadać przy stole jakiegokolwiek szczy, między hollywoodzką pańciami a  
dyrektorem opery. Jeżeli jesteś najlepszym dyrektorem funduszu inwe-  
stycyjnego w Bel Air, ale nudziarzem, spieprzaj z uśmiechem, chłopie.  
Wróć do Manhattanu i narzekaj, jakie płytkie jest LA.

Jest płytkie, rzeczywiście, ale także ujmujące, jeżeli potrafisz zacho-  
wać poczucie humoru. Od czasu do czasu miasto otworzy trzęsienie zie-  
mi — tylko dla pewności, że sprawy mają się ciekawie — albo ktoś zagro-  
zi wysadzeniem największego lotniska lub też wściekle pożary ogarną  
zachodnią dolinę i wszyscy będą przez tydzień zachwycać się strażakami.  
Wody w Santa Monica będą toksyczne. Strach przed rtęcią zniechęci  
wszystkich do sushi. Będą też znieślawione węglowodany, albo pilâtes,  
albo wartość kaloryczna jamba juice.

Cztery samochody podjechały tyłem z boku wjazdu na parking przy  
restauracji, wyzymając ostatnie kilka sekund rezerwacji przez komórkę.  
Zostawiliśmy wóz parkingowemu. Wędrując wśród stolików, odnaleźli-  
śmy Chica na tyłach, z rękami rozłożonymi na oparciu siedzenia.

— Chcę pizzę z wędzonym łososiem.

Preston obruszył się na sarkazm Chica. Wsunęliśmy się na kanapę po  
jego obu stronach. Rzuciłem na stół zebrane wcześniej dokumenty.

Preston wyciągał szyję w kierunku ściany z rzeźbionego szkła oddzielającą kuchnię.

— Ciekawe, czy będzie nas obsługiwał ten Latino.

— Nosi obrączkę — zauważyłem.

— Py-rosię.

— Gapi się na cycki na jedenastej.

— To dla niepoznaki.

— Zanim oddasz się miłości, która nie zdradza imienia, może złożymy zamówienie?

Chic spojrział na nas żałośnie znad menu.

— No to wiecie, że żaden ze mnie gej ani nic takiego.

Preston zganiał go wzrokiem.

— Skarbie, nie chcielibyśmy ciebie...

Kiedy przyszła pora na zamówienie, Preston zainwestował w kontakt wzrokowy i wypytywał o specjalność kuchni, ale zakłopotany kelner po prostu zebrał nasze karty i oddalił się.

Nadal nie będąc przystosowanym do przebywania w publicznych miejscach po napiętnowaniu przez media, rozejrzałem się ostrożnie. Jeden stół dalej dwóch facetów w garniturach i jeden w spodniach od dresu gadali o niemieckich finansach i trasach festiwalowych. Za nimi kobiety — albo zbyt stare, albo zbyt bogate, żeby się przejmować, czy je ktoś słyszy — omawiały kuracje hormonalne. Zagoniona kobieta jadła obiad z dwoma dziećmiakami, które, sądząc po nadąsanych minach i markowych džinsach, najwyraźniej były bardziej światowe od niej samej. Dokładnie naprzeciw nas dobrze ubrany facet garbił się nad talerzem, a potem całe jego towarzystwo zerknęło na mnie nie tak potajemnie, jak zamierzali, co sugerowałyby ich zachowanie. Poruszyłem się z niepokojem.

Chic pierwszy zorientował się w sytuacji i uśmiechnął się do mnie łagodnie.

— To też minie.

— Weźmy się za opowiadanie — powiedział Preston.

Kiedy spożywaliśmy przystawki z górnej półki, streściłem ostatnie posunięcia. Jak zwykle włożyłem za ucho długopis jednorazowy do robienia notatek, ale głównie gryzmołem. Kiedy skończyłem, Preston odchrząknął.

— Daj spokój z wątkiem seryjnego mordercy. Mamy dwa ciała z podobnym *modus operandi*.

— Jak powiedziałeś detektywowi Konkretnemu, istnieją różnice godne uwagi.

— Albo... — czasami z Prestonem najlepiej było przeć do przodu — mogłem zostać chłopcem z plakatu seryjnego mordercy, który wtedy postanowił mnie wrobić.

— Co by oznaczało, że rzeczywiście zamordowałaś Genevieve.

Śmiałość uwagi Prestona całkowicie mnie zaskoczyła. Czulem niemal fizyczną siłą ciągnącą mnie ku obronie, ku zaprzeczeniu obu rodzajów. Efektownie udekorowany talerz z krewetkami nagle stał się nieapetyczną jatką.

— Nie możesz tego wiedzieć — zasugerował Preston. — Jeszcze nie.

— Może znowu powinienem zażyć sevofluran i dowiedzieć się.

Preston leniwie zamieszał drinka słomką.

— Nawet nie jesteśmy pewni, czy zażyłeś sevofluran raz, Drew. Nie wiem, czy mamy wlamywać się do lekarskich gabinetów przy nikłej szansie, że jeżeli znowu się tym zaciągniesz, przeniesiesz się z powrotem do tej części mózgu, która jest odpowiedzialna za dwudziestego trzeciego września.

— Wrobiony czy nie wrobiony — odezwał się Chic — rozwiążemy to najszybciej, jak ustalimy związek między ofiarami, albo między nimi a tobą. Tę nudną, nieoczywistą część, której nie będziesz w stanie odkryć.

— Czy mam wynająć prywatnego detektywa?

Chic potrząsnął głową, rozczarowany jak zwykle moim brakiem zdolności właściwego rozwiązywania spraw.

— Znam hakera, faceta od baz danych. Rachunki za telefon, benzynę, bilety lotnicze... wszystkie te bzdety. Połowa z nich jest w Internecie za pewną cenę, a druga połowa, której nie ma... no, powiedzmy, że to go nie powstrzyma. Śledzi ludzi, którzy nie płacą alimentów.

— Niegrzeczni tatusiowie?

— Nie bądź seksistą, Drew-Drew. Skorzystałem z jego pomocy ostatnim razem, żeby znaleźć kobietę, która porzuciła jednego z moich bratanków. Może służyć przykładem jako skurwiel z alibi. Poza tym potrzebujemy też listy wszystkich ludzi, których wkurzyłeś.

Wyciągnąłem listę, nad którą pracowałem, i wymyśliśmy jeszcze parę nazwisk, ale nie potrafiłem znaleźć takich, którzy mogliby uchodzić za morderców lub nawet potrafili się włamać. Mój neurolog, wściekły z powodu skutków braku współpracy z mojej strony? Staruszek Katherine Harriman, zhańbiony w wieczór kielbasy i Bullsów, powrócił, żeby zaprowadzić sprawiedliwość jak przystało na Chicago? Adeline Bertrand w stroju ninja?

W końcu Chic miał już dosyć mojego braku znajomości śmiertelnych wrogów i zmienił temat.

— Drugie ciało — powiedział. — Dlaczego nogi związane były sznurkiem, a ręce taśmą?

— Taśmą łatwiej się wiąże ręce. Sznur może się nie sprawdzić. — Preston przewrócił oczyma i popił drinka. — Mówiłeś, że ta bawełniana linka to specjalność z sex-shopu. Możemy się rozejrzeć, gdzie to można kupić w LA.

— Niech policja sobie wykona te wszystkie gówniane procedury — powiedział Chic. — Oni są w tym dobrzy.

— A w czym my jesteśmy dobrzy? — zapytałem.



Długa przerwa.

— Nie w głównianych procedurach.

— Ten sznur to chyba zmyłka — powiedziałem. — Użył go, żeby zmylić śledczych.

Goście przy stoliku naprzeciwno szeptali coraz więcej, aż wreszcie ten dobrze ubrany mężczyzna wstał i skierował się w naszą stronę.

— Załatw to z uśmiechem — poradził Chic.

Mężczyzna zbliżył się.

— Pan Andrew Danner, prawda? Chciałem tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu tego, przez co pan przeszedł. Nie wiem o tym zbyt wiele, ale trafił pan na jakiegoś wariata.

— Dziękuję bardzo.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Zanim odszedł, zerknął na Chica.

— Ładne ręce, Bales, ty ośle.

Wrócił do swojego stołu. Preston i ja zajęliśmy się jedzeniem, aby ukryć nasze uśmiechy, gdy Chic zachęcająco kiwał głową. Zjawily się nasze dania główne, a razem z nimi mój humor i apetyt. Potrzebowałem kilku chwil, żeby oddać się agnolotti z mascarpone. Kiedy podniosłem głowę, Chic studiował zdjęcia z miejsca zbrodni. To górne, prawdopodobnie zrobione jako pierwsze, ukazywało Kasey Broach w spokojnej pozie. Jej ciało, bez żadnego śladu działania policji czy kryminologów, zdawało się umieszczone w tej kompozycji ręką ambitnego projektanta grafika. Nagie ciało i biała warstwa ptasiego gówna na masce porzuconego samochodu były jedynymi plamami światła w ciemnej scenarii.

— Skąd je masz? — zapytał Chic.

Nie wspominałem o nich wcześniej, kiedy przyjechał po mnie do Centrum Parkera. Teraz powiedziałem, że ukradłem je z pokoju przesłuchań.

Zagwizdał z podziwem, potem przekreślił bokiem jedną z odbitek, oceniając nieskończone dzieło artysty graffiti na spodzie rampy.

— To poważna robota sprayem.

— Skupmy się na ciele — zaproponował Preston.

Chic wysunął z koperty drugie zdjęcie. Było na nim kilku oficerów stojących dookoła lub kucających przy siatce. Sześciokąt wyznaczony policyjną taśmą oznaczał ciało. Do betonu pomalowanego sprayem przylgnęły teraz pióra, osiadły na rampie. Lampa błyskowa wydobyła też rozbite butelki po piwie.

— Patrzcie tutaj — powiedział Chic. — Nasz pierwszy prawdziwy ślad.

Preston, przyglądając się nad barkiem Chica, wzruszył ramionami.

— Tu jest cała historia, wydawco, tylko ty tego nie czytasz.

Chwyciłem zdjęcie i przyjrzałem mu się uważnie.

— Nic nie widzę.

Chic wyszedł zza stołu, ciągnąc mnie za sobą.

— To ci pokażę.

Nie było obrysu kredą, nie było plamy krwi, nie było nieszczęśliwych macek taśmy policyjnej, aby uczcić wspomnienie o ciele, które leżało tu niecałe siedemdziesiąt dwie godziny temu. Tylko kruszący się asfalt, zdezelowane coupé, ja i Chic. Nad naszymi głowami szumiały samochody. Ziemię czuć było uryną i piwem. Słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi, a lepiej było nie dać się złapać w Rampart po zmierzchu. Chic szeroko rozłożył ramiona.

— Wła-la.

— Wła-la co?

Chic wskazał na chmurę wyczelowanego malowidła sprayem, rozjaśniającego spód estakady. Artysta rozciągnął proporcje obrazu, chcąc dopasować go do wznoszącej się betonowej konstrukcji, aby sprawiał wrażenie, kiedy patrzyło się prosto, z normalnej perspektywy. Pomimo to nie byłem pewien, co to jest. Eksplozje, wypustki, bąblowate litery, wszystko zadziwiające w trójwymiarowej perspektywie. Obraz nie został skończony, prawa połowa rozpływała się w szarym betonie. Pióra przylegały do dolnego marginesu, przyschły do farby.

— O — powiedziałem. — O.

Poszedłem za Chikiem po rozdeptanym ogrodzeniu z siatki.

— Policja przyjechała tu w pośpiechu, tak? — zapytał. — I kryminolodzy?

— Tak mi powiedzieli. Byli niedaleko na burrito.

— Patrol dostrzegł ciało. Kryminolog robi zdjęcia, zachowuje miejsce takie, jakie jest, zanim wszyscy zniszczą dowody i całą resztę. A potem co robią?

— Zabezpieczają miejsce.

— Zabezpieczają miejsce. To znaczy, że sprawdzają ten cień.

Zanurkował w ciemną, trójkątną wnękę, gdzie rampa spotyka się z ziemią. Eksplozja gołębi, wyrwanych z nocnej drzemki, zakłóciła względny spokój. Potem ptaki moszczą się na belkach konstrukcyjnych. Chic przedostał się z powrotem do mnie, machając rękami na gołębie trzepoczące skrzydłami wokół jego głowy. Dostał więcej, niż prosił. Jego wędrówka nie pasowała do powagi jego opisu, ale otrzepał się, zdjął coś z języka i nie dając się zbić z tropu, kontynuował.

— Policjanci przestraszyli gołębie. Porozrzucane pióra przywarły do farby. — Chic dał znak, abym podał mu zdjęcia i pokazał mi to, na którym było ciało Broach, zanim miejsce zbrodni zostało odizolowane, jeszcze bez widocznych piór. — Co znaczy, że farba była mokra. A to znaczy... — uniósł palec, niczym na wykładzie — że grafficiarz był przy pracy, kiedy mu przerwano malowanie rampy. — Ruchem głowy wskazał zakończoną krawędź. — Co sprawia, że malarz ucieka? Samochód. Jaki wóz był tu pierwszy i go przestraszył?

— Mordercy, który podrzucił ciało.

Na twarzy Chica pojawił się szeroki uśmiech.

— To może trafił się nam świadek.

Przeniosłem wzrok na maskę coupé białą od odchodów.

— *Przypadek ptasich gówien.*

— Rzeczy-kurwa-wiście.

— Jak znajdziemy tego malarza?

Chic wskazał kolorowe malowidło nad głowami.

— Patrzysz na jego podpis, pułkownika Sanders. To się nazywa tag.

Popadliśmy w znajome role. Chic był moim najużyteczniejszym pierwszym recenzentem rękopisów, potrafił dopasować chłopski rozum do motywów postaci albo przetransformować dialog na uliczny rap. Patrzyłem, jak zagryza wargę; kolejny doradca zamienił się we współni-ka.

Chwilę dłużej zatrzymał wzrok na graffiti, jakby chciał coś zapamiętać, potem zaś powiedział:

— Muszę się przy tym pokręcić, zadzwonię do braci.

W całym Los Angeles Chic miał około dwudziestu siedmiu braci o złotych zębach, którzy pojawiali się pod różnymi postaciami: aby naprawić samochód, obsługiwać bar na przyjęciu, wyładować nowy telewizor plazmowy. Większość, jak on sam, przeniosła się z Filadelfii. Z kilka rzeczywiście mógł być spokrewniony.

Podmuch wiatru poderwał śmieci strącone z belek przez gołębie. Przykucnąłem przy strąconym gnieździe, większym, niżbym się spodziewał. W środku była sztywna, plastikowa opaska, o średnicy mniej więcej dwa razy większej od puszki piwa, nadal dumnie prezentująca naklejkę z ceną z hipermarketu budowlanego Home Depot.

I od tej chwili nie słyszałem świstu wiatru, gruchania zdezorientowanych gołębi i samochodów nad głową. Nie słyszałem już nic więcej poza biciem własnego serca.

Było to opakowanie po rolce taśmy izolacyjnej.

## 16

Drzwi uchyliły się i przez chwilę nie było nic, tylko ciemność, dłoń zamknięta na gałce i nieustające cykanie świerszczy. Wtedy Lloyd wszedł w krąg światła padający z lampy nad wejściem i powiedział:

— Co do diabła, Drew?

— Mam ślad. — Uniosłem w górę tutkę. — W torebce na wynos na resztki dla psa, ze Spago.

Na Lloydzie nie wywarło to żadnego wrażenia. Spojrzał na zegarek. Wskazywał dopiero wpół do siódmej, ale było ciemno jak o północy i domyślałem się, że miał długi dzień. Zła ocena obudziła w nim lepszą stronę.

— Poczekaj tu.

Stałem na werandzie może pięć minut i słyszałem, jak porusza się po domu; odpowiadał mu cichy, kobiecy głos. Coś zaszurało, a potem drzwi się zamknęły.

Znowu otworzył drzwi i dał znak, abym wszedł. Usiedliśmy na tych samych miejscach — on na kanapie, ja na fotelu. Taca na podłodze nadal była załadowana taco. Tylko jeden był odwinięty; brakowało kawałka, który odgryzł przy mnie. Na końcu korytarza spod drzwi wydobywał się ten sam pasek żółtego światła. Zupełnie jakby czas zatrzymał się od zeszłego wieczoru, jakby w tym domu w ogóle czas się zatrzymał.

Opowiedziałem mu o mojej przygodzie w Rampart, kończąc ją informacją o opakowaniu po taśmie izolacyjnej znalezionym w gołęmbi niezdzie. Na twarzy Lloyd'a malowały się na zmianę szok, złość i rozdrażniony podziw.

— Jezu, ty naprawdę tym się zająłeś?

— No oczywiście, Lloyd. Cztery miesiące w więzieniu, sprawa o morderstwo, dwie martwe kobiety, z których jedna wiele dla mnie zna-  
czyła. Stawka jest tu dość osobista.

Obrzucił wzrokiem torebkę z restauracji, nadal nie otwartą.

— A czego oczekujesz ode mnie?

— Chcę, żebyś pobrał odciski.

— Słuchaj, Drew, co innego, jak ci przedstawiam pewne fakty, ale badanie odcisków?

— Powiedz, że nie jesteś ciekawy.

— Nawet nie wiem, czy należą do naszego faceta. Może to śmieć, który wiatr przywiał nie wiadomo skąd. Albo przytargał go jakiś wę-  
drowny gołąb.

— Możliwe.

— I co, ten facet był na tyle głupi, że zostawił obok ciała opakowanie z własnymi odciskami palców?

— Policja albo ty sam znaleźliście spaloną folię malarską w moim śmietniku. Może używał jej do wyłożenia bagażnika? Może skrępował taśmą ciało Broach w bagażniku i tam zostawił opakowanie. Mogła przykleić się do jej ciała, kiedy ją wyrzucał, a potem wiatr je porwał.

Lloyd jednak nie rezygnował ze swoich obiekcji.

— A poza tym pobranie dowodu nie jest udokumentowane. Oskarżyciel zawsze może powiedzieć, że sam gdzieś to kupił.

— Nie mam zamiaru nikogo wsadzać do kicia. — Ta uwaga zawisła z całą powagą w stęchłym powietrzu.

— Będziemy musieli, jeżeli chcesz się oczyścić z zarzutów. Czy właśnie nie do tego zmierzasz?

— Chcę się tylko dowiedzieć, co się wydarzyło — zreflektowałem się — co się dzieje.

Nie spuszczał wzroku z torby.

— Powiedz, że nie jesteś ciekawy — powtórzyłem. Splótł dłonie, odetchnął, a ten oddech wziął się gdzieś z głębi.

— Jestem ciekawy.

— Pamiętasz, jak zdjąłeś moje DNA ze szczoteczki do zębów, żeby pokazać mi, jak to działa? Co to za różnica? — Otworzyłem torebkę i przechyliłem tak, żeby mógł zajrzeć do środka. — Nie jest tak samo, jakby dowód znaleźli gliniarze. I tak by nie znaleźli. Trafiłem na to przypadkiem w gołębim gnieździe. Jako wyściółkę.

— Gołębie nie wyścielają gniazd. Ale wcinają wszystkie śmieci, te gołębie. Jest tu na krawędzi taśma samoprzylepna... tu. — Wyciągnął mi zza ucha długopis, żeby pokazać. — To ciekawe. Ptak prawdopodobnie pomylił to z jedzeniem i przyniósł do gniazda.

Zakres jego wiedzy, jak zwykle, zadziwiał mnie. Znał dosłownie wszelkie możliwe skojarzenia z przestępstwami. Jak puchną larwy. Oznaczenie z jakiegokolwiek pralni chemicznej. Jak dojrzewają jaja muchy płujki w jamie ustnej.

— To może po prostu pobierzesz te odciski? — powiedziałem. — Nie ma sensu się kłócić, jeśli okaże się, że nie ma odcisków.

Dałem mu w końcu racjonalny powód, którego oczekiwał. Wyszedł do vana i wrócił z laptopem i walizką, która po otwarciu zamieniała się w wielopoziomowe półki, jak ze sprzętem do wędkowania. Zabrał się do pracy na dywanie i w ciągu kilku minut udało mu się uzyskać pojedynczy odcisk, szczątkowa krawędź na zewnętrznej krzywiznie sztywnego



opakowania, tuż obok naklejki z ceną.

Lloyd usiadł z powrotem na piętach.

— Powinno być dosyć punktów do porównania.

Nie wiedziałem, czy żałuje, czy jest podniecony. Chyba jedno i drugie.

Nic nie mówiłem. Czasami wiem, kiedy trzymać głowę na kłódkę.

Po kilku chwilach wewnętrznych rozważań sięgnął do walizki i prze-  
niósł odcisk na taśmę, czysty, przyklejony pasek wielkości małego telefonu  
komórkowego. Odkleił osłonę i przyłożył go do obsypanego proszkiem  
fragmentu, a potem na powrót włożył w osłonkę. Znikł na tyłach domu i  
wrócił z aparatem cyfrowym. Zrobił zdjęcie paskowi z odciskiem i zała-  
dował obraz do laptopa. Kiedy ustawił ekran tak, abym nie widział, jak  
wprowadza hasło, poczułem przypływ podniecenia. Wchodziliśmy w  
bazę danych odcisków palców.

Czekałem w milczeniu, kiedy wklepywał słowa. Gdziekolwiek spoj-  
rzałem, spoglądały na mnie uśmiechnięte zdjęcia jego i Janice. Kosz-  
marne odwrócenie Doriana Graya — całe zdrowie zachowane za szkłem,  
gdy prawdziwa osoba traciła siły w pokoju na tyłach domu.

Lloyd uniósł brwi. Opanowałem się, żeby o nic go nie zapytać, a on w  
końcu obrócił laptop w moją stronę. Zdjęcie z rejestru spoglądało na  
mnie złośliwie; facet z głęboko osadzonymi oczyma, z łysiną na czubku  
głowy i kwadratową szczęką. Richard Collins. Zgodnie z datą urodzin  
miał trzydzieści jeden lat, ale wyglądał na starszego przynajmniej o dzie-  
sięć. Siedział za posiadanie narkotyków, ostatni raz trzy lata temu, ale  
od tamtej pory miał czyste konto.

Moje pierwsze, jeszcze nieoficjalne, spojrzenie na przypuszczalnego  
mordercę Genevieve i być może Broach. Byłem rozczarowany, że Collins  
nie wygląda bardziej przerażająco.

Przypominał raczej robotnika, który wykonuje jakieś gówniane prace przy twoim domu i nie przejmuje się, kiedy mu nie zapłacisz.

— Kim jest dla ciebie ten facet? — zapytał Lloyd.

Zadawałem sobie to samo pytanie. Czy Richard Collins stanął na mojej drodze za czasów wina i róż? Czy umawiałem się z jego siostrą? Odepchnąłem go przy barze?

— Nie wiem. Nie poznaję go.

— No, jeśli chciał ciebie zrobić, to na pewno on poznaje ciebie.

— Co teraz?

— Podasz to detektywowi.

— Nie możesz sam tego poprowadzić?

— To nie jest tak jak w telewizji. Kryminolog nie prowadzi śledztwa. Nawet gdybym nie miał pełnych rąk roboty. — Lloyd odłożył odcisk i dyskietkę z cyfrowym zdjęciem do woreczka z zamkiem i dodał: — Ktokolwiek może poprowadzić to dalej. I nie mów, że to ja go dla ciebie zdjąłem, bo panowie z organizacji dobiorą się do mnie.

Kiedy kierowaliśmy się do wyjścia, jego krok wydawał się nieco lżejszy. Pomimo ostrzeżeń, które gasiły mój zapal, on także uległ ekscytacji osaczaniem podejrzanego. Przeciągałem go na swoją stronę z egoistycznej potrzeby chwili.

Moje buty zachrząściły na zwirowym podjeździe.

— Powodzenia, Drew — zawołał za mną głosem, co nietypowe, zdecydowanie radosnym, ale kiedy odwróciłem się, drzwi już się za nim zamknęły.

— Oto jest odcisk linii papilarnych palca zdjęty z dowodu rzeczowego pochodzącego z miejsca znalezienia ciała Kasey Broach. Należy do skazanego przestępcy, Richarda Collinsa. Jako wolny obywatel zamierzam udać się pod jego adres i zadać mu kilka pytań. Uważam, że powinienes pojechać ze mną.

Cał stał w drzwiach, spoglądając na mnie przez siatkę na komary, a z kącika ust zwisał mu papieros. Miał na sobie podkoszulek, niczym Powolniak, który odsłaniał jego potężne ramiona poznaczone tatuażami Calvina i Hobbesa; pewnie uchodziły za świetny pomysł, jak miał osiemnaście lat i był pijany w sztok. Odcisk palca i dyskietka, widoczne w woreczku na dowody, wywarły na nim o wiele dramatyczniejsze wrażenie niż torebka „na wynos” ze Spago.

Pchnął dłonią drzwi z siatki.

— Ty, kurwa, zwariowałeś?

— Tak też orzekła ława przysięgłych, równych mnie i sobie.

— Gównu równych tobie. Mów.

Złożyłem mu całe sprawozdanie, pomijając Lloyda. Jego milczenie sugerowało, że jest zainteresowany. Albo też zasnął z zamkniętymi oczyma.

Kiedy skończyłem, zapytał mnie oczywiście:

— Jak porównałeś odcisk?

— Uwzględniłem wzór wirowy linii papilarnych. Ty tak nie robisz?

Skrzywił twarz, rozbawiony moim poczuciem humoru.

— Na pewno sam nie zostawiłeś tego odcisku? No, oczywiście, w jakimś mistycznie wywołanym transie?

— Obecnie, zgodnie z orzeczeniem lekarskim, jestem w stu procentach wolny od guza.

— Poza nadczynnością wyobraźni.

— Moja nadczynność wyobraźni nie stworzyła tego. — Potrząsnąłem woreczkiem na wypadek, gdyby go nie zauważył.

— Procedura pobrania jest spieszona...

— Pieprzyć procedurę. Przez cały tydzień papierek gdzieś tam fruwał, bo twoi koledzy go nie znaleźli. Nie chodzi o zakładanie sprawy teraz, chodzi o zadanie pytań. I to właśnie zamierzam zrobić.

Chciał zabrać mi worek, ale cofnąłem rękę.

— Daj — powiedział. — Zajmę się tym.

— Słuchaj, koleś, miałeś okazję odgrywać ważnego detektywa, jak przyszedłem do ciebie wczoraj, ale byłeś zbyt zajęty uzalaniem się przed prasą. Więc teraz jest to śledztwo obywatelskie. Zamierzam odwiedzić pana Collinsa i nie ma takiego prawa, które może mnie od tego powstrzymać. Jeżeli chcesz iść ze mną, to może pomóc ci to w karierze.

— Powiedziałeś, że jesteś wolnym obywatelem. Pozwól, że ci przypomnę, że jesteś względnie wolnym obywatelem. — Wyciągnął rękę po torebkę, ale ja jej nie puszczałem. — Zawzięty, kurwa, jesteś, co?

Wpatrywał się we mnie przez jakieś dziesięć sekund. To długo, jeżeli chodzi o patrzenie, szczególnie kiedy ty też mierzysz go wzrokiem. Na pewno żałował, że nie ma na nosie przeciwsłonecznych okularów w stylu

twardziela, dla dopełnienia całości obrazu. W końcu cofnął się, aż drzwi uchyliły się w niemym zaproszeniu. Za jego plecami, na kanapie, dostrzegłem nieco sfatygowane kartki mojego rękopisu. Skierował się w głąb domu.

— Wezmę odznakę. Zrobi wrażenie na panu Collinsie.

Stoosiemnastka, w 1994 roku ochrzczona przez nostalgicznych ustawodawców Autostradą Ronalda Reagana, biegła bez fajerwerków przez północną część San Francisco Valley do Simi. Cal spoglądał przez okno swojego samochodu na Granada Hills falujące wśród miejscowej zabudowy i lokali ze striptizem. Kiedy na ekranie komputera pojawił się Richard Collins wraz z adresem w rejonie Northridge, Cal rzucił na mnie okiem i powiedział grobowo:

— Dobry wybór, Danner.

Podziwialiśmy widoki za oknem, nie różniące się niczym przez całe kilometry. Za miastem, poza granicami wytwarzanego chłodu, okolicy tej brakowało nawet pozoru miejskiej pustyni, Crenshaws, South Central, Comptons, gdzie martwi prezydenci przechodzą z rąk do rąk, kule trzaskają, a wypasione cadillaki rozjaśniają szare ulice. Zastanawiałem się, czy tamtejsi mieszkańcy buntują się przeciw nijakości. Słońce przez cały rok, dostęp do plaży i idealna wilgotność sprawiały, że nawet nie musieli cierpieć.

Może dlatego w Richardzie Collinsie obudził się morderca. Adres na rogu Corbin i Parthenia.

Po chwili uświadomiłem sobie, że Calowi popsuło humor coś więcej niż tylko krajobraz.

— Coś taki nie w sosie?

Nastąpiła pauza, kiedy rozważał, czy znowu jesteśmy przyjaciółmi.

— Wkurzyła mnie jedna laska. Mogłaby występować w którejś z twoich książek. Gdybyś pisał horrory.

— Jest aż tak wkurzająca?

— Kiedy Patches miauczy w taki sposób, to mówi, że jest głodna. Kiedy Patches miauczy w taki sposób, to mówi, że mnie kocha.

Zaśmiałem się. On nie.

— Twoja była nie protestuje, co? — zapytałem.

— Wyszła ponownie za męż. Za agenta. Facet ma głowę pod tytułem „dziel mnie”, a na imię Jeremy. Jeremy. — Cal potrząsnął głową.

Postanowiłem nie zadawać więcej pytań.

Zjechaliśmy z autostrady i zatrzymaliśmy się pod blokiem, który wyglądał jak każdy inny mijany po drodze. Cal wysiadł, a ja siedziałem bez ruchu, chłonąc realia sytuacji. Zamierzaliśmy zastukać do drzwi człowieka, który mógł zabić dwie kobiety i mnie w to wrobić. Zastanawiałem się, co mnie powstrzymuje przed położeniem ręki na klamce. Zimne ostrze wątpliwości u podstawy kręgosłupa. Co będzie, jeżeli odkryjemy, że Collins wrobił mnie tylko w jedno morderstwo? Co, jeśli nienawistne spojrzenia Bertrandów na sali sądowej okażą się uzasadnione?

Cal obszedł samochód i oparł się o opuszczoną szybę, przy której siedziałem.

— Dostałeś pietra?

Potrząsnąłem głową.

— Może powinieneś. W zeszłym roku zajrzeliśmy z nakazem do face-ta, który nasrał sobie na rękę, żeby nikt nie chciał go zakuć.

— Co skłania ludzi do tego wszystkiego?

— Tata gasił mu papierosy na czole. Mama nie myła go z czułością. Przed okresem dojrzewania za dużo słuchał Black Sabbath. — Cal wyprostował się. — Czasami nie ma konkretnego powodu. Czasami ludzie są po prostu popieprzeni.

Tak, pomyślałem, ale powody są bardziej interesujące.

Skierował się do klatki schodowej, a ja musiałem się ruszyć, aby go dogonić. Wsunął szybko ręce pod marynarkę i odpiął zabezpieczenie kabury. Jedno z okien mieszkania 11B wychodziło na otwarty korytarz. Skrzydło było uchylone, ale zasłony zaciągnięte.

Cal, stając z boku drzwi, zastukał w nie korpusem latarki.

— Richard Collins? Tu policja. Proszę otworzyć.

Jakiś łomot w środku, pewnie przewróciło się krzesło.

— Proszę otwierać. Mamy tylko kilka pytań.

— Czego, do diabła, chcecie?

— Proszę natychmiast otworzyć drzwi. — Dudniące kroki przez pokój. — Masz ostatnią szansę, potem wrzucam gaz łzawiący. — Cal spojrział na mnie i dla pewności pokręcił przecząco głową.

Poszedł korytarzem, zdjął z zaczepu gaśnicę i wrócił. Wyciągnął szpilkę i rzucił ją do mnie, a potem wpuścił strumień dwutlenku węgla przez szparę w oknie. Wrzask i Collins wypadł na korytarz z podniesionymi rękami.

Cal obrócił go, ustawił pod ścianą i obszukał.

— Wejdźmy do środka.

W mieszkaniu czuć było marychę. Kiedy Cal ustawiał Collinsa pod ścianą, ja chodziłem po dużym pokoju. Stół został przesunięty w róg obok wnęki kuchennej. Z garnka z odgrzewanym konserwowym spaghetti wystawał widelec. Krzesło leżało przewrócone, przyciskając jaszkrawo-pomarańczową koszulę, która wisiała na oparciu.

— Człowieku, niczego nie zrobiłem. Nie mogę trzeci raz siedzieć. Nie mogę.

— Gdzie byłeś w nocy dwudziestego drugiego stycznia? — zapytał Cal.

Na swoją korzyść Collins wyglądał na zaskoczonego.

— Nie wiem. Kiedy to było?

W zlewie, wepchnięty do połowy w odpływ, sterczał woreczek z działką. Podniosłem wzrok znad zlewu i napotkałem przerażone spojrzenie Collinsa.

— Czwartek w nocy, trzy dni temu — powiedział Cal.

— Pracowałem.

— Między wpół do jedenastej a drugą?

Podszedłem i podniosłem krzesło, podciągając razem z nim zawieszoną koszulę.

— Pracowałem, człowieku. Możecie sprawdzić moją kartę, porozmawiać z szefem. Układam towar. Pracuję w nocy.

— Gdzie?

Spojrzałem na znajomy znaczek wpięty w materiał koszuli na piersi. Powiedzieć, że przepełniło mnie rozgoryczenie, byłoby zdecydowanym nieporozumieniem. Cal spojrzał w moją stronę i zauważył uniform w momencie, kiedy Collins powiedział:

— Home Depot.

Cal zachichotał raz, ale nie mógł się powstrzymać i zgiął się wpół. Śmiał się na całego, opierając się rękami o kolana.

— Zaraz. Czekaście. Co się dzieje? — pytał Collins.

Rzuciłem z kuchni pytanie, które, patrząc z perspektywy czasu, było głupie:

— Pamiętasz, czy sprzedawałeś komuś taśmę izolacyjną?

— Nie sprzedaję. Tylko rozładowuję. Taśmę izolacyjną, pewnie. Całe kartony. Słuchajcie, jak będziecie gadać z moim szefem, to nie mówcie mu o moich wyrokach. Skłamałem w podaniu. Przepraszam. Trudno zacząć od nowa, jak ma się narkotyki w papierach.

— Nie martw się tym — uspokoił go Cal. Collins nie przestawał się na mnie gapić.



— Jak dostanę trzeci wyrok, będę miał przesrane. Dwadzieścia pięć albo dożywocie. Muszę płacić alimenty. Byłem czysty we wszystkich ważniejszych sprawach. Byłem czysty.

W ferworze walki zrobiłem wielki skok, zmieniając Collinsa z ćpuna w bezwzględnego mordercę. W ten sposób byłem gotów spieprzyć mu życie bardziej niż sobie samemu, a on nie miał pod ręką guza mózgu, żeby wywinąć się od stryczka. Udając, że myję ręce, pozwoliłem, aby woda zabrała do odpływu woreczek z działką.

— Nie martw się tym — powiedziałem.

Cal nie odezwał się ani słowem, kiedy wracaliśmy do samochodu. Przed wyjściem zadzwonił jeszcze do kierownika w Home Depot i potwierdził godziny pracy Collinsa w nocy dwudziestego drugiego stycznia. Znalazłem jeden dowód, który dostarczył mi tyle zmiennych, że nieomal stał się bezużyteczny. Jeżeli opakowanie pochodziło z taśmy użytej przez mordercę, to kupił je w markecie Home Depot w Van Nuys. Jeżeli robił zakupy blisko domu, to mieszkał w Valley. Dwa „jeżeli” nie pomogą specjalnie wydziałowi zabójstw.

Wsiedliśmy do wozu. Spodziewałem się, że Cal będzie wrzeszczeć, ale on tylko spojrzął na mnie i rzucił drwiąco:

— Nie rezygnuj ze stałej pracy.

Lloyd zadzwonił do mnie na komórkę, kiedy wracałem od Cala.

— Jak poszło?

Opowiedziałem mu.

— Ała — powiedział. — Przepraszam, ale muszę do tego dołożyć coś przykrego. Wróciły testy DNA z ciała Broach i folii znalezionej w twoim śmietniku. Jest twoje. Nie żeby przekreślało twoje alibi, ale chciałem cię ostrzec.

Podziękowałem mu i rozłączyłem się. W drodze powrotnej do domu

przypomniałem sobie, że mam zniszczone drzwi i że Preston ostrzegwał mnie, na jakie niebezpieczeństwa jestem teraz narażony. Zadzwoiłem do informacji i połączyłem się z jedną z firm od alarmów, które reklamowały się w okolicy na metalowych rurkach wbitych w grządki kwiatowe.

— Przepraszamy, ale do wtorku nie znajdziemy nikogo, kto założy alarm, może w środę.

— Na pewno nie pracujecie dla firmy telekomunikacyjnej?

— Słucham?

— Nieważne.

Podaliśmy adres i umówiliśmy się. Potem zadzwoniłem do Home Depot i uznając, że oni sami coś winni albo ja im, przedostałem się przez rozbudowane menu i zostawiłem wiadomość w dziale drzwi, która oczywiście nie miała najmniejszych szans na odpowiedź, ale przynajmniej wykazałem się należytą starannością w wypełnianiu zaleceń mojego wydawcy.

Richard Collins. Profesjonalny sprzedawca taśmy izolacyjnej.

Zdecydowałem się spędzić resztę drogi do domu w poczuciu całkowitego zniechęcenia. Ale nie dotrzymałem postanowienia. Byłem zbyt zmęczony na cygaro na tarasie, więc klapnąłem na fotel i zacząłem analizować swoje błędy. Po chwili zmęczyłem się tym i włączyłem telewizor.

Wilgotność była niska, paplanina o zagrożeniu terrorystycznym wysoka. Kolejny dzień w Ameryce. A co takiego wróciło na antenę TNT? *Hunter Pray*. A pewnie, Johnny Ordean w źle dopasowanej koloratce trzymający ociekającą głowę pijaka nad cuchnącą muszlą klozetową. *Wykrztuś to z siebie, bo zrobimy kolejną powtórkę z chrztu.*

Dobry Boże.

Gulgot, który nastąpił w efekcie, pobudził mój keciuk do działania. Uwodzielsko nazwany huragan szalał na wybrzeżu Georgii. Serwisy

wiadomości ośmielały terrorystów. Nastoletni piosenkarz uczestniczył w stłuczce w Fairfax i Le Brea; niemal natychmiast zjawiała się ekipa wiadomości, aby nakręcić każdą pękniętą lampę i nagrać wszystkie przeświadczenia.

Kiedy byłem zajęty, zainteresowanie opinii publicznej posunęło się dalej.

Nacisnąłem przycisk i siedziałem we względnej ciemności. Żadna inna cisza nie jest tak melancholijna jak ta w pustym domu, kiedy wyłączy się telewizor. Teraz, kiedy mass media przestały mnie molestować, poczułem się opuszczony.

Poduchy na kanapie, rozrzucone przez Prestona, przywołały wspomnienie o Genevieve. Zanim obejrzelśmy film albo serial, Genevieve rozbierała na części całą cholerną kanapę niczym dziecko bawiące się makietą fortu i montowała ją według własnego gustu, co przeważnie kończyło się przetworzeniem mebla w gniazdko ze sztucznego zamszu, wynoszące ją niczym Kleopatry na barce. Z królewskiej wysokości przyglądała mi się tymi błagającymi, francuskimi oczyma.

— Pracuję nad tym — powiedziałem. — Każdy ma słabe momenty. Pamiętasz Waterloo?

Znikła, kiedy zadzwonił telefon.

— Kto jest tym gangsterem?

— Barry Bonds? — zgadywałem.

Odgłos obrzydzenia.

— Chic Bales, to odpowiedź.

Opowiedziałem mu o Richardzie Collinsie, niewinnym cwaniaczku z Home Depot popalającym marychę.

— Nie rozpaczaj, Kurczaku Mały. Znalazłem naszego artystę od grafitti. Jedziemy bladym świtem.

Po telefonie wpatrywałem się w kanapę, ale Genevieve nie pojawiała się. Nie winiłem jej. Paskudne ze mnie towarzystwo i mogłem jej wepchnąć nóż między żebra.

Na górze przysypiałem sporadycznie, ale o pierwszej byłem całkowicie przebudzony. Godzina Genevieve. Każdy podmuch wiatru to rozci-nana roleta, każde skrzygnięcie to ostrożnie stawiana stopa. Zapalając przed sobą światła, poszukałem w garażu fragmentów sklejki i przybi-łem ją w miejscu powybijanych szybek we frontowych drzwiach.

Z powrotem leżałem w sypialni, w ciemnościach, otoczony znajomy-mi cieniami.

*Trzeba akceptować to, co niesie życie, a najważniejsze, aby przyj-mować to z odwagą i dawać innym to, co masz najlepszego do zaofe-rowania.*

Wyszedłem na idiotę. Nie po raz pierwszy. Cały wieczór jeździłem. Nie żebym miał coś lepszego do roboty. Zagrałem z Calem kartą, którą mogłem zostawić na później. I co? Miałem więcej w rękawie. Jutro może przyniesie naoczego świadka grafficiarza, kolejne ciało, przyplływ oce-anu, za sprawą którego wszyscy będziemy musieli oddychać przez rurkę do nurkowania.

Dla Genevieve, dla Kasey Broach, dla siebie samego byłem skazań-cem. Pochłonęła mnie intryga. Najpierw były krew, pot i łzy, a potem przyjdzie zakończenie, szczęśliwe lub nie.

Po raz pierwszy od przebudzenia w szpitalnym łóżku dobrze spałem.

Spotkałem się z Chikiem w ożywionej części Compton, co znaczyło, że kokainiści wyglądali na lepiej odżywionych. Oparł się o moje drzwi w samochodzie i powiedział:

— Ojciec Genevieve zainwestował w firmę prowadzącą butik, w którym Kasey Broach kupiła kiedyś mydło. Obie zaopatrywały się w opony u tego samego hurtownika, Broach osobiście, Genevieve poprzez swojego mechanika w Lexusie.

— Co to nam daje?

— Nic, co warto by zapisać na tablicy wyników. — Uśmiechnął się. — Gościu od baz danych umie się dokopywać do różnych rzeczy, niekoniecznie dobrych. Zobaczymy, co jeszcze wynalazł. Chyba zbyt wiele ich nie łączy... To raczej związek między Broach a tobą pachnie mi tajemnicą. Jeżeli dołączymy do tego Genevieve, to mamy tripla. — Kiedy przeszliśmy przez jezdnię, Chic ruchem głowy wskazał magazyn przed nami. — To atelier naszego chłopaka.

— Atelier?

— Racja. Tylko nie zrób mi wstydu i nie nazywaj tego graffiti.

— A jak mam nazywać?

— Sztuką aerozolu.

— Naturalnie.

W środku, za biurkiem, zastaliśmy dużą kobietę. Dmuchała sobie na komplet paznokci, które podwajały długość jej dłoni. Spojrzała na nas, unosząc brwi, jakbyśmy wtargnęli do jej garderoby.

— Engelbert Humperdinck szuka Biskupa — powiedział Chic, wskazując mnie nerwowym ruchem głowy — ale nie chciał przychodzić sam, bo bał się, że go potraktujecie na obiad jak kanibale.

— To ci czarni?

— Uh-huh.

— Pójdę po niego. — Odsunęła się od biurka i znikła za metalowymi drzwiami. Jej głos dotarł wzmocniony przez ściany. — Bisku! Ludzie do ciebie! — Nie dosłyszeliśmy odpowiedzi, ale za to dotarło do nas to, co ona mu odpowiedziała. — To sobie cholera sam siedź w recepcji.

Pojawiła się na powrót, przytrzymując ciężkie drzwi, abyśmy przeszli do środka, i obrzuciła mnie po drodze uważnym spojrzeniem.

— Ten to glina czy klient?

— Ten pisarz — wyjaśnił Chic.

Parsknęła.

— W której restauracji?

Weszliśmy do właściwej części magazynu. Poza biurkiem w odległym kącie, kilkoma kartonami i okrągłym, nagim Murzynem pomieszczenie było puste. Mężczyzna, odwrócony do nas olbrzymimi plecami, stał przed ogromnym, poznaczonym plamami płótnem, przymocowanym do odległej ściany. Z palców kapała mu farba i spływała strużkami po szerokich łydkach.

Spojrzałem na Chica, a on wzruszył ramionami. Pokonaliśmy przestrzeń,

podziwiając powiększone fotografie zdobiące ściany — charakterystyczne graffiti na pociągach, billboardach, nawet na kilku wozach policyjnych. Kartony wypełniały puszki aerozolu, pisaki i dysze oraz pocętkowane sprayem noktowizory. Chic odchrząknął, ale Biskup nie odwrócił się. Pochylił się, z tacki z fioletową farbą wydobyl walek i przejechał nim po sobie, od goleni po szyję. Następnie, emitując basowy ryk, zaszarżował i rzucił się na płótno, pozostawiając na nim wielką, fioletową plamę. Odsunął się od ściany o kilka kroków, wytarł się mokrym ręcznikiem i naciągnął welurowe dresy.

— Ciekawa technika — zauważył Chic. — Wydaje się jak...

— Gówno? — Biskup powiedział to potężnym, dudniącym głosem. — Pewnie, że tak. Ale dostałem za to w galerii trzy patyki. Powiedz, że tego nie zrobisz, jakbyś mógł tyle dostać za odcisk swoich jajek?

Odezwałem się:

— Gdybym miał dostać trzy patyki za cokolwiek angażującego moje jajka, zrobiłbym to.

Biskup zaśmiał się.

— Panowie chcą kupić?

— W zasadzie to mamy do ciebie małe pytanko. — Z tylnej kieszeni wyjąłem kopię malunku spod autostrady i rozwinąłem ją. Korzystając z magii serwisu drukującego Kinko's, poprzez powiększenia i odpowiednie kadrowanie, wykasowałem ciało.

Biskup rzucił okiem na wydruk i powiedział:

— To nie ja.

— Znam to uczucie — odparłem — ale nie jesteśmy glinami ani prokuratorami i nie obchodzi nas, czy to jest legalne.

— Nie, ale to naprawdę nie ja. — Szerokim gestem wskazał otaczające nas fotografie. — Widzicie tag sto trzy? Dolny, prawy narożnik, za każdym razem?

Przyjrzałem się zdjęciom. Cyfry rozplywały się, zupełnie jak na plakatach w centrum handlowym, w które wpatrujesz się przez dwadzieścia

minut, zanim zostaniesz nagrodzony trójwymiarowym obrazem albo migreną.

— To wzięło się stąd, że zacząłem na Sto Trzeciej w Watts — Biskup postukał w odbitkę w moich rękach. — Tutaj nigdzie nie ma sto trzy. Poza tym nie używam zieleni amazońskiej ani metalizowanego barwinka. To paleta nie Biskupa. Ale jakiś toj habił mojego wrzuta.

— Tłumaczenie dla białasa?

— Jestem znanym writerem. Dlatego mogliście mnie znaleźć. Ale to zrobił toj, jakiś nowy dzieciak. Habił mojego wrzuta, czyli skopiował moje gówno, żeby pokazać propsy, znaczy szacunek.

— Poznajesz, jaki dzieciak zrobił to graffi?

Chic spiorunował mnie wzrokiem.

— Sztukę aerozolu?

— Pewnie. To jego imię, głupki. — Biskup pstryknął kartkę w lewym górnym rogu. Wśród dymków i chmurek różnych kolorów schowały się dwie litery, oddane abstrakcyjną hiperkaligrafią. *WB*. — West Manchester Boulevard, przy Forum w 'Wood. Tam zaczął. Inglewood. Młodzi robią wrzuty na rampach i magazynach. Żadnych głównianych pieczętek ani szablonów, zwija ogon na miejscówce.

Wymówił nazwisko miękko, w stylu latynoskim: *Hoon-yore*.

— To Meksykanin? — zapytał Chic.

— Żadnych rasistowskich podtekstów wśród writerów. Interesuje nas art.

— Wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

— Tak. Chłopak pisze do mnie. — Biskup powędrował w stronę małego, metalowego biurka i pogrzebał w szufladach, rozrzucając dookoła papierki po batonach. Wyciągnął z szuflady pełnej korespondencji zmięty



list. Było tam zdjęcie przesuwanych drzwi do magazynu zrobione polairem, które za sprawą sprayu uległy przemianie w zaklęwaną krajinę. List brzmiał:

*Szanowny Bisku!*

*Jesteś tu de'best. To mój wrzut na wzór twojego na Metro Red. Jak podrosnę, otąguję biały dom na samych kolumnach. Ha ha ha. Jak skończy mi się nadzór, przyjadę do ciebie i pogadamy.*

*Jesteś de'man!*

*Junior Delgado*

Obróciłem kopertę. Adres zwrotny podawał miejsce o nazwie Hope House, przy ulicy West Sixth. Wyciągnąłem długopis zza ucha i przepisałem adres do notesu detektywa, oprawionego w czarną skórę, który przed laty sprezentował mi Cal.

— Muszę zapigalać, bo mam dystrybutora spotkać w restauracji — powiedział Chic. — Chyba możesz bezpiecznie odwiedzić Juniora bez wyjebanego w barach nigga, co potrzyma cię za rączkę?

— Ja wiem? — Spojrzałem na Biskupa. — Chcesz potrzymać mnie za rączkę?

Bisku parsknął.

— Ja tam nie gadam.

Chłopak z tatuażami gangu na szyi zjechał na wózku po rampie dla inwalidów i skręcił do vana zaparkowanego obok mojego samochodu. Po drodze zadzwoniłem do Prestona, a on sprawdził dla mnie w Google Hope House. Okazało się, że jest to dom opieki – dozór socjalny – zajęcia terapii grupowej – tuż nad MacArthur Park. Dom składał się z sześciu sypialni – dwójka dzieciaków na pokój, z personelem dyżurującym w nocy. Ostatni przystanek przed sądem dla problematycznych nieletnich z LA.

Wysiadłem. Chłopak męczył się, żeby wyswobodzić się z wózka i przesiąść za kierownicę.

– Pomóc? – zapytałem.

Odwrócił się. Napis na jego baseballówce głosił: GDYBY NIE WOLA BOGÓW, BYŁBYŚ TY.

– Tak, przyjechałem aż tu, i nie wiem, jak mam, kurwa, wsiąść.

Na razie szło dobrze.

Dom był piętrowy i sypał się – farba obłaziła, rolety pokrzywione, jak wszystko dookoła. Wszedłem wprost w wir bieganiny, dzieciaki wylatywały z pokoiów, wrzeszczały na siebie, przewracały się o zepsuty sprzęt

na placu zabaw. W tym wszystkim krążyła latynoska pedagog, obgryzając paznokcie, z telefonem przyciśniętym do ucha.

— Jego kurator nie zjawił się, brakuje mi kierowcy i muszę wpłacić kaucję za Patricka, więc nie mogę go zabrać.

Rozłączyła się, odetchnęła głęboko.

— Pan jest kierowcą?

— Nie, szukam Juniora Delgado. Muszę poprosić go...

— Już. — Zamachała rękoma, potem zreflektowała się i dokończyła łagodniejszym tonem. — Proszę iść na tył domu i tam poczekać. Musi pan porozmawiać z Caroline Raine. To nasza terapeutka kliniczna. Jest na górze. Zajmuje się sprawą przemytu. Zaraz zejdzie, ale to nie jest najlepszy dzień. Się pan częstuje kawą. — Wskazała rządęk ręką wykonanych kubków zawieszonych na drewnianych kołkach. — To może chwilę potrwać. Jak pan wypije, proszę pozmywać.

Uzupełniając poziom kofeiny, wyszedłem na tył domu i usiadłem na gazonie wypełnionym śmieciami zamiast kwiatów, obok dzieciaka, który wyglądał na równie ożywionego jak gitarzysta country.

— Wiesz, gdzie jest Junior?

— Nie wiem, człowieku. — Wstał i powlókł się byle dalej. Moja obecność znieważała go.

Uderzyło mnie, jak wiele filmów koloryzowało moje wyobrażenie o domach dziecka. Tutaj nie było długorzęsyh, latynoskich chłopców o gładkiej skórze, dziewczyn obrzucających cię uśmiechem za milion dolarów na umorusanych twarzach, żadnych mądrali czekających na wzór do naśladowania, na projekt umuzykalniający sponsorowany przez państwo i kapryśnego nauczyciela muzyki. Za to pełno było workowatych szortów, tenisówek i groźnych min. Zjeżdżalnia na podwórku zardzewiała i brakowało jej dwóch poprzecznych drążków.

Pomyślałem, że takie dzieciaki zasługują chyba na coś lepszego do zabawy, ale najwyraźniej radziły sobie bez tego.

Dziecko z zespołem Downa siedziało na popękanej, gumowej huśtawce; ukrywało twarz w dłoniach i płakało:

— Chce do mamy...

Chłopak w cytrynowej bluzie walnął prosto z mostu:

— Żeś sam zabił mamę, dałnie.

— Wiem, wiem.

Pomyślałem: Już nigdy więcej na nic nie będę narzekał.

Wychudzony Meksykanin, na oko piętnastoletni, ubrany był w kurtkę Lee, dzinsy-dzwony i trampki. Wyglądał jak ktoś, na kim usiadł Gruby Albert. Kiedy odwrócił się, aby przytulić współkonnspiratora, zobaczyłem, że ma ręcznie ozdobiony tył kurtki. Sztuka aerozolu, zdaje się, że tak jest poprawnie.

— Junior?

Podszedł powoli, usiadł obok mnie i powtórzył swoje imię — tak, jak należało prawidłowo je wymawiać.

— Przepraszam. To twoje dzieło? Nie jestem gliną, tylko fanem.

Rzucił okiem na złożoną kartkę i uśmiechnął się.

— Spoko, to moje.

— Namalowałeś to w czwartek w nocy?

— Skąd wiesz?

Wskazałem gołębie pióra przyklejone do betonu.

— Farba była jeszcze mokra. A zdjęcie miało datę. O której tam byłś? — Minęła chwila, zanim odczytałem jego wahanie. — Nie martw się. Nikomu nie powiem, że się wymknąłeś.

— Późno. Chyba gdzieś od za piętnaście dwunasta do za dziesięć druga.

— Jesteś pewien?

— Bardziej tego za dziesięć druga. — Odslonił imponujące Sanyo. —

Zegarek pika mi o pełnej godzinie. Piknął, jak wracałem rowerem, jakoś w połowie drogi.

Czas na pierwszym zdjęciu z miejsca zbrodni to druga siedem w nocy, co poprowadziło mnie do kolejnego pytania.

— Dlaczego nie skończyłeś malunku?

— Przerwali mi.

— Samochód?

— Uh-huh.

— Widziałeś, jaki to był wóz?

— Widzę wszystko, ziom. — Wyczuwając moje zainteresowanie, wbił we mnie brązowe oczy. — Pani Caroline zgodziła się, żebyś tu był?

— Nie powiedziała „nie”.

— Uh-huh. Widziałeś ją? Te oczy?

— Nie.

Uśmiechnął się zjadliwie.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Przepraszam pana...

Odwrociłem się i zobaczyłem stojącą nade mną kobietę. Na pierwszy rzut oka jej twarz wyglądała niczym roztrzaskana, piękna maska. Dzieliły ją blizny; jedna zaczynała się na linii włosów i obiegała skroń, druga zaś brała początek pod okiem i łączyła dwa wzgórki ust, tnąc brzeg wargi.

Upuściłem kubek z kawą. Bardziej ze względu na zbyt starannie nałożoną tapetę niż z przerażenia, obojętnie, w każdym razie efekt był ten sam. Czuję się jak układna guwernantka z powieści Jane Austen, z drżącą na spodku filizanką, gdy po balu rozniosła się plotka. Moje cierpienie rosło z każdym żenującym łukiem, jakie nietknięta część kubka kreśliła na betonie, a stłumiony śmiech Juniora w niczym nie pomagał.

— Przepraszam — powiedziałem. — Nie utrzymałem.

Jej mina nie zdradzała niczego. Linia ust nie pokrywała się, a dłuższa

kreska wydawała się równie przypadkowa. Blizny wyblakły, kolor zlewał się, skóra miała lekkie przebarwienia po, jak się domyślałem, zaleczonych przeszczepach. Siwiała, ale nie pasemkami czy lokami. Wszystkie jej włosy straciły blask i przypominały lekko zakurzone drzewo sandałowe. Były bardzo długie, zebrane w kok nawinięty wokół ołówka. Jej rysy, postrzegane poprzez okaleczenie, były zadziwiające. Lodowate, zielone oczy, delikatne usta, ładna struktura kości podkreślająca policzki. Podałem rękę.

— Drew Danner.

— Poznają z procesu.

Junior spojrział na chłopaka w cytrynowej bluzie, który bezgłośnie wypowiedział:

— Ja, kurde...

— Junior, idź do siebie, proszę.

— Psze pani...

— Natychmiast.

Pospieszył się. Ja też tak bym postąpił.

— Czego pan sobie życzy, panie Danner?

— Próbuję ustalić, co mi się przytrafiło. Miałem kilka pytań do Juniora.

— I pomyślał pan, że przyjedzie tu i przesłucha jedno z moich dzieci bez uzyskania mojej zgody?

Zmusiłem się do uśmiechu.

— Proszę mnie potraktować ulgowo, miałem guz mózgu.

— To się tutaj nie sprawdzi, koleś.

— Kiepsko.

— Posprzątaj po sobie i zmykaj.

Zostawiła mnie na gazonie. Dzieciaki dookoła pękały ze śmiechu, nie wyłączając tego z zespołem Downa, a chłopak w bluzie od dresu pokazał mi język. Potrzebowałem od Juniora opisu samochodu, którego przyjazd

przerwał mu malowanie, ale nie miałem sposobu, aby się do niego dostać. Teraz.

Pozbierałem fragmenty porcelany i poszukałem śmietnika na korytarzu. Z sąsiedniego pokoju dochodziły głosy Caroline i prawnika.

— Sędzia Celemin ma dosyć. Jak nie stawi się po raz kolejny, to trafi do więzienia.

— Co możemy zrobić, Caroline? Muszę wykupić Patricka teraz, a kierowca się zwinął. Dobrze, nic nie...

— Nie, nie jest dobrze. Nie wyznaczałam podwójnych dyżurów, a teraz on skończy w sądzie z mojej winy.

Pozostawiłem ich radościom instytucji charytatywnej.

Ruszałem już samochodem, kiedy zaskoczyło mnie stuknięcie w szybę. Caroline Raine nakazała gestem, abym otworzył okno. Czuję, że jak Caroline Raine sugeruje, abyś coś zrobił, to lepiej to zrób. Wepchnęła mi jakiś dokument na kierownicę.

— Tu. Podpisz. Nie, tu. Teraz jesteś wychowawcą w naszej organizacji. Zabierz Juniora do sądu... już jesteście spóźnieni. To tylko jedna godzina z twojego dnia, a oszczędzisz mu więzienia.

Wyobraziłem sobie okładkę książki: *Wtorek z Juniorem*.

— Nabierasz mnie?

— Po drodze możesz go wypytać, o co tylko chcesz. Nie żeby zaraz do czegoś to ciebie doprowadziło.

— Skąd wiesz, że nie jestem psycholem?

— Oko psychologa.

— Sądzili mnie za morderstwo.

— Niepoczytalność to kaszka z mleczkiem w porównaniu z tymi dziećmi. Junior zje cię na lunch.

— Po tym, co przeszedłem — powiedziałem — zapewne jestem trujący. Chyba poradzę sobie z krnąbrnym dzieciakiem.

— Więc ktoś ci przerwał? — zapytałem. — Jaki to był wóz?

— Ziom, przestań naciskać. Wale do sądu. Zawsze wtedy peniam.

— Jak często musisz się stawiać? — Dostało mi się spojrzenie, na jakie zasłużyłem. — Tym razem za co?

— Za sprayowanie, a za co? — Junior bawił się radiem; zaczął bitować do rytmu, od którego szyby się zatrzęsły. — Ziom, za co cie dopadli? — krzyknął. — Postawili cie za sto osiemdziesiąt siedem?

Ściszyłem radio i opowiedziałem mu, zadając sobie jednocześnie pytanie, na co, do diabła, liczę, zdradzając to wszystko znudzonemu młodocianemu przestępcy. Powtórzenie, podobnie jak przepisywanie, pomogło mi wyjaśnić braki, słabości i zaniedbania wymagające dalszego śledztwa.

Kiedy skończyłem, Junior zaskoczył mnie.

— Ziom, masz przesrane. Kumasz, czego ci trzeba? Psa.

— Psa, który mówi i prowadzi śledztwo?

— Ktoś włazł ci na chatę, pociął cie i nasrał w papiery. Pies by cie obronił, ziomal, tyłka by ci upilnował. Miałem mieszankę dobermana z rottweilerem. Byś miał takiego psa, tobyś się nie martwił, kurwa, o nic. Nie na hawirze.



Przyznałem, że jest to niezła myśl. Zajechaliśmy do sądu dla nieletnich w Eastlake. Zerknąłem na graffiti wymalowane na kurtce Juniora, kiedy wysiadał.

— Zważywszy na przyczyny twojej wizyty w sądzie, może wolałbyś zostawić kurtkę w samochodzie?

— W życiu, ziom, lans i penerka musi być. — Wysunął nogę, ukazując białe PRO-Kedy. — To i moja zajawka, to mój oldskulowy sprzęt taggera.

Według mojego zegarka byliśmy spóźnieni czterdzieści pięć minut.

— Spóźniliśmy się.

— Nie peniaj — powiedział Junior, podskakując obok. — Sędzia Celemin mnie kocha.

Sędzia Celemin, w czarnej todze zebranej wysoko na ramionach niczym skrzydła u sępa, omiatał nas wrogim spojrzeniem.

— Jakże się cieszę, że pan Delgado wreszcie uraczył nas swoją obecnością. Mam nadzieję, że dotarcie tu nie sprawiło panu zbyt wielkich trudności?

Junior rozpromienił się.

— Absolutnie, Wysoki Sądzie.

Sędzia przeniósł na mnie padlinożercze spojrzenie. Zważywszy na naszą opieszałość, nasz obrońca z urzędu przeszedł na inną rozprawę, po drugiej stronie korytarza, ale sędzia Celemin zdecydował:

— Pan Delgado i osoba odpowiedzialna za jego dojazd wejdą mimo to. Pan Delgado, w wieku lat czternastu, a zatem pozostając niepełnoletnim, po raz wtóry naruszył warunki dozoru sądowego, będąc aresztowanym w posiadaniu pojemników z farbą w sprayu. Pan jest jego wychowawcą?

Zlał mnie pot.

178

- Winny zarzutów, Wysoki Sądzie.
- Może zechciałby pan rozważyć jakość przekazywanych przez siebie morale?
- Zasadniczo ostatnio nie poświęcałem temu należytej uwagi, Wysoki Sądzie.
- Zdecydowanie, pańskie ostatnie doświadczenia nauczyły pana, na co zezwala Szósta Poprawka, panie Danner?
- Całkowicie zgłupiałem. Kiedyś potwornie się bałem, że nie jestem tak sprytny, jak sądziłem. I z wielką ulgą odkryłem, że mam rację. Żaden zdeklarowany dorosły nie chce jednak przyznać się, że nie wie czegoś, czego uczą w szóstej klasie szkoły powszechnej. Do wykształcenia nabiera się pewnego dystansu i nie bez żalu uświadamiasz sobie, że jesteś niepiśmiennym osłem, który nie potrafi znaleźć na mapie Marylandu ani wymienić w kolejności wszystkich planet.
- Rozumiem, że nie należy spóźniać się do sądu.
- Pańskie domysły są słuszne, panie Danner. A teraz pan Delgado miał ostatnią szansę i zdecydował spóźnić się, obawiam się zatem, że jestem zmuszony...
- To moja wina — powiedziałem zrezygnowany. — Miałem umówione spotkanie i za późno go odebrałem.
- Spotkanie? Ostrożnie, Chandler.
- Sędzia Celemin nie krył zgorznienia.
- Dobrze. A zatem wróci pan tu jutro o tej samej porze z adwokatem pana Delgado i definitywnie załatwimy sprawę.
- Jutro będzie to dla mnie nieco trudne, ale z pewnością ktoś inny...
- Co takiego w moim zdaniu skłoniło pana do wniosku, że zaprosiłem go do dyskusji?
- Nic, Wysoki Sądzie.
- Potrzebne mi poświadczenie osoby pełnoletniej, że ten nieletni zjawi się tu jutro.

— Moje?

— Jest pan pełnoletni?

— Niektórzy mogą to kwestionować, Wysoki Sądzie.

— I ja do nich należę. Lecz w maszynie wymiaru sprawiedliwości, panie Danner, musimy pracować z tym, co mamy. Jeżeli chodzi o pana zapracowane jutro? Bardzo nie chciałbym sprawiać panu kłopotów. Jestem spóźniony godzinę z wokandą, więc doskonale wiem, jakie to trudne, kiedy komplikują się czyjeś plany.

Junior chichotał przez całą drogę na parking.

— Wypluj to z siebie.

— Może walniemy się do kina, brachu?

Zahamowałem z piskiem opon.

— Dostyc mam tej zabawy. Albo powiesz mi o samochodzie, który widziałeś, albo natychmiast wyrzucam cię na pysk.

Junior rozejrzał się.

— Ładna dzielnica. — Wyglądał jednak niepewnie. — OK. Tagowałem most, kiedy zobaczyłem światła. To się zwinąłem.

— Ale wóz widziałeś?

— Brązowe volvo. Jakieś kombi. Porządnie wgięty nad kołem z przodu. Widziałem, bo farba odeszła.

— Po której stronie?

Spojrzał na ręce, z kciuków i palców wskazujących ułożył L.

— Po prawej.

— Stare volvo, nowe volvo?

— Skumałem tylko ten kształt jak brzydka dupa. Volvo to volvo, ziom.

— Racja. Widziałeś rejestrację?

— Pewnie.

180

— Pewnie?

— Jak spacerasz i jedzie na ciebie wóz, zawsze sprawdzasz tablicę. Sprawdzasz, czy to nie psy. *E* w kółku przed cyframi oznacza pojazd uprzywilejowany. Tak się rozpoznaje nieoznakowane psy. — Uśmiechnął się, zadowolony z siebie. — Ale ten nie miał „E”. Ten zaczynał się od siódemki. Tyle mogę powiedzieć, ziom. Szczęśliwa siódemka.

— Kierowcy nie widziałeś?

— Kurna, nie. Nie grzebałem się. Zrobiłem strzałkę, jak parkował.

— Kręcił się tam ktoś jeszcze?

— Tak, zgromadzenie zakonnice waliło pod mostem. Wolę tagować z kupą świadków.

— Gdzie zaparkowało volvo?

Junior wskazał miejsce poza kartką.

— Gdzieś tu.

Przypomniałem sobie pas ziemi pod rampą po tamtej stronie. Co mogłoby oznaczać odciski opon albo butów.

— Chcę, żebyś mi pokazał. Jak mogę stąd dostać się na rampę?

Słuchaliśmy muzyki. Junior kołysał głową na zagłówku.

— Teraz skręć w prawo. W lewo. Teraz w prawo. Dobra, stój.

Stałem przy krawężniku przed rzędem niedużych domów.

— Gdzie jesteście? To nie jest rampa.

Junior wyskoczył i pobiegł do najbliższych drzwi.

— Wejdę tylko na sekundę.

Pogoniłem za nim, przeklinając go w sposób niegodny wychowawcy-opiekuna.

Wpadłem przez drzwi z siatki. Junior stał w mrocznym i ciasnym wejściu, gwiżdżąc na palcach.

— To dom mojego kuzyna — powiedział w ramach wyjaśnień.

Z tyłu domu wyszedł mężczyzna dumny jak paw. Czarny garnitur, czarny kapelusz z szerokim rondem, czarny krawat, czarne buty — jeden obrót etnicznej ruletki i mógł być chasydzkim handlarzem diamentami. Zwrócił posępną twarz do Juniora, wykrzywiając usta.

- To jest Hector — przedstawił go Junior.
- Zabieraj stąd tego pieprzonego psa — odezwał się Hektor.
- Po to tu jesteśmy, ziom.

— Junior, przestań startować do mnie z tym „ziomem”. Skończ z tym gównem z getta. Wy, *niñios*, zapominacie o dumie z latynoskiej skóry. — Skierował się do drzwi. — Wychodzę. Lepiej, żeby tej suki nie było tu, jak wrócę, bo inaczej wywiozę ją do schroniska. — Naciągnął mankiety i wyszedł.

- Och, nie — wydusiłem.

Junior otworzył tylne drzwi i do mieszkania wpadł mieszaniec dobermana z rottweilerem. Z byczej szyi zwisał sznur.

— Weźmiesz sobie takiego, to nikt nigdy nie zbliży się, kurwa, do twojej hawiry. Patrz na nią. Jest piękna, nie? Ma na imię Xena. Wojownicza księżniczka. Bezwzględny zabójca, ziom.

- Nie potrzebuję bezwzględnego zabójcy.
- Patrz, patrz. — Pociągnął za linkę.

Xena warknęła.

- Nie potrzebuję Xeny. Chcę tylko zobaczyć rampę.
- Chcesz coś wtrząchnąć, ziom?
- Jedziemy. Chcę zobaczyć rampę.
- Pokażę ci rampę, jak weźmiesz Xenę.
- Nie biorę Xeny.
- Chcesz pozwolić, żeby idealny pies stróżujący zginął, kiedy sam takiego potrzebujesz?
- Nie potrzebuję.
- Mówiłeś, że potrzebujesz.
- Chciałem być miły! — wrzasnąłem.

Junior cofnął się o krok i podrapał się w głowę.

— Nie chcę, żeby uśpili Xenę. — Oczy mu zwilgotniały.

— O Chryste — jęknąłem.

Junior objął Xenę za kark i zaczął płakać.

— Zabiją cię, Xena. — Tulił i kołysał sukę, która osunęła się stosownie, dopełniając piety. — Zabiorą cię do schroniska i wstrzykną truciznę.

Trwało to, z mniejszymi zmianami, przez kilka minut.

— Dobra — powiedziałem w końcu. — Wezmę tego cholernego psa.

Junior uśmiechnął się i podskoczył, a ja przypomniałem sobie, że chłopak ma czternaście lat. Potem wyciągnął do mnie rękę, spodem do góry. Łzy przestały lecieć, jakby ktoś zaczipował beczkę.

— Co teraz?

— Bierzesz psa stróżującego pierwszej klasy. Piń-dziesiont dolców.

— Mam płacić, żeby ratować Xenę?

— Kurna, pewno, że tak. — Uśmiechnął się Junior. — To wojownicza księżniczka.

Wyszczrzyłem się do niego w uśmiechu starszego wychowawcy-opiekuna.

— Ani. Kurwa. Dydy.

Xena stała na czterech łapach na tylnym siedzeniu i wsadzała łeb między nas. Sponiewierane latarnie w Rampart na niewiele się zdawały, by nadzorować nadejście zmroku.

— Możemy się zatrzymać i kupić parę kenów ze sprayem? — zapytał Junior.

— Obawiam się, że to zaprzepaściłoby moje zobowiązania, by służyć tobie za wzór.

Zagryzł zęby i osunął się w fotelu, krzyżując ręce na piersi.

— Ziom, jesteś pisarz. Co byś zrobił, jakby twoja sztuka była nielegalna? Przestałbyś? — Zajechaliśmy pod znajomą już rampę autostrady i Junior rozejrzał się. — A to jest legalne? Zabierać nieletniego na, kurwa, miejsce zbrodni?

— Minutę temu byłeś ni to Belzebubem, ni to handlarzem laserowymi nożami Ginsu. A teraz jesteś nieletni?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Racja była po jego stronie.

— Słuchaj, jeżeli kupisz znowu farbę w sprayu, pogwałcisz warunki zwolnienia i narobisz sobie tylko większych kłopotów.

— Wisi mi to. Lubię być pod nadzorem. Muszę mieszkać w Hope House. Pani Caroline jest spoko. Chcę tam zostać. Szama i kojo za free, i dalej mogą tagować.

— Wydaje mi się, że czegoś nie rozumiesz.

— „Rozumiesz”. — Odetchnął z obrzydzeniem wywołanym moją ignorancją.

Przeszedł ostrożnie do miejsca, gdzie stało brązowe volvo. Ziemia była wygładzona przez wiatr i podeptana niezliczonymi nogami. Byłem rozczarowany, ale jednak uszczęśliwiony tropem, jaki podsunął mi Junior. Brązowe volvo, wgięcie w przednim prawym błotniku, numer rejestracyjny zaczynający się od siódemki.

W drodze powrotnej w samochodzie Junior pozwolił Xenie wylizać sobie twarz, a ja zadzwoniłem do Lloyda, chociaż udało mi się dotrzeć jedynie do sekretarki automatycznej w pracy, na komórce i w domu. Szykowałem się, aby odjechać, kiedy rozległo się stukanie w szybę i twarz oświetliła mi latarka.

Odkręciłem szybę i spojrzałem w niewłaściwy koniec pistoletu.

Policjant celował z pistoletu w Xenę, która, niepomna niczego, tarła pyskiem o zagłówek Juniora.

— Panie oficerze, czy mogę w czymś pomóc?

— Jakiś dowodzik poprosimy.

Podaliśmy dowód tożsamości. Przyjrzał mu się uważnie, potem przesunął snop światła latarki z mojej twarzy na Juniora.

— Ile masz lat?

— Czternaście.

Latarka na powrót powędrowała do mnie.

— Jest pan świadom, że to dziecko jest nieletnie?

— Och, moment. Nie, nie, nie. Jestem jego opiekunem.

— Z całą pewnością. I na pewno ma pan to udokumentowane?

Wyobraziłem sobie minę Prestona.

— Nie mam. Podpisany dokument znajduje się w Hope House, tam, gdzie chłopiec przebywa tymczasowo.

— Numer telefonu poproszę.

Spojrzałem na Juniora, a on wyklepał numer jak automat. Policjant znikł w wozie patrolowym. Wśród pełnych zadowolenia warknięć Xeny i chichotów Juniora, nadal zadziwiająco głośnych, chociaż zaciskał dłońią



usta, próbowałem ułożyć plan gry. Zanim mi się to udało, na powrót pojawił się gliniarz.

— Nikt nie odbiera. — Stał w pewnej odległości od mojego samochodu, z wyciągniętą bronią, wycelowaną w wojowniczą księżniczkę. — To pański pies?

— Tak — odparłem zmęczonym głosem. — To mój pies.

— Proszę wysiąść, pies zostaje w środku. Obaj.

Obejrzałem się. Wielki facet celował w moją głowę z pis toaletu, a Xena radośnie obśliniła cały zagłówek.

— To ci dopiero pies obronny!

Junior wzruszył ramionami.

— Nauczyłem ją szanować władzę.

Z powrotem odwróciłem się do policjanta.

— Panie władzo, gdyby pozwolił mi pan zadzwonić...

— Zadzwoniłem. Nikt nie odbiera. Proszę wysiąść z pojazdu i położyć ręce na dachu.

— Pan żartuje.

— Tak, rzeczywiście jestem w nastroju do żartów.

Wysiadłem z highlandera i zastosowałem się do poleceń.

Przez okno patrzyłem, jak pies z zadowoleniem zwinął się w kłębuszek na tylnym siedzeniu.

— Leżeć, Xena — powiedziałem.

Cela aresztu na posterunku w Rampart była zadziwiająco czysta pomimo nie dającej się zamaskować woni wymiocin w tle. Oczywiście Juniora i mnie trzymano osobno, żebym jeszcze bardziej go nie zepsuł.

Minęła wieczność, zanim za kratami pojawiła się twarz Caroline Reine. Nigdy nie doznałem przyjemniejszego wrażenia.

— Masz zły wpływ — stwierdziła.

Odkleilem się od lepkiej ławki.

— Dopiero teraz doszłaś do tego wniosku?

Zawieźliśmy Juniora do Hope House, a potem Caroline zabrała mnie do highlandera. Wypuściłem Xenę, a ona pobiegła do kępy chwastów, przysiadła i wysikała się.

Caroline w rozbawieniu wydeła usta.

— Czy to nie jest pies Juniora? — zapytała.

— Ziom, to wojownicza księżniczka. — Zagwizdałem i Xena wróciła do highlandera.

Caroline rozejrzała się, drżąc na wieczornym chłodzie.

— Niedawno popełniono tu morderstwo.

— Taa. Wrobili mnie w to. Bardzo starannie. Ale tym razem mam alibi.

Skinęła lekko głową; trudno było zaszokować tę kobietę.

— A mianowicie?

— Nagrałem się kamerą, jak spałem.

— Masz sporo dziwnych obyczajów.

— To wymaga dłuższej rozmowy. Zapraszam cię na kolację.

Zaśmiała się nieporadnie.

— To randka?

— To podziękowanie.

Przyjęła to z wielką ulgą.

— W tym rejonie jest kilka kulinarnych przybytków. — Wskazała w górę ulicy. — Gastryczny koszmar w Pepe's House?

— Mój typ.

Caroline sączyła piwo, a ja próbowałem napoju imbirowego. Przed nami na stole leżały resztki burgerów, frytek z serem i chili, przygniatając

przetłuszczony papier w czerwonym, plastikowym koszyku. Kilku włóczęgów w barze, wolny stół bilardowy i Stonesi z grającej szafy przypominali nam, że nie zawsze można mieć to, czego się chce. Powlekliśmy się kilka kilometrów dalej, do mniej wystawnej części miasta. Zostawiłem Xenę, zajądłą morderczynię strzegącą mojej hybrydy, śpiącą błogo na tylnym siedzeniu.

W trakcie kolacji z Caroline emanowało ciągle zaciekawienie. Patrzyła mi w oczy, może to nawyk psychologa, ale nie przeszkadzało mi to tak, jak się spodziewałem. Odpowiadałem na kolejne błyskotliwe pytania na temat procesu, moich teorii, trwającego śledztwa oraz dlaczego skończyłem w pierdłu razem z Juniorem.

— Bystry dzieciak z niego — powiedziałem.

— Juniora porzucono w zaułku jeszcze z nieodciętą pępownią. Ma dożywocie w tym systemie i to nauczyło go kilku ładnych sztuczek. — Popiła kolejny łyk meksykańskiej Corony. — Bardzo ciebie polubił. Może powinieneś się z nim zobaczyć. To znaczy jutro, po wyznaczonej wizycie w sądzie.

Wzruszyłem ramionami.

— Może będzie dobrze, jak dla odmiany zrobię dla kogoś coś dobrego.

— Nie ufam niczemu, co nie ma ukrytych egoistycznych motywów. Bądź jego opiekunem, jeśli chcesz. Dla siebie samego.

Jej twarz zastygła. Przyglądałem się jej, próbując rozszyfrować nagłą zmianę nastroju, a umiejętność tę wyrobiłem sobie w ciągu lat spędzonych z Genevieve. Trudno mi było nie patrzeć na blizny. Linie były czyste, chociaż biegingy zygzakami, co skłaniało mnie do przekonania, że zostały zadane ostrzem, prawdopodobnie podczas ataku. Jak sobie uświadomiłem, ryzykowałem fetyszyzowanie twarzy Caroline, zafascynowanie

nią taką, jaką była. Poza oczywistym okaleczeniem, miała gładką skórę, dobrze utrzymaną dzięki kosmetykom. Mógłbym się założyć, że kiedyś była dumna ze swojej cery. Może nadal, na przekór, ceniła jej powab. Była szczupła, z delikatnie zarysowaną muskulaturą, co najwyraźniej pasowało do jej osobowości. Była o kilka lat ode mnie starsza, już po czterdziestce, ale ten wiek zdradzały jedynie dłonie. Wyglądały na delikatne i wybaczące, delikatniejsze od całej reszty.

Rozejrzałem się, głównie po to, aby przestać się jej przyglądać.

W jedynym telewizorze, wiszącym pod sufitem, nie nastawionym na ESPN1, 2 albo 12, pojawił się Johnny Ordean, grający — jak zwykle — detektywa Aiden O'Shannona. Żyd z Brooklynu, występujący pod pseudonimem, grał chicagowskiego glinę irlandzkiego pochodzenia, teraz zaś tylnymi drzwiami wszedł do wytwórni Foxa. Witaj w Hollywood.

Johnny i ja zaliczaliśmy siebie nawzajem do szerokiego grona przyjaciół — ja udawałem, że krążę wokół niego jak ćma, a on wpisywał mój numer do swojej komórki na wypadek, gdybym przypadkiem napisał coś jeszcze, co jego agenci mogliby przerobić na serial.

Detektyw O'Shannon kuczał nad sponiewieranym ciałem, jedząc — uwaga — hot doga i podnosząc na wygiętym spinaczu łuskę. Napisy, ze stosownym brakiem poczucia humoru, głosyły:

**ZABIERZCIE TO SZYBKO DO LABORATORIUM. ŁUSKĘ, NIE HOT DOGA.**

Caroline powiodła oczyma za moim spojrzeniem.

— Czy to nie on grał w tym szajsowatym filmie tę postać przerobioną z Dereka Chainera?

— Czytasz moje książki? — Byłem przejęty.

— Oczywiście, że czytałam. Jak myślisz, dlaczego oglądałam proces?

— Przez zboczoną ciekawość.

— Dlatego też ciebie czytam. — Kiedy uśmiechnęła się, jej blizny wyprostowały się, a cięcie przechodzące przez usta wyrównało się. Okaleczenie, co prawda, nie znikło, ale stało się mniej widoczne. Rany zostały zadane, kiedy marszczyła twarz, płakała, albo krzyczała, a uśmiech w jakiś sposób symulował ten stan i przywracał pierwotną drogę ostrza. — Nigdy nie uległeś w procesie. Nie zamieniłeś się w cyrkową fokę. Założę się, że nie było to proste.

— Przez cały czas czegoś się uczyłem.

— Co z tego wyniosłeś?

— Potrafię wyczuwać aurę.

— Naprawdę?

— W zasadzie to łaskoczą mnie teraz moje zmysły człowieka pająka.

A twoja aura pachnie jak... — pochyliłem się nad stołem i powąchałem jej rozkoszne włosy — ...mokry pies.

— Mokry pies? — Nie śmiała się.

— Tak. Pekińczyk może.

Walnęła mnie w ramię na odlew.

— Sądziłem, że lubisz mnie za poczucie humoru.

— Nie lubię cię. Ale gdybym lubiła, to za twoją złą reputację.

— Przemienie. Czas leczy rany.

— Nie — odpowiedziała. — Nie leczy. — Przyjrzała się końcówkom swoich włosów.

— Uu-aa.

— Co?

— Zaczynasz oddawać się osobistym zabiegom higienicznym. Jeżeli mam wierzyć artykułom ze „Zdrowego mężczyzny”, oznacza to, że straciłaś zainteresowanie rozmową.

— „Zdrowy mężczyzna”?

— Tak. Przepraszam za to.

— Pomimo dominującej naukowości, nie oznacza to, że straciłam zainteresowanie. To znaczy, że jestem niespokojna.

— Bo...

— Teraz pracuję. Nie chadzam na kolacje z nieznanymi mężczyznami.

Naszą uwagę zwrócił śmiech przy stole bilardowym. Przy jednym z stolików w barze byczek z uchem przekłutym sprężyną wtulał się w efektowną dziewczuchę. Blond włosy, duże, niebieskie oczy — modelowy przypadek genów recesywnych. Wyglądali młodo, pewnie weszli tu na fałszywe dowody.

— Co ja bym dała, żeby mieć swoją taśmę z czasów studiów — powiedziała Caroline. — Przeszłość zawsze wydaje się taka świetna, kiedy już minie. Ale my musimy tu tkwić, w zawsze nieświetnej teraźniejszości. — Patrzyła, jak młodzi się całują. — Pamiętasz, jak miałeś tyle samo lat? Cokolwiek odczuwałeś, to był to twój pierwszy raz. Odkrywałeś emocje. — Tęsknota w jej głosie była nieomal namacalna. — Możesz tak płonąć całe życie albo wypalić się, ale nadal będzie to strata, kiedy przeminie.

Chłopak wyprostował się. Na T-shircie miał napis: SAM SIĘ NIE OBCIĄGNIE.

— O, tak — powiedziałem. — Szczęnięca miłość.

Caroline zaśmiała się, a chłopak zamarł i spojrzał na mnie spode łba.

— Pewnie — powiedziałem — nosisz taką koszulkę i nie chcesz, żeby ludzie na ciebie patrzyli.

Z groźną miną szedł dalej do wyjścia, postukując paczką fajek. Podeszła do nas kelnerka. Próbowałem zapłacić, ale Caroline nalegała, trochę zbyt mocno, żeby podzielić się rachunkiem.

Kiedy odniesiono nam resztę, Caroline powiedziała:

— Kiedy zaczęłam pracę w Hope House, zauważyliśmy, że nie mamy wpływu na niektóre dzieciaki, ponieważ nie rozumiemy ich reakcji,

wrodzonych zachowań. Wprowadziłam więc domowe wizyty dla terapeutów. Żeby zobaczyli, skąd pochodzą dzieci. To pomagało nam lepiej zrozumieć, jak traktować je w innym kontekście. — Przerwała, żeby dokończyć piwo, a ja zastanawiałem się, do czego zmierza. — Znałeś Genevieve, ale w przypadku Kasey Broach masz na zdjęciu tylko ciało. Jeżeli chcesz wiedzieć, jak się w to wpasować, musisz zobaczyć, gdzie żyła, poznać jej rodzinę.

— I co mam im powiedzieć? „Jestem podejrzany o zabójstwo waszej córki i chciałbym zadać kilka pytań”?

Wzruszyła ramionami.

— Jesteś kreatywny. Rzekomo. — Zerknęła w stronę stołu bilardowego. — Chcesz zagrać?

— Podpuszczasz mnie?

I znowu cudowny uśmiech.

— Nie jestem w tym zbyt dobra.

Dwie i pół minuty później patrzyłem, jak pochyla się, celując w piętnastkę, przedostatnią bilę na stole. Pozostało mi sześć kolorowych bil do wbicia i odrobina barowej godności. Odkryłem, że Caroline Raine dysponowała całą gamą śmiechu: zwycięskim okrzykiem, pewnym siebie chichotem, parsknięciem pod nosem.

— Jak ta piętnastka? Chyba coś słabo. — Po uderzeniu, niewiarygodnie, bila szła jak nitka przez ucho igielne, przez pierwszą, piątą i zrównała się z dziewiątą. — Jubiler wchodzi do gry — powiedziała, zanim wbiła ją do bocznej luzu z rykoszetem, co widziałem tylko na filmach z Paulem Newmanem.

Obeszła stół, pocierając kij kredą. Spryciarz w T-shircie ciągle rozmawiał przez telefon w kabinie, ale krzesło jego dziewczyny blokowało pozycję Caroline.

— Mogłabyś przepuścić mnie do tego pchnięcia?

— Byliśmy tu pierwsi — odpowiedziała. — I już raz się przesuwalam. Nie będę tańczyć dookoła stołu.

— To taki problem przesunąć się parę centymetrów w lewo?

Dziewczyna przywołała sztuczny uśmiech na nierozsądnie śliczną buzię.

— Lubię: sporty wodne, długie spacery plażą, małe kotki. Nie lubię: przemądrzałych ciż o spieprzonej twarzy.

Caroline zaczerwieniła się cała za wyjątkiem blizn. Kontrast był ostry. Odstawiła kij i zwróciła się do mnie.

— Chodźmy. — Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, przystanęła i spojrzała na mnie niecierpliwie.

Zatrzymałem się przy dziewczynie. Na stoliku, obok smirnoffa z lodem, leżały próbne odbitki jej zdjęć w przytulnych pozach. Ona albo jej chłopak zakreślili kilka z nich czerwonym ołówkiem, wybierając najlepsze.

— Znam ciebie — powiedziałem cicho. — Trafił ci się przyzwoity zestaw genów i myślisz, że to jest twój wkład w świat. Tak naprawdę wcale nie chcesz grać. Jesteś po prostu leniwa i pragniesz, żeby cię podziwiano i żebyś dostawała za to kasę. Wystąpiłaś w reklamówce płynu do ust i w katalogu domu towarowego, a twój agent myśli, że będzie z ciebie wielka gwiazda. Za kilka lat zrezygnujesz z głównej roli i obsadzą cię jako zgryźliwą psiapsiółkę albo gospodynię domową w tasiemcowej komedii. Kolejna wymówka, żeby przez kolejne dziesięciolecie jeszcze więcej nic nie robić. Być może w długim międzyczasie zastanowisz się, co upoważnia cię do bycia okrutną i samolubną poza wysokimi kośćmi policzkowymi i pochlebstwami, za które płacisz.

Nie zauważyłem, że wrócił jej chłopak, dopóki jego pięść nie zbliżyła się z prawej strony. Oskoczyłem i cios odbił mi się od szczęki. Wtedy usłyszałem łupnięcie stołka barowego; dokończyłem obrotu i ujrzałem Caroline stojącą nad facetem. Trzymała go za wykręconą rękę, nogą zaś przyciskała mu szczękę, wgniatając ją w zużytą wykładzinę. Dziewczyna



rozdziawiła buzię, jedną dłonią zasłaniając idealne zęby. Pobladła. Może jednak była dobrą aktorką.

Caroline podniosła na mnie oczy.

— Gotowy do wyjścia?

Skinąłem głową. Caroline uwolniła chłopaka. Tym razem poszedłem za nią na parking. Zatrzymaliśmy się między naszymi samochodami. Xena siedziała przy oknie po stronie kierowcy. Machała kikutem ogona.

— Jesteś drugoligowym pisarzem z pierwszoligową gębą — stwierdziła Caroline.

Szukałem ciętej odpowiedzi — przyjąłem na nos — ale zablokowałem się, poza tym bolała mnie szczęka. Dotknąłem jej ostrożnie.

Caroline westchnęła, zdenerwowana własną troską.

— Jak się czujesz?

— Wstyd mi.

— Chodziło mi o twoją szczękę.

— Też jej wstyd.

— No, myślę. — Skrzyżowała ramiona. — Jakiej ważnej lekcji nauczyliśmy się tutaj?

— Nie graj w bilard z kobietą, która zwraca się do swojego kija per „Charlie”?

— Po pierwsze: ta dziewczyna da sobie radę. Po drugie: nie zaczynaj bójki, której nie potrafisz zakończyć.

Kilka samochodów przemknęło obok, trąbiąc, a jeden skręcił w boczną uliczkę. Przez siatkę w kuchennym oknie baru unosiła się para.

— Nie miałeś zamiaru tam się wkurzać — dodała.

— Pytałaś, co wyniosłem z procesu. Chyba jednak gorzej trawię złościwości.

— Znam nazbyt dobrze tę grę. Chodziłam z krwawiącym sercem, nastrojonym na ludzkie nieszczęścia. Dziewczyna z nadwagą, bez pierścionków,

która kiwa głową zbyt skwapliwie, kiedy ludzie do niej mówią, i chce być użyteczna. Mała staruszka na przystanku, z torebką osłoniętą plastikowym workiem, na wypadek gdyby padało. Emigrant w średnim wieku pracujący za ladą w McDonalddie. I wtedy uświadomiłam sobie, że zmierzam donikąd i że muszę zarezerwować trochę tej troski dla samej siebie.

Przypomniałem sobie, jak lajała się w biurze. Nie, nie jest dobrze. Nie wyznaczałam podwójnych dyżurów, a teraz on skończy w sądzie z mojej winy.

Najwyraźniej czytała w moich myślach.

— Nie, żebym była do niczego. Ale wiem jedno.

— To znaczy?

— Nie można przejść przez życie, czyli przez to... gównu, to kruche przedsięwzięcie, i nie zostać okaleczonym. Po prostu się nie da. Nie, jeżeli jesteś wrażliwą osobą. Nie, jeżeli nie chowasz głowy w piasek. Wszyscy dostają w tyłek. Niektórzy z nas dają się na to nabrać. A jak nie chcesz widzieć tego u siebie, to widzisz u innych.

Wsiadła do swojego samochodu i zaczęła go cofać. Wtedy opuściła szybę.

— Tego właśnie nie rozumiesz w bagnie, w którym się taplasz. Wszyscy są w porządku. Wszyscy są niedobrzy. To po prostu zależy od tego, jak chcesz na to spojrzeć.

Znowu stukalem do drzwi z drewna choiny kanadyjskiej, potem zajrzałem do środka przez panel z mrożonej szybki. Chociaż wiele razy wywoływałem Prestona przed dom, to w zasadzie nigdy nie byłem wewnątrz jego dwupokojowego mieszkania z balkonem, unoszącego się wśród billboardów przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Przyszło mi do głowy, że zawsze jakoś wyobrażałem sobie to wewnątrz — mediolańskie meble, kamienna wanna, lekka woń szałwiowego mydła do rąk.

Drzwi uchyliły się na szerokość twarzy. Przez chwilę — nawet z tak bliska — wziąłem Prestona za kogoś innego. Włosy, zazwyczaj starannie ułożone na czole, leżały ulizane; był nieogolony, szczecinę znaczyła siwizna. Dostrzegalem połę szlafroka — czyżby nie wychodził przez cały dzień? W jego twarzy czaiło się strapienie.

Spróbowałem zażartować, żeby się zrelaksował:

— Nie mówiłem ci, że zabieram cię na oficjalne przyjęcie do Beatty's?

Twarz miał spiętą. Chociaż raz nie wiedział, co odpowiedzieć. Odchrząknął, szerzej otworzył drzwi.

— Redagowałem. Nie miałem czasu się zrobić — zaczął wyjaśniać, a ja pomyślałem, że przez wszystkie lata naszej znajomości nigdy nie zapraszał mnie do siebie. Zawsze i bezproblemowo maszerował do mojego domu z własnym kluczem, więc uznałem, że ta zażyłość dotyczy obu stron.

— Nie w porę? — zapytałem. — Mogę...

— No, równie dobrze możesz wejść teraz. — Cofnął się, a ja wszedłem za nim krótkim, ciemnym korytarzem do głównego pokoju. Meble były prawie nowe, ale zaszokowała mnie ich przeciętność. Zwykła kanapa. Kuchnia w białych kafelkach. Antyczny kredens z pajęczyną pęknięć, jeszcze jedno lub dwa, a skończy na wyprzedaży rupieci.

Preston wrócił do stoliczka pod oknem, usiadł i wskazał drugie krzesło. Stolik, zawalony wertowanymi działami „New York Timesa”, nie był w zamyśle przeznaczony dla więcej niż jednej osoby. Preston odłożył „dział kulturalny” i zajął się na powrót miską przemoczonych płatków, które — jak przypuszczałem — stanowiły jego obiad. Spośród fałd szlafroka wystawała jego goła noga.

Cała scena była tak banalna, tak boleśnie przeciętna, tak na wskroś nie-Prestonowa. Nigdy nie widziałem go nieogolonego. Nigdy nie widziałem go bez starannego stroju. Nigdy nie widziałem, żeby jadł to, co zostało kupione w sklepie spożywczym. Była to idealnie zwyczajna scena w idealnie miłym mieszkanku, ale jednocześnie było to pogwałcenie mojego wyobrażenia o nim i o tym, jak się prowadzi. Obaj to odczuwaliśmy. Nic się nie wydarzyło, zupełnie nic, ale ta niezręczność była nie do zniesienia.

— Więc? — zapytał. — Co jest tak pilnego, że nie mogło czekać, aż ja to tobie oznajmię? — Nie podnosił wzroku znad miski; zażartował bez serca.

Ruszyłem do ataku.

— Zdziwisz się. Ten dzieciak... Junior, znaczy. Znalazłem go w Hope House...

Jednak otoczenie nadal mnie dekoncentrowało. Przemoczony filtr z kawą na kuchennym blacie. Samotna szklanka w zlewie, oczekująca na zmywarce. Sterty rękopisów z czerwonymi bazgrołami redakcyjnymi Prestona skolonizowały każdą dostępną poziomą przestrzeń w mieszkaniu. Myśl o nim, osamotnionym, w towarzystwie jedynie tych stert tekstów, wydawała mi się dziwnie ponura. Czyżbym się spodziewał, że będzie redagował teksty podczas przyjęć koktajlowych?

Na szczycie zatłoczonej biblioteczki, obok telewizora, ograniczony po bokach dwoma ciężkimi kubkami, stał rząd moich dzieł w twardych okładkach. Były niemal wystawione na widok publiczny. Preston zawsze karmił mnie za moje pisanie, aż zapomniałem, że może je lubi. Możliwość, że cenił mnie bardziej, niż dawał to po sobie poznać, dziwnie umniejszał mój ogląd jego osoby. Jako zaufany redaktor, bardziej elokwentny ode mnie, zaryzykował i postawił na mnie pięć książek wstecz, a ja od tamtej pory nie zmieniałem mojego podstawowego wyobrażenia o nim. Chociaż zostaliśmy dobrymi, jeśli nie zażyłymi, przyjaciółmi, w skrytości mych myśli nadal pozostawał częścią nieosiągalnej maszyny wydawniczej Nowego Jorku, a ja czułem do niego oddanie za to, że pierwszy podał mi rękę. Wiedziałem oczywiście, że wówczas stanowiłem dla niego okazję, a szczególnie teraz. Lecz może stanowiłem jeszcze większą okazję, niż mi się wydawało. Jak reszta nas, Preston był pokrecony na własny, miły sposób. Ale może był też przeciętny, jak cała reszta nas. Może potrzebował mnie tak samo, jak ja jego.

Preston coś powiedział.

Wróciłem do rzeczywistości.

— Przepraszam?

— Powiedziałem: „Tak, znalazłeś Juniora...?”

Podjąłem opowieść — Xena i policjant, i cela więzienna... — ale nie potrafiłem przekazać obłąkańczej niedorzeczności sytuacji. Preston wyrażał wesołość słabym uśmiechem i od czasu do czasu skinieniem głowy, ale obaj byliśmy rozkojarzeni i świadomi, że powierzchowna komunikacja stała się szaradą. Kiedy skończyłem, dodałem słabym głosem:

— Musimy spotkać się z tym dzieciakiem. — Przeczesałem palcami krawędzie najbliższej sterty gazet, aż dźwięk stał się nie do zniesienia. Powietrze wydawało się zatęchłe, klaustrofobiczne. Miałem ochotę stąd wyjść, wsiąść do samochodu i zacząć szukać numeru rejestracyjnego, który podał mi Junior. W końcu powiedziałem:

— Muszę jechać do Lloyda. Powiedzieć mu o volvo. Myślałem, że moje informacje jakoś cię poruszą.

— Wybacz, że cię zawiodłem.

— Nigdy nie zawodzisz, Preston.

Uśmiechnął się, zanim wstał, aby mnie odprowadzić.

— Nie — powiedział. — Zdecydowanie nie.

Lloyd siedział przy stole w kuchni, z pochyloną głową i rękami splecionymi na podkładce upstrzonej kruszynkami. Już przy drzwiach podzieliłem się z nim wiadomością o domniemanym numerze rejestracyjnym, a on aż cofnął się o kilka kroków i osunął na krzesło.

— Nie do wiary — powiedział. — Przychodzisz z marką, kolorem, widocznymi uszkodzeniami karoserii i pierwszą cyfrą z tablicy rejestracyjnej?

— Mam iść z tym do Kadena i Delveckio?

— Zastanówmy się... — Wstał i nalał sobie rumu z colą. Zauważyłem, że butelka Bacardi 8, którą kupiłem mu przed dwoma dniami, była prawie pusta. Miał na sobie spodnie od dresu i T-shirt, a koc na kanapie był odrzucony. W tle telewizor gadał uporczywie o ptasiej grypie, przepowiadając plagę i nieszczęścia. — Nie wiesz na pewno, czy volvo należy do tego, kto podrzucił ciało?

— Nie. Świadek prysnął, zanim cokolwiek zobaczył. Jest możliwe, że potem przyjechał inny samochód, ale mówimy o dość krótkim czasie między odejściem świadka a wykonaniem przez ciebie pierwszego zdjęcia.

— W każdym razie dobrze byłoby porozmawiać z kierowcą volvo. Albo jest to nasz facet, albo też coś zobaczył. — Lloyd zassał kostkę lodu ze szklanki i głośno ją rozgryzł. — Jak bardzo wiarygodny jest twój świadek?

Próbowałem wyobrazić sobie, jak Kaden i Delveckio na poważnie biorą Juniora. Lloyd czytał z mojej twarzy.

— To powinniśmy sprawdzić w komputerze. Wprowadzę tę informację rano, zobaczymy, co znajdzie. Nie dam oczywiście rady sprawdzić uszkodzonego błotnika, ale wszystko inne? Daleś mi sporo szczegółów. Jak znajdzie mocnego podejrzanego, to będziesz lepiej uzbrojony, aby iść z tym do Kadena i Delveckio. — Wycelował we mnie palec wskazujący. — Tylko ani słowa o mnie.

— W nic cię nie wplątywałem. I nie wplączę.

Jęk, ochrypliły z odwodnienia, dobiegł korytarzem, a po nim słaby krzyk, co, jak sobie uświadomiłem, musiało być jego imieniem.

Lloyd zerwał się z miejsca i pobiegł w głąb domu, panika zmuszała go do pośpiechu. Odgłos był niespodziewany — nawet przerażający — a ja stałem u wejścia do holu, wpatrując się w ciemności korytarza. Sypialnia była zamknięta jak zawsze, ale mimo to słyszałem głos Lloyd'a, głośny i zaniepokojony, a potem brzęk butelek. Nie wiedziałem, czy mam odejść, zostawiając ich samych sobie. W końcu wtargnąłem tu późno i bez zapowiedzi, w poniedziałek wieczór po kolejnym bezskutecznym wydzwanianiu pod różne numery Lloyd'a. Upór i koncentracja na sobie — pozytywne cechy u pisarza, ale dzięki nim nie byłem ważnym kontaktem w obrotowym wizytowniku. W ramach pokuty posprzątałem kuchnię, chcąc pomniejszyć lawinę prac domowych, jaka czekała na Lloyd'a każdego ranka.



Ułożyłem naczynia, powycierałem blaty i do kilku toreb po zakupach pobierałem luźne śmieci — w tym zestarzałe taco — przez cały czas mając w głowie uwagę Caroline o ufaniu samolubnym motywom. Lloyd prawdopodobnie i tak nic nie zauważy, ale myśl o pozostawieniu go w czystej kuchni poprawiała mi samopoczucie. Skończyłem i postanowiłem wyjść.

Trzymałem rękę na klamce, kiedy usłyszałem za sobą głos Lloyda:

— Zawsze myślałem, że śmierć jest piękna.

Odwrociłem się i on tam stał z tacą załadowaną brudnymi filiżankami, miskami z niedojedzonym jedzeniem i zeskorupiałą ścierką. Garbił się lekko, jakby taca ściągała go w dół, a jego oczy były zapadnięte i zmęczone.

Puściłem klamkę i wziąłem od niego tacę; postawiłem ją obok zlewu.

— Nie miałem na myśli strachu — mówił. — Kolory, jeżeli spojrzysz na to z boku. Spalone pomarańcze, zielenie, głębokie błękity. Jak jesienny bukiet. Jest piękna... śmierć. — Spojrzał na mnie. Twarz miał pustą, odrętwiałą. — Ale nie umieranie. Umieranie jest okropne.

— Co z nią?

— Kroplówka się odłączyła. Krew na pościeli, ubraniu, podłodze. Zdarza się.

Przesunął się ociężale o pół kroku i osunął na krzesło.

— Mam iść? — zapytałem. — Może chcesz zostać sam?

Lloyd skubał brzeg podkładki.

— I ubrania, które są wygodne. Które dają dostęp. — Wydął policzki.

— Frotte. Poliester. Powinienem projektować eleganckie stroje do śmierci. Zrobiłbym fortunę.

Usiadłem obok na krześle. Patrzył na swoją podkładkę. Ja na swoją. Byliśmy niczym na wspólnym posiłku, na którym nie podano nic do jedzenia.

— Jest pogrążona w okropnym procesie umierania. Przerejestrowuję jej samochód na swoje nazwisko. Podpisuję jej zasiłek. Błagam ją, aby przestała. W zeszłym miesiącu, trzeba było jej założyć mostek, cztery tysiące. Spojrzała na dentystę z taką... taką rezygnacją i zapytała: „Wytrzyma?” — potrząsnął głową i zasłonił oczy. Wykrzywił twarz w szlochu, ale nie rozległ się żaden dźwięk, a kiedy odsunął rękę, nie było łez. — „Wytrzyma?” — powtórzył. — Powiedziała, że to dlatego, że nie chce być ciężarem... Kto nie chciałby uciec przed dentystą? Ale ona pochodzi z Nowej Anglii i wydaje pieniądze, jakby miała węża w kieszeni. Poradzę sobie, mówię, nie martw się o pieniądze, ale ona się martwi. A ja tylko... tylko chcę, żeby miała nową protezę, Drew. To wszystko. Ta kobieta na to zasługuje. Ma czterdzieści dwa lata. Miała dziewiętnaście, jak za mnie wyszła. Myślisz, że dwadzieścia trzy lata spędzone razem to dużo, ale to jak... — zasyczał przez zęby, jakby chciał przepędzić kota, potem odgonił jakąś myśl. — Bredzę, bredzę.

Drżącą dłonią nalał sobie więcej rumu, dodał odrobinę coli, a pustą butelkę wepchnął dnem do góry do worka ze śmieciami. Pozbierał kruszynki ze stołu w zużytej serwetkę. Dlaczego? Dlaczego to miało znaczenie? Dlaczego cokolwiek z tego miało dla niego znaczenie? Wstawał na odgłos budzika. Zbierał porozrzucane ubrania. Nalewał benzyny do wozu. Przyziemne sprawy w życiu. A jednak wytrzymał, on i Janice znów patrzyli przed siebie kolejny dzień po minionym bolesnym dniu. Jaki miał wybór? Jaki ona?

Zauważył, że mu się przyglądam, i nerwowo zmiał serwetkę, jakby przylapano go na czymś wstydlivym. Chciałem mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że mógł dziobać sobie, ile chciał, te kruszynki, pozostawione jak odciski stóp na podłodze w sklepie obuwniczym.

W pewnym wieku pojmujesz, że proces starzenia dzieje się naprawdę, że przejechałeś kolejką obie pętle i pozostał ci tylko korkociąg, zanim będziesz musiał wysiąść. Jazda nie trwa wiecznie — bez kitu — ale jest jeden konkretny moment, kiedy ten zimny, twardy fakt walnie cię w bebechy. U mnie zdarzyło się to latem, kiedy miałem trzydzieści trzy lata, w niedzielę wieczór, po kolejnym straconym weekendzie. Byłem w wieku Jezusa i w porównaniu z nim osiągnąłem względnie mało. Przez parę pod prysznicem patrzyłem na siebie w lustrze i wokół każdego oka zauważyłem pajęczynkę zmarszczek. Siedziałem na krawędzi wanny, z głową ciężką od wczorajszej wody i pod miazdzącym ciężarem tego, co oczywiste. Ta prawda towarzyszyła mi cały czas, jak klucz do sprytnie uknutej tajemnicy, ale ja odwróciłem oczy, wyłączyłem myślenie i zapielem się, wprowadzając umysł w odrętwienie i bezruch.

Teraz jest miejsce na bolesną spowiedź, chociaż moja jest tak banalna jak te kruszynki, które wykorzystałem dla tak wspaniałego literackiego efektu. Po trzecim udarze mojej matki, kiedy stała niepewnie na skraju przepaści ze zniekształconym umysłem i z zapadniętą twarzą, jakby postarzała się nagle o dwadzieścia lat, kiedy pielęgniarka ostatecznie i poważnie skinęła w moją stronę. „To już teraz, Drew”, zamarłem przed drzwiami. Nie mogłem wejść do jej pokoju. Ta myśl wręcz monstrualnie mnie przeraziła. Ona chyba nie poznałaby mnie od razu — nie odwiedzałem jej od tygodni — ale było to słabe pocieszenie. Mój ojciec, Boże, miej go w opiece, nigdy mnie nie osądzał. Ani cienia krytyki w jego oczach wtedy ani w ciągu półtora roku, które potem jeszcze przeżył. Tamtego dnia, pod pokojem mojej umierającej matki, pocałował mnie w czoło i zostawił na korytarzu z dłonią na srebrnej kłamce, jakbym miał się pozbierać i wejść do pokoju w każdej chwili, chociaż wiedziałem, że tego

nie zrobię. Z głową przyciśniętą do drzwi, nieopisanie zawstydzony własnym tchórzostwem, usłyszałem, jak pikanie monitora przeszło w jednostajny piszczący dźwięk.

— Lloyd — odezwałem się — jest mi cholernie żal was oboje i współczuję wam tego, przez co przechodzicie.

W podziękowaniu kiwnął pospiesznie głową, niespokojny tik, i znowu popił drinka.

— Kiedy byłem dzieckiem, zawsze myślałem, że się z tym pogodzę. Zajmę się czymś innym po drodze. Może stąd ta praca, wiesz. Ale potem, z Janice... nigdy się nie pogodziłem. Uczyc się. Nigdy się nie uczysz. Nie umiesz, może. To nigdy cię nie opuszcza i obojętnie jak blisko tego jesteś, nigdy nie jesteś gotowy.

— Posłuchaj, kiedy to... Jeżeli jest coś...

Odciał moje niezdarne próby wykazania troski, nie będąc gotowym na przyjęcie najgorszego.

— Mamy zastrzyk — mówił szybko, chociaż głos go zawodził. — Jeszcze jedną rundę. Mamy zastrzyk.

Wstał, a ja poszedłem za jego przykładem. Zrobiliśmy dwa kroki do drzwi, które otwierały się z kuchni na żywirowy podjazd. Roleta zabręczała, kiedy nacisnąłem klamkę.

— Musisz zrozumieć. Zostaje ci tylko nadzieja. To wszystko. — Chwył framugę i ukrył twarz w cieniu, więc dopiero kiedy znowu się odezwał, zrozumiałem, że płacze. — Przepraszam — powiedział. — Przepraszam.

Stałem tam wstrząśnięty niewiarygodnym ograniczeniem języka, którym rzekomo władam dostatecznie sprawnie, mówiąc w przerwach: „Już dobrze”, jak trener Małej Ligi do dzieciaka, który zdarł sobie kolano.

W końcu Lloyd wycofał się, zakrywając twarz i nadal przepraszając. Po cichu zamknął za sobą drzwi i zostawił mnie ze świerszczami grającymi w chłodzie nocy.

Moja komórka zaczęła stepować na nocnym stoliku obok budzika o siódmej dwie rano. Lloyd mówił szybko, podnieconym głosem:

— Dwa gwałty, molestowanie i obnażanie się!...

Usiadłem, opierając się o wezglowie i rozcierając oczy dłonią.

— Mam dla ciebie podejrzanego — mówił dalej Lloyd. — Sprawdź e-mail. Wygląda na spam, ma temat *Prawdziwe zegarki Rolex*. Wydrukuj tylko załączniki. Będą nie do wysłedzenia. Potem do mnie oddzwon. Do laboratorium.

Poczłapałem do gabinetu, otworzyłem załączniki i wydrukowałem kilka kopii. Wertując kartki, wykreśliłem numer do laboratorium na moim domowym, głuchym telefonie — zanim zreflektowałem się, co robię, i podjąłem drugą próbę na komórce.

— Pierwszy dokument — wyjaśniał Lloyd — podaje informacje o osobach, które zarejestrowały wszystkie sto pięćdziesiąt trzy brązowe volvo z numerem rejestracyjnym zaczynającym się od siódemki i które są w rejestrze wydziału komunikacji dla okręgu Los Angeles.

Z zainteresowaniem przejrzałem stronę, szukając znajomych nazwisk. Miałem przyspieszony oddech. Czy któryś z tych ludzi zamierzał

wrobić mnie w morderstwo, którego nie popełniłem? Czy to któryś z nich zatopił nóż w miękkim brzuchu Genevieve?

— Przejdź do następnego dokumentu — powiedział Lloyd. — Masz tam zdjęcia i kartoteki pięciu osób z przestępczą historią z pierwszej listy.

Czterech mężczyzn i kobieta, wszyscy bladzi i z ułożonymi włosami, co było nietypowe dla zdjęć policyjnych, spoglądali na mnie z monitora. Żadnego nie rozpoznawałem.

— Czterech z nich to płotki — mówił dalej Lloyd — ale jeden bardzo mi się podoba.

Wiedziałem, kogo Lloyd miał na myśli, jeszcze zanim podał mi nazwisko. Morton Frankel. Ciemne, głęboko osadzone oczy, mocno zacienione brwiami. Szerokie nozdrza, kwadratowe policzki, krótko przycięte włosy. Wąskie, dobrze utrzymane bokobrody, sięgające poniżej uszu, ostro zakończone. Nie uśmiechał się, raczej obnażał zęby, które wydawały się zbyt długie, jakby cofnęły mu się dziąsła. Szyję oplatały mięśnie niczym powrozy; napiął się, kiedy robiono zdjęcie. Postawa i prezencja najwyraźniej były dobrane tak, aby emanować wrogością.

Kim był, do diabła, ten facet? A jeżeli był mordercą, dlaczego zadał sobie tyle trudu, aby mnie pogrążyć? Co go łączyło z Broach i Genevieve? I co, do diaska, miał do mnie?

— Facet jak zdjęty z plakatu — powiedziałem.

— Aresztowany w dziewięćdziesiątym dziewiątym i dwa tysiące trzecim za gwałt. Uwolniony od zarzutów za pierwszym razem, za drugim przyznał się do pobicia. Posłał prostytutkę do szpitala. Posiedział trochę, bardzo krótko. W dwa tysiące piątym interesowano się nim w innym śledztwie dotyczącym gwałtu, ale nie było o co go zahaczyć. Przesłuchiwany ponownie w zeszłym roku w sprawie zaginionej dziewczyny, nie aresztowany. Jak widzisz, ma sporo uczuć do kobiet.

Pomyślałem o niezidentyfikowanym włosie znalezionym na ciele Kasey Broach.

— Nie ma DNA w kartotece?

— Tylko odciski. Jest mechanikiem, pracuje teraz w Zakładzie Obróbki Metali Bonsky'ego w Van Nuys. Ale popatrz na adres. Mieszka w centrum, nawet nie dziesięć minut od miejsca, gdzie porzucono ciało Broach.

— A taśmę izolacyjną kupiono w markecie Home Depot w Van Nuys, obok jego pracy.

— No proszę. Poza tym ma diaboliczny błysk w oczach.

— Rzeczywiście. Wypisz, wymaluj Rasputin.

Chociaż dysponowałem jedynie bardzo poszlakowymi dowodami, musiałem umieścić Mortona Frankela w sypialni Genevieve. Czy to twarz widziała w ostatnim, panicznym momencie, kiedy zbliżała się do niej w nocy? Ta twarz była w jej zacisznej sypialni z waniliowymi świeczkami i puszystą koldrą? To wydawało się niemożliwe, profanacja. Czy miał obsesję na jej tle? Czy zabił może z powodu paranoi co do mnie? Najbardziej jednak dręczyła mnie myśl o strachu Genevieve w tym ostatecznym momencie, zanim szpic noża trafił w jej serce. Przerazenie, które Katherine Harriman, mój wzbudzający respekt oskarżyciel, mogła nazwać niewyobrażalnym. Lecz ja potrafiłem to sobie wyobrazić nader dobrze. Czy Morton Frankel uczynił ostatnie chwile życia Genevieve bardziej przerażającymi, niż gdybym to był ja w tym pokoju? Modliłem się i miałem nadzieję, że nie cierpiała z jego powodu, że ta walka była krótka i łaskawa. Wzdrygnąłem się na myśl, że przyglądał się mi, kiedy spałem. Ten człowiek o spiczastych bokobrodach, pochylający się nade mną, pogrążonym w sewofluranowym śnie, z rzeźnickim nożem?

Lloyd nie przestawał mówić.

— Przepraszam, co takiego?

— Powiedziałem, że mój tyłek wchodzi w grę. Wyprę się, że ci to wysłałem.

— Też się tego wyprę. To znaczy, że nie dostałem tego od ciebie.

— Podrzucić to Kadenowi i Delveckio. Ja nie mogę, bo zaczną mnie wypytywać, jak na to trafiłem, a wtedy musiałbym wpłatać w to ciebie i w konsekwencji siebie również. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Przepraszam za wczorajszy wieczór...

— Jeżeli cokolwiek masz zrobić, Lloyd, to na pewno nie przepraszać. Zapadła długa cisza, aż w końcu się odezwał:

— Muszę już iść.

Nie mogłem oderwać oczu od policyjnego zdjęcia. W Mortonie było coś niezaprzeczalnie perwersyjnego. Coś nielogicznego w jego wyglądzie. Był z niego znacznie lepszy materiał na typowego mordercę niż z Richarda Collinsa, fizycznego pracownika hipermarketu. Może Frankel mordował kobiety dla samego dreszczyku emocji? To wyjaśniałoby brak oczywistych powiązań między Genevieve a Broach. Nie wyjaśniało jednak, dlaczego seryjny morderca, wybierający przypadkowe ofiary, chciał mnie pogrążyć.

Przestraszyło mnie drapanie do drzwi. Zapomniałem, że jestem dumnym posiadaczem psa. Wkroczyła Xena, przysiadła w narożniku i nasikała do pudełka z kolekcją DVD *Hunter Pray*.

Pozwoliłem jej spać na stercku poduszek w kuchni, zakładając, że posadzce nic się nie stanie. Ale błyszczące szkatułki też chyba dość dobrze wytrzymują psi mocz. Pościarałem je jak umiałem najlepiej i zszedłem na dół z Xeną śliniącą się u mego boku. Jako że nie miałem żadnego jedzenia dla psów, podsmażyłem trochę mięsa na hamburgery z solą i



pieprzem oraz odrobiną curry, jak należało się wojowniczej księżniczce. Xena wydawała się całkiem zadowolona z rezultatu.

Gus od kilku dni miał status zaginionego w akcji. Prawdopodobnie w końcu kojoty dopadły tego biedaka. Zanim wypuściłem Xenę, sprawdziłem po raz ostatni ogród za domem, a potem zaoferowałem zaginionemu przyjacielowi wiewiórce tost i szklankę soku z granatów. Poszedłem na górę i wziąłem prysznic. Preston zjawił się w momencie, kiedy kończyłem się ubierać. Xena, pchana instynktem nieokiełznanego mordercy, szturchała pyskiem jego krocze i lizała po rękach w przerażający sposób.

Spoglądaliśmy na siebie i uciekaliśmy wzrokiem, a żaden z nas nie miał ochoty wracać do mojej wczorajszej wieczornej wizyty u niego. Mieliśmy to omawiać? Omawiać co?

Preston przeszedł obok mnie, zacierając dłonie. Biznes jak zwykle.

— Masz dla mnie więcej stron?

— Coś lepszego. Mam podejrzanego.

Zaszedł do kuchni, wrócił z rumem z lodem i klapnął na kanapę, niepomny dwóch brudnych szklanek, które zostawił na ławie podczas poprzednich odwiedzin. Xena zwinęła się u moich stóp, wylizała się za wzięcie, a potem zasnęła. Kiedy mu wszystko zrelacjonowałem, zjawili się ogrodnicy. Xena nawet nie raczyła wstać, kiedy grupa pięciu zamaskowanych mężczyzn, wymachująca sekatorami i motykami, rzeźbiła mój ogród.

Preston zadrzał na widok zdjęcia Mortona Frankela.

— Cóż za antagonista! Nawet wygląda na takiego. Ale Mort? Mort! Dlaczego nie ma na imię Cyrus? Albo Bart? Kto daje dziecku na imię Mort? Chyba tylko Żydzi gdzieś z martwym Mortem.

— Na przykład na strychu albo w szafie?

— Wiesz, o co mi chodzi.

Dałem Prestonowi strony, które ostatnio napisałem, a on ułożył je sobie na kolanach i oparł się na kanapie. Wyczuwałem w nim skrywany smutek, może jednak — ujrawszy jego kwaterę, tak opustoszałą jak moja — wyciągałem zbyt pospieszne wnioski?

— Posłuchaj — odezwał się. — Ja, hm... — zaciął się, co było raczej niezwykle. — Nie idzie mi za dobrze, jak jestem... Chyba jest lepiej, kiedy wychodzę. I daj spokój z oczywistymi żartami. To mieszkanie jest tymczasowe, jeżeli o to chodzi. Tylko dla mnie w zasadzie. Nawet nikogo tam nie przyprowadzam. Ludzie grzebią tam, gdzie nie trzeba. To wydaje się zbyt nachalne.

— Nachalne — powtórzyłem. — Racja.

Zostawiłem Prestona na kanapie z lekturą mojej wersji i z Xeną, która próbowała ugryźć strumień powietrza z kanału wentylacyjnego w podłodze, pozbierałem moje dokumenty nie do wyśledzenia oraz rozmaite teorie i udałem się na poszukiwania detektywa.

— Skoro zmarnowałem ci wieczór ostatnim razem, pomyślałem, że zdradzę to tobie jako pierwszemu.

Przeczekałem chwilę. Zostałem Cala w domu, gdy szykował się na kolejny bój z przestępczością w zachodniej dzielnicy. Ktoś porwał pudła z salonu pedikiuru w Brentwood, co znaczyło, że Fifi uciekła, ale właściciel chciał, aby policja pomogła mu w odzyskaniu zguby. Systemy etyczne kłaniają się miniaturowym psom. Spojrzałem na dół, żeby podłączyć słuchawki i mój hybrydowy wyrzut sumienia omal nie pofrunął ze skarpy na Mulholland.

— Słuchaj — mówił Cal — chociaż bardzo chciałbym się tym zająć,

kurwa, i chociaż doceniam, że mnie w to wprowadzasz, to i tak musisz zabrać to do Kadena i Delveckio. Nie mogę więcej się wtrącać. Mój kapitan zwietrzył nasz układ à la Starsky i Hutch i oberwało mi się. Stąd zlecenie z pudlem.

— Ale nie powiedziałem mu, że to chodzi o ciebie — mówił dalej Cal — chociaż to dość szybko może wyjść na jaw. Pewnie miałeś dosyć na głowie, a ja byłem tym głupim osłem z odznaką.

— Cholera, przykro mi. Jak ten kapitan się o tym dowiedział?

— Richard Collins wnosi oskarżenie.

— Co?

— Sprawa z gaśnicą.

— Zastanawiałem się, czy to mieści się w regulaminie.

— Widziałem to raz w telewizji. *Wojna Aideny*.

Show Johnny'ego Ordeana. Dobrze nam tak.

— Powiedz Collinsowi, że użyłem aparatu w komórce i zrobiłem zdjęcie paczce maryški, którą chciał splukać w zlewie. I wysłałem je oznaczone godziną na swoją skrzynkę e-mailową jeszcze od niego z mieszkania.

— Miał marychę? I zrobiłeś jej zdjęcie?

— Tak. Nie. Ale nie będzie ryzykował trzeciego oskarżenia.

Cal odetchnął z ulgą. Oskarżenie zniszczyłoby jego szanse na przeniesienie do wydziału zabójstw.

— Wiesz, że cię kocham, Drew. Słuchaj, nie robisz takiej gównianej roboty. Sprawa Collinsa? Wszyscy czasami wdepniemy w coś takiego, jak sam pokazałem. Tak przebiega śledztwo. Jak pisanie, chyba. Spieprzysz coś i próbujesz dalej, aż na coś trafisz.

— Ty też trafisz, Cal. Uda ci się z tym wydziałem zabójstw.

— Tak, zaraz jak złapię pudła. — Zaśmiał się. — Słuchaj, wiem, że zachowałem się jak kutas, gdy pierwszy raz poprosiłeś mnie o pomoc.

Byłem wkurzony, bo tkwiłem w oddziale w West Latte, a ty kogoś zamordowałaś i nawet do mnie nie zadzwoniłaś.

— Następnym razem na pewno zadzwonię — odpowiedziałem.

Kaden niczym cegłą przycisnął pięścią papiery, które złożyłem na jego biurku.

— Skąd masz te dokumenty?

— Nie masz prawa być w ich posiadaniu — dodał Delveckio. — To są poufne informacje. Tak samo jak akta sprawy, które twój kumpel, Cal Unger, po cichu przeszukiwał.

— Cal przeszukiwał? Kiedy?

— Akurat dla ciebie to nowość!...

Rzeczywiście. Cal właśnie mi powiedział, że kiedy został przyłapany, zrezygnował z nieoficjalnego śledztwa. Złożył prośbę o akta wcześniej i nie powiedział mi o tym? A może Delveckio kłamał? Jako detektywi z Los Angeles byli zdecydowanie na uprzywilejowanych stanowiskach, aby móc zaglądać do akt. Dlaczego Cal miałby się kryć z tym, że zajrzał do teczek? Ponieważ pracował na awans albo chciał mi pomóc, ale musiał się z tym kryć, bo robił to nielegalnie. Albo z jakichś innych złowieszczych powodów. Co mi powiedział, kiedy po raz pierwszy poszedłem do niego z tą sprawą? „Po mojemu, faceci tacy jak ty, to wredni wyzyskiwacze”. Ale jego nazwisko nie znajdowało się na liście posiadaczy volvo — co do tego miałem pewność. Czy cierpiałem na paranoję? Tak. Nie? Może. Poprosiłem, żeby Chic dał informacje o Calu do sprawdzenia gwałcielowi prywatnych danych. Następnym razem każę sprawdzić Chica. A potem samego siebie.

— Słuchaj — odezwał się Kaden, a ostry ton jego głosu przywołał mnie na powrót do lodowatej atmosfery Parker Center. — Może powiesz

nam, jak zdobyłeś dane z wydziału komunikacji?

— Dobrze wiecie, że nie mogą tego powiedzieć. Więc może zostawimy to i zastanowimy się, jak wykorzystać to, co tu mamy? — Pomijając udział Lloyda, wyjaśniłem im dwukrotnie, jak wszedłem w posiadanie listy pojazdów i zdjęć podejrzanych. Sfrustrowany, odchyliłem się do tyłu na składanym krześle przed biurkiem Kadena i rozejrzałem się po sali odpraw. Gdy szedłem schodami i korytarzami na górę, przyciągałem spojrzenia tych, którzy mnie rozpoznali i którzy mną gardzili.

Kaden przekręcił monitor, aby blask odsłoniętych okien nie padał na ekran.

— Jeszcze raz, jak się nazywa ten świadek?

— Junior Delgado.

Wstukał nazwisko w klawiaturę, a potem potrząsnął głową, jakby znalazł to, czego szukał przez cały czas.

— Ten dzieciak ma listę grzechów dłuższą od mojego wacka.

— Tak samo jak moja ciocia Hazel. Daj spokój, Kaden, kogo chcesz znaleźć na spacerku pod wiaduktem autostrady o drugiej w nocy?

Kaden zbył moją uwagę ruchem ręki.

— Zajmiemy się tym.

— Kiedy?

— Mamy około stu zeznań, większość od bardziej szacownych obywatel niż Hoon-yore Delgado.

— I z których żaden nie był tam na miejscu w nocy.

— I z których żaden nie został zlokalizowany i przesłuchany przez podejrzanego w sprawie.

— Więc moje informacje są trefne.

— Oczywiście, frajerze. W żadnym z dwóch śledztw nie mamy jakiegokolwiek potwierdzenia co do brązowego volvo. A ten nieletni — wbił

palec w monitor — wygląda na kogoś, kto łatwo da się wodzić za nos.

Zaśmiałem się.

— Przesłuchajcie go. Błagam.

— Przesłuchamy.

— Kiedy?

Kaden rzucił ołówek.

— Jesteś amatorem, więc nie widzisz, na ilu założeniach opiera się twoja zgadywanka. Brąz to drugi co do popularności kolor volvo, zaraz po głównianym żółtym. W okręgu Los Angeles są sto pięćdziesiąt trzy brązowe volvo z numerem zaczynającym się na siedem. Wspaniale. A wiesz, ile jest w całym stanie? — Postukał jeszcze w klawiaturę. — Tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt jeden.

— A iloma jeżdżą skazani za przestępstwa na tle seksualnym?

— A ile ofiar w tym śledztwie było napastowanych na tym tle?

— Co z teorią, że morderca ewoluował? — Postukałem w złowieszczkę zdjęcie Frankela. — Ustalenia laboratorium pasują. Waży dziewięćdziesiąt kilo...

— Tak jak ty.

Delveckio oparł się na krześle, aż cienka koszula naciągnęła się na jego wątlej piersi.

— I utrzymujesz, że Morton Frankel jest dla ciebie nikim?

— Już wam mówiłem — powiedziałem. — Nie znam tego faceta. Pytanie powinno raczej brzmieć, czy ja znaczę coś dla niego. Z łatwością możemy się dowiedzieć. Jeden włos tego faceta mógłby rozwiązać sprawę.

— Rozwiązać? Możemy? — powtórzył Delveckio.

— Ten niezidentyfikowany włos znaleziony na ciele Broach może nie mieć z niczym nic wspólnego — powiedział Kaden. — Do porzuconych

ciał przyczepiają się włosy. A może to była jakaś roślina, prawdopodobnie tak było w tym przypadku. Nie rozumiesz tego. Nigdy nie jest czysto. A nawet jak jest, nie chodzi wyłącznie o dowody. To kwestia prowadzenia sprawy.

— Spójrzcie na tego faceta. Ława przysięgłych go znenawidzi.

— To nie jest wystarczający powód, aby uzyskać nakaz pobrania próbki jego DNA. Szczerze mówiąc, z prawnego punktu widzenia od innych czystych posiadaczy volvo na tej liście niewiele go wyróżnia.

— Morton Frankel to przestępca.

— Zapomnijmy o tych nie przestępcach, którzy jeżdżą volvo — powiedział Delveckio. — Są zbyt sprytni, aby dać się złapać. Oni nas nie interesują.

— Zakładam, że od czegoś musicie zacząć. A samochód zarejestrowany w okręgu LA na przestępcę, który mieszka o dwa kroki od jednego z miejsc zbrodni, to chyba niezły początek.

Kaden usadowił się na krześle i powiedział:

— Och, rozumiem. Delveckio:

— O co chodzi?

— To nie jest prawdziwa rozmowa, Ed. Jesteśmy postaciami w scenariuszu. — Kaden udął rozbawienie. — Jesteśmy gliniarzami, których ogranicza biurokracja i błędy w śledztwie, więc samozwańczy bohater, przeciętny obywatel, który popadł w tarapaty, szuka poszlak i rozwiązuje zagadkę bez prawowitych stróżów porządku zamieszkujących z nim miasto, którzy mu tylko przeszkadzają. — Pochylił się nad biurkiem, kipiąc ze złości. — Otóż znalazłeś przestępcę, który jeździ volvo. Gratulacje. Muszę przyznać, rzadko się na takiego trafia. Wiesz, dlaczego ta poszlaka tak ci się spodobała? Bardziej niż, na ten przykład, bawełniany

sznur znaleziony na nogach Kasey Broach, który sprzedają tylko trzy erotyczne, a używam tego zwrotu bez konkretów, sklepy w Los Angeles? Bardziej niż dwa tysiące sto sześćdziesiąt godzin... to trzy miesiące, tak?... nagrań z kamer telewizji przemysłowej z jednego ze sklepów, które oglądamy? Bardziej niż transakcje płatne kartami kredytowymi z dwóch pozostałych? Bardziej niż dowody nadania przesyłek z tych sex-shopów? Wiesz, dlaczego to brązowe volvo podoba ci się bardziej od taśmy izolacyjnej na nadgarstkach Broach, która należała do nietypowej partii dostarczonej do Home Depot i wysłanej wyłącznie do marketu w Van Nuys i jeszcze jednego przy Cave Creek Road w Phoenix? Bardziej niż wykazy rozmów Broach i Bertrand, które mają wspólne odniesienia i pokrywają się przynajmniej w dwóch ustaleniach? Bardziej niż facet z firmy kurierskiej, który dostarczał przesyłki do obu kobiet w odstępie dwóch miesięcy? Bardziej niż facet od basenów, który obsługuje kompleks dwie przecznice od domu Broach i odsiedział dziesięć lat w San Quentin za podcięcie gardła siostrze? Morton Frankel podoba ci się bardziej, bo jest twój. Bo ty go znalazłeś. A teraz pomimo wątpliwego połączenia Juniora Delgado i Andrew Dannerà jako osób wskazujących na tę poszlakę, zajmiemy sienią, z całą pewnością i zdecydowanie. Tą i pozostałymi stu pięćdziesięcioma dwoma właścicielami volvo z listy, co... tak, masz rację... jest dobrym początkiem, od którego powinniśmy zacząć i zaczniemy. Ale w jednej chwili nie rzucimy wszystkiego, nad czym pracujemy, ponieważ jesteśmy tak bardzo przejęci twoim odkryciem.

Jego złość, zimna i racjonalna, osadziła mnie w miejscu.

— Zrobiliście to przedtem? — zapytałem. — Sprawdziliście posłańców, którzy zjawili się w domu Genevieve? Sprawdzaliście, czy któryś z sąsiadów ma kryminalną przeszłość?

Kaden wbił we mnie wzrok.



— Wiedzieliśmy, że ty to zrobiłeś. Nie zawracaliśmy sobie głowy szukaniem. Interesował nas skazaniec.

Wstałem, zostawiając dokumenty, wkurzony na Kadena za ten ostatni docinek i za tyle wcześniejszych, cholernych obiekcji. Kaden wychylił się przez biurko i złapał mnie za ramię.

— Wróciłeś do realnego świata — powiedział. — Uważaj, żeby teraz ciebie nie zabili.

Uwolniłem się.

Delveckio obrócił się na krześle, żeby obserwować, jak wychodzę.

— Aha... I jeszcze jedno, Danner. — Obojętne i spokojne oczy w czerwonej obwódce wytrzymały moje spojrzenie. — Nie wyjeżdżaj z miasta.

Ostrożnie przejechałem przez zatłoczony parking Zakładu Obróbki Metali Bonsky'ego, jednym rzędem samochodów, z powrotem kolejnym. Poszukiwałem brązowego volvo. Koła stukwały na kruszącym się asfalcie, który miejscami zamienił się w piach. Betonowy sześcian zakładu poczerniał od zanieczyszczeń. Jedyne okna to lufciki umieszczone wysoko pod dachem, ale ze skraju placu, za płotem i za rozsuniętymi drzwiami magazynu widziałem w środku ludzi. Pracowali nad łopatkami wirnika, a spawarki rozsiewały iskry, przed którymi zasłaniali twarze maskami. Zawodzenie maszyn, nawet z tej odległości, wprawiało w drżenie deską rozdzielczą w moim wozie.

Kaden miał rację co do jednego: opierałem łamię łówkę na zbyt wielu założeniach. Musiałem zebrać więcej faktów.

Na przykład, czy brązowe volvo Frankela miało uszkodzony prawy przedni błotnik.

Zakończyłem drugi objazd parkingu — żadnych volvo w jakichkolwiek kolorach, potem objechałem okoliczne uliczki na wypadek, gdyby Frankel zaparkował gdzieś w pobliżu. Bez powodzenia. Może wyjechał ze stanu. Może spalił samochód, żeby wyeliminować dowody. Może sprzedał swoje volvo cztery miesiące temu kumplowi od pokera, który był właśnie Zodiakalnym Mordercą.

Mogłem wymyślić jakiś fortel i wejść do zakładu. Lecz istniały dwa problemy: maski spawalnicze i fakt, że gdyby to był ten facet, to na pewno by mnie rozpoznał. Jeżeli czegoś zdecydowanie nie chciałem, to tego, żeby Morton Frankel o spiczastych bokobrodach zauważył, że węszę wokół niego.

Zadzwoiłem na informację i kazałem się połączyć z biurem fabryki.

— Tu przesyłki kurierskie FedEx — przedstawiłem się. — Mam paczkę na nazwisko Mortie Frankel, którą odbiorca musi osobiście pokwitować. Jest dzisiaj w pracy?

Opryskliwy głos:

— Moment. Sprawdzę w centrali. — Szelest. Zgrzyt maszynarii. — Tak. Jest.

— Utknąłem w korku na Burbank. Do której dzisiaj będzie?

— Fajrant o trzeciej. — Mężczyzna rozłączył się, zanim zdążyłem mu podziękować za wspaiałą robotę.

Najprawdziwsza syrena, rozdzierając powietrze, obwieściła lunch. Wróciłem na parking i obserwowałem mężczyzn wychodzących tłumnie na zachwaszczony trawnik, aby jeść. Siadali na szpulach po kablach i zardzewiałych maszynach. Przynieśli metalowe termosy. Patrzyłem, jak z mrocznego wnętrza wychodzi ich coraz więcej, jak zdejmują maski, odsłaniając zaczerwienione, spocone twarze. Traciłem już nadzieję, kiedy na południowe słońce wyszła jakaś przysadzista postać. Był zwrócony do mnie plecami, ale wokół niego rozchodziły się wibracje i nie zdziwiłem się, kiedy wreszcie zobaczyłem jego twarz. Przetarł dłonią ciężkie czoło i strzepnął pot na ziemię. Wachlował się połami granatowego kombinezonu i zamienił kilka słów z innym robotnikiem.

Dzieliło nas jakieś pięćdziesiąt metrów — parking, płot, wąski trawnik — ale czułem, jakbyśmy byli zamknięci w osobnych bańkach. On z narzędziami, sfatygowanym kombinezonem, iskrami; ja z moją skórzaną tapicerką, notatnikiem, przyciemnianymi szybami. Znienacka zlanym potem w moim klimatyzowanym highlanderze, spojrzałem na niego. Czy to ten człowiek stał w ciemnościach mojej sypialni w nocy dwudziestego pierwszego stycznia i patrzył, jak śpię? Czy uśpił mnie, pobrał krew i wyrwał włos, aby włożyć go pod zimny, martwy paznokieć Kasey Broach? A jeśli tak, to dlaczego?

We Frankelu było coś fascynującego. Samo spojrzenie na niego wprawiało w niepokój, ale mimo to nie mogłem oderwać od niego oczu.

Proszę, bądź mordercą, abym ja nim nie był.

Zrozumiałem, że Kaden miał rację jeszcze co do jednego. Frankel był mój. Był moim podejrzanym i będzie nim, aż przestanie być.

Patrzyłem, jak wgryza się zębami w kanapkę, patrzyłem, jak pracuje jego szczęką, gdy przeżuwa.

Do zobaczenia.

Chic zachwiał się pod piłką wybitą wysoko w górę przez najstarszego syna, Jeremiaha i krzychał: — Mam ją! Mam ją! — żeby odwołać całą dzieciarnię wymachującą rękawicami do baseballu przeróżnych rozmiarów.

Schwycił piłkę niczym w kleszcze, a potem wolno puścił. Gromadka zajęczała i ciskała w niego rękawicami, po czym rzuciła się na niego, kiedy zaśmiewał się z tego, jak go parodiują, przetaczając się po rozległym trawniku i chroniąc głowę. Chwytałem dzieciaki za kostki i nadgarstki i ściągałem je z Chica, dobierając za każdym razem nieprawidłowe imię.

Wyszła Angela, a na samo jej spojrzenie wszystkie dzieci — i ja niemal też — poszły niechętnie umyć się przed obiadem. Niosła tacę z napojami dla robotników, którzy składali jakąś wymyślną konstrukcję do zabawy obok boiska do baseballu. Przy tym urządzeniu, ze zjeżdżalnią-korkociągiem, sznurową drabinką i miniścianką do wspinaczki, z imitacją domku na drzewie na samej górze, zabawki ogrodowe w Hope House wyglądały jak sterta złomu.

Angela obsłużyła robotników, a potem zwróciła się do męża:

— Kochanie, weź Drew i złapcie samochód chłodnię; potrzebuje *queso blanco*.

— Mamy duchową *comida*? — zapytałem.

Skinęła głową.

— I, kochanie, znajdź jakiś prezent dla koleżanki Asi z kolonii. Pamiętaj, oni jej przywieźli Polly Pocket.

Poszliśmy w stronę, skąd dobiegała odległa melodyjka wygrywana przez obwoźną chłodnię z meksykańskim jedzeniem i Chic przekazał mi najświeższe wiadomości od specjalisty od baz danych. Dokopał się on do wielu wspólnych elementów między Genevieve i Broach, o których mówili Kaden i Delveckio, i jeszcze paru, które najwyraźniej nie wiązały się ze sprawą. Broach i ja należeliśmy do Dobowego Klubu Fitness, ale ćwiczyliśmy w innych częściach. Oboje mieliśmy konta w Wells Fargo. Wstrzymać druk.

— Jest też jeszcze jeden drobiazg... Nic, co ruszy z posad, ale warto się temu przyjrzeć. — Chic wydał usta. — Ten twój Delveckio wykupił ubezpieczenie na życie u tego samego agenta co Adeline. — Zareagował na moją minę, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. — Wiedziałem, że ruszy cię to tak samo, jak było z Calem Ungerem — chociaż Chic zgodził się tym zająć, to miał oczywiste wątpliwości co do Cala jako podejrzanego — ale to prawdopodobnie nic, jak wszystko inne. Pozostaje jednak pytanie: po co takiej bogatej dziewczynie jak Adeline ubezpieczenie na milion dolarów?

— Genevieve też takie miała... Dziedziczyły po sobie nawzajem. Ich ojciec przeczytał w jakimś magazynie w samolocie, że osoby z ubezpieczeniem na życie żyją dłużej i mniej ryzykują.

— Nie jest to tak, że kupujesz subaru, ponieważ słyszałeś, że ich właściciele mają niskie ciśnienie?

— Tak myślałem, ale Luc gra w golfa z Warrenem Buffettem, a ja ćwiczę golfa przy autostradzie 1-5, więc z czyjejś rady byś skorzystał? —

Przygryzłem wargi. — W ogóle mi się nie podoba to połączenie z Delveckio.

Wyobraziłem sobie detektywa w pokoju przesłuchań, jego nijaką twarz z wymuszoną miną udającą gniew. „Przekazywałem wiadomość Adeline jako najbliższej krewnej ofiary. Szkoda, że wpierw nie pożyczyłem od ciebie kamery, żeby ci pokazać jej reakcję”. Powtórzyłem jego słowa Chicowi, który wzruszył ramionami.

— Nie myślisz, że to dziwne, że użył jej imienia? — zapytałem. — I po co w ogóle o niej mówił, i do tego z takimi emocjami? A teraz wpłatało się w to jeszcze ubezpieczenie na życie za milion dolarów.

Dał mi znak dłońmi, abym zwolnił.

— To duże miasto, ale statystyki demograficzne pomniejszają je. Więc korzystali z tego samego agenta. I co, kurwa, z tego?

Byłem zażenowany nieznajomością odpowiedzi. Poza tym, jak Delveckio miał się do Frankela, mojego czarnego konia? Podobnie jak Cal, Delveckio napotykał takich Frankeli codziennie w pracy. Frankel mógł być najemnikiem. Albo, zważywszy skąpą tkankę łączącą, obaj policjanci mogą okazać się błędnym wątkiem. Delveckio i młodsza siostra Genevieve korzystali z usług tego samego agenta ubezpieczeniowego. To bardziej oczywiste od tego, że korzystałem z tej samej sali ćwiczeń co Kasey Broach?

Chic przerwał tok moich myśli.

— Trudno pojąć, żeby Delveckio miał romans z Adeline. Spotkałem ją i widziałem jego. Ta para pasuje do siebie tylko wtedy, jeżeli w grę wchodzi finanse. — Wciągnął powietrze przez zęby, stary repertuar Chica. — A nawet jeżeli mieli? Po co im kolejny milion? Jeżeli tkwi w tym jakiś haczyk, to nie jest to agent; musi być krok dalej. Ktoś, kto

polecił ich temu agentowi, tego rodzaju rzeczy. Do tej pory jest to zwykła zbieżność, jak to w mieście rozmiarów LA. Będziemy więc śledzić elektroniczne poszlaki i skupiać się na tym, kto sprawił, żeś tak się uradował, jak tu przyjechałeś. A to był, kto...?

Nabrałem przekonania, że w poprzednim wcieleniu Chic był Sherlockiem Holmesem. Opowiedziałem mu o Mortonie Frankelu i poprosiłem, aby jego komputerowiec przejrzał go i ewentualnie połączył z innymi żyjącymi i nieżyjącymi aktorami tego dramatu. Chic oczywiście uniósł brew, słysząc nowe nazwisko, i w zamyśleniu wysłuchał, jak głądziłem o rozwoju sprawy.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytał. Najwyraźniej spodziewał się po mnie milczenia i skinął głową. — Zadzwoń, jak będziesz tego potrzebował.

Zajrzeliśmy do sklepiku na rogu i wybraliśmy plastikowy zestaw do zaplatania warkoczy dla przyjaciółki Asi.

— Tak to działa — westchnął Chic. — Kupują śmieci dla twojego dzieciaka, a potem ty kupujesz to samo dla nich. To ma pokazać, że ci zależy.

Zadzwońska moja komórka. Wysuplałem ją z kieszeni i odebrałem.

— Będziesz tu o pierwszej trzydzieści, tak?

Minęła chwila, zanim skojarzyłem ten głos z Caroline. Wyznaczona rozprawa Juniora w sądzie. Och, tak.

— Halo? — naciskała Caroline.

— Właśnie jestem dzisiaj... trochę mocno zajęty. Bardziej niż zwykle, to znaczy.

— Ostatnio słyszałam, że twoja obecność jest wymagana w sądzie — zauważyła Caroline.

— Cóż zrobić.

— Zawieź go tam i potem masz spokój. Ale lepiej nie spieprz życia temu chłopakowi. Wiesz, jaka to dla niego stawka?



Po moim krótkim doświadczeniu z więzieniem wiedziałem, że nie jest to miejsce dla czternastolatka, który płakał, bo jego pies miał trafić do schroniska.

— Zgadzam się — powiedziałem.

— Zaufaj mi i nie chciej toczyć ze mną wojny.

Rozłączyłem się, kiedy Chic pobiegł za ciężarówką z jedzeniem. Jego bezkształtny sweter z jakiejś nieznannej drugoligowej drużyny zwisał mu do pół uda. W niezasnurowanych wysokich, czarnych trampkach, będących ukoronowaniem tego obrazu, wyglądał, jakby splądrował szafę któregoś ze swoich synów. Szliśmy razem w milczeniu, a słońce falami odbijało się od chodnika.

— Pani psycholog? — zapytał w końcu.

— Tak.

— Lubisz ją?

— Bardzo. Jest jednak trochę zadziorna. Też popada w nastroje.

— Zawsze łatwiej jest przejść czyjś inwentarz.

— Co masz na myśli?

— Słuchałem, jak wcześniej o niej mówiłeś.

— Dzięki za wyjaśnienie.

Chic uśmiechnął się szeroko, po swojemu, dumny z siebie i zadowolony ze świata.

— Życie nieźle cię przegoniło, Drew-Drew. Tego nie można obejść. Wszyscy: piosenkarze, aktorzy, sportowcy, wszyscy wyglądają młodziej od ciebie. Dobra, świetnie, można do tego przywyknąć. Ale wtedy zdrzemniesz się na dziesięć lat i patrzysz, że tu czterdziecia na karku, a Jimi Hendrix miał dwadzieścia pięć lat, jak nagrał *Purple Haze*.

— Dwadzieścia siedem, jak umarł.

Postukał się w czoło.

— Zawsze chcesz być tym jedynym, który zrobi to inaczej. Żyć zgodnie

z ideałem. Nie dać plamy i być przeciętniakiem, domatorem. Sięgaj wysoko! Walcz! Miałeś romans z Sue z działu płatności. Są oni i my, a potem jesteś ty. Z piwnym brzuchem. — Poklepał się po brzuchu jak kaloryfer. — Telewizor. Kilka barów. Bezpieczne fundusze powolnego wzrostu. Trafia do ciebie, że nie postawią ci żadnych pomników ani nie umieszczą twojej gęby na monecie. Jesteś sobą i nie unikniesz tego. Ale mówię ci jedno: jak to wszystko się uspokoi, kiedy przestaniesz uskarżać się, że już ci tyle nie płacą albo że twoje zdjęcie nie trafiło do Galerii Gwiazd czy gdziekolwiek miało trafić, gdybyś utrzymał żydówkę na poziomie trzysta dwa, to jedyne, co masz, to ta kobieta obok ciebie w łóżku. Nic innego nie ma znaczenia. Nic. Monogamia to ciężka rzecz, nigdy się z tym nie kryłem. Musisz oprzeć się uśmiechowi na światłach. Dłuższemu spojrzeniu w windzie. Romans filmowy; małżeństwo nigdy nie jest tak dobre, ale jednocześnie jest lepsze. Minęło dziesięć lat, od kiedy zdradziłem Angele, i już nigdy więcej tego nie zrobię. Ponieważ już więcej się nie boję tego, co mnie omija.

Mądrość Chica, jak zwykle, objawiała się pod przedziwnymi postaciami. Zapamiętywałem mniej więcej połowę z tego, co mówił. Przeskakiwanie między pierwszą a drugą osobą, chociaż z pozoru niechlujne, jak jego wolne skojarzenia, nie szokowały mnie specjalnie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, chociaż nie miałem takiego zamiaru, minęło nas żółte camaro, zahamowało z piskiem opon i cofnęło się na pełnej prędkości. Z wozu wyskoczył facet z gęstą czupryną, w dresie.

— Chic? Chic Bales?

Chic przyjrzał mu się bacznie, przyzwyczajony do takich zachowań.

— Ten sam, nie inny.

Facet podbiegł, podrygując pod ubraniem, i objął Chica.

— Człowieku, kocham cię. Chic poklepał go po plecach.

— Kibic Giantów?

— Pewnie. Dzięki.

— Chciałbym się odwdziaczyć.

Facet przyglądał mi się zbyt długo, a potem skrzywił się do Chica.

— Ładne masz towarzystwo. — Wsiadł do samochodu i odjechał z pi-  
skiem opon.

Wróciliśmy do stołu w ogrodzie dosłownie uginającego się pod ciężarem jedzenia. Robotnicy pakowali się przy krawężniku. Przeniosłem wzrok z załadowanego stołu na nowo postawioną konstrukcję ogrodową i nie mogłem nadziwić się kontrastowi między tym widokiem z przestronnym trawnikiem a ciasną przestrzenią na tyłach Hope House. Podszedłem w stronę mężczyzny, który wyglądał na brygadzystę.

— Hej — zagadnąłem — ile kosztuje takie urządzenie?

— Małpi gaj? Trzy i pół tysiąka.

— Przyślijcie jeden zestaw pod ten adres — zapisałem namiary Hope House w notatniku, wyrwałem kartkę i podałem mężczyźnie. W portfelu, w przegródce na karty kredytowe, trzymałem w zapasie czek, który rozłożyłem i wypełniłem.

— Chce pan dopisać jakąś wiadomość albo coś? — zapytał mężczyzna.

— Nie. Powiedzmy, że to anonimowy darczyńca. — Robotnik wzruszył ramionami i wsiadł do ciężarówki. Zobaczyłem cień i odwróciłem się. Za mną stał Chic. — Niech to będzie niespodzianka — dodałem.

Chic przyglądał mi się ze zrozumieniem.

— Racja. — Kiedy wracaliśmy, dodał: — Nie masz przecież pieniędzy.

- Mam więcej od tych dzieciaków.
- Jeszcze.
- Sprzedam ekspres do cappuccino.
- Hm?

Angela czekała na nas przy stole. Pocałowała Chica w szyję.

- Jak mój Drew?
- W nastroju kontemplacyjnym.
- Cześć — powiedziałem. — Już jestem.

Siedzieliśmy łokieć w łokieć, wcinając tortille i chipsy. Jednak nie czułem się ani zrelaksowany, ani bezpieczny, tak jak zwykle przy stole u Balesów. Za każdym razem, kiedy wciągał mnie jakiś domowy spór albo docinki, w moje myśli wkradał się Morton Frankel. Ponure wnętrza fabryki rozświetlane płomieniami i iskrami. Jego niebezpieczne oczy. Te zbyt długie zęby niczym kły, których nawet nie musiał ostrzyć.

Angela, od czasu do czasu trzepiąc jakieś dziecko po ręce, kiedy po coś sięgało, bez słowa wysłuchiwała mojej relacji z czterech dni, które mi-nęły od mojej poprzedniej wizyty.

- Ten Junior — powiedziała — wygląda na miłego chłopca.
- Jak na notorycznego przestępcę.
- A ta kobieta odpowiedzialna za niego? Panna Caroline? Dobrze,

że ją ma.

- Chyba stara się aż nadto.
- Wiem, kochanie. — Angela zajęła się Jamaalem. — Powiedz tacie, co chciałeś.

- Dobra, dobra, do-do-dob-dob...
- Weź głęboki oddech — poradził mu Chic.
- W przyszłym roku chcę iść trenować.
- Nie widzę problemu.
- Piłkę nożną. Nie baseball.

Chic upuścił widelec.

— A te blizny... — mówiłem dalej po cichu do Angeli — chyba bym się do nich nie przyzwyczaił.

— Wiem, kochanie. — Angela nie spuszczała oczu z męża.

Chic spojrział na nią, a ona skinęła głową, raz, powoli. Z podziwem patrzyłem, jak zbiera się w sobie, zagryza zęby z lewej strony, a potem z prawej, a następnie odzywa się z wymuszonym uśmiechem:

— W tym też nie widzę problemu.

Jamaal obszedł stół i przytulił się do jego boku, a Chic założył mu chwyt na głowę i udawał, że wali nią o stół. Angela wstała, aby posprzątać.

— Myślałem, żeby się z nią umówić — powiedziałem.

Angela położyła mi dłoń na ramieniu.

— Wiem, kochanie.

Chic odprowadził mnie do samochodu. Opuściłem szybę, a on oparł się, zaglądając do środka. Jego wzrok padł na zdjęcie Frankela leżące na miejscu dla pasażera.

— Uważaj z następnym ruchem, słyszysz?

Położyłem ręce na kierownicy i przyjrzałem się własnym kciukom.

— Kaden miał rację. Myślę jak pisarz. Ale to jest realny świat.

Chic, prostując się, poklepał mnie po przedramieniu.

— To wszystko jest realny świat, Drew-Drew.

- Witaj, Wielki Bracie.
- Cześć, Junior — powiedziałem po raz piętnasty.
- Mogę włączyć radio, Wielki Bracie?

W końcu nie wytrzymałem.

- Możesz przestać mnie tak nazywać?

Junior, klaszcząc w ręce, odsunął się na drzwi i zaniósł śmiechem. Miał na sobie bluzę dresową z kapturem naciągniętym na baseballówkę, na wypadek gdybyśmy musieli stanąć i obrabować jakiś bar z fast foodem.

- Tylko popatrz na te cholerne odbitki, zanim dojedziemy do sądu.

Po lunchu u Chica popędziłem do domu, żeby nakarmić Xenę jajecznicą z kawałkami papryki. Księżniczka okazała swoją wdzięczność, robiąc kupę na kominek. Kiedy po niej posprzątałem, doskoczyłem do Internetu, żeby wydrukować zdjęcia kombi volvo różnych roczników. Koncentracja Juniora to rzadkie zjawisko, ale udało nam się dojść do wniosku, że wóz, który widział, to nie jeden z ostatnich modeli, a raczej „taki, jak twojej starej”. Nie potrafił odróżnić dwusetki od siedemsetki i osiemsetki, ale był prawie pewien, że to nie była dziewięćsetka z

zaokrąglonymi narożnikami, wprowadzona na rynek w dziewięćdziesiątym pierwszym. Chociaż obejmowało to zbyt wiele roczników, aby było przydatne, podobały mu się modele, w których znalazła się siedemset-sześćdziesiątka Mortona Frankela.

— Mówię ci, ziom, ten cały szajs wyglondła dla mnie tak samo. Jakby miał jakieś listwy — podskakiwał na fotelu — to, jo, ziom, wszystko bym wiedział, co, gdzie, kiedy i czemu.

— I jesteś pewien, że policja jeszcze cię nie wzywała?

— Kurna, nie, na pewno. Pani Caroline nie zgubi wezwania od psów. Nie było jej, kiedy przyjechałem po Juniora.

— Będzie tu, jak cię odwiezę? — Kiedy wzruszył ramionami, odchrząknąłem. — Ona jest... Wiesz, co się jej stało? To znaczy z twarzą?

— A co z twojo?

Przynajmniej szczerze.

— Pewno, że wiem. — Junior mierzył mnie czystymi, piwnymi oczyma. — Oj, ziom. Oj, ziom! — Teraz zaśpiewał rytmicznie, naigrywając się. — Pani Caroline się opala, Wielki Brat się podwala. Potem się całują. Ślub i będą mieli...

Zahamowałem z piskiem opon na miejscu do parkowania i wyskoczyłem, zanim pojawiło się „dziecko”. Dzięki Bogu byliśmy na czas, ale sędzia Celemin nie. Albo przynajmniej udawał, że się spóźnił; czasami rzucił w naszą stronę spojrzenie, co znaczyło, że ma przyjemność z tego, że każe mnie i Juniorowi czekać na niewygodnej ławce na końcu sali.

Spojrzałem na zegarek: druga piętnaście. Za czterdzieści pięć minut Morton Frankel kończy pracę. Zakładałem, że pojedzie do domu wziąć prysznic, a ja chciałem zaparkować pod jego mieszkaniem, żeby sprawdzić, czym przyjedzie.

Sędzia oddalił kilka spraw przed nami, a potem zajął się papierkową robotą. Wezwał Juniora — a obrońca z urzędu zjawił się, jakby został wezwany elektronicznie — i dołożył mu jeszcze trzy miesiące dozoru kuratorskiego. Było za dziesięć.

Popędziłem Juniora do samochodu. Był najwyraźniej zadowolony z wyroku.

— Nie chcem wynosić się od pani Caroline. Ona jest spoko. — Łypnął na mnie. — Jest?

Frankel mieszkał niedaleko sądu. Nie miałem czasu, żeby odwiedzić Juniora i wrócić na czas. Jechałem szybko, pozwalając Juniorowi bawić się moim radiem niczym grą komputerową. Fortel starczył tylko na tyle.

— Gdzie jedziem?

— Wykastrować cię. — Zwolniłem przed zdewastowanym dwupiętrowym kompleksem przy ulicy usianej sklepami z materiałami i meksykańskimi knajpami. Obok na skąpym, zbrązowiałym trawniku kucalo pięciu czarnych chłopaków, oplatali rękami kolana i rzucali kostką. Na ciasnym parkingu miejsce odpowiadające numerem mieszkaniu Frankela, było puste. Objechałem sąsiadujące przecznice, poszukując volvo. Przejazdźki po Lincoln Heights nie odbywa się z czystej i nieprzymuszonej woli.

Dziesięć po podjechałem do krawężnika naprzeciwko kompleksu i wrzuciłem kilka ćwierćdolarówek do parkometru. W powietrzu czuć było spaliny i gotujące się parówki w wózku zaparkowanym na chodniku obok przystanku autobusowego. Obawiałem się, że te dzieciaki mogą nas po pewnej chwili zauważyć, ale na razie były najwyraźniej zajęte grą.

— Dzielnia tego zgređa, co, ziom?

Przed kompleks zajechał pick-up. Morton Frankel poklepał kierowcę po ramieniu — jednego z robotników, którego zapamiętałem z zakładu — i wysiadł. Junior zauważył, że zesztyniałem, ale nic nie powiedział.



Frankel wszedł otwartą klatką schodową i pojawił się na pierwszym piętrze. Szeroko otworzył drzwi do mieszkania, wrzucił do środka kurtkę i pojemnik na lunch, i wrócił na dół. Kiedy znalazł się na ulicy, ruszył w naszą stronę.

Zanim serce zaczęło mi walić jak dzwon, Frankel skręcił w lewo, w górę ulicy. Junior odetchnął. Przypomniałem sobie, że czternastolatki, obojętnie jak paskudne, także mają stracha. Śledzenie gwałciciela razem z młodocianym przestępcą chyba pozbawi mnie udziału w plebiscycie na Wychowawcę Roku.

Kiedy Frankel doszedł do następnej przecznicy, ruszyłem za nim.

— Gdzie, kurna, jego fura?

— Właśnie nad tym się zastanawiam. Może idzie na autobus?

— Ziom, to LA. Nikt tu nie jeździ autobusem.

— Nie każdy ma kółka.

— Ziom, czekaj, nie peńć. *T. J. Hookera* nie oglondasz?

— Oglądałem *T. J. Hookera*, zanim ty skubnąłeś swój pierwszy wózek.

— Skubnąłeś? Dziadku, skond wzięłeś to słowo?

I tak dalej.

Jechaliśmy za Frankiem jeszcze kilka przecznic, aż wszedł do zakładu blacharskiego. Zaparkowałem po przeciwnej stronie obok wypożyczalni samochodów; mój highlander mógł z powodzeniem wtopić się w tło. Mort znikł w biurze, w prefabrykowanym baraku. Pojawił się po kilku sekundach, zrolował papierosa i zapalił.

Jedne z drzwi warsztatu podjechały do góry i ze środka wytoczyło się brązowe kombi volvo. Jak na starszy wóz, był w bardzo dobrym stanie. Kilka rys w lakierze, ale idealnie czysty. Najwyraźniej Frankel był dumny ze swojej 760. Albo starał się, aby nie znaleziono w nim żadnych dowodów.

Z warsztatu wyskoczył mechanik z tatuażami zamiast rękawów, a Mort podał mu rękę i wałnął pięścią w ramię. Utrzymujesz stary wóz w dobrym stanie, to lepiej przyjaźnij się z mechanikiem. Mężczyzna doprowadził Mortona do prawego przedniego błotnika i pogładził dłonią idealny luk. Mort poszedł za jego przykładem, potem z uznaniem pokiwiał głową.

Po co naprawiać błotnik? Bo kochał ten wóz? Bo chciał wyeliminować potencjalny ślad? Bo wgniółł go, ciągnąc ciało Kasey Broach do środka?

Frankel wyciągnął książeczkę czekową z tylnej kieszeni, pochylił się nad maską i podpisał. Lewą ręką.

Dziewięćdziesiąt kilo, leworęczny, diaboliczny błysk w oczach. Zupełnie jak ja, tylko lepszy błysk.

Przyglądałem się jego krótko przyciętym, brązowawym włosom.

Potrzebny mi tylko jeden włos. Tak jak ty potrzebowałeś mojego.

Pojechałem z powrotem i zająłem moje stare miejsce na wprost kompleksu. Kilka minut później Mort zaparkował na swoim miejscu, założył blokadę na kierownicę, spuścił okno o kilka obrotów korbką i znikł w swoim mieszkaniu.

Klepnąłem Juniora w kolano.

— Muszę cię odwieźć.

— To już? Ziom, musisz zebrać dowody. Zrób włam do fury, skumaj, co się da.

Taki miałem plan, ale nie zamierzałem o tym mówić Juniorowi.

— Jeżeli znajdę cokolwiek, policja powie, że sam to podrzuciłem, żeby się wymigać od winy.

— To masz mnie. Jestem świadkiem. No i co zrobisz, jak nie ben-diesz miał włosa?

Słyszac własne myśli wypowiedane przez czternastolatka, uznałem, że to potężna oznaka braku snu.

— Dlaczego zostawił otwarte okno?  
— Nie trzymie tam nic, co wartaloby shabić. I nie chce, co by mu ktoś wyjechał okno. No i po co komu rznąć blokadę w starym złomie. Idź tera, ziom, luknij na zagłówek.

— Dziękuję, ale nie.

— Nie? Ziom, ale masz zasady.

— Zasady? Włamanie do samochodu ma pokazać, że mam zasady?

— No. Na ten przykład, ja nie taguję drzew i zborów luterańskich. Zasady. Masz tam mordercę, w dupę jeża, i tylko ty wiesz, kto to jest, a ty, kurna, dupy nie ruszysz po włos z oparcia?

— A jak zjawią się gliny?

Junior spojrział na zegarek.

— Na posterunku w Hollenbeck jest zmiana. Nie ma psów na kra-  
wężniku.

— A skąd ty to możesz wiedzieć? — Machnąłem na niego ręką. — Nieważne. Jestem idiotą. — Wpatrywałem się nerwowo w czarnych chłopaków nadal grających w kości na trawniku, kilka kroków od parkingu. — Te dzieciaki widziały, jak zajechał dopiero co. Będą wiedzieć, że nie jestem właścicielem.

— A co byś zrobił, jak byś pisał ksionżkę?

— Odwróciłbym ich uwagę.

Junior parsknął.

— Co? Ogień byś zapalił?

— Nie. Coś sprytnego.

— A może to? — Zanim zdążyłem go powstrzymać, Junior wysiadł z highlandera i wskoczył na dach. Wygramoliłem się za nim i zobaczyłem, jak przykładą do ust trąbkę z dłoni i krzyczy:

— Jo! Skont tu tyle nigga?

Zeskoczył z dachu, odbił się od chodnika i pognał przed siebie ulicą.

Oparłem się o samochód, kiedy pięciu rozeźlonych, młodych Murzynów minęło mnie pędem w pogoni za nim.

Odwrócić uwagę. Sprytne. Racja.

Podkradłem się na parking po drugiej stronie ulicy, zerkając nerwowo, czy ruch nie wywabi Frankela z mieszkania. Zanurkowałem przez otwarte okno volvo, przetałem zagłówek. Ani jednego włosa. Wnętrze było świeżo wysprzątane. Oczywiście. Zajęli się tym w warsztacie. Sięgnąłem w dół i pociągnąłem dzwignię bagażnika, biorąc głęboki oddech, nim go otworzyłem.

Żadnej kałuży krwi. Żadnych resztek plastikowej folii malarskiej. Żadnego nierdzewnego noża rzeźnickiego. Podniszczona wykładzina nosiła ślady mechanicznego odkurzania.

Zatrzasnąłem bagażnik i odwracałem się akurat do własnego samochodu, kiedy zobaczyłem Morta w drzwiach mieszkania. Przyglądał się mi przez barierkę pierwszego piętra. Odskoczyłem jak oparzony, a chwilę później darłem asfalt podszwami tenisówek.

Nie miałem pojęcia, czy widział moją twarz i czy zauważył, jak otwierałem bagażnik. Ruszył w stronę schodów. Zrobiłem kilka kroków chodnikiem, oddalając się od niego, jakbym kontynuował drogę, i udawałem, że rozmawiam przez komórkę. Napływ adrenaliny podkręcił mi zmysły. Nasłuchiwałem, czy się nie zbliża, czekałem, aż pocuję wibracje jego szarżujących kroków unoszących się od chodnika. Czułem go za plecami, szedł za mną może jakieś dwadzieścia kroków.

Jesteś w realnym świecie. Uważaj, żeby nie dać się zabić.

Kiedy zaryzykowałem spojrzenie za siebie, on skręcił w boczną ulicę. Poszedłem za nim, trzymając się w tyle o kilka domów. Doszedł do rogu i zatrzymał się; patrzył na wystawę sklepu z ubraniami. Z kieszonki na piersi wyjął długopis, wyciągnął coś z tylnej kieszeni i napisał na tym kilka słów. Przeszedłem przez jezdnię, tak żeby widzieć wystawę, a

jednocześnie aby się w niej nie odbić. Manekiny ubrane w sukienki z cekinami i tanie garnitury — kilka rozczłonkowanych na nieludzkie kawałki — unosiło się na stercie nie pociętej tkaniny z boku. Mort wpatrywał się w okno jak zahipnotyzowany. Kilka manekinów było nagich albo miało obnażone torsy, sztywne i blade jak torsy trupów. Czyżby podziwiał tę gładką, woskową skórę?

Cokolwiek Frankel trzymał, wypadło mu z rąk. Cofnął się o krok, nadal podziwiając wykrzywione ludzkie kształty, a potem znikł za rogiem.

Zanim podszedłem, poczekałem kilka minut. Upuścił bloczek zapalek; pomarszczona klapka przedstawiała czaszkę i skrzyżowane piszczele. Przykucnąłem, podniosłem zapalki i otworzyłem.

Na odwrocie widoczne było koślawe pismo.

## WIDZĘ.

Wyprostowałem się gwałtownie, powietrze paliło mnie w gardle. Jakiś ruch w oknie zwrócił moją uwagę. Wśród upozowanych plastikowych postaci, kilka centymetrów od szyby widniała szydercza twarz Mortona Frankela.

Mort oderwał się od okna, odtrącając manekin i zeskoczył z wystawy, by pobiec do drzwi. Rzuciłem się do ucieczki.

Uskakując przed trąbiącymi samochodami, popędziłem sprintem przez jezdnię i po drugiej stronie wpadłem na cholernego rowerzystę. Mort był na krawężniku i czekał na wolne miejsce wśród pojazdów. Wy-rwałem mankiet z łańcucha w rowerze i pobiegłem dalej. Z przystanku akurat ruszał autobus. Dopadłem do niego, waląc w bok i krzycząc. Au-tobus zatrzymał się i tylne drzwi rozdziawiły się szeroko. Mort przeko-czył rowerzystę i był coraz bliżej.

W autobusie tłoczyli się popołudniowi podróżni. Przepychałem się między nimi, potykałem o papierowe torby ze sprawunkami i kolana, nasłuchując jednocześnie upragnionego syku zamykanych drzwi, ale one niczym w letargicznym opóźnieniu wciąż pozostawały otwarte. Ryczały klaksony. Autobus wtoczył się na swój pas.

Dobrnąłem do przodu; tymczasem kierowca także przyłączył się do protestujących. Spomiędzy kilkunastu ramion uwieszonych na uchwy-tach dojrzałem, jak tylne drzwi zaczynają się zasuwać.

Potęźna dłoń wtłoczyła się w szparę, blokując gumowe uszczelki. Kiedy Mort na siłę rozsuwał oba skrzydła, frontowe drzwi otworzyły się synchronicznie.

Zanurkowałem, zjechałem po schodkach na tyłku i wyleciałem na chodnik, żeby jeszcze zdążyć dojrzeć but Mortona znikający we wnętrzu autobusu. Drzwi zatrzasnęły się z pneumatycznym świstem i autobus wjechał w strumień pojazdów.

Wstałem i otrzepałem się. Autobus mnie minął, twarz Mortona rozmazała się w brudnym oknie. Dostrzegł mnie i przeszedł na tył. Pasażerów na tylnym siedzeniu odgarnął na boki, jakby rozsuwał firanki i przyłgnął do szyby ze złowieszczą miną, zaparowując oddechem szkło.

Zszedłem na pusty teraz pas ruchu i napotkałem jego spojrzenie, kiedy autobus przyspieszał na skrzyżowaniu.

Jego usta ułożyły się w bezgłośnie: „Widzę”.

— Też cię widzę — powiedziałem.

Kiedy z powrotem biegłem do highlandera, w kieszeni zawibrował mi telefon. Odezwał się Junior:

— Jestem na rogu Daly i Main. Stacja benzynowa.

Przyjąłem to z większą ulgą, niż się spodziewałem.

— Skąd masz mój numer?

— Od pani Caroline.

— Co jej powiedziałeś?

— Że zostawiłeś mnie z bando czarnuchów, co by mnie wytargali, a sam poszłeś na włam do volvo mordercy — zaśmiał się. — Spoko, ziom, żartowałem. Powiedziałem, że poszłem po szame.

Wskoczyłem do samochodu i pojechałem po niego. Udało mu się przebiec prawie dwa kilometry. Kiedy go znalazłem, siedział na murku obok toalet i palił papierosa. Była to dla niego nowość, ale pracował nad

spokojnym wydechem. Zaparkowałem i podszedłem. Zastanawiałem się, czy mu nie powiedzieć, jak bardzo się martwiłem, ale byłoby to niezręczne dla nas obu.

— I co tam? — zagadnął.

Opowiedziałem mu.

— Wielki Brat trochę podygał. — Junior podniósł rękę i przybiliśmy piątkę. — Chociaż jest już stary.

— Mam trzydzieści osiem lat.

— No, mówię. — Niezręcznie postukał o dłoń paczką Marlboro Reds; pewnie jego nowy trik.

— Jak byłem dzieckiem, dziadek przyłapał mnie na paleniu. Kazał mi wtedy wypalić do końca całą paczkę — powiedziałem. — Każdy był ostatnim. Byłem taki chory, że więcej już nie paliłem.

— Tak? Masz jeszcze jakieś bajki? To gadaj.

— Nie mam, ale może sam tak spróbujesz?

Wzruszył ramionami.

— W porzo. — Wysupłał następnego papierosa i trzymał go ceremonialnie, zanim zapalił. Szybko i mocno wypalił go; żar przesunął się o kilka milimetrów za każdym pociągnięciem. Skończył, następnego odpalił od niedopałka.

Po wypaleniu kolejnych dwóch zapytałem:

— Jak się czujesz?

— Spoko.

Następne trzy papierosy sprawiły mu jeszcze większą przyjemność.

— A teraz?

— Zajefajnie.

Przy dziewiątym opanował francuski wdech. Przy trzynastym wydmuchiwał kółka. Piętnastego zgasił, rozgniatając na murku między kolanami, przerwał, żeby radośnie wyciągnąć ręce do nieba, a potem zapalił kolejnego.



Wspiałem się na murek i usiadłem obok niego.

— Kopsniesz szluga? — poprosiłem.

Caroline spojrzała mi w oczy, jakby mierzyła się z bokserem przed walką. Przeniosła palec wskazujący ze swojej piersi na moją.

— Nie ma w tym żadnej chemii.

— To tylko kolacja — powiedziałem.

Przeszła po włochatym dywanie i usiadła za biurkiem, jakby czuła się swobodniej, gdy dzielił nas pokaźny przedmiot.

Spojrzałem na fotografie na półkach. Grupa dzieci przeróżnych ras czekająca na przejażdżkę kolejką w Disneylandzie, zupełnie jakby starannie je ustawiono, aby pozowały do folderu. Zespół wychowawców przy ognisku, na pierwszym planie dzieci rozłożone na trawie, inne u dorosłych na kolanach. Z jednej strony biurka stało zdjęcie roześmianej Caroline, obejmującej czarnoskóre dziecko w wieku kilkunastu lat. Była młodsza, z twarzą jeszcze nieoszepeconą bliznami i promieniała urodą. Wskazałem to zdjęcie.

— Kto to? — zapytałem.

Z trzaskiem przewróciła fotografię na biurko i wsunęła ją do szuflady.

— Chodziło mi o chłopca — tłumaczyłem się.

Zaczerwieniła się. Podmuch wentylatora poruszał jej kołnierzykiem. Ze spokojem i godnością sięgnęła do szuflady, wyjęła zdjęcie i z powrotem ustawiła je na biurku.

— To był J.C. Wcześniej pracowałam w wielu miejscach.

Spojrzałem na zegarek.

— Zadzwoniłem rano do dozorcey w domu Kasey Broach. Jeżeli wierzyć jego automatycznej sekretarce, to jest osiągalny tylko między szóstą

a szóstą trzydzieści. Aby zastosować się do zasady odwiedzin według Caroline Raine, muszę się zbierać. Chciałbym bardzo, abyś przyjęła moje zaproszenie na kolację, ale twoje niezdecydowanie wcale mi nie schlebia, a mam kruchą psychikę. Jej usta drgnęły; niezupełnie był to uśmiech.

— Nie zapraszaj mnie na kolację tylko dlatego, że uważasz to za ukłon w moją stronę. — Mierzyła mnie wzrokiem. — Dobrze mi we własnym towarzystwie.

— Tak, wygląda na to, że jest ci dobrze; prawdziwy wzór dostosowania, zupełnie jak ja. Dlatego uważam, że powinniśmy wykorzystać siebie nawzajem. — Odszedłem do drzwi, zatrzymałem się. — O ósmej?

Niedostrzegalnie skinęła głową.

Terapeutka z obgryzionymi paznokciami stała na korytarzu tuż obok i udawała, że sprząta na stoliku z telefonem. Spojrzała na mnie, kiedy przechodziłem.

— Jeśli ją zranisz, skopię ci tyłek.

— Zranię ją — odparłem — to pomogę tobie.

Rodzina Kasey Broach wędrowała od otwartych drzwi mieszkania 1B do wozu firmy przeprowadzek i z powrotem. Nosili lampy, kosze na śmieci, kartony. Silne, rodzinne podobieństwo u rodziców i młodszej siostry, których rozpoznawałem z telewizyjnych wiadomości. Poruszali się jak roboty, w zupełnym milczeniu, w silnym świetle reflektorów ciężarówki. Od czasu do czasu ktoś zatrzymywał się na krótkiej ścieżce między wozem a drzwiami i opierał o słup, zgięty w pół, jakby stracił oddech.

Przy drzwiach, w przezroczystym worku na śmieci, rozmrażały się prefabrykowane dania. Ojciec Kasey przystanął na chwilę, aby wyrzucić naręcz przyborów toaletowych — wystrzępioną szczoteczkę do zębów, zaśniedziałą żyletkę, pół kartonu patyczków higienicznych — podczas gdy córka owinęła telefon kablem i wepchnęła go do salaterki. Logistyka straty. Przerażające drobiazgi.

Z pobliskiej drogi numer 110, zza rozległego, betonowego ekranu, dochodził łoskot samochodów. Grupa dzieciaków biegała po ciemnej ulicy, wymachując pistoletami zabawkami, które wyglądały wystarczająco realistycznie, aby zastrzelił je jakiś zmęczony gliniarz. Ich śmiech zdawał się drwić z poważnej procesji pozostałych przy życiu Broachów.

Mogłem zobaczyć mieszkanie bez dobrej woli zrządzającego dozorca. Potrzebowałem jednak więcej odwagi niż ta, na którą mnie było stać. Takiej właśnie sposobności z rodziną Bertrandów pozbawił mnie proces. Okazji, by porozmawiać z żalobnikami i ofiarować im namiastkę tego, co było możliwe w takich okolicznościach. Przez moment nie mogłem pogodzić się z tym, kim jestem, i z tym, jaki wpływ wywarło to na moje zachowanie. Nie chciałem też pogodzić się z moim skrywanym motywem, złą miną do złej gry.

Matka, zażywna, dobrze zbudowana blondynka, zerknęła kilkakrotnie w moją stronę; musiałem ich chyba niepokoić, obserwując zza przyściemnianych szyb samochodu, podczas gdy morderca Kasey nadal przebywał na wolności.

Podszedłem, zachowując stosowny dystans.

— Pani Broach? Jestem...

— Tak? — Zatrzymała się ze stosem sukienek, jeszcze na wieszakach, przerzuconych przez ramię. — Andrew Danner. Poznają pana.

— Przepraszam, że się narzucam. Wiem, że to dość niezręczne, to, że tu przychodzę i... i... — Lampa na korytarzu nad drzwiami Kasey została niedawno zbita, sądząc po odłamkach szkła odgarniętych na bok. Wzdrygnąłem się na bezwzględność takiego postępu. Dlatego rodzina korzystała ze świateł ciężarówki — morderca zbił lampę, przewidując, że będzie ciągnął ciało ich nieprzytomnej córki.

— No? — odezwał się jej mąż za moimi plecami. — Czego pan tu chcesz?

W głębi ulicy słyhać było krzyczące to tu, to tam cienie, dziecięce głosiki, jeszcze przed mutacją:

— Mam cię! Zabiłem cię na śmierć!

Znienacka coś ścisnęło mnie w gardle. Zacisnąłem usta i starałem się opanować.

Pani Broach upuściła sukienki, zrobiła krok do przodu i objęła mnie. Energicznie pocierała mi plecy, na okrągło, nieskończenie bardziej efektywnie niż ja Lloydowi, kiedy się załamał. Była miękka, lekko wilgotna od potu i pachniała przyjemnie jakimś kremem. Na moment złała się w jedno z moją własną mamą, April, Françoise Bertrand, płacząc wyrażając przebaczenie.

Cofnąłem się, mrużąc oczy przed światłem reflektorów, i powiedziałem:

— Nie wiem nawet, od czego zacząć. Może, że bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się z Kasey. I że to też wam się przytrafiło.

Siostra Kasey — Jennifer, jeżeli pamięć mnie nie myli — stała w drzwiach, żując gumę i wiercąc chudą nogą dziurę w podłodze. Telewizyjne wiadomości sporo rozwdziły się nad faktem, że właśnie rozpoczęła liceum, z czego wynikało, że między starszą siostrą a nią było prawie dwadzieścia lat różnicy. Jennifer wyglądała, jakby miała się rozpłakać, ale nie starczało już jej na to sił. Czasami zbierała się w sobie, przyciskała dłoń do ust i wydobywała z siebie coś między jękiem a szlochem.

— Proszę wejść — powiedział pan Broach.

Weszliśmy, przestępując nad wypełnionymi do połowy kartonami i rozrzuconymi ubraniami.

Pan Broach rozejrzał się i powiedział szorstko:

— Skąd tu wiedzieć, co zatrzymać?

Usiedli na kanapie odsuniętej od ściany, a ja na wielkiej donicy, ustawionej do góry dnem. Od czego tu zacząć?

— Byłem podejrzany o morderstwo waszej córki — zacząłem.

— Wiemy. Bill nam powiedział — odparła pani Broach.

Bill Kaden. Racja.

— Powiedział, że nadal jest pan o to podejrzany — dodał pan Broach — ale pan chyba tego nie zrobił. Oglądałem proces. Ta taśma, którą pan nakreślił, na której pan śpi w nocy, kiedy Kasey została zamordowana... Bill uważa, że to jeszcze bardziej wskazuje na pana. Ja uważam odwrotnie. — Spojrzał na żonę. — Rozumiemy, że mógł pan zacząć nie ufać samemu sobie.

I proszę bardzo, para starych przyjaciół oddała sugestię, że to ja zabiłem ich córkę.

— Doceniam to — powiedziałem.

— Po prostu wyrażam własną opinię. Oczywiście nie podejmujemy się żadnych osądów.

Pani Broach siedziała bokiem, pochyłona nad córką, i głaskała ją za uchem.

— Kasey jest teraz w lepszym miejscu. Jak mówi Jozue: Bóg dotrzyma je wszystkich obietnic. Wszystkich. Tak czy inaczej.

— Cieszę się, że odnajdujecie w tym pocieszenie. Wątpię, czy mnie starczyłoby sił.

— Mamy doświadczenie — powiedział pan Broach. Oczy zasły mu łzami i zakaszłał w pięść. — Straciliśmy też naszego syna, pięć lat temu.

Musiałem wyglądać na oszołomionego. Dalej mówiła pani Broach:

— Nie, nie. Tommy zmarł na białaczkę.

Niektórzy ludzie jak dostają, to z obu łuf i ledwo mogą się otrząsnąć, zanim los załaduje jeszcze raz. A pozostali przechodzą przez życie, stąpając po głowach innych i kręcąc światem za ogon.

Jennifer przyglądała mi się.

— Ty to zrobiłeś? — zapytała.

— Nie, nie ja.

— A tamtą pierwszą? Tę Francuzkę, z którą chodziłeś?

— Nie wiem. Sam w to nie wierzę. — Odgarnąłem włosy i pokazałem

zaszytą bliznę. — Ale niczego nie będę wiedział na pewno, dopóki nie rozpracuję tych wydarzeń.

— Więc tym się pan zajmuje? — zapytał pan Broach.

— Po tym, co przeszedłem... Może uda mi się dowiedzieć więcej o śmierci waszej córki. Rozglądałem się i znalazłem kilka wątków.

— Mówił pan o tym policji? — wtrącił pospiesznie Broach.

— Informuję ich o wszystkim na bieżąco. Ale policja pracuje nad sprawą dzień i noc; mają sporo własnych poszlak. Ja staram się być przydatny i czuwam nad tym, żeby im nic nie uciekło.

— Jak my możemy pomóc?

— Hm... — Spojrzałem po nich. — Mogą państwo opowiedzieć mi o Kasey?

— Och — odezwała się matka. — Oczywiście!

Mówiła pierwsza, opisując ze szczegółami życie i nawyki Kasey, ale wkrótce wszyscy z uśmiechem dołączali się ze wspomnieniami. Między nami krążyło pudełko z chusteczkami. Lokator spod 1A w noc zabójstwa przebywał gdzieś poza domem, ale Trina Patrick spod 1C była na miejscu. Oglądała w telewizji teleturniej, nastawiła głośno program, rozgrzewając jeszcze atmosferę czerwonym winem, i niczego nie słyszała. Zapytałem o Mortona Frankela, brązowe volvo i ostatnich chłopaków Kasey. Wszyscy czuliśmy się nieco rozgoryczeni, nie potrafiąc ruszyć z miejsca.

Pani Broach wtuliła się w męża, a on przygarnął ją do siebie.

— Była cudowną dziewczyną. Szkółka niedzielna. Klub młodzieżowy. Trochę kłopotów w okresie dojrzewania, ale kto ich nie miał? Pracę miała ciężką, ale mimo to znajdowała czas na dodatkowe zajęcia, krótkoterminowe misje. Zawsze pomagała innym. Kiedy zdiagnozowano jej brata, przeprowadzili testy na rodzinie, to wie pan co? Nikt z nas nie

pasował. — Pani Broach zrobiła ruch ręką nad ich trójką na kanapie. — Tylko Kasey. Była aniołem Tommy'ego. Jeździła tam raz za razem, zastrzyki w biodro, igła taka gruba, nigdy nie narzekała, ani razu. — Ręce jej drżały, a kiedy odezwała się ponownie, jej głos się załamał. — Mieliśmy troje dzieci. Teraz mamy jedno. Łaska pańska. — Przytuliła twarz do córki i mocno objęła ją za ramiona. Jennifer miała taką minę, jaką widziałem kiedyś na zdjęciu przedstawiającym prowizoryczną tratwę, która rozbija się w drodze na Florydę. Na wodzie, wśród szczątków tratwy, unosiła się młoda Kubanka, kurczowo trzymając się opony; ocalała tylko ona jedna, choć sama nie wiedziała, czy tego chce.

— Czy pozwolicie, abym rozejrzał się po pokoju Kasey? — zapytałem. Broach, zajęty żoną, dał ręką znak, że się zgadza.

Meble Kasey były rozebrane, a połowa rzeczy spakowana do kartonów, chociaż w procesie pakowania nie widać było wyraźnej systematyczności. Zdjęcie Kasey z bratem, wychudzonym i wyłysiałym, przyklejone było na wewnętrznej stronie drzwi do szafy, żeby mogła na nie patrzeć każdego ranka, kiedy się ubierała. Materac ustawiony pod ścianą, z opartymi o niego zagłówkiem łóżka i poprzeczkami. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie Mortona Frankela w masce na twarzy, jak w ciemnościach zbliża się do łóżka z pojemnikiem wypełnionym sevofluranem. Krótka walka przerażonej Kasey, zanim gaz zaczął działać. Mógł zaparkować swoje volvo tam, gdzie teraz stała ciężarówka. Podszedłem do okna i rozsunąłem palcami żaluzje; zauważyłem, jak bliska odległość dzieli parking od wejścia, zupełnie jak w motelu. Pięć kroków po ciemku i miał jej omdlałe ciało w bagażniku. Łatwo było zrobić to tak, aby nikt niczego nie zauważył.

Na parapecie pęk breloków wielkości pięści przygnał mały kalendarz ścienny. Przewertowałem go. Był nieużywany, kupiony, jak się domyślałem, ze względu na zdjęcia nieokiełznanej, dzikiej przyrody. Wśród



łańcuszków i breloczków tylko trzy klucze — samochód, mieszkanie, skrzynka na listy.

Moją uwagę zwrócił srebrny napaśtek. Zdjąłem go z pęku wisiorów. Upomnienie dla alkoholika wychodzącego z nałogu, że nawet napaśtek wódki można uznać za porażkę.

Miniaturowa łazienka była całkowicie zagracona. Znalazłem karton z lekarstwami i przekopałem się przez niego, ale były tam jedynie aleve, tylenol i różne środki na nadkwasotę. Żadnego xanaksu.

Alkoholik zrywający z nałogiem nie będzie eksperymentował z benzodiazepinami, a jednak autopsja wykazała obecność xanaksu w organizmie Kasey.

Wyszedłem z łazienki. Broachowie starali się wrócić do systematycznego pakowania, ale najwyraźniej nasza rozmowa wybiła ich z rytmu.

— Kasey wychodziła z uzależnienia alkoholowego? — zapytałem.

Pani Broach zarumieniała się; z pewnością nie lubiła o tym rozmawiać.

— Cóż, jak już wspomniałam, miała trochę kłopotów jako nastolatka, zaraz jak urodziła się Jennifer. Poszukaliśmy dla niej pomocy.

— Wracała do tego?

— Właśnie uczciliśmy tortem jej dwudziestkę.

— Wie pani, czy zażywała xanax?

— Nie ma takiej możliwości. Nawet nie tknęła mojego węgierskiego tortu, chociaż wiśniówka na pewno się wygotowała.

W kuchni pan Broach upuścił ekspres do kawy, dzbanek się rozbił. Ojciec Kasey wpatrywał się tępo w skorupy.

Minęły trzy długie sekundy, zanim jego żona odezwała się:

— I tak nic byśmy z nim nie zrobili.

— Opóźniam was tylko — powiedziałem. — Czy macie coś przeciwko temu, żebym w jakiś sposób pomógł?

Przez następną godzinę, kiedy zawodzenie pojazdów ustąpiło, a dzieci nadal goniły się po ulicy, pohukując i wrzeszcząc, pomagałem w pakowaniu i załadunku. Szło nam to całkiem składnie.

Wyszedłem z halogenową lampą stojącą i oprawioną reprodukcją Henri Matisse'a i zastałem panią Broach siedzącą na ziemi i gładzącą spinkę do włosów z białą wstążką, która wypadła z torby.

Mąż zatrzymał się przed nią i pomógł jej wstać.

— Chyba starczy na dziś — stwierdził.

Skończyliśmy ładować rzeczy na ciężarówkę i pan Broach odwrócił się, aby podać mi rękę.

— Może oni myślą się co do pana. W sprawie Genevieve Bertrand.

— Mam taką nadzieję — odparłem.

Pani Broach uśmiechnęła się do mnie smutno.

— Andrew, niech pan zadba o siebie.

Jennifer pomachała do mnie z ciężarówki, kiedy odjeżdżali. Stałem i patrzyłem, aż tylne światła furgonetki stały się dwoma odległymi ślepiami w ciemności. Otoczyły mnie dzieciaki o krótko obciętych włosach z głosami dziesięciolatek; wrzeszczały coś o napadzie i zawodziły od odniesionych w wyobraźni ran. Ich zabawkowa broń emitowała elektroniczne piski i eksplozje; we wnętrzu luf migły czerwone światełka.

Byłem już prawie przy samochodzie, kiedy zauważyłem, że pistolet jednego dziecka milczy grobowo, wewnątrz lufy nie było nic poza ciemnym kręgiem. Pobiegłem kilka kroków za nim.

— Hej — zawołałem. — Hej.

Obrócił się na pięcie i powiedział z krzywym uśmiechem:

— Bang bang! Nie żyjesz, stary.

Broń, z której do mnie celował, była prawdziwa.

Uśmiechnął się, ukazując przerwę między przednimi zębami. Wszystko przez gry i zabawy. Patrzyłem, jak jego mały palec zaciska się na cynglu, więc powiedziałem:

— Czekaj! Najpierw oddam ci portfel.

Zbliżyłem się ostrożnie, sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem żałośnie lekki, skórzany pugilares. Tak jak się spodziewałem, odwróciło to jego uwagę, a wtedy wyrwałem mu pistolet z ręki, chwytając z boku za lufę i uwalniając broń. Zaskoczony chłopiec wpatrywał się we mnie, rozcierając nadgarstek.

— Tylko się bawiłem.

— To jest prawdziwy pistolet.

Gówniana dwudziestkadwójka, dla ścisłości. Przesunąłem zamek: w komorze nie było pocisku. Szczęście, bo inaczej ktoś by teraz krwawił na chodniku. Wyrzuciłem magazynek. Ze środka wyskoczyła pusta iglica, ładowana sprężyną i gotowa do użytku. Umieściłem magazynek na miejscu i kciukiem przesunąłem bezpiecznik.

— Skąd to masz?

— Nie ukradłem. Naprawdę. Leżało w śmieciach. — Wskazał rząd domów stojących tyłem do parkingu. Pod rozsypującym się drewnianym płotem stały kubły ze śmieciami. — Znalazłem. Na moim podwórku. Jest mój.

Obróciłem pistolet, żeby sprawdzić numer seryjny na osłonie cyngla. Nie zdziwiłem się, widząc jedynie spiłowany pasek metalu.

— Kiedy?

Pozostałe dzieciaki zebrały się w kręgu, przestraszone, w pewnej odległości. Jakiś chłopak w czapce z napisem „Angeles” pobiegł w stronę szeregowców.

— Nie wiem. Kilka dni temu.

— Wtedy, jak przyjechała tu policja?

— Dzień po. Ale nie szukali tego. Dziewczyna została porwana. Dlatego teraz wszyscy się bawimy razem. System dwójkowy.

— Rozmawialiście o tym z policją?

Potrząsnął głową, przestraszony. Spojrzałem w stronę jego domu. Dzieciak w baseballówce wracał, ciągnąc za rękę dużego faceta we flanelowej koszuli. W tylnym oknie widziałem trofea i proporce baseballowe.

— Widzieliście coś tej nocy, kiedy ją porwali? Tutaj na ulicy? Gdzieś około dziesiątej, jedenastej?

— Samochód stał tu trochę. — Chłopak wskazał miejsce parkingowe po lewej stronie drzwi Kasey; jej samochód zajmowałby miejsce na wprost. — Potem pojechał. To wszystko. Byłem w domu i oglądałem telewizję, i nawet nikogo nie widziałem.

— Jaki to był samochód?

— Miał duży tył z oknami.

Najlepszy opis volvo, z jakim się spotkałem. Otworzyłem drzwi i przekopałem się przez wydruki.

— Jakiego był koloru?

— Brązowy albo nawet czarny. Trudno powiedzieć, bo było ciemno.

Podaliśmy mu zdjęcie volvo 760.

— Taki jak ten?

— Tak. — Brudny paznokciec postukał w kartkę. — Taki jak ten. Do-  
stanę mój pistolet?

— W czymś mogę pomóc? — krzyknął z daleka mężczyzna we flane-  
lowej koszuli.

— Bawił się bronią.

— Moi chłopcy, kurna, mogą się bawić, czym zechcą.

— Prawdziwą bronią.

— A skąd dziesięcioletek może mieć prawdziwą broń?

— Tata, nie jest prawdziwa. Przysięgam.

Mężczyzna, pełen agresji, zmierzał w moją stronę. Nie chciałem bić  
się z ojcem przy jego synu, przeładowałem zatem pistolet, wycelowałem  
przed siebie i strzeliłem. Huk sprawił, że wszystkie dzieciaki padły na  
beton, a mężczyzna przysiadł na piętach, unosząc ręce nad głową.

— To prawdziwa broń — powtórzyłem.

Ich przerażenie nie sprawiło mnie w dobre samopoczucie. Ani tro-  
chę. Dzieciaki zostały na ziemi, dopóki nie odjechałem.

— Pamiętasz, jak przy *Prawie Chainera* pokazałeś mi, jak odtworzyć  
spiłowany numer seryjny? — Podniosłem koszulę, ukazując pistolet  
wsunięty za dzinsy.

Lloyd spoglądał na mnie zza stołu warsztatowego przykrytego niepo-  
kalanym arkuszem papieru do pakowania mięsa.

— Chcesz sobie fiuta odstrzelić? Drew, to nie jest film.

Wyciągnąłem dwudziestkędwójkę i położyłem obok kartonika zapa-  
łek z czaszką i piszczelami na okładce. Połyskliwy papier zmarszczył się.  
Lloyd zakaszał nerwowo i rozejrzał się dookoła.

Utknął w pracy, bo musiał poddać obróbce odpryski farby, a chciał

jak najszybciej wrócić do żony. Widząc jednak moje podniecenie spowodowane znalezionym pistoletem, uległ naciskom, abym mógł go odwiedzić w laboratorium. Pracował do późna i uznał, że o tej porze nie będzie już jego przełożonych. Wchodząc tutaj, przyciągałem nieliczne spojrzenia, choć korytarze były zasadniczo opustoszałe.

— To nie ma sensu — stwierdził, naciągając lateksowe rękawiczki. — Po co miałby przynosić broń, skoro planował użyć gazu na tej Broach?

— Nie była przeznaczona dla Kasey. Chciał ją mieć żywą i nieprzytomną. To na wypadek, gdyby w drodze do samochodu natknął się na kogoś z sąsiadów albo na przechodnia.

Lloyd posypał pistolet proszkiem, chociaż byłem pewien, że pięć dni fetyszowanego obchodzenia się nim przez dzieciaka zamazało wszelkie pierwotne odciski. Rzeczywiście, poza moimi, Lloyd odnalazł jedynie dziecięce ślady, które porównaliśmy z odciskami zostawionymi przez chłopca na wydruku volvo. Magazynek i pociski — Lloyd sprawdził wszystkie po kolei — zostały wytarte do czysta.

Używając obrotowej głowicy z irchą, wygładził fragment ze spiłowanym numerem seryjnym, aż uzyskał lustrzaną powierzchnię.

— Znał obyczaje sąsiadów? Wszystko wskazuje na to, że facet przygotowuje się wręcz drobiazgowo.

— Zdaje się, że był zdesperowany — odezwałem się. — Może musiał zaspokoić żądzę. Teraz już nie myśli tak jasno... Powinien był wybrać kogoś, kto mieszka w bardziej odosobnionym miejscu, jak Genevieve. Ale z jakichś powodów chciał Broach. A to oznaczało sąsiadów. A to z kolei wymusiło posiadanie broni dla wsparcia. Śmietniki stały przy krawężniku, tuż przy wyjeździe na autostradę. Mógł zwolnić i wrzucić pistolet do jednego z kubłów.

Lloyd zaniósł dwudziestkędwójkę pod okap, obok drucianego kosza pełnego rozmaitych pistoletów, magazynków, rewolwerów, półautomatów różnych wielkości i maści. Materiał porównawczy. Założył okulary i rękawice, przycisnął włącznik na wyciągu i wentylator zaczął wciągać powietrze z sześcianu, w którym spoczęła broń. Najprzeróżniejsze kwasy i odczynniki, od przezroczystych do ciemnozielonych; przy użyciu wacików Lloyd stosował je na zniszczonym metalu, wcierając delikatnie w jedną stronę. Kwasy wżerały się w stal, wydzielal się przy tym ostry i odurzający zapach. Metal zdeformowany przy wybijaniu numeru powinien erodować znacznie szybciej, odsłaniając załączki numerów.

Lloyd, skupiony nad tą czynnością, powiedział:

— Ma nieprzytomną kobietę z tyłu wozu i martwi się, że go złapią z bronią.

— Tu nie chodzi o schwytanie. Chyba raczej nie lubi broni.

Lloyd, wyglądając dość głupkowato w ochronnych okularach, spojrzal na mnie znad syczącego kwasu i stwierdził:

— Morton Frankel nie wygląda mi na strachajłę.

— Zdziwisz się, jak złożony jest Morton Frankel. Kasey Broach była całkowicie trzeźwa. Xanax? Nie sądzę, aby go zażyła. Chyba musiał jej go podać.

— Morderca podawał jej xanax? Po co? Była nieprzytomna.

— Może nie przez cały czas. Sevofluran jest trudno regulować, a Frankel nie jest anestezjologiem. Może kilka razy odzyskiwała przytomność... szczególnie jeżeli to wszystko długo trwało.

— Co go to obchodziło, skoro jest sadystą?

— Może nie jest.

Lloyd wybuchnął śmiechem. Głośno.

— Daj spokój. To zupełnie nie pasuje do faceta, który związał jej nogi linką. I co dalej? Martwił się, że jego ofiara się niepokoi? Morton Frankel

z wyrokiem za dwa gwałty i molestowanie? Co to za morderca?

Musiałem przyznać, że to, co wiedziałem o Mortonie, nie pasowało do mojej teorii. To oznaczało, że mój podejrzany albo moja teoria nie pasowały, mój bohater albo moja fabuła. Nagle mnie olśniło.

— Skoro ją tam przywiózł, może podał jej xanax na wszelki wypadek, żeby nie spanikowała i nie narobiła hałasu, zanim on zdąży wyregulować sevofluran.

— To — powiedział Lloyd — jest ważna hipoteza. — Nastawił lampę pod ostrym kątem, aby uzyskać kontrast na metalu, i zmył resztki kwasu wodą. — Coś mam.

Mrużąc oczy, pochyliłem się nad wylaniającymi się znakami, jaśniejszymi od stali dookoła, ale Lloyd odsunął mnie znad unoszących się oparów.

— Poczekaj chwilę — powiedział. — To nie cyfry. To są litery.

— Jak to możliwe?

Zastosował nieco więcej kwasu, chcąc, aby rozpuściły się krawędzie.

— Mógł spiłować numer całkowicie i żadne sztuczki by tu nie pomogły, potem wybił litery i jeszcze raz spiłował.

Łatwizna dla ślusarza.

Lloyd zdjął okulary i rzucił je na stół.

— Wygląda na to, że nasz chłopina ma poczucie humoru.

Podszedłem bliżej i przyjrzałem się dwudziestcedwójce. Na powierzchni spiłowanego metalu widniała prosta wiadomość.

*NIEŻLE.*



Dla pewności wetknąłem dwudziestkędwójkę za pasek spodni na plecach i zjeżdżałem Mulholland Drive, nagrywając wiadomość dla Billa Kadena, Detektywa Numer Trzy.

— Morton Frankel odebrał właśnie wóz od blacharza — relacjonowałem. — Dał do naprawy wgięcie na przednim prawym błotniku. Zauważył, że go śledzę, i prawie zaczęliśmy bić się na pięści, ale udało mi się zwać. Potem doszedłem do wniosku, że Kasey Broach nie zażyła xanaksu i znalazłem dzieciaka, który też widział brązowe volvo przed mieszkaniem Broach w noc morderstwa. Mieszka w najbardziej na zachód wysuniętym szeregowcu za parkingiem. Pozdrówcie ode mnie jego ojca. Och, mam jeszcze broń, którą ten dzieciak znalazł na śmietniku na drugi dzień po zabójstwie Broach. Dałem ją dokładnie i profesjonalnie zbadać. Nie ma żadnych odcisków osób dorosłych, zupełnie nic, poza ukrytym powitaniem w miejscu numeru seryjnego. Brzmi: „Nieźle”. Mam więc nadzieję, że to wystarczy, aby przesunąć Morta w górę na waszej liście priorytetów. Przesłuchajcie go. Wyrwijcie mu kłak z tej bezkształtnej czachy i porównajcie z tym niezidentyfikowanym włosem z ciała Broach. Cokolwiek. Ale powstrzymajcie go, żeby więcej tu nie przyjeżdżał.

Skoro to nasz typ, domyślam się, że zachował trasę na autonawigacji po ostatniej wizycie u mnie, kiedy przyjechał przeciąć mi stopę. Jak pojawi się jeszcze raz, to go zastrzelę. A mam broń ze zdrapanym numerem seryjnym, więc nigdy mnie nie znajdziecie.

Przerwał mi pisk urządzenia.

Proszę. Poszło. Jeżeli okazałoby się, że Delveckio jest w to w jakiś sposób zamieszany — choć to zapewne przesadzona sugestia — to informowanie jego partnera może sprawę tylko podgrzać. Instykt podpowiadał mi, że Kaden nie ma nic wspólnego z żadnym wrabianiem, a przynajmniej w trzydziestu procentach przypadków nos mnie nie zawodził.

Przedemną, w dół zbrocza, potruchtał kojot. Wskoczył na górkę sąsiada i jego białoszara kita złała się z mgłą.

Nic dziwnego, że Kaden oddzwonił po półtorej minucie.

— Co? — rzucił na powitanie.

Wjechałem na podjazd przed domem, zaparkowałem i opowiedziałem mu o moich przygodach tego dnia.

Kiedy skończyłem, najwyraźniej zaniemówił, bo zapadła cisza.

— Kto ci zbałał pistolet?

— Znam jednego gościa.

— Dobra, do tej pory było miło i rozrywkowo, ale dość tego. Jeżeli będziesz dalej mieszał się do śledztwa...

— Zaaresztujecie mnie za utrudnianie organom działania.

Cisza.

— Właśnie. Ed i ja chcemy zobaczyć się z tobą jutro. Zabierzemy ten pistolet i wyeliminujemy ciebie ze śledztwa albo...

— Wsadzicie do pierdła.

— Danner, popełniasz błąd, jeżeli bierzesz to za bluff.

— To może odbierzecie tę broń dzisiaj?

Kaden zakrył słuchawkę na czas szeptanych konsultacji, a potem powiedział:

— Jesteśmy przed mieszkaniem Mortona Frankela.

Poczułem przypływ emocji z tego, że dotarłem do właściwych władz albo że przynajmniej naprowadziłem władze na właściwy ślad. Jeżeli Delveckio i Frankel znali się wcześniej, czy Kaden to rozszyfruje? I co wtedy z tym zrobi?

— On tam jest? — zapytałem.

— Jest. Zabierzemy go na przesłuchanie.

— Złamcie go.

— Złamiemy. Wpierw posiedzimy parę godzin na jego podwórku.

— Po co czekać?

— Zobaczymy, czy coś knuje. Poza tym wymiękają, jak ich wyrwać ze snu.

Przypomniałem sobie, jak o czwartej nad ranem do mojego domu wtargnął SWAT i wywłókł z łóżka mój zdeorientowany tyłek.

— Wątpię, aby Mort wyraźnie zmiękł.

— W każdym razie niech wie, że mamy na niego oko.

— Będę spał spokojnie.

— Jak już będziesz smacznie spał, to postaraj się nikogo nie zamordować.

Skoro wiedziałem, że przez kilka godzin Frankel będzie pod nadzorem, zadzwoniłem do Caroline, przeprosiłem za spóźnienie i zapytałem, czy chciałaby do mnie przyjechać. Zgodziła się po chwili wahania, co uznałem za pewien postęp. Żałowałem, że nie mogłem nic ugotować, ale wycieczka do laboratorium kryminalistyki zajęła mi sporo czasu, zjechałem więc do Simon's Café. Właściciel, który użyczył lokalowi własnego imienia, siwy i żwawy, z czarnym wąsem, uosabiał wymarzonego szefa

kuchni. Władający siedmioma językami Marokańczyk, eksportowany prosto z Hajfy, robi turecki borek z trzech stopionych serów, który — z piklowanym przybraniem cytrynowym — sprawi, że posiadasz dar języków. Ostatni raz jadłem u Simona późną kolację z Genevieve, po której, syci, wyszliśmy, zataczając się, na ciepły wiaterek w dolinie.

Klienci restauracji w LA nie kryją się z obserwowaniem ludzi, więc zauważyłem, jak kilka głów odwraca się w moją stronę, gdy wszedłem do lokalu. Zbliżyłem się do lady, świadom szeptów, i zapłaciłem za zamówienie.

Widok znajomej restauracji sprawił, że te dziesięć miesięcy, od kiedy byłem tu z Genevieve, zamieniły się w godziny. Nasze rozstanie, chociaż pozbawione zjadliwości, było najeżone niewypowiedzianymi awersjami, a potem rozmawialiśmy z sobą tylko sporadycznie. Przyszło mi do głowy, że Genevieve zmieniła się pod moją nieobecność, uległa przyspieszonej transformacji, jakiej doznaje się po raptownym rozstaniu. Ta Genevieve, którą znałem, mogła nie być tą, która zmarła. Jakiś psycholog w talk-show zaryzykował stwierdzenie, że wraz z wiekiem ludzkie emocje robią się zdrowsze lub bardziej chore. Nigdy nie pozostają niezmienione. Zgodnie z regułami tej psychologicznej zabawy, którądy poszła Genevieve?

Kiedy wychodziłem z dwiema torbami, kołyszącymi się na wysokości kolan, natknąłem się w drzwiach na kobietę. Jej srodze pomarszczona twarz bardziej wyrażała cierpienie niż złość.

— Żeby też taki szwendał się po ulicach!

Uśmiechnąłem się grzecznie.

— To jak inaczej mam znaleźć zabójcę Nicole Simpson?

Pomknąłem do siebie, położyłem paczki na kuchennym blacie, po czym przeszedłem przez dom, zapalając światła i gwizdząc na Xenę.

Strzępy kilku ozdobnych poduszek zaścielały cały salon. Kołtuny wypełniacza spoczywały na dywanie i kominku.

Przeszukanie? Znowu? Po co?

Pasmo papieru toaletowego prowadziło z łazienki, przez hol i salon, znikając w ciemnej bawialni. Wyciągnąłem pistolet i zapaliłem światło. Kanapa była zmasakrowana, zamiesz podarty na strzępy. Podążyłem za papierem toaletowym, wokół otomany, do miejsca, gdzie leżała Xena, chrapiąc z zadowoleniem, z końcówką dwuwarstwowej taśmy w obślinionym pysku.

Opuściłem pistolet i ogarniałem wzrokiem całe to pobojoywisko.

— No, twoje kły na coś się przydają.

Obudziła się na mój głos i dźwignęła na cztery łapy. Polizała mnie po rękę i powędrowała za mną pełna skruchy, kiedy ja, klnąc, zbierałem co większe kępkę materiału.

Kiedy nakładałem obiad, zadzwoniłem do Hope House i poprosiłem Juniora.

— Muszę oddać Xenę.

— Nie ma oddać.

— Zjadła mi połowę domu.

— Ziom, tęskni, jak ją zostawiasz na cały dzień. Musisz być odpowiedzialny.

Przerwałem nakrywanie do stołu.

— Ja, odpowiedzialny?

— No, a jak? Pogadam z nio, ziom. Potrzebujesz jej.

— Przywiozę ją jutro. Zaraz z rana.

— Gdzie? Tutaj? Ja nie mogę tutaj.

— To zabierzemy ją do twojego kuzyna.

— To nie był mój kuzyn.

— Pewnie, że nie. Przyjeżdżam jutro rano. Z psem. Odstawimy ją gdzieś, bo inaczej zawiozę ją do schroniska. — Rozłączyłem się i spojrzałem

na Xenę. Z fafli po obu stronach zwisały żylaste girlandy śliny, co nadało jej żalosny widok. — Bluffuję. Nigdy nie oddałbym ciebie do schroniska.

Kiedy zapalałem świece na stole, zadzwonił telefon.

Odezwał się Junior:

— Słuchaj, ziom, pytałeś o panią Caroline. Powiem ci.

— Co mi powiesz?

— O jej twarzy. Słyszałem, jak opowiadał mój kurator. Byłem na korytarzu, ale on zostawił otwarte drzwi. Pani Caroline pracowała w więzieniu. Opinie i takie tam. Chyba była akurat na oddziale dla gwałcicieli, kiedy w innym skrzydle wybuchły zamieszki. Strażnicy pobiegli pomagać. Pozamykali wszystko, ale o niej zapomnieli. Uwięzili z bandą gwałcicieli. Całe dni, ziom. Zrobili jej pociąg, pocięli twarz na dobre. Wiesz, co to pociąg?

W gardle mi zaschło, więc z początku nie mogłem wypowiedzieć ani słowa.

— Wiem.

— Ledwo zipała, kiedy ją znaleźli. Ale przeżyła. Taka twarda jest pani Caroline. — Z powrotem zmienił barwę głosu na wesołego czterna-stolatka. — No to, ziom, zostawisz Xenę?

— Do widzenia, Junior. — Stałem przy stole, zapalka parzyła mnie w palce. Potrząsnąłem nią i usiadłem. Patrzyłem, jak smużka dymu zwija się i niknie. Rozległ się dzwonek do drzwi.

Odczekałem chwilę, wygładziłem koszulę z krótkimi rękawami i poszedłem otworzyć.

Caroline stała z brzegu na ganku, przyglądając się domowi z zewnątrz. Miała na sobie džinsy i czarną koszulę z mankietami; wełniany szal zarzucony na ramiona pasował do jej oczu, jakby projektant wzorował się na ich kolorze.

Spojrzała na mnie, jej uśmiech znikł.

— Dowiedziałeś się, co mi się przytrafiło. — Zbliżyła się. — Wokół twoich oczu coś się zmieniło. Niby żalność, ale gorzej. — Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

Dogoniłem ją przy krawężniku, gdy siedziała już w samochodzie i właśnie miała zatrzaskać drzwi.

— Zawrzyjmy umowę — zaproponowałem.

Zatrzymała się, ale nie puszczała drzwi.

— Na jeden wieczór zawieśmy wszelką nieporadność i nerwowość między nami. Weźmy na wstrzymanie, jedźmy i rozmawiajmy, i zobaczymy, jak będzie.

— Tobie to łatwo.

— I bez arogancji.

— Ładnie się wysławiasz.

Zamknęła drzwi. Zastukałem w szybę.

— Jak odjedziesz, będziesz źle się czuć — powiedziałem. — Źle, jak zawsze w takich sytuacjach.

— Lubię tak się czuć.

— Więc to zmierza w tę stronę, hm?

Nie potrafiła opanować złości.

— Chcesz odgrywać księcia z bajki i uratować mnie przed tragicznym losem? Mogłabym powiedzieć: ustaw się w kolejce, ale wystraszyłam resztę oczekujących. Ciebie też wystraszę. Może więc damy sobie spokój i oszczędzimy czas.

— Hejże — powiedziałem na tyle ostro, że gwałtownie uniosła ku mnie twarz. — Wiem, co to znaczy, jak ludzie się ciebie boją. Więc jedź, proszę, ale przestań się oszukiwać i nie myśl, że jesteś jedyną osobą, która w miejscach publicznych przyciąga niestosowne spojrzenia.

Odbiła od krawężnika z piskiem opon, aż musiałem odskoczyć, żeby ocalić stopę.

Wszedłem do domu. Xena przekrzywiła łeb, przyglądając się mi pytająco.

— Czasami dorośli walczą ze sobą — powiedziałem jej.

Zdmuchnąłem świeczki. Zakorkowałem wino. Zacząłem sprzątać naczynia, kiedy rozległ się dzwonek. Trzymała dłonie zaplecione na brzuchu, jakby bolał ją żołądek, a twarz miała zarumienioną, z wyjątkiem blizn.

— Pozwolisz, że wejdę?

— Oczywiście, proszę.

Weszła, nawet nie zwracając uwagi na pobojuwisko, i usiadła przy stole. Zająłem miejsce naprzeciw.

— Fakty zawsze są mniej przerażające — powiedziała. — Bardziej do zniesienia.

— Jeśli je znasz.

— Co odkryłeś? O mnie?

Powiedziałem jej.

— To był dom poprawczy — powiedziała. — Pokój przesłuchań z drzwiami bez zamka. Było ich trzech. Mężczyźni. Opanowali teren, nie dopuszczali innych. To nie trwało dni. Dwie godziny i czterdzieści dwie minuty. — Nie spuszczała ze mnie spojrzenia. Nie zadrżała jej powieka. Czytała moją twarz. Staralem się, jak mogłem, nie zdradzać żadnych reakcji, ale chyba mi się nie udało. Pochyliła się do przodu tak, że wyczuwałem na policzkach jej delikatny oddech. — Ha, przynajmniej wyniosłam z tego syfilis!

Długo się jej przyglądałem, zastanawiając się, czy chce, żebym biegał po pokoju, wymachując rękami nad głową. Zamiast tego zaproponowałem:

— Może się napijemy?

— Nie chcę z tobą o tym rozmawiać. Żadnych szczegółów. Żadnych ogólnych zarysów. Nie myśl, że się spoufalimy, a ja się oczyszczę. Nic z tych rzeczy. Zrozumiano?

— Tak.

— Teraz się napiję.



Wyciągnąłem korek, nalałem dwa kieliszki i podałem jej jeden.

— Na wypadek gdybyś była bardziej pretensjonalna od tej, na jaką wyglądasz, muszę ci powiedzieć, że jest to sauvignon o metalicznym posmaku, wyrosły z ziemi, z bogatym aromatem. — Zanurzyłem nos w kieliszku, zaciągnąłem się bukietem.

— Jest wyśmienity. — Rozejrzała się, jakby nagle się ocknęła. — Szczególny widok.

— Nie wolno ci współczuć. Nie poznaję cię.

Wyszczrzyła do mnie zęby. Przyniosłem z powrotem talerze z kuchni i zajęliśmy się jedzeniem. Oboje mieliśmy pewne problemy z wymyślnymi sztucami; jedzenie spadało z powrotem na talerze, zanim donieśliśmy je do ust. W końcu uniosła widelec zaprojektowany dla Muzeum Sztuki Współczesnej — jeden ząb oddzielony przerywą.

— Nie potrafię korzystać z czegoś takiego.

— Ale czyż nie jest śliczny?

— To widelec. Istnieje po to, żeby wkładać nim jedzenie do ust.

— W naszym przypadku najwyraźniej nie. — Zakręciłem swoim widelcem, podziwiając projekt. — Te rzeczywiście są bez sensu, co?

Teraz uśmiechała się szeroko.

— Masz coś prostszego? Może łopatkę?

— Chińskie pałeczki?

— A może chleb etiopski?

— Sprawdzę w piecu. Tymczasem... — Wziąłem nasze widelce i wrzuciłem je do zgniatarki do śmieci. Poszukałem plastikowych sztuców, nadal zapakowanych w woreczki, po moich ostatnich zakupach na wynos i z większym powodzeniem zabraliśmy się za potrawę.

— To niesamowite — powiedziała. — Co to jest?

— Sałatka izraelska. Uważaj! Reklamują ją jako kontrofensywę wobec sznycla wiedeńskiego.

— Przyślę kuskus.

— Rób tak dalej, a spuszczę ci na tyłek Big Maca.

— Nie posmakujesz wina?

Przebłysk wspomnienia, sprzed sześciu lat zaledwie — mustang zaparkowany ukosem na grządce hortensji przed schodami do domu, radio nastawione na cały regulator, ja na dymiącej masce wykrzykuję za Morrisonem *The End* wraz z blondynką ze spinkami w kształcie motyli we włosach.

Odezwałem się:

— Nazywam się Andrew Danner i jestem alkoholikiem.

— To nie powinieneś zupełnie unikać alkoholu?

— Muszę mieć na niego oko, bo inaczej zakradnie się do mnie.

— Jak izraelska sałatka.

— Właśnie.

— A jak z trzeźwością?

— Rujnuje mi picie.

— Jakim byłeś alkoholikiem?

— Byłem jednym z tych, co to nigdy nie wiedzieli, kiedy impreza się skończyła albo że w ogóle się skończyła. Dopóki była woda i ktoś jeszcze pił, ja nie przestawałem. Jak świnia przy korycie. Imprezowicz z żeńskiego akademika w obliczu pączków. Nie należałem do tych, którzy topią ból. Po prostu uwielbiałem alkohol. — Nałożyłem więcej kuskusu na mój niewiarygodnie wydajny plastikowy widelec. — Jeżeli mi uwierzysz, to na moim poprzednim terapeutcie nie zrobiłabyś wrażenia.

— Ostatni wychodziłeś z przyjęcia — powiedziała. — Nie lubiłeś być sam na sam z sobą?

— I do tego pisarz. Ironia grubą kreską. — Zakręciłem moim kieliszkiem, patrząc, jak ciemnoczerwony płyn splywa po kryształach. — Myślę

sobie, że gdyby życie było proste, nie dawałoby tyle radości.

— Oj, dawałoby.

— Wiem, Król Frazesów znalazł sobie kolejną ofiarę. Coś mi się wydaje, że słucham go bezmyślnie już od dzieciństwa.

— Dobrego dzieciństwa?

— Płacę za godzinę, pani doktor?

— Tak, ale kupiłeś kolację, więc stawka wyniesie tylko połowę.

— Byłem zastępczym dzieckiem. Rodzice stracili córkę na rok przed moim urodzeniem.

— Musiało być ciężko.

— Moi starzy chyba opuścili ten rozdział.

— Nie było źle?

— Nosili mnie na rękach. Nie dotknąłem stopami ziemi, dopóki nie skończyłem pięciu lat.

— Podawali sobie ciebie z rąk do rąk.

— No właśnie. A ty?

— Niedawno straciłam mamę. — Popiła łyk wina. — Byłyśmy sobie bardzo bliskie. Tata też jest wspaniały. Mieszka w Vermont. Jesienią powtórnie się ożeni.

— Dwa stabilne dzieciństwa. To dodaje otuchy. I proszę, czterdzie-stolatki i do tego single!

Pomimo trzpiotowatości ta uwaga mocno ją ugodziła. Moja niewypa-rzona i bezmyślna gęba! Wstałem, żeby posprzątać, błagając ją, żeby siedziała. Patrzyła jak wylewam mój kieliszek wina do zlewu.

— Po co kupujesz drogie wino, skoro go nie pijesz?

— Mówiłem, że jestem alkoholikiem, a nie że mam kiepski gust. — Oczyszczałem naczynia i ładowałem do zmywarki, a Caroline sączyła wino i przyglądała mi się. Rozmawialiśmy o niczym, co było zadziwiająco

przyjemne. Mieszkała w Zachodnim Hollywood, na Crescent Heights. Nienawidziła kotów i zakupów. Brązowy pas w dżudo zrobiła zaledwie w trzy lata. Zapomniałem już, jak miło jest przebywać w czyimś towarzystwie. Pozostałe artystyczne wyobrażenia widelców dołączyły do towarzyszy w zgniatarce do śmieci, co rozbawiło Caroline.

— Mogłabyś podać mi tę równie wyszukaną podstawkę pod garnek na trzech nóżkach? — poprosiłem.

— Czy ja muszę wszystko robić? — Z uśmiechem odstawiła kieliszek i przyniosła mi podstawkę.

— Może usiądziesz na tej przeżutej kanapie w bawialni? Przyłączę się za chwilę.

— Dzieło psa Juniora? — Poczekała, aż niechętnie skinę głową. — Gdzie ona jest?

— Wsadziłem ją do kabiny dekompresyjnej na górze.

Ruszyła do drugiego pokoju, a ja powiedziałem:

— Czekaj.

Odwróciła się do mnie. Welniany szal zawiesiła na krześle; a kolejny guzik czarnej koszuli rozpiął się, odsłaniając pasek gładkiego dekoltu. Delikatny obojczyk, zgrabna, smukła szyja. Wąsko wycięty zygzak dekoltu sprawiał, że blizny wydawały się jakby odcisnięte — ledwo widoczne, ale był w nich rodzaj piękna. Akcentowały jej rysy niczym barwy wojenne, podkreślały je, dodawały siły, dodawały wdzięku.

— Wspaniale wyglądasz.

Starła się opanować śmiech; nie wiedziałem, że jest aż taka wstydlawa.

— To mówi alkoholik po operacji guza mózgu, cierpiący na tymczasową niepoczytalność.

— Wzrok mam w porządku.

Gdy odwróciła się, dostrzegłem, że się uśmiecha. Kiedy skończyłem, zastałem ją w bawialni przed półką z moimi tytułami. Odwróciła się, gdy się zbliżyłem.

— Gdzie jest *Chain Gang*?  
— Podpiera stół w kuchni.  
— Pracujesz nad nową książką?  
— W każdej minucie. Straciłem umiejętność oddzielania życia od pisanania.

— Żyjesz śledztwem?  
— Powieścią. Tak jak my wszyscy, ale ten rozdział mojego życia nabrał przyjemnej faktury.

— Może właśnie dlatego to się tobie przytrafiło.  
— Nie wierzę w inteligentne planowanie.  
— Na pewno wierzysz. — Wskazała dłonią grzbiety książek dumnie przyciągające oko.

Minęła chwila, zanim zrozumiałem znaczenie tego gestu.

— Wierzę w narrację. Ale nie wierzę, że wszystko ma swoją przyczynę i że sprawy wychodzą na lepsze.

Powiedz to Lloydowi i ich ślubnemu zdjęciu wiszącemu w korytarzu.

Powiedz to Broachom, pakującym na wpół zużyte przybory toaletowe Kasey, mrożone obiady i białe wsuwki do włosów.

Powiedz to mnie, który obudził się w cholernym szpitalu z zaschniętą krwią Genevieve pod paznokciami.

Caroline patrzyła na mnie, przyglądała się mojej twarzy, więc mówiłem dalej:

— Nie przeczę istnieniu planowania, nie, ale wierzę we własny w nim udział, a to ciężka praca i nie ma bariery ochronnej.

— Co zatem się stanie, jak zboczysz z kursu?

— Zmarnuje się lata albo skończy z gównianym brudnopisem. Żadna alternatywa nie ma szczególnych konsekwencji.

— Drew, znaczenie życia nie polega na jego przypadkowości. Chodzi raczej o to, jak na nie reagujemy. Powiedzmy, że twoja żona wpada pod

autobus. Możesz spędzić resztę życia, uskarżając się na niesprawiedliwy świat, albo postanawiasz założyć dom dziecka.

— Albo dom opieki dla ludzi sparaliżowanych przez niekompetentnych kierowców autobusów.

— Jeżeli zdecydujesz się założyć wesoły przytułek dla zniedołężniałych kierowców nękanych poczuciem winy, wówczas nadałeś znaczenie bezsensownemu wydarzeniu. Znalazłeś dla niego miejsce w narracji. Nie ma wesołego domu, nie ma powieści. Nie ma powieści, nie ma znaczenia.

— Nie ma znaczenia, nie ma rozwoju.

— Ludzie aż tak się nie zmieniają, nie kiedy są dorośli, ale może to właśnie było dla ciebie bodźcem. — Oblizła usta. — Byłam zmuszona się zmienić.

— Na lepsze?

— Nie wiem. Jestem mądrzejsza, chyba, ale może w gorszym stanie.

— Według ciebie zależy, skąd zaczynasz.

— Właśnie. Ale czy dam radę?

— Dociekliwe umysły chcą poznawać.

— Nie wiem. Nie wiem, czy dam radę. — Drżała. Założyła ręce na piersi, nerwowo skubiąc nitkę w szwie koszuli. Przez chwilę myślałem, że może jest jej zimno, ale wtedy powiedziała: — Za pierwszym razem, jak mnie zobaczyłeś, wycofałeś się. Na placu zabaw w Hope House. Brzydziłeś się mną. To jedyna czysta reakcja, na jaką stać ludzi. Inaczej nie można reagować w naturalny sposób na moją twarz.

— Nie brzydziłem się. Byłem zaskoczony.

— Wspaniale. Romantycznie.

Delikatnie ująłem ją za ramiona, a ona na to pozwoliła. Przytulilem ją. Przesunięta blizna rozciąła na krawędzi jej usta, ciało było miękkie i

cieple. Cofnąłem się. Przez chwilę miała zamknięte oczy, przekrzywioną głowę, lekko rozchylone usta. Otworzyła oczy, jasnozielone z rdzawymi plamkami.

— Zaskoczona? — zapytałem.

— Zaskoczona.

— Obrzydliwe?

Potrząsnęła głową. Kilka zmarszczek pojawiło się na jej czole.

— Nie mogę zostać. Chciałabym, ale nie mogę.

— Mogę odprowadzić cię do samochodu?

Kiedy byliśmy na pierwszym stopniu, wzięła mnie za rękę, schwyciła ją jak ptak dziobiący jedzenie. Niepewny chwyt, trwający trzy kroki. Powietrze było wilgotne, słodkie od jaśminu kwitnącego nocą. Przy samochodzie zachowaliśmy się niezdarnie — w którą stronę układa się głowa przy objęciu; przytrzymałem jej drzwi i nie wiedziałem, czy pochylić się i pocałować ją jeszcze raz. Próbowałem, ale przyciągnęła drzwi, a ja cofnąłem się pospiesznie. Spochmurniała, jakby coś ją trapiło, siłowała się z dźwignią biegów, a potem powiedziała:

— Już dawno nie spędzałam czasu tak miło — jakby to było coś niezmiernie kłopotliwego.

— Ja też.

Uśmiechnęła się.

— To na razie, Drew.

Odjechała. W tym momencie, zupełnie jak na znak, dzieciak od sąsiadów zaczął ćwiczyć serenadę na trąbce.

*Out OF the TREE of LIFE, I just picked me a PLUM.*

Gwizdząc melodię Tony'ego Bennetta, poszedłem na górę uwolnić Xenę z łazienki. Nie było tam żadnej tapicerki, którą mogłaby sponiewierać, ale zabrała się za matę z wanny i do pełni szczęścia przewróciła miskę z wodą.

Poszła za mną do gabinetu. Wyciągnąłem notes z tylnej kieszeni i położyłem go na biurku, po lewej stronie od klawiatury. Załadowaną dwudziestkędwojkę umieściłem obok. Narzędzia do pracy.

Jak to czasy się zmieniają.

Opadłem na fotel, wysunąłem podłokietniki i wetknąłem długopis za lewe ucho. Czterdzieści kilo żywej wagi dobermano-rotweillera zważyło mi się na stopy. W domu panowała cisza; czarne prostokąty okien rozświetlały punkciki doliny poniżej. Mały samolot miganiem znaczył swój lot z lotniska Van Nuys gdzieś w ciemność nocy. Opuszkami palców odnalazłem na głowie wybrzuszony chirurgiczny szew, a potem płytkie wklęsłości liter na klawiaturze.

Może właśnie w tym momencie Kaden i Delveckio stawiają przed Frankelem gorącą lampę. Może padają odpowiedzi — co się stało z Genevieve, z Kasey Broach. Z nami wszystkimi.

A może nie będzie aż tak łatwo. Może przesłuchanie poprowadzi do innych pytań, niespodziewanych zwrotów, innych niewiadomych i urwanych śladów. Może Morton Frankel był w rzeczywistości miłym facetem z wgniecionym błotnikiem w volvo, który nie lubił, aby traktowano go jako element fabuły.

Wpatrywałem się w pustą stronę. Czekałem, jak miałem to w zwyczaju, aż chaos zamieni się w porządek.



## 32

W słuchawkach połączonych z komórką rozległo się niestosownie głośne połączenie:

- Jesteśmy pod twoim domem. Gdzie się, do diabła, podziewasz?
- Kaden?
- Co się dzieje z twoją linią domową?
- Czekam, aż Pac Bell zapewni niezawodny serwis.

Xena beknęła na tylnym siedzeniu. Junior zachichotał — kolejny wyłom w zasępieniu, jakie sobie narzucił, od kiedy zabrałem go, aby znaleźć dla psa nowy dom, który rzekomo zabezpieczył. Za duży był z niego gaduła, żeby efektownie zmarkotnieć.

- Gdzie moja broń? — zapytał Kaden.
- Na górze, na biurku.
- Gdzie ty jesteś?
- Odwożę psa.
- Sprytne, smrodzie.
- Domyśliłem się, że chyba nie chcecie, abym zostawiał dwudziestkędwójkę w szarej kopercie na progu domu.
- Wróć do domu i przekaż nam ten cholerny pistolet.

— Jest południe. Mówiliście, że będziecie rano.

O świcie trudno mi było pozbyć się uczucia przerażenia. Minał tydzień, od kiedy wyszedłem z więzienia, a nadal budziłem się spanikowany, że jestem zamknięty w betonowym bloku. W nadziei na poprawę nastroju postawiłem na werandzie miseczkę z pistacjami dla Gusa, ale nie pokazał się, zajęty, bez wątplenia, w układzie trawiennym kojota. Rozerwany wewnątrznie niczym włóczęga w sztuce Becketta, wróciłem do komputera i gniewnie waliłem w głośną klawiaturę, rozklekotany przeżytek zachowany specjalnie na takie nastroje.

Zanim zdążyłem wyjść, Chic zadzwonił z wiadomością z tanich linii, że Morton Frankel nie figurował jako płatny „tani drań”. Jedynie jako wredny bandzior. Poczuliem się lepiej dzięki otwartej rozmowie z Kadenem i Delveckio, a gorzej sam ze sobą.

— Byliśmy zajęci — odparł Kaden.

— Frankelem?

— Nie. Przesłuchiwalismy dzieciaka, który znalazł broń. Z Frankelem rozmawialismy wczoraj w nocy.

— I co?

— Zdziwisz się mocno, ale powiedział, że tego nie zrobił.

— Ma alibi?

— Spał sam. Co, jeżeli akurat nie ciął Kasey Broach, dałoby się zrozumieć.

— Nie możecie pobrać próbki DNA? Tylko jednego włosa?

— Pewnie, zaraz jak tajny helikopter CIA odstawi go na Guantanamo. To tak nie działa, wesółku. Tutaj, w rzeczywistym świecie, potrzebujemy czegoś, co nazywamy „prawdopodobnym motywem”. A brązowe volvo nie wystarczy, żeby sędzia złożył podpis na wykropkowanej linii. Teraz potrzebna jest nam broń.

— Jak wrócę, to podrzucę ją do Centrum Parkera.

- Lepiej się postaraj.
- Jak bardzo go naciskaliście? Frankela?
- Bardzo. — Szelest. Zaczął się rozłączać.
- Hej, Kaden? Jak wyłączyłeś kamerę w pokoju przesłuchań, wtedy ze mną, to było zachowanie „złego gliny”, co?
- W słuchawkach usłyszałem gwizd wiatru.
- Pewnie, Danner.

Wyplątałem się ze słuchawek, prawie strącając długopis zabezpieczony za uchem. Junior uruchomił usta dokładnie w miejscu, gdzie przerwał:

— ...i zrzucili ten cały wyjechany małpi gaj, ziom. Drabiny, drążki, całe to gówno. Ten dałn ześwirował jak małpa, zjechał na serpentynie. Gostek powiedział, że to dar od jakiegoś bogatego zgrelda, co nie wie, co ze szmałem robić.

- Rzeczywiście, wygląda na zgrelda.
- Skręć tu. Miń ten zaulek.
- Jak daleko jeszcze?
- Już prawie jesteśmy, ziom. W lewo. Teraz w prawo. Prosto. Dobra. Byliśmy przed domem Mortona Frankela. Spojrzałem wymownie na Juniora.

— Myślałem... — zaczął. — Ziomal, kogo ty śledzisz? Potrzebny jest ci włos. — Wskazał na mieszkanie Frankela po drugiej stronie ulicy. — Tam, kurna, musi być.

- Dobrze, zadzwonię do drzwi i grzecznie poproszę.
- Hal-lo? Dzień roboczy.
- Może jednak nie, skoro spędził noc na przesłuchaniu. A poza tym, jak mam dostać się do jego mieszkania?

Junior klepnął się oburącz w pierś, obrażony.

- Co, kurna?
- Nie. Och, nie.

Wyskoczył z wozu.

— Jako twój opiekun, nakazuję ci, jako młodocianemu przestępcy, z powrotem spakować tyłek do środka.

Junior popędził przez jezdnię. Zmieniło się światło i musiałem czekać, aż przejedzie sznur samochodów. Brałem po dwa stopnie naraz. Drzwi do mieszkania Frankela były uchylone, a obok stał Junior oparty o ścianę. Udawał, że poleruje paznokcie o sweter Lakersów. Z ust zwisał mu wytrych. Chwyliłem go za rękę i zaciągnąłem na dół. Przez całą drogę narzekał i przeklinał. Otworzyłem drzwi od strony pasażera i bez ceregieli wrzuciłem go na siedzenie.

Spojrzał na mnie nadąsany.

— Chciałem pomóc.

Rzuciłem mu kluczyki.

— Uważaj na ulicę i trąb, jak go zobaczysz.

Z dwusekundowym opóźnieniem jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech.

— W porzo, Wielki Brachu.

Zostawiłem go z rapem na ustach, wróciłem przez jezdnię i wszedłem po schodach, teraz o wiele ostrożniej. Kiedy pchnąłem drzwi o kilka centymetrów, zawiasy wydały odgłos typowy dla horrorów. Widoczny fragment podłogi wyglądał w miarę pusto. Wysepka pościeli na materacu. Bez ramy. Budzik na pudełku po butach, przekręcony na bok. Zaciągnięte zasłony utrzymywały mroczną i duszną atmosferę. Przycisnąłem bark do drzwi, poszerzając pole widzenia o kilka stopni. Oczywiście cały budżet na umeblowanie poszedł na wielkoekranowy telewizor i stosowny fotel z funkcjami — rdzawoczerwony, z uchwytem na pilota i otworem na kubek w pluszowym podłokietniku.

Krótki bieg, włos wyrwany ze szczotki albo grzebienia i z powrotem w drogę. Wsunąłem się do środka, wciągnąłem w nozdrza odór kurzu z

zasłon zmieszany z wonią wadliwej kanalizacji. Drzwi za sobą zostawiłem uchylone, aby żadne bariery nie utrudniały mi szybkiego odwrotu.

Pomimo skromnych rozmiarów i spleśniałego zapachu mieszkanie było utrzymane w porządku — kartony złożone w kącie, dywan bez paprochów, blat wyszorowany do czysta. Kapanie w zlewie było tak głośne, że doprowadzało do szału.

Na podłodze, za materacem, otwartymi stronami do dołu, leżał egzemplarz *Prawa Chainera*. Z bijącym sercem wpatrywałem się w znajomą okładkę, we własne nazwisko wydrukowane jaskrawoczerwoną czcionką. Po tych wszystkich poszukiwaniach i grzebaniu się w końcu jakiś konkret łączący mnie z Mortonem Frankelem. Podniosłem książkę, szukając zaznaczonych stron. Z książki wypadł paragon i sfrunął na podłogę. Podniosłem go. *Prawo Chainera*, \$7.99 plus podatek. Data zakupu? Dzisiaj.

Rozpoznał mnie wczoraj i zaczął zbierać dane na mój temat. A może te studia już trwały i wskazywały, że odbiło mu na moim punkcie? Stałem, gwałcąc wszelkie prawa obywatelskie do prywatności, o które w bardziej dogodnych czasach tak szumnie walczyłem, i musiałem odpowiedzieć sobie, czy robię postępy, czy tylko trafiam na kłody, które sam sobie rzucam pod nogi — zasada nieoznaczoności Heisenberga w układaniu fabuły. Zatraciłem się we własnej historii, objąłem się o ściany labiryntu własnego śledztwa.

Odkładając książkę na miejsce, nie raczyłem siebie upomnieć, aby przestać. Po co? I tak nigdy nie słucham.

Krótki korytarz, złamany szafą na płaszcze i metalowym kufierkiem, prowadził do łazienki. Nie zapalając światła, pracowałem ostrożnie, ale zdecydowanie. Pary butów pod przeciwległą ścianą, ustawione niemal dekoracyjnie. Stosowne płótno olejne przedstawiające gospodarstwo

wiejskie w snopie fioletowego światła. Kilka metalowych wieszaków, pogiętych i utkanych w torbie na zakupy pełniące rolę kosza na śmieci. Kufer blokował korytarz. Smugi kurzu wskazywały, że ostatnio go przesuwano. Zatrzymałem się nad nim. Przyjrzałem się potężnej kłódce zwi-sającej na ryglu. Może Frankel wyciągnął go po wizycie Kadena i Delveckio zeszłej nocy, upomnienie, by pozbyć się tego, co było zamknięte w środku.

Kropla potu spłynęła mi po żebrach, zanim wsiąkła w koszulę.

Przykucnąłem i chwyciłem kufer, który przechylił się pod moim naporem, a jego zawartość przesunęła się ze stukotem. Idiotycznie pocią-gnąłem za kłódkę i poszedłem do łazienki. Potrząsnąłem zasłonką od prysznicza na kółkach, żeby upewnić się, że jestem sam. Apteczka z lu-strem skrywała szczoteczkę do zębów sterczącą krzywo z kubka do kawy. W szufladzie pod zlewem zagrzechotała sterta nożyków do golenia, eg-zemplarz „Hustlera”, zapasowa kostka mydła i, gdzieś daleko w tyle, żarówiasto zielony grzebień.

Wyjąłem grzebień i uniosłem go pod światło. Ani jednego włosa. Sprawdziłem szufladę, potem zlew. Nic — z wyjątkiem plam zaschnięte-go mydła i pasty do zębów.

Moją uwagę ściągnęło coś kolorowego, co zauważyłem kątem oka. Odwróciłem się milimetr po milimetrze, niczym zwierzę pod okiem dra-pieżcy, świadome, że szybki ruch będzie zauważalny.

Tuż za drzwiami, w korytarzu, leżał kartonik z zapalkami. Na okładce były czaszka i piszczele.

Zaschło mi w ustach. To niemożliwe, żebym przeszedł nad zapalkami i ich nie zauważył. Chociaż byłem skupiony na szufladach, szafce, obie-cującym grzebieniu.

Poruszałem się w nieomal boleśnie powolnym tempie, starając się, żeby moje buty nie zapiszczały o linoleum. Zrobiłem krok naprzód,

ukląkłem. Podniosłem kartonik z podłogi i rozłożyłem go.

## NADAL WIDZĘ.

Łupnięcie po mojej prawej stronie i oślepiający cios powalił mnie na podłogę. Sekundy ciągnęły się, ostry ból nadawał wszystkiemu intensywną klarowność. Deski podłogi, obryzgane moją śliną. Przed lewym okiem zamajaczył mi ogromny długopis i potoczył do normalnej perspektywy. But roboczy, zawiązany luźno na twardym, skórzanym języku.

Pozostał mi jedyny instynkt — nie dać się złapać na leżąco.

Ledwo zarejestrowałem drewno rozgniatające mi policzek, kiedy zerwałem się, jakbym odbił się od podłogi, i wyprostowałem się; desperacko chciałem na czymś zaczepić rozbiegane oczy pomimo ruchu i pulsovania w głowie. Wtedy usłyszałem ciche i krótkie parsknięcie i w zasięg mojego wzroku wszedł Morton Frankel, otwierając składany nóż i pozwalając, aby mechanizm sprężynowy go zablokował. Za nim znajdowały się otwarte drzwi szafy.

Zaatakowałem bez wahania. Nie potrzeba odwagi, kiedy zaznajomiłeś się z samozniszczeniem. Kiedy już wypompowano ci z żołądka litr tequili, nie spodziewasz się, że Bóg, los albo ty sam zatroszczysz się o własne przetrwanie. Nie była to więc odwaga, niezupełnie. Raczej dostosowanie oczekiwań do pakietu gwarancyjnego.

Z szerokim zamachem uderzyłem w dłoń z nożem i skierowałem głowę w nos Frankela. Nie trafiłem, ale zahaczyłem o brodę, a wtedy on wykonał obrót i dźgnął mnie nożem w bok. Chwyciłem go niezdarnie za nadgarstek i upadliśmy. Nie było bezpośrednich uderzeń, żadnego czystego kung-fu, jedynie odbite ciosy, chwytły i prawie natychmiastowe

wyczerpanie. W ciasnym wnętrzu kopaliśmy się nawzajem, walcząc o pozycję, chodziliśmy po ścianach w rozmyślnie zwolnionym tempie, gdy nasze ubrania skręcały się, a oddech stawał się szorstki. Stopniowo zdobywał nade mną przewagę; uderzył mnie kolaniem w bok, napał na mnie i przekręcił spocony przegub w mojej dłoni, próbując uwolnić rękę z nożem. Nasze twarze były tak blisko, że mogliśmy się całować, kropla potu groziła, że skapnie z czubka jego nosa, jego obnażone zęby groteskowe w zbliżeniu. Ostry zapach jego skóry — fabryczny pył i chemiczne mydło — wypełnił wąski korytarz. Przycisnął mi ramieniem nos, uwalniając rękę z nożem. Wymachując nogą, natrafiłem na kufer, wepchnąłem go w ścianę, aby uzyskać podparcie, i napałem, przewracając się na brzuch i jednocześnie próbując zabrać za sobą jego rękę.

Frankel uwolnił rękę z nożem.

Leżałem na brzuchu, Frankel siedział mi okrakiem na plecach z wolnymi obydwoma rękami i nożem poza zasięgiem mojego wzroku. Zmagalem się na podłodze, ale byłem przyszpilony, więc poderwałem się, aby go zrzucić. Każdy moment bez asekuracji przeciągał się niemożliwie.

Frankel zapał się kolaniem o ścianę i przygniótł mnie całym ciężarem. Ostry chwyt powietrza i świst materiału, kiedy zamachnął się ręką, aby zadać cios z góry.

Mój zagubiony długopis wirował na podłodze niczym w letargu. Rzuciłem się, naciągnąłem, już miałem go pod palcami. Plastikowego bica zamknąłem w pięści jak w imadle, obróciłem się i wbiłem piszącą końcówkę w zewnętrzną stronę uda Frankela. Zasyczał, pęd naszego obrotu przesunął trajektorię jego ciosu i ostrze noża trafiło w kartonową ścianę, uwalniając z niej chmurę suchego tynku. Nasadą dłoni wyprowadziłem cios na północ, rozbijając mu nos, a ból zmusił go do dźwignięcia się na



zgiętych nogach. Uwalniając się, zahaczyłem o jego stopę i podciąłem go, aż usiadł na tyłku. Rakami, pozbawionymi dopływu krwi od nacisku, chwycił się za udo w pobliżu wbitego długopisu. Gdy szkarłatna plama rozlewała się po jego białym drelichu, pochyliłem się, chwyciłem garść jego włosów i szarpnąłem.

Pobiegłem; słyszałem jeszcze, jak drapał paznokciami w ścianę, usiłując się podnieść. Rzuciłem się na drzwi, otwierając je barkiem, i runąłem ze schodów. Junior i Xena wypełniali okna highlandera; z odległości dwóch pasów jezdni widziałem białka ich oczu. Gdy wymijałem samochody, Junior zapalił silnik i szeroko otworzył drzwi z mojej strony. Mocno zaciskałem prawą rękę, żeby nie zgubić sterczących z niej włosów. Wpadłem na siedzenie kierowcy i wyrwałem do przodu, a drzwi same się zatrzęsęły, gdy highlander skoczył przed siebie.

Morton Frankel stał pod daszkiem na pierwszym piętrze, czerwonymi dłońmi niczym szponami trzymając się barierki, i obserwował nas.

Lloyd zasłonił ciałem szparę w drzwiach, jakby bał się, że wepchnę się do środka. Jakiś nudziarz w laboratorium poinformował mnie, że Lloyd pojechał dzisiaj do domu wcześniej, więc popędziłem tutaj, zostawiwszy na chodniku przed Hope House podekscytowanego Juniora. Xena, drzemiąca na tylnym siedzeniu, przeżyje kolejny dzień w Casa de Danner. Lloyd beznamiętnie wysłuchał mojej relacji, nie ustępując ze swojego posterunku.

— Drew, nie mogę ci więcej pomagać.

— To jest to, Lloyd. Wszystko się układa w jedną całość. — Uniosłem plastikową torebkę, żeby mógł zobaczyć wszystkie sześć włosów Mortona Frankela sprasowane w środku. Cztery z nich miało śliczne mieszki włosowe, z punkcikami ciała przymocowanymi do korzenia, trofea z DNA.

— Twoja wczorajsza wizyta w laboratorium była ryzykowna, ale wiadomość o tym już się rozeszła. Dzisiaj rano sam Henderson czekał na mnie przy moim stanowisku. Nie mogę stracić pracy, ubezpieczenia... — Głos mu się rwał. — Drew, nie jest z nią dobrze. Dlatego jestem w domu.

— Przykro mi.

Spoglądał na mnie.

— Mnie też jest przykro, ale nie mogę ci pomóc. Sam tutaj ledwo się utrzymuję.

— Dokąd jeszcze mogę iść?

— Przeprowadź to oficjalnymi kanałami.

— Obaj wiemy, że jak to zrobię, to skończę w więzieniu.

— Niech ktoś spojrzy na te mieszki.

— To nie załatwi testu DNA.

— Uzyskałeś je w sposób niezgodny z prawem. Włamałeś się do mieszkania. To nielegalne i... nieetyczne. Przekroczyłeś granicę, Drew. To nie moja wina, że nie możesz znaleźć nikogo, kto by chciał powędrować z tobą.

— Facet mnie wrobił. Wie, kim jestem. Gdzie mieszkam. A to znaczy, że przyjdzie po mnie. Lloyd, wpadłem w pułapkę.

— A ja nie? Wróciłem pędem do domu, bo Janice dostała krwotoku z nosa, którego nie można było zatamować. Minęło czterdzieści minut, zanim zwiększyliśmy liczbę płytek krwi. — Spuścił wzrok, nie chcąc patrzeć mi w twarz. — Przepraszam, Drew, ale Janice i ja musimy martwić się o siebie.

Drzwi zaskrzypiały i zamknęły się. Zostałem na zewnątrz z sześcioma włosami i słuchałem oddalających się kroków.

— Wiesz, co się dzieje, kiedy ktoś walnie cię w twarz? Boli. To wszystko. Żadnych białych plam przed oczyma. Żadnych oślepiających błysków. Tylko cholerny ból.

Chic dezynfekował moje opuchnięte oko patyczkiem z watą umoczoną w spirytusie.

— I w przeciwieństwie do draśnięć kulą barków i pięknych śliwek pod oczyma u Dereka Chainera, to będzie bolało dłużej niż przez jeden rozdział.

— Pewno, na to też się wkurzałem. — Prawe oko pulsowało, jakby ktoś

wcisnął w nie fajerkę. Moje odbicie w łazienkowym lustrze nie należało do ładnych. Skóra wokół oka zrobiła się żółta jak pergamin i fakturą przypominała papier. Pozrywane naczynia sterczały z powiek jak węże z głowy Meduzy. Ciemny półksiężyc na skroni, w miejscu, gdzie pękła skóra, połyskiwał złowrogo.

Przez podłogę poczuliśmy nadejście Big Brontella, zszedł na dół po swój sprzęt.

— Co tu porabia kandydat na prezydenta? — zawołał.

— Głównie jęczy — odparł Chic.

Wszedł Big Brontell z apteczką niczym podróżnym zestawem do szycia w potężnych dłoniach. Z liczego grona braci Chica najbardziej spełniony zawodowo, był pielęgniarzem na oddziale opieki doraźnej w Cedars-Sinai Hospital i większość czasu spędzał, reperując bractwo po motokrosowych kraksach, wstrząsach elektrycznych albo enigmatycznych zatargach. Wyglądał jak Chic, tylko w wersji 5XL.

Przybycie Chica z Big Brontellem przerwało wściekłą sesję pisania, kiedy to słowa tryskały ze mnie, jakby mije dyktowano, a nie jakbym wymyślał je sam. Prawie zapomniałem, że w drodze powrotnej od Lloyda zadzwoniłem do nich o pomoc. Kiedy rozległ się dzwonek w drzwiach, przestraszyłem się, spodziewając się, że to Morti z rzeźnickim nożem i końskim uśmiechem. Otworzyłem drzwi z bronią w ręku, a Big Brontell parsknął śmiechem i powiedział:

— Jak ci się to podoba jako charakterystyka rasy?

Włosy Frankela, zabezpieczone w torebce, spoczywały na blacie kuchennym obok zlewu. Były zdobyte z trudem, więc nie zamierzałem trać ich z oczu — to moja paranoiczna procedura zabezpieczenia dowodów. Tropicieł długów w rodzinnych sklepikach od Chica nie odkrył żadnych nowych powiązań sprawy z Delveckio, Calem Ungerem czy też

Billem Kadenem, którego dorzucił za darmo. A miał jeszcze poszukać czegoś specjalnego na temat Frankela, więc te włosy, jak na razie, były wszystkim, co miałem.

Gdy Big Brontell zaczął zszywać mnie z zadziwiającą gracją i troską, ja nie spuszczałem wzroku z tych sześciu brązowych włosów, szukając jednocześnie rozwiązań, opcji, nowych wątków.

— Dlaczego nie możecie mieć braci, którzy są przestępcami?

— Mamy wielu, którzy są przestępcami.

Skończył, a ja im podziękowałem i odprowadziłem ich na dół. W drzwiach Chic położył mi ręce na ramionach i pochylił się do przodu tak, że nasze czoła niemal się spotkały.

— Trzymaj tę spluwę w pogotowiu i dzwoń, jak będę ci potrzebny, słyszysz?

— Słyszę.

— Brodzisz w niebezpiecznej wodzie, Drew-Drew. Może dla odmiany trochę byś zwolnił, popłyniesz z prądem.

— Gdybym mógł tylko jeden z tych włosów dać zbadać pod kątem DNA, wtedy chyba zamknąłbym całą sprawę.

Chic uśmiechnął się ze zrozumieniem. Rzadko mówiłem coś, co go dziwiło. Ruchem głowy wskazał zachodzące słońce, czyli moje prawe oko.

— Ino pamiętaj — powiedział — to całe twoje myślenie zaprowadziło ciebie tutaj.

Po wyjściu Chica i Big Brontella, pisanie mi nie szło, bo nie wiedziałem, co pisać. Siedziałem przy biurku i gapiłem się w migający kursor, zafrapowany własną rzeczywistością.

Nikt nie zostanie wpuszczony do teatru podczas długiej sekwencji, kiedy autor dywaguje.

Sześć włosów gotowych do testów DNA, w grę wchodziła sprawa o morderstwo – może o dwa – i żadnego przestępcy na widoku. Sposób, w jaki <sup>zdo</sup>na byłem te włosy – włamując się i wchodząc, napadając i bijąc – kompromitowały mnie i narażały na aresztowanie, oskarżenie i ponowne zakwalifikowanie jako psychopate. Wbijając mu długopis w udo, raczej nie mogłem powoływać się na samoobronę, skoro sam byłem odpowiedzialny za sytuację, w której – będąc w stanie umiarkowanego wzburzenia – Mort mógł mnie zastrzelić zgodnie z literą prawa. Lloyd, pogrążony we własnej, rodzinnej tragedii, nie chciał pomóc. Cał postawił sprawę jasno: dłużej nie

może weszyc w moim imieniu. Kaden i Del-  
veckio nie <sup>przepadali za mnie</sup> lubili mnie już wcześniej, zanim  
zignorowałem ich ostatnią serię ostrzeżeń  
i odegrałem rolę niekompetentnego złodzie-  
ja włosów, i napawali się perspektywą pono-  
wnego założenia na moje nadgarstki tych  
czarnych, stalowych bransoletek. <sup>Wymyśl coś innego! Daj włos</sup>

Przeszukałem na palmtopie listę konsul-  
tantów w nadziei, że może kogoś przeoczy-  
łem. Jeśli tak, to jak miałbym przedstawić  
problem? „Wyrwałem parę włosów podejrza-  
nemu o morderstwo i proszę o ich zbadanie.  
Aha, tu mówi Andrew Danner. Może pamięta  
mnie pan z gazet”.

Myśli o Caroline sprawiały, że nie czułem  
się samotny. Przypomniałem sobie, jak wczor-  
raj wieczorem, kiedy ją odprowadzałem,  
przelotnie wzięła mnie za rękę, jakby na  
próbę. Współczesne filmy i billboardy glo-  
ryfikowały nierozsądne standardy piękna,  
ale istniała cienka linia między perfekcją  
a nijakością. Jeśli chodzi o wygląd, tak sa-  
mo jak osobowość, zdecydowanie wybieram to,  
co różni się od standardów.

Nad doliną zaległa wieczorna mgła, zamie-  
niając północne wzgórza w sińce. Ściemniało  
się szybko, słońce zagubiło się już za Santa  
Susanas. Położyłem rękę na twardej kolbie  
naładowanej dwudziestkidwójki, szukając  
wsparcia. Obiecałem zawieźć pistolet do  
Centrum Parkera, ale teraz moje podbite oko  
wywoła więcej pytań, niż mogłem odpowie-

do zbadania w inny sposób.

Jesteś  
pisarzem.  
Masz  
utalen-  
towanych  
przyjaciół,  
dziwnych  
ekspertów,  
których  
spotkałeś po  
drodze. Daj  
laboratorium.  
Zadzwoń do nauczyciela biologii, który przekaże je do  
laboratorium  
kryminalis-  
tyki w Lice-  
um dla  
Zepsutych  
Bochorów.  
Coś w tym  
stylu.

Jackie  
Collins  
dzwoniła.  
Chce  
z powrotem  
swoje zdanie.  
Racja,  
a Grecy  
rzeźbili  
papierosa  
przeciętnych  
Atefczyków.

dzień. Do tego, w świetle mojego tanga z Mortem na korytarzu, w życiu nie mogłem pozostać nieuzbrojony. Może właśnie teraz leżał gdzieś na brzuchu ukryty wśród bluszczu porastającego wzgórze i gapił się na mnie tym diabolicznym wzrokiem, czekając na otwarcie.

W holu Xena chrapała czujnie, odpracowując parówki, które jej wcześniej usmażyłem.

Zadzwoiła komórka, miły przerywnik, a kiedy ją otworzyłem, usłyszałem głos Prestona. Wcześniej nagrałem mu wiadomość, streszczając najświeższe wydarzenia.

– Co się dzieje? – zapytał energicznie.

– Nie wiem.

– Czytaj.

– Utknąłem. Możesz mi pomóc?

– Pewnie. Już jadę.

– Nie wiem tylko, czy jestem w nastroju na twoje redakcyjne uwagi.

– ~~Może nie jesteś w nastroju – powiedział – ale najwyraźniej Lees-on już się rozłączył.~~ Możesz mi pomóc? tego potrzebujesz.

Kursor nadal do mnie migał, czekając na następny ruch.

– Opowiedz mi o tym – powiedziałem. Możesz mi pomóc? Twój następny ruch, skoro szukasz wyjaśnień, nie jest niejasny: musisz oddać do analizy nielegalnie zdobyte włosy tego potrzebujesz. Oto twoje zadanie jako zaszczutego protagonisty: jak możesz mu sprząść w sposób nietypowy dla ciebie? W sposób, który zdradzi, kim jesteś, lub lepiej, w sposób, w który tylko ty potrafisz?

Przeniosłem wzrok znad stron poznaczonych czerwonymi uwagami Prestona na jego twarz.

– Liceum dla Zepsutych Bachorów?

– Chciałem napisać Harvard-Westlake, ale ta nazwa wyleciała mi z głowy. – Opróżnił szklanekę i odstawił ją, uzupełniając swoją prywatną kolekcję na mojej ławie. Teraz, kiedy zapoznałem się z atmosferą jego



mieszkania, wiedziałem, dlaczego wpadał do mnie przy lada okazji. Przeciągając się, wstał z kanapy, najwyraźniej nie zwracając uwagi na pęknięcie materiału wyściełającego, które przyczepiły mu się do spodni. Ściszył wieczorne wiadomości, na szczęście tym razem nie-dotyczące mojej osoby, i pozbił sterty swoich przeróżnych papierów.

Zatrzymał się obok mnie w drodze do wyjścia i powiedział zaczepnie:

- Poprawiam cię ostro, bo naprawdę mi zależy.
- Mógłbym ogrzać dłonie przy twoim uczuciu.
- Zadzwoń, jeżeli będziesz potrzebował dalszej pomocy.
- Dalszej?
- Oczywiście. „Dalszej” w znaczeniu „jeszcze w przyszłości”.
- Nieważne.

Znikł z pokoju, zostawiając butelkę Havana Club, której, opróżnionej co do kropli, nie było sensu dalej ukrywać. Zapadłem się w fotelu, który jako jedyny uszedł złości Xeny, i oparłem nogi o puf. Sygnał wiadomości ustąpił reklamówce „Hierarchii służbowej” — upragnionemu, piętnastosekundowemu spotowi, którego odmówił mi mój wydawca, zanim oskarżono mnie o morderstwo. Marketing postanowił wykorzystać niepokojącą popularność mojej twarzy, która wyrażała coś między złością a zatwardzeniem.

Następnie, w myśl jakiejś przedziwnej, karmicznej logiki, znajomy rytm tytułowej sekwencji *Wojny Aideny*. Oto Johnny Ordean chwytając uliczkę, potem uchyla się przed sierpowym zadaniem przez niedorobionego Araba. Johnny, z pozoru o wiele szczuplejszy niż w roli wielebnego Dereka Chainera, zatrzymał się w teleobiektywie, jak czynił co tydzień albo co wieczór, jeżeli miałeś cyfrowkę.

Przypomniała mi się scena, na którą trafiłem, kiedy byłem w barze z Caroline — Johnny kucający przy ciebie ogląda łuskę, którą nadział na spinacz. ZABIERZCIE TO SZYBKO DO LABORATORIUM. ŁUSKĘ, NIE HOT DOGA.

Przewertowałem kartki i znalazłem ostatnią notatkę Prestona. Potem wyciągnąłem z kieszeni telefon komórkowy i wybrałem numer.

Poprzez pulsujący rytm klubowej muzyki słysząc było męski głos z silnym brooklińskim akcentem:

— Telefon Johnny'ego Ordeana.

Od kiedy *Prawo Aideny* wyprodukowało dosyć epizodów do kolekcji DVD, Johnny przyjął manierę nieosiągalności, izolując się od innych dziewięciowarstwowym szpalerem świty.

— To dziwne — powiedziałem — ale dzwonię do Johnny'ego. Tu Drew Danner.

— Andrew Danner? Ten...?

— Morderca — dodałem. — Pewnie. To ja.

Ożywione krzyki, potem głos Johnny'ego, chropowaty i głośny:

— Drew? To ty? Szalone czasy, brachu. Szalone. Zabiłeś tę łuskę?

— Dwa razy.

— Drastycznie. — Johnny ochoczo podebrał negatywny slang panujący się co sezon po LA niczym karmazynowy przypływ.

— Jak leci?

— W dechę. Show idzie pełną parą. W przyszłym roku robimy drugą serię.

— *Prawo Aideny w Omaha*?

— Bardzo śmieszne, brachu. Będzie się nazywać *Reguła Mary*, a siostra...

— Słuchaj, potrzebuję pomocy. Nadal zatrudniacie kryminologów do konsultacji?

- Tak, jest paru.
- Mam włos, który trzeba zbadać w laboratorium. Może udowodnić, że jestem niewinny. — Oczywiście, nie mógł nic takiego udowodnić, ale próbowałem poddawać mu kwestie, na które był przyzwyczajony odpowiadać. — Muszę się dowiedzieć, do kogo należy.
- Jako poszlakę? — wyraźne podniecenie w głosie.
- Tak, Johnny. Jako poszlakę. Czy któryś z tych ludzi może to zrobić?
- Pewnie, dam im go i powiem, że muszę zobaczyć, jak to funkcjonuje pod kątem epizodu, nad którym pracuję. Uwielbiają oprowadzać mnie po laboratorium. Na kiedy to potrzebujesz?
- Na wczoraj. Trudno mi opisać, jakie to ważne.
- Przynieś ten włos do Flux. To zamknięte przyjęcie, ale wpiszę cię na listę. Zadzwoń do jednego z konsultantów i każe mu zbadać włos dzisiaj.
- Możesz to zrobić? Dzisiaj?
- Jestem Johnny Ordean. Mogę wszystko.

Flux to hollywoodzki klub z tych mniejszych i bardziej trendy, z wheatgrass martini, bambusowymi ścianami i łomotliwym beatem DJ'a idealnym dla tych podrygujących na ecstazy drobnych płotek przemysłu filmowego i stałych bywalców. Zapłaciłem dwadzieścia dolców za miejsce na parkingu w sam raz dla kosiarki do trawników i udałem się *per pedes* Bulwarem Zachodzącego Słońca.

Pod każdą wycieraczką na przedniej szybie błyszcząca pocztówka wychwalająca zły teatr. Na każdym rogu kobieta przytupująca na chłodzie nogami w botkach. Nawet o tej porze ludzie wysypywali się z sal gimnastycznych, gdzie niedoszli literaci i trzecioplanowi aktorzy symulowali porządną robotę. A ciała mieli tak wyrzeźbione i ukształtowane, jakby należeli do innego gatunku, ciała, które mają do dyspozycji nieskończony czas, żeby zrobić dodatkowych sześć serii z dziesięciu na wyciągu linowym, które formują wewnętrzny segment tricepsa albo zewnętrzną warstwę czworogłowego. Kiedyś też miałem takie mięśnie, pomniejszy model zbudowany dla podobnych potrzeb, zanim chęć i ciało uległy zbyt wielkiemu znużeniu, aby nadążyć. Chłonąc noc, szedłem przed siebie, ja

pozostałości dawnej osoby, której nigdy w pełni nie zamieszkiwałem. Ostra woń dezodorantu, iPody w cukierkowatych kolorach przypięte paskami do połyskujących ramion, przesadne opary potu unoszące się z przegrzanych termoaktywnych koszulek „Dri-Fit” jak na filmach rysunkowych.

Aksamitne sznury, które w innych, bardziej rozsądnych miastach, są zarezerwowane dla muzeów i teatrów muzycznych, wyrastały na chodnikach niczym futurystyczna roślinność. Pod wymagowanymi ścianami, przed bramkarzami, zgromadziły się lisice „z lumpeksu” i sztucznie odchowani twardziele. Wszyscy są w jakichś kostiumach, wszyscy przebrani; to całoroczny Halloween. Warkoczyki w stylu Pearl Jam, modne, obcisłe czapeczki, wymęczone twarze i džinsowe kamizelki wycięte w taki sposób, aby odsłaniały jak najwięcej tatuaży na ramionach. Jakaś dziewczyna, zupełnie bez powodu, ma na głowie kapelusz Gatsby'ego i szeroki krawat znikający w kamizelce z lat dwudziestych. Nawet strażacy, człapiący w kolejce, są odświętnie wyszykowani, a ich T-shirty informują o rodzimych remizach; są też modele chętni pozować do kalendarzy z zapuszczonymi blond włosami, obowiązkowo wystającymi spod naciąganych nisko na czoło czapek. To wszystko są dzieci, a jednocześnie dorośli. Wysypują się z volkswagenów jetta i lincolnów navigatorów, czasami z lotusa. Całą zgrają przechodzą przez jezdnię, niczym wilki, popijając vitawater i paląc american spirits, szwargoląc przez komórki z indywidualnie dobranymi dzwoneczkami, w noc rozświetloną psychodeliczną tęczą ekranów LED — róż waty cukrowej, błękit muszli klozetowej, zieleń horroru.

Los Angeles to miasto twarzy, które się pamięta. Nawet aktorzy wcielający się w nieatrakcyjne postacie mają to coś, ten charakterystyczny rys. Inni też zapadają w pamięć. Wszyscy chybieni o mały włos. Wszystkim brakuje tego ekstra czegoś, co wyniosłoby ich, co znaczyłoby, że nie

są tutaj, w tym miejscu z tymi ludźmi, z tobą i mną. Odważna dziewczyna w czapce White Sox, z zaawansowaną przeróbką nosa, ale nie najlepiej dobraną. Zapaśnik, który wygrał konkurs na najładniejszy uśmiech w Wichita High. Zastępowa cheerleaderek, która w Short Hills najlepiej robiła loda na tylnym siedzeniu. Nadciągają niczym pionierzy, odsłaniając kaloryfery brzucha, talie rozmiar dwadzieścia dwa i jeszcze co nieco, poszukiwacze prefabrykowanej chwały bez talentu na Broadway albo jaj, by iść na służbę. Los Angeles to skraj amerykańskiego marzenia, najdalej, jak mogą doprowadzić cię twoje nadzieje, zanim wpadniesz do Pacyfiku, Ikar bez nadmuchiowanych skrzydełek. A mimo to nadciągają. Zjawiają się i tłoczą na krawędzi klifów, jak pingwiny nad niebezpiecznymi wodami.

Los Angeles ich pożre. Zepchnie w niekonsekwentność, rozgniecie na miążgę i rozsmaruje po zapomnianych zaułkach miasta. Będą odcinać kupony i chodzić na imprezy, żeby zaoszczędzić pieniądze na drinkach, będą przemieszkiwać w dojō i Coffee Beans podczas godzin pracy — firmy w słonecznym LA kwitną, rekrutując klientelę z bezrobotnych, którzy nie zapełniają pustych godzin przesłuchań — i wyczyszczą strony internetowe z ofert pracy na nocną zmianę, które nie istnieją. Dostaną jakąś fuchę jako trenerzy, kelnerzy i dziewczyny do wzięcia, a ich przyjaciele będą szeptać: „To świetnie, to świetnie”. Staną się przedsiębiorcami trzeciego sortu i będą produkować torebki z bambusa, projektować biżuterię w Reseda, reklamować niebieską wódkę w studenckich barach. Muszą mieć wolne dni na castingi, których jest coraz mniej, ale właśnie kiedy mają już stracić nadzieję, umieszczą Laurę w podrzędnej inscenizacji *Szklanej menażerii*, a pośpiech i obietnice podtrzymają niedochodowe zatrudnienie na kolejne kilka lat. A potem, jeżeli nie zmądrzeją i

nie wycofają się do Billings albo Sioux City, ktoś zaproponuje im odrobinę eskapizmu albo film z gołymi zdjęciami — nie porno, ale wyrafinowaną erotykę — i tak zacznie się następna spirala ku dołowi. A nowe mięso dowiozą całymi autobusami. Wylewają się z lotniska, dojeżdżają autostradami i drepczą do tej rzeźni, wołki wyszykowane do złożenia w ofierze.

Dobrnąłem do Flux i przedarłem się przez zadymę napaleńców oblegających nieoznakowane podwójne drzwi. Nikt tu nie ma imienia. To wszystko są „foki” i „kolo”. Zdobywają pozycję w młynie, działając wspólnie, jak drapieżcy, z przyjaciółmi, których skwapliwie porzuca, gdy tylko zabukują swojego pierwszego pilota. Do bramkarza wołają po imieniu, które zdobyli w trakcie poszukiwań. Brat ich szefa zna barmana albo szef brata zna właściciela. Napierają i rosną w siłę, grzecznie, a dziewczę o piskliwym głosiku z listą gości w ręku udaje wzburzenie, ekstatycznie upajając się swoją władzą, laja tłum i rozdaje opaski na ręce, jakby karmiła szympansy w zoo. Kilka starszych kobiet, strojem i makijażem w niczym nie różniących się od prostytutek, wraz z wiekiem straciło dawną sukowatość; już ich nie stać na bezpośrednie współzawodnictwo. Zamiast tego mają inną strategię, słodkimi głosami wspierają carycę pracującą w drzwiach. „Biedactwo. Patrz, ona sama musi uporać się z całą kolejką. Idź, kochana. Powiedz im”. Jednak nie wzbudzają wystarczająco dużo sympatii, aby otrzymać przepustkę. Dziewczyna z listą zna ten typ, wie, że w innym życiu dmuchnęłyby jej dymem w twarz albo odrzuciły jej portretowe zdjęcie, gdyby pracowały nocami w agencji castingowej.

Kolejkowicze, skazani na czyściec kolejki przed klubem, klócą się, zaczepiają, łykają tabletki i rozprawiają głośno o precudownej karierze, udając, że nie ma ich tu, gdzie są: w ogonku, w chłodną hollywoodzką noc. Tu właśnie będą czekać, noc po nocy. Aż pewnego dnia Los wybierze

jakaś biedaczynę i wyniesie jak boginię na szczyt zigguratu, gdzie już nigdy nie zazna ni kordonów, ni kolejek i bramkarzy imieniem Ricky, a wszyscy inni przekonają się wtedy, że warto.

W głowie zabrzmiał mi głos Chica, niczym ostrzegawczy dzwon: „Zawsze łatwiej jest przejść czyjś inwentarz”.

Co mnie odróżniało? To, jak tu dotarłem? Gdzie skończyłem?

Krótsza trasa autobusem i większa plama na reputacji.

Co potem? Zazdrość? Myślałem, że wyrzekłem się tego razem z markowym burbonem. Zazdrość o co? O wesołość? Nadzieję? Młodość? Jak powiedział Chic, życie ciebie przegania. Według hollywoodzkich standardów byłem już stary. Miałem na koncie kilka sukcesów i dostęp do niektórych pokojów w mieście za zamkniętymi drzwiami — jako pisarz, jako podejrzany o morderstwo, czego niektórzy mogą zazdrościć — ale przehandlowałem to u brokera, aby wrócić na drugą stronę, w nieprzychylną noc, gdy odpowiedzi na wszystkie pytania nadal tkwiły we mnie. Sprzedałem to wszystko, aby po raz kolejny uwierzyć w mit.

Zamiast tego przyjechałem tu z włosom.

Przedarłem się przez tłum, który ustępował przed moją apatią. W środku, w rytm jakiegoś niemiłosiernego remiksu, jakiś młodziak śpiewał cover Boba Segera bez ładu i składu.

— Drew Danner — przedstawiłem się dziewczynie przy drzwiach. — Jestem umówiony z Johnnym Ordeanem.

Na dźwięk obu nazwisk aktywiści frontowej części motłochu zamarli, a dziewczyna opuściła listę do uda, czym udowodniła, że to tylko rekwizyt, i bez słowa odhaczyła ciemnobordowy powróż.

Kaszanka-rąbanka z Segera ustąpiła rytmowi umpa-umpa. Trójki podrygiwały nerwowo w świetłach wywołujących padaczkę. *I find me bitches left and right. I find me bitches every night.* Dziewczyny z produkcji ubrane w Chanel zrobiły kółko, zatracone w ruchu, mimochodem,



komicznie, potwierdzając tekst tej piosenki. Klub posiadał swego rodzaju magnetyczną energię, która emanowała z tylnego narożnika, gdzie faktycznie znalazłem Johnny'ego Ordeana i jego uprzywilejowaną facjatę. Jego kuzyn, dopasowując się do towarzystwa brakiem szyi, siedział wciśnięty w róg, paląc papierosy jeden po drugim.

Wysunął się zza stołu i wsunął na powrót. Johnny otoczył mnie ramieniem, uniósł brwi, zdumiony moim podbitym okiem, i ścisnął mnie za kark jak twarde z podstawówki. Odegrałem swoją rolę i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnąłem kopertę, po czym rzuciłem ją na stół, jak łapówkę. W środku znajdował się plastikowy woreczek z pojedynczym włosem Mortona Frankela. Pozostałe zachowałem na czarną godzinę.

Johnny zakręcił palcem w powietrzu, znak, że mamy się przejść, a jego kuzyn przesunął papierosa z jednego kącika ust w drugi i przycisnął komórkę do spoconego policzka.

— Szybko i cicho — powiedziałem.

Johnny ponownie ścisnął mnie za kark.

— I dziękuję.

— Oczywiście, brachu. Po co być gwiazdą, skoro nie można z tego skorzystać?

Pomyślałem sobie, że to dobre pytanie.

Siedziałem jak przekupka uliczna na moim małym, wynajętym kwadracie hollywoodzkiego asfaltu z dala od zgiełku i wybrałem numer w komórce.

— Chciałbym się z tobą zobaczyć — powiedziałem. — Jestem w okolicy.

— Ach, tak — odparła. — Słyszę jakieś swawole w tle.

Parkingowy spojrzał na mnie podejrzliwie, kiedy wyjechałem. Za dwadzieścia doliców powinienem obozować całą noc.

Okazało się, że Caroline mieszka w narożnikowym segmencie na piątym piętrze dopiero co wyremontowanego budynku na Crescent Heights. Po drodze potknąłem się o resztki jakiegoś rusztowania, jednak taktowny portier nie zauważył tego. Czekałem w świeżo wyłożonym dywanem holu, kiedy Caroline zajmowała się mnogością zasuw i rygli. Dwukrotnie sprawdzała mnie przez zasieki z łańcuchów, a potem drzwi znowu zamknęły się przede mną. Więcej metalicznego odhaczania i znaleźliśmy się twarzą w twarz.

Ostrożnie dotknęła mojej prawej skroni, tuż za szwami.

— Przykładałeś lód?

Kilka minut później siedziałem na pluszowej sofie, ona na sąsiedniej

ławie i przykładała mi do oka paczkę z mrożoną kukurydzą. Opisałem jej naturę mojego sporu z Mortem. Ku mojemu zaskoczeniu, nie złążała mnie za udział Juniora, ale w końcu знаła go lepiej niż ja i, zważywszy na jej profesję, prawdopodobnie zastosowała przekonującą doktrynę usprawiedliwienia bez względu na wiek.

Krawędź worka zahaczyła o szew, aż wykrzywiłem się z bólu. Poprawiając worek, pochyliła się do przodu i wtedy nasze twarze znalazły się blisko, w powietrzu chłodnym od mrozonek. Delikatnie odgarnęła mi włosy z czoła i lekko rozchyliła wargi, nie spuszczać wzroku z moich ust. Odsunąłem worek, ale ona podniosła się gwałtownie ze słowami:

— Co my tu robimy, Drew? To znaczy, dlaczego lubisz ze mną przebywać?

— Bo masz ufną naturę?

— Mówię poważnie.

Położyłem worek na kolanie.

— Ponieważ są to jedyne chwile, kiedy nie chcę być gdzie indziej.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego podniosła palec i odeszła pospiesznie korytarzem, a potem usłyszałem zamykanie drzwi i odgłos wymiotowania. Przez moment leciała woda z kranu; słychać było szcztokowanie zębów i płukanie ust. Wkrótce wróciła, z zaczerwienioną twarzą, unikając mojego spojrzenia.

— Jak ciebie pocałuję — zapytałem — to nie eksploduje ci głowa?

Odpowiedziała z niedowierzaniem:

— Jeszcze masz ochotę mnie całować?

— Mam. Poza tym chcę obudzić się rano obok ciebie. — Podniosłem obie ręce. — Dzisiaj, za rok, kiedykolwiek. Daję ci tylko znać, że cię znaję...

— Chodź — powiedziała. Trzęsła się. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni, a potem zgasiła światło i zdjęła spodnie od dresu. Po całowała mnie nerwowo, zbyt mocno i dodała: — Weź kondom. Jest w szufladzie. — I kiedy mocowałem się z własnym ubraniem, przyciągnęła mnie do siebie. Chciałem podnieść jej bluzę, ale chwyciła mnie za przegub, mocno i powiedziała: — Nie chcę jej zdejmować. — a potem poprowadziła moje ramiona i odwracała głowę, na zasadzie „miejmy już to za sobą”.

Cały czas myślałem, że jestem pod złym kątem albo że źle się ustawiłem, kiedy uderzyło mnie, że Caroline jest spięta, że w panice zamknęła ciało, aż zupełnie nie było wejścia. Zmienialiśmy co rusz pozycję, aż w końcu zaśmiała się i stwierdziła cierpko:

— Hej, to ty chciałeś. — I przekreśliła się na brzuch.

Jej ramionami wstrząsnął spazm i zrozumiałem, że płacze.

— Nie płaczę — powiedziała.

Leżałem w ciemnościach obok niej, chcąc jej dotknąć, ale nie byłem pewien, czy to właściwa decyzja.

— Jak na mnie, szło to trochę za szybko — wyznałem. — Na pewno czułaś to samo.

Leżała na brzuchu, pod kątem, odwrócona ode mnie, z głową ukrytą między ramionami. Odezwała się szorstkim i niepewnym, ale łagodnym głosem:

— Tylko zatrzaśnij za sobą drzwi, dobrze?

— Jak się czujesz?

— Filozoficznie.

— To nie uczucie.

— Och, wspaniale. To gra.

— Daj spokój — powiedziałem.

Milczała długo, aż się odezwała:

— Przepraszam. To rozsądne pytanie. Nie wiem, czy dam radę na nie odpowiedzieć.

— Wymyśl coś.

— Jak się czuję...? — Gdzieś w oddali zatrał samochód. Z sąsiedniego mieszkania doleciał Eric Clapton, akompaniament do romantycznej kolacji. Caroline bardziej spięła ramiona, ale nie wydała dźwięku, a potem zwiesiła głowę poza łóżko i w cudowny sposób wyczarowała chusteczkę, w którą wydmuchala nos, cały czas kryjąc twarz. Wróciła do poprzedniej pozycji. Mówiła chrypiącym głosem: — Że jak nie będę czujna, to przytrafią mi się straszne rzeczy. I... — głęboki oddech — że nie starczy mi odwagi, żeby pozwolić sobie na takie coś.

Przez chwilę oddychaliśmy razem w półmroku, aż w końcu powiedziałem:

— Będzie ci przeszkadzać, jak zdejmę resztę ubrań?

Odwróciła się powoli, jej włosy zasłaniały jedno oko. Prześwitujące, lawendowe zasłony przepuszczały nikiel światła z ulicy w dole. Długo mi się przyglądała.

— Nie.

Przyciągnęła mnie do siebie z taką furią, że nie zdążyłem się jeszcze pozbyć ubrania — jeden but, obie skarpety, płaczące się w kostkach bokserki. Zdjąłem to, a ona patrzyła; potem położyłem się płasko na łóżku, z rękami przy bokach i powiedziałem:

— Dobrze. Nie mam żadnych oczekiwań. Leżę tutaj nago, a ty możesz na mnie patrzeć.

Poprawiła bluzę i usiadła przede mną po turecku. Studiowała mnie klinicznie.

— Jak się teraz czujesz? — zapytałem po chwili.

— Niepewnie. Ja nie, oczywiście, od...

— Tak myślałem.

— Mogę cię dotknąć?

— Tak.

Położyła obie dłonie płasko na mojej piersi i pochyliła się, jakby

sprawdzając moją wytrzymałość. Koniuszkami paznokci pogładziła mnie po udzie. Wzięła mnie w dłoń i powiedziała:

- Jesteś taki miękki.
- Nie, jeżeli potrzy masz dłużej.

Zaśmiała się, zasłaniając usta, jakby ten dźwięk ją zaskoczył. Ściągnęła spinkę do włosów z końskiego ogona i jej cienkie, sandałowe włosy rozsypały się w kosmyki, które omiały mi pierś, kiedy pochylała się nade mną. Dotykała mojego ciała, centymetr po centymetrze, jak niewiedoma, ucząca się nowego kształtu. Może po dwudziestu minutach milczącego badania uniosła swoją koszulę.

Jej ciało też nosiło ślady przemocy, chociaż były mniej uderzające, w przeciwieństwie do jej wspaniałej sylwetki. Krótki odcinek przebarwionego ciała na lewym barku, lekkie wyniesienie mięśni brzucha, super blizn na żebrach, nabrzmiałość piersi.

- Możesz dotknąć — powiedziała. — Mnie.

Uniosłem ręce i poznawałem jej cudowne, nieprzewidywalne ciało. Jej oddech przyspieszył. Przekrzywiła głowę, aż włosy rozsypały się jej po twarzy. Przewracając się na plecy, pociągnęła mnie na siebie i kurczowo wczepiła się w moje plecy. Na szyi czułem jej gorący oddech. Potrzebowała czasu, aby rozluźnić uchwyt. Poruszaliśmy się powoli, cierpliwie, mrucząc i całując, jeden ożywiony moment na raz. Aż w końcu zaczęliśmy się kochać. Nie bez niezdarności, ale też nie bez wdzięku.

Potem przywarła do mnie, zaczęła płakać i nie przestawała. Płakała impulsywnie jak dziecko, aż zmęczyła się, aż jej twarz pozbawiła się koloru. Pod warstwą zmęczenia i przerażenia wyglądała na uradowaną.

Zarzuciła mi nogę na brzuch i oparła się na łokciu, jej twarz obok mojej.

— Przepraszam, że płakałam.

— To nic. Przepraszaj siebie, jeśli chcesz.

Wsparła brodę na mojej piersi.

— Wiesz, kiedyś byłam w tym dobra.

— Mnie mówią, że nigdy nie byłam.

Zaśmiała się i uderzyła mnie lekko.

— Mówią, że oczy są oknami duszy — powiedziałam. — Nie wierzę, że to prawda. Według mnie to palce stóp są oczyma duszy.

— O? A jak moje palce? — Poprzebierała nimi, popisując się.

— Wyborne.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę, a potem razem zasnęliśmy. O jedenastej trzydzieści dwie nagle się obudziłem.

— Co? — zapytała sennie. — Co się stało?

Usiadłem i starałem się uspokoić oddech. Dotknęła moich ramion.

— Jezu, jesteś cały mokry.

Mój sen odtwarzał się ze szczegółami: ja w samochodzie w nocy, jadę do Genevieve. Sam. Wbiegam po schodach. Sam. Znajduję klucz. Sam.

— Nie mogę tu zostać na noc. Ostatni raz, kiedy z kimś spędziłem noc, to wtedy, kiedy...

— Nie wiesz tego.

— Właśnie.

— Obojętnie. Obojętnie, co zrobiłeś, czy nie zrobiłeś, miałeś guz mózgu.

— Od tamtej pory sporo zrobiłem lub nie.

Jak wtedy, kiedy obudziłem się i znalazłem rozcięcie nad małym placem. Całkowicie zdrowy na umyśle chodziłem po własnych, krwawych śladach po całym domu. Wróciłem do sypialni i przy łóżku znalazłem

nóż z własnymi odciskami palców. Odnalazłem roztrzaskany słoik w zlewie, a glejak zwiedzał młynek do odpadków. A jeżeli nie podano mi sevofluranu? Jeżeli Morton Frankel nigdy nie był u mnie w domu? Co, jeżeli to mój pisarski umysł pracował nad wyszukaną powieścią? Bardziej stosowna opowieść, snuta ze względu na podeszły wiek, jak każda, na podłożu eskapizmu?

Uderzyło mnie wspomnienie, wyraziste jak rzeczywistość. Genevieve przeskakująca z nogi na nogę na skraju przepaści nad plażą w Santa Monica, śmieje się, kiedy naśladuję jej ruchy metr za nią. Sprytny szantaż... powinienem się bać? Czy pozostać obojętny? Powinienem podejść? Turyści przyglądają się zaniepokojeni, rodzice odganiają dzieci. Pokłóci-  
liśmy się o coś naprawdę wielkiego — stoisko z taco albo koreańskie barbecue — i wybuchło, jak często wybuchало. O co chodzi, Drew? Wstydzisz się mnie? Wstydzę się, pewnie, ale jednocześnie ogarnia mnie przerażenie, że źle ustawi nogę, irytacja na własne ręce chwytające powietrze za każdym razem, kiedy ona się zatacza. Wtedy jeszcze nie zidentyfikowałem uczucia kryjącego się za innymi, niczym zakopany żar. Wściekłość.

Wierzę, że każdy jest zdolny do wszystkiego.

Poza własną niestabilną osobowością miałem w ofercie inne nocne niebezpieczeństwa. Mogli się zjawić Kaden i Delveccio — w końcu nadal miałem im oddać broń — i wciągnąć Caroline do śledztwa. Morton Frankel mógł palić swoje skręty w zaułku na dole i gapić się w tej chwili w to okno.

— Sam nie wiem, gdzie jestem. Muszę znaleźć więcej odpowiedzi.

— Przepraszam — powiedziała — ale w tym związku jest miejsce tylko na moje sprawy.



Uśmiechnąłem się. Naciągnęła szlafrok, kiedy się ubierałem. Pocałowaliśmy się w drzwiach. Przejechałem kciukiem po jednej z jej długich blizn.

- A jeżeli dojdiesz do końca tej drogi i odkryjesz, że to ty zrobiłeś?
- Nie wiem, czy wtedy mógłbym ze sobą wytrzymać.
- Drew — powiedziała — przeważnie nie mamy innego wyboru.

Obudziłem się spokojny i wiedziałem, która godzina, zanim jeszcze spojrzałem na budzik na nocnym stoliku: pierwsza zero osiem po północy. Niepokojący rumor na dole. Dziwny chłód w powietrzu, zimniej, niż normalnie robiło się w nocy, nawet w styczniu. Przetoczyłem się po łóżku i położyłem rękę na załadowanej dwudziestcedwójce.

Hałas ustał, potem wrócił ze zdwojoną siłą.

Xena warczała.

Odrzuciłem kołdrę, podbiegłem do szafy i pospiesznie się ubrałem. Mijając okno nad wanną, zatrzymałem się i aż straciłem oddech.

Po drugiej stronie ulicy, pod rzucającą cień wiatą dla samochodu w domu sąsiada, w smugach światła i ciemności, stał mężczyzna. Stanowił zaledwie ciemną sylwetkę — ze względu na grę dominujących cieni, trudno było nawet ocenić jego wzrost.

Czyżby w końcu Morton Frankel przyszedł w odwiedziny?

Stał w bezruchu. Ustawienie głowy sugerowało, że patrzy wprost w okno przede mną. Czy widzi mnie w ciemności za szybą?

Przeszedłem szybko przez sypialnię i znalazłem się na moim wybiegu dla modelek. Zerknąwszy przez barierkę, zauważyłem, że pręt zabezpieczający, wybity z szyny, znowu leży na dywanie. Samych drzwi nie widziałem, ale Xena stała wprost przed nimi, jeżąc sierść na karku i grzbiecie niczym wilk. Podmuch wiatru targnął drzwiami z siatki i chwilę później poczułem na twarzy zimne powietrze.

Odbezpieczyłem pistolet i zbiegłem po schodach, prawym barkiem z szelestem ocierając się o łuk ściany. Jakiś ruch przy frontowych drzwiach, bardziej u góry, gdzie niezdarnie zasłoniłem rozbity luksfer. Poniżej przybitej sklejki, na jedynym pasku odsłoniętej taśmy pakowej, zostało zrobione nacięcie. Rozszerzono je do jakichś piętnastu centymetrów, zanim ten, kto je zrobił, zrozumiał, że sklejka nie pozwoli, aby wsunąć rękę i sięgnąć do zamka. Wybrzuszona do środka rozcięta taśma oddychała za sprawą wiatru jak przedziwne, akrylowe usta.

Obszedłem podstawę schodów. Xena musiała wywęchać, że to ja; koncentrowała się na półmetrowej szparze, gdzie rozsuwane drzwi zostały przepchnięte. Na tarasie chrobotwały liście, nic więcej. Zrównałem się z Xena. Mort nie spodziewał się, że mam psa obronnego. Farba w prowadnicy została zdrapana tam, gdzie wepchnięto drut, aby podbić pręt zabezpieczający.

Otworzyłem drzwi z siatki i wyszedłem na taras, zamykając Xenę w domu, żeby móc przemieszczać się po cichu. Tak jak przedtem, szcęknięła boczna furtka. W dole wzgórza zawodziła wataha kojotów, otaczając czyjś pupila. Trzymając dwudziestkędwójkę w sztywno wyciągniętej ręce, skradałem się wokół domu, to wychodząc, to kryjąc się w cieniu, aż dotarłem do ulicy.

Pod daszkiem u sąsiada nic poza znajomym vanem i plamami cienia. Czyżbym tracił kontakt? Znowu? Podbiegłem, sprawdziłem za

samochodem i pod nim, potem wyszedłem i stanąłem na moim starym miejscu pośrodku ulicy. Żadnego ruchu poza chyboczącymi gałązkami i szeleszczącymi liśćmi.

A w oddali warkot silnika.

Nasłuchiwałem, ale odgłos ani nie przybierał na sile, ani nie słabł.

Trzymając się chodnika, szedłem ulicą, silnik chodził głośniejsz. Minąłem dwie posesje i zatrzymałem się przy wysokim, kamiennym murze, chroniącym podjazd domu na rogu. Ściana zmieniała akustykę; nie byłem pewien, czy pracujący samochód znajduje się tuż za nią, czy też dalej, w głębi przecznicy.

Z uniesionym przed sobą pistoletem wychyliłem się za mur, ale podjazd — jeżeli tam był — stał za daleko, żebym mógł w niego wycelować. Wstrzymałem oddech i wyszedłem za ścianę na ciemny podjazd. Zarys przodu samochodu, oddalony może o dziesięć metrów na długiej, wąskiej jezdni; przednia szyba nieprzenikniona czarna tafla, dymek spalin przyczepiony z tyłu. Dom był w górze, za zakrętem, cofnięty pod strome zbocze. W powietrzu wisiały resztki papierosowego dymu. Po mojej prawej stronie pewna ściana, po lewej — wał bluszczu.

Czy kierowca zostawił samochód z zapalonym silnikiem do swojego powrotu, czy może siedział w środku i obserwował mnie?

Obawiając się zasadzki, przesunąłem się do przodu, celując w przednią szybę, gotowy do biegu. Pomimo strachu i chłodu udawało mi się trzymać broń stabilnie, a pojawiające się rytmicznie dymki pary przed moją twarzą wskazywały, jak bardzo przyspieszyłem oddech.

Po kilku krokach okazało się, że samochód to volvo. Ciemny lakier. Tablica rejestracyjna została usunięta. Jeszcze kilka kroków i rozpoznam, czy za kierownicą jest jakaś postać.

Oślepił mnie snop światel. Silnik zaryczał, zapiszczały opony, wgrzyżając się w podłoże. Volvo wyrwało do przodu. Strzeliłem, kula wybiła dziurę w prawym, górnym rogu przedniej szyby. Odskoczyłem w lewo, zrobiłem krok, ale wóz zahaczył mnie maską i wyrzuciło mnie w powietrze. Przetoczyłem się po brzegu szyby. Mignęła mi rozmazana sylwetka kierowcy, spadłem z boku i wylądowałem w bluszczu. Leżałem na plecach, ciężko dysząc, główka spryskiwacza wbijała mi się w plecy. W wilgotnym poszyciu szurały szczury. Po chwili znowu odezwały się świerszcze. Okolica pozostała milcząca, obojętna na mój strzał.

Wyciągając gałazki z ubrania i włosów, znowu wychwyciłem tę samą woń papierosa. Wyczołgałem się na ulicę i szukałem niedopałka skręta. Z boku, na szerokim liściu bluszczu, leżał kartonik zapalek. Zgadnijcie, co widniało na okładce.

Poszukałem gałazki do podniesienia kartonika, aby nie zatrzeć odcisków. Zapalki były zużyte, ale z tyłu, wypisany znajomym, drukowanym pismem, widniał adres. Był to adres, którego nigdy nie zapomnę.

Na kartoniku zapalek, zabezpieczonym w plastikowej torebce, jaśniały czaszka i skrzyżowane piszczele. Krążyłem pod lampą w kuchni, gapiąc się na rysunek. Podobnie jak dym z papierosa, kartonik z zapalkami wydawał mi się celowo zaaranżowany. Tylko jak miałem go zinterpretować? Że Mort zapisał adres Genevieve, kiedy pierwszy raz ją śledził? Miałem wątpliwości, czy zapalki z datą sprzed czterech miesięcy, zostały zużyte właśnie teraz. Czyżby zanotował ten adres, planując podwójne morderstwo? Może wykorzystał dom Genevieve jako warsztat i po porwaniu zabrał tam Broach, aby uniknąć zostawiania śladów we własnym mieszkaniu? Dom, raczej niezamieszkały niż zamieszkały, był idealnie bezpieczny. Pocałunek, jaki złożyłem na przedniej szybie, prowadził do kolejnych pytań: jeżeli Mort wrabiał mnie w morderstwa, to po co chciał mnie teraz przejechać? Ponieważ wiedział, że wpadłem na jego ślad? Czyżby chciał mnie usunąć, zanim przekażę coś konkretnego policji?

Kciukiem otworzyłem komórkę i wybrałem numer. Odebrała Angela, przyjęła moje przeprosiny i podała telefon mężowi.

Jak zwykle Chic był ożywiony, jakbym złapał go podczas porannej przechadzki. Wysłuchał mnie w spokoju. Przekazałem mu wszystkie informacje i zapytałem:

— Możesz przyjechać tu, do domu Genevieve?

— Pewnie. Dlaczego?

— Nie kupuję zapalek, tak samo jak nie kupiłem tego sznura do wiązania. Ktoś, kto tak starannie dobiera dowody, nie parkowałby na mojej ulicy, żeby palić i wyrzucić przez okno zapalki z odpowiednim adresem.

— Chyba, że myślał, że będziesz zbyt martwy, aby to znaleźć.

Rozsądna uwaga.

— Chyba mnie podpuszcza.

— A ty dajesz się podprowadzać.

— Tak. Chyba ukrył w tym domu coś po to, żebym to znalazł. Coś, co jeszcze bardziej mnie pogrąży. A ja chcę to znaleźć, zanim zrobią to glijny, i uciec, zanim pułapka się zatrzaśnie.

— Niebezpieczna gra.

— Dlatego potrzebuję czarnego wsparcia.

— Pytasz — masz.

Stałem przy krawężniku, obok mnie Chic i jego bracia — dwóch, których znałem, i jeden, którego widziałem pierwszy raz w życiu, a nad nami wznosił się dom Genevieve. Przeszukaliśmy sąsiednie uliczki i przyległe tereny, a Szybki Teddie przecisnął się przez okno w łazience z połączanym coltem kaliber czterdzieści pięć w rękę i sprawdził dom; w środku nikogo nie było.

Chic szturchnął mnie.

— Chcesz się rozejrzeć?

Chciałem.

Przeszliśmy przez trawnik z pękniętym zraszaczem, następnie po ruchomych płytkach chodnikowych i na werandę. Potem filodendron i gliniana donica z pękniętą podstawką.

Byłem tu wiele razy w życiu: na jawie, we śnie, we wspomnieniach. Te nocne odwiedziny były jak połączenie wszystkich trzech wymiarów.

Szybki Teddie w trzy sekundy poradził sobie z zasuwą we frontowych drzwiach.

Chic pchnął drzwi, podał mi latarkę i powiedział:

— Będziemy tu. Miej włączoną komórkę.

Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi.

Sam w domu Genevieve.

Z każdym przedmiotem wiązało się wspomnienie. Kryształowa patery na słodycze, gładka w dotyku. Puste miejsce na bocznym stoliku, gdzie zwykle leżał przycisk do papieru z weneckiego szkła. Apaszka w różowo-niebieskie paski zawieszona na balustradzie nosiła delikatną woń Petite Cherie. Marmurowe kafle w holu były twarde pod stopami. Z centralnej wyspy w kuchni spoglądał na mnie blok z nożami, pięć nierdzewnych rękojeści i jedna pusta szczelina. Myślałem o kąpieli w wybielaczu, którą potraktowano ciało Broach, więc sprawdziłem zlew i wanny, a potem zszedłem do ciemnego garażu. Chcąc znaleźć coś nietypowego, przeszukałem salon i wyłożoną dywanem alkowę, którą Genevieve wykorzystywała jako jadalnię.

Pozostała jeszcze duża sypialnia na piętrze. Wchodziłem i czułem mrowienie w nogach. Adrenalina? Strach? Drzwi były niedomknięte. Nawet w tym mrocznym świetle było to wyraźne — wielki kleks, jaśniejszy od dywanu dookoła, na którym po mechanicznym czyszczeniu wybielili beżowe włókna.

Łóżko było pościelone; ten szczegół wydobyl na powierzchnię emocje. Kto to zrobił po tym wszystkim? Matka Genevieve? Czy też uważny kryminolog poprawił pościel przed wyjściem?



Otrząsnąłem się, abym mógł nadawać się do czegokolwiek i sprawdziłem szafę, zlew, luksusową, różową wannę z nadmuchiwanym podłówkciem, na którym widniały ślady pleśni.

Wróciłem do płamy na dywanie i usiadłem po turecku.

Tutaj Genevieve trafił nóż.

Tutaj skończyło się jej życie.

Tutaj siedziałem z jej ciałem, wepchnąłem ręce w krwawą maź i straciłem przytomność podczas nagłego ataku.

Gdzieś czaiło się wspomnienie, zagubione wśród zwojów płatu czołowego.

Szukałem odpowiedzi. Spodziewałem się nagłego olśnienia, objawienia niczym grom z jasnego nieba. Zamiast tego byłem ja i pozbawiona płamy cisza opuszczonej sypialni.

Po kilku chwilach dotarł do mnie ledwo słyszalny syk. Wstałem, okręciłem się na pięcie, szukając źródła tego dźwięku i przycisnąłem ucho do głośnika wbudowanego w wezłowie łóżka.

Zszedłem na dół, na skraj salonu, gdzie meblościanka przechodziła łukiem do kuchni. Panoramiczne okno, największe w domu, wychodziło na zbocze wzgórza i fragmenty ulicy w dole, która wiła się w stronę Coldwater. Segment najbardziej z lewej strony, gdzie za sprawą przedziwnej galickiej logiki Genevieve ukryła elementy wieży stereo, otworzył się z łatwością, gdy tylko go dotknąłem, uwalniając falę elektronicznego ciepła. Wśród stosu sprzętu żarzył się zielony punkcik. Odtwarzacz CD pozostał włączony. Słuchała czegoś w dzień śmierci? Może ta muzyka, którą słyszałem we wspomnieniu ze snu, kiedy wbiegałem na werandę, nie grała tylko w mojej głowie, niczym dławiący smród spalonej gumy. Cyfrowy licznik wskazywał, że płyta dobiegła do końca. Nacisnąłem „eject”. Szufladka wysunęła się, ukazując krążek CD bez nalepki, który Genevieve wypaliła ze swojej biblioteki iTunes.

Chciałem wsunąć szufladkę, aby odtworzyć płytę, kiedy zadzwoniła komórka, przerywając pełną napięcia ciszę. Przeniosłem wzrok na okno.

W dole zbrocza dwa czarne SUV-y z przyciemnionymi szybami, bez świateł drogowych, zjechały z Coldwater w ulicę Genevieve i pięły się pod górę.

Z komórki ponagłał mnie głos Chic'a:

— Zabieraj się stamtąd.

Wybiegłem z domu, płyty chodnika zabujały się gwałtownie pod nogą. Wskoczyłem do samochodu, a płytę Genevieve wsunąłem pod dywanik. Wystartowałem od krawężnika, podłączyłem słuchawki, obserwując migające tylne światła wozu Chic'a na odcinku drogi widocznym w dole wzgórza po lewej stronie.

— Gdzie oni są?

— Niżej, o jeden kwartał ode mnie — powiedział Chic. — Teddie wykonał właśnie najwolniejszy na świecie nawrót na trzy, żeby ich opóźnić. Przez te przyciemniane szyby nie widziałem kto to. Masz broń?

Położyłem dwudziestkę dwójkę na siedzeniu pasażera.

— Tak.

— Tylko spokojnie. Przejedź obok nich i jedź dalej. Ulica jest wąska, będą potrzebować czasu, żeby zawrócić. Jak będziemy na dole, rozjeżdżamy się.

Mocniej schwyliłem kierownicę. Pistolet wcisnąłem między siedzenie a oparcie fotela; gdyby zrobiło się gorąco, nie chciałem, żeby gdzieś mi się zsunął.

Zakręty pod kątem prostym, jeden za drugim, aż w końcu snop reflektorów rozświetlił gąszcz po lewej stronie. Zwolniłem, trzymając się blisko ściany kanionu, a obok przemknęły dwa czarne chevrolety tahoe, aż mój wóz zadrżał. Nie było czasu, aby spojrzeć na numery rejestracyjne. Szyby wyglądały na idealnie czarne.

Nieomal już minąłem zakręt, kiedy we wstecznym lusterku zobaczyłem, jak w drugim SUV-ie zapalają się światła stopu. Żołądek podszedł mi do gardła.

Przyspieszając w dół niebezpiecznego zjazdu, rzuciłem do Chica:

— Zauważyli mnie.

— Dobra. Miej mnie cały czas na nasłuchu. Powiedz, gdzie jesteś.

Skręciłem w Coldwater, wyrzucając na sąsiedni pas fontannę kamyków i żwiru, i gnając pod górę, przejechałem na świetle, żeby wjechać w lewo na Mulholland.

— Kieruję się do domu.

— Jestem tuż za tobą.

Pierwszy tahoe pojawił się w moim lusterku, ale zgubiłem go za zakrętem. Światło przy Benedict Canyon było żółte; zobaczyłem kolejnego czarnego SUV-a, który czekał na skrzyżowaniu, i wdepnąłem gaz do dechy, przeciskając się, na wypadek gdyby tamten chciał mnie zablokować. Trzy wozy pościgowe? FBI? Gangsterzy? Mafia? Ciągłe niebezpiecznie cisnąć gaz, przeskakując na przeciwległy pas i ścinając zakręt, cały czas trzymałem pogoń jeden zakręt w tyle.

— Na którym skrzyżowaniu jesteś? — zapytał Chic.

W okolicy Beverly Glen Mulholland poszerzała się do kilku pasów przed wielkim skrzyżowaniem.

Wiatr przyniósł do mnie strzępki dźwięków z megafonu:

— Pański pojazd teraz... — Uderzyłem w hamulec, wziąłem zakręt, omal nie wywracając samochodu i zobaczyłem przed sobą blokadę; sześć policyjnych wozów zaparkowanych jeden przy drugim, z migającymi światłami, otwartymi drzwiami i całym arsenałem wycelowanym w szczerze wam oddanego. Za blokadą na skrzyżowaniu tłoczyło się kilku

zdezorientowanych kierowców, którzy po chwili zaczęli się wycofywać przed tym, co miało się tu dzieć.

Kiedy ucichł pisk opon mojego wozu, usłyszałem za sobą zharmonizowane syreny.

— To gliny — powiedziałem.

We wstecznym lusterku zobaczyłem, jak wiśniowy pick-up skręca w prawo i spokojnie wjeżdża w przecznicę. Zapaliłem lampkę w suficie i położyłem obie ręce na kierownicy. Jeden z tahoe zatrzymał się obok, czarne okno zjechało.

— Na siedzeniu pasażera jest naładowana dwudziestkadwójka — poinformowałem.

— Tak, zdaje się, że jestem z nią zaznajomiony — odparł Bill Kaden zza wycelowanego we mnie glocka.

Położyłem skute dłonie na stole w pokoju przesłuchań i rozejrzałem się po znajomych, poźółkłych ścianach; z weneckiego lustra sypała się rdza. Było rano, ale nikt by się tego nie domyślił.

Kaden i Delveckio kazali mnie eskortować dwóm gburowatym policjantom, którzy cuchnęli dymem papierosowym i nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi, dopóki nie wyrwali mnie z tylnego siedzenia. Po Centrum Parkera kręciło się kilku reporterów za sprawą plotki, że oskarżony o gwałt zbiorowy będzie przewożony na rozprawę. Z braku obecności gwałciciela ucieszyli się na widok mnie w roli podejrzanego. Pozostawiono mnie na górze, abym rozgościł się przez kilka godzin. Ktokolwiek twierdził, że opresja wyzwala kreatywność, gadał kompletne bzdury.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i wkroczył Kaden. Podwinięte rękawy, kabura pod pachą; pachniał kredą i kawą. Za nim Delveckio wdmuchiwał nos w chusteczkę.

— W domu Genevieve Bertrand znaleźliśmy koszulę Kasey Broach w zlewie, w pralni — oznajmił Kaden.

Pralnia. Nie okazałem się wystarczająco bystry, żeby natknąć się na dowody pozostawione tam specjalnie dla mnie.

- I twoje odciski są w całym domu — dodał Delveckio.
- To oczywiste. Spędzałem tam sporo czasu, zanim się rozstaliśmy.
- Widzieliśmy cię tam na ulicy — zauważył Kaden.
- Jechałem sobie.

Kaden chwycił stół, naprężając mięśnie.

– Czy zaprzeczasz, że przed kilkoma godzinami włamałeś się do jej domu?

– Ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam, dopóki nie porozmawiam z moim adwokatem.

– Dlaczego więc nie zażądaś obecności adwokata?

– Ponieważ musielibyśmy przestać rozmawiać. Wiem, że myślicie, że macie coś na mnie. Prawdopodobnie coś okropnego. I chcę wiedzieć, co to takiego. — Pociłem się przez koszulę. — Jestem o tym przekonany po tej waszej zasadzce. Goni za mną dziewięć radiowozów, kajdanki, wasze zadowolone miny. To co macie? Dziesięć paluchów dziewczyny z balu abiturientów liceum zakopane w grządce z tulipanami przed moim domem?

– Nie masz grządki z tulipanami przed domem — stwierdził Delveckio.

– Wiem, ale „hortensje” nie mieszczą się w gębie. — Pełna napięcia cisza. Nie chciałem jej przeciągać. — No, dobra — odezwałem się. — Kończmy już z tym.

– Jechaliśmy cię aresztować, kiedy odebraliśmy anonimowy telefon z informacją, że włamałeś się do domu pani Bertrand.

– Dlaczego jechaliście mnie aresztować?

Rzucił na stół przede mną torebkę na dowody ze znajomym włosom.

– Ten włos pasuje do kilku zostawionych przez gwałciiciela z Redondo Beach w ciągu ostatnich trzech lat.

– Ja... co?

– Nosi maskę narciarską, więc nie udało nam się sporządzić jego

ryśopisu. Siedem gwałtów i nie mamy nic poza przypadkowym, pojedynczym brązowym włosem. — Kaden wbił we mnie spojrzenie. — Pasuje do koloru twoich włosów.

— To bzdura. Zanim skończymy, razem z Jimmym Hoffą będę niańczył dziecko Lindberghów.

— Powiesz nam, dlaczego, do diabła, dałeś do zbadania włos poszukiwanego gwałciela w naszym laboratorium?

— Zrobili porównanie i Ordean spietrał się — powiedziałem, bardziej do siebie niż do nich.

— Pewnie, że się spietrał, bo to, kurwa, aktor telewizyjny. Ci kłowni z laboratorium, którzy mają konsultacje w jego programie, przeprowadzili porównanie włosów, żeby pokazać, jakie to łatwe. Zestawili włos z innymi z głośnych spraw. I bingo, o mało co nie połknęli własnych języków. Ordean powiedział, że to ty dałeś mu ten włos. I nie ma pojęcia, skąd go wziął.

— A wy jak myślicie?

Kaden wyciągnął rękę i przycisnął kciuk do opuchlizny wokół mojego oka.

— Morton Frankel.

Podskoczyłem, a oni zanieśli się śmiechem.

— Po co byłeś w domu Genevieve Bertrand? — zapytał Kaden.

— Ktoś próbował włamać się do mnie w nocy, a potem potracił mnie brązowym volvo. Zostawił to. — Podzwaniając kajdankami, wyciągnąłem torebkę z kartonikiem zapalek; najwyraźniej nie zauważyli tego przy rewizji.

Rzuciłem woreczek na stół.

Delveckio z kwaśną miną przyjrzał się zapalkom z czaszką i piszczelami. A może właśnie to był normalny wyraz jego twarzy? Im dłużej mu się przyglądałem, tym mniej mieściło mi się w głowie, że był w jakikolwiek

sposób związany z Adeline czy kimkolwiek z rodziny Bertrandów, jeśli o to chodzi. A raczej tym mniej potrafiłem sobie wyobrazić, że oni mieli z nim do czynienia. Delveckio niezdarnie manipulował przy torebce, pokazując partnerowi adres w środku.

— Kto dał wam cynk? — zapytałem. — Że rzekomo jestem u Genevieve?

— Anonimowy rozmówca — odparł Kaden.

— Nie wyświetlają się wam numery przychodzących połączeń?

— Połączył się z moim prywatnym numerem. Nie z 911. Nienamierzany.

— A! To bardzo anonimowo-anonimowy rozmówca. Jak pojedziecie po Morta, to sprawdźcie, czy nie ma gdzieś tam wypisanego twojego numeru.

— Nie możemy go aresztować — stwierdził Delveckio.

— Ten facet chciał mnie przerobić na miazgę.

— Ty tak twierdzisz.

— I zapalki.

— Te dowody — poklepał torebkę z włosami — zostały zdobyte nielegalnie.

— Ale nie przez was — odparłem. — Więc doskonale wiecie, że możecie wykorzystać je zaocznie i poprowadzić sprawę.

Kaden spojrzał na mnie.

— Nigdy się, kurwa, nie poddajesz? — Skinął głową na Delveckio i zostawili mnie samego z wcale nie weselszym odbiciem.

Nie miałem zegarka, więc nie potrafiłem odmierzać czasu. Co kilka godzin prosiłem o wyjście do łazienki, a wówczas z szacunkiem prowadzono mnie korytarzem obok zegara.

Kiedy po trzeciej eskorcie odprowadzono mnie do pokoju, zapytałem, czy mnie aresztowano. Strażnik wyjaśnił:



- Jeszcze nie. Nadal jesteś przesłuchiwany.
- Próbujecie tu nową technikę przesłuchań Zen? — zagadnąłem. Policjant spojrział na mnie, nie rozumiejąc, więc dodałem: — Nie musicie mi postawić zarzutu albo wypuścić?
- Nie, dopóki trzymamy cię jako osobę znaczącą dla śledztwa.
- Osoba znacząca — powtórzyłem. — To pochlebstwo. Chyba zadzwonię do mojego adwokata.
- Czekaj — powiedział. A potem, gdybym jeszcze się upierał: — Tylko poczekaj.

Wyszedł, celowo nie domykając ciężkich drzwi. Minęło kilka minut i wówczas na korytarzu rozległy się szybkie kroki. Morton Frankel, prowadzony w kajdankach, przeszedł obok otwartych drzwi; po obu bokach miał Kadena i Delveckio. Na mój widok Frankel zarył w miejscu, napierając łokciami na detektywów, i wbił we mnie wzrok. Oczy miał w obwódce z sińców od złamanego przeze mnie nosa; przez ranę zadaną długopisem w udo stał pochylony. Twarz mu połyskiwała, a pod pachami widać było plamy potu; trzymali go pod lampą. Najwyraźniej zadowoleni z konfrontacji, detektywi dali mu chwilę.

- Wydłubię ci oczy i wyrucham w czaszkę — obiecał Frankel.

Rzucił się w moją stronę, aż podskoczyłem. Krzesło przewróciło się z łoskotem. Detektywi ze śmiechem usunęli go z zasięgu mojego wzroku. Usłyszałem, jak Kaden polecił komuś go spisać, po czym obaj wrócili, zamknęli drzwi i usiedli naprzeciwko mnie. Kaden spojrział na moje kolano, którym ze strachu podrygiwałem jak młotem pneumatycznym; pogardliwie wykrzywił usta. Na jego zegarku była już druga po południu.

- Dobra detektywistyczna robota — stwierdził Kaden. — W jego domu, w kufrze, nasi chłopcy znaleźli strój do gwałtu: maskę narciarską,

latarkę, zestaw wytrychów, kneble, kabel do wiązania, całe dziewięć metrów. Facet okazał się tak sentymentalny, że zachował też kilka trofeów: apaszkę, pasek od szlafroka, bransoletkę. — Przerwał, zagryzł wargi. — Jest tylko jeden problem, Danner. Jeden z włosów, jakie mamy w aktach, pochodzi z napadu, jakiego dopuścił się w nocy dwudziestego drugiego stycznia pod Molo w Redondo. Gdzieś, powiedzmy, około jedenastej. Czy ta data i godzina coś ci przypominają?

Wtedy porwano Kasey Broach.

Rozczarowanie przyszło nagle. Osunąłem się na krzesło.

Delveckio uśmiechnął się do mnie słabo.

— Jeżeli Frankel nie wyczarterował helikoptera, żeby oblecieć wszystko tamtej nocy, to wypada ze współzawodnictwa.

— Kto pożyczał jego wóz? — zapytałem.

— Sprawdzamy to — odparł Kaden. — Ale zakładamy, że musiał dostać się do Redondo, żeby zgwałcić Lucy Padillo.

— To był ten wóz — powiedziałem. — Wgniecenie w prawym błotniku, cała reszta.

Delveckio rzucił zapalki na stół przede mną.

— Daliśmy to zbadać do laboratorium. Żadnych odcisków, co nas trochę dziwi, zważywszy, że to kartonik. Ale to ci się jeszcze bardziej spodoba: pismo nie pasuje do Frankela. A wiesz do kogo? — Kaden uśmiechnął się. — Do ciebie.

Otworzyłem usta, ale uświadomiłem sobie, że nie mam nic a nic do powiedzenia.

— Danner, gonisz teraz za zjawą. — Kaden rozłożył fotokopię: napis z kartonika zapalek z próbką mojego pisma z formularza w wydziale ruchu drogowego, który wypełniałem kiedyś w zeszłym roku. Podobne elementy liter zostały zakreślone na czerwono. Na pierwszy rzut oka argument był przekonujący.

— Drukowane litery najłatwiej podrobić — powiedziałem spokojnie. Nie wiedziałem, czy to prawda, ale zabrzmiało to dobrze, a po swojej stronie miałem desperację.

Kaden i Delveckio spojrzeli na mnie niczym przyjaciele, którzy dobrze mi życzą i właśnie chcą mi wytknąć, że mój pasek nie pasuje do mokasynów.

— Dobra — odezwał się Kaden — i poczciwy Mort zapisuje się na przyspieszony kurs analizy kryminalistycznej w zakresie grafologu po szychcie w ślusarni.

— Ale gratulacje — powiedział z fałszywą wesołością Delveckio — złapałeś gwałciciela, pomogłeś nam zamknąć sprawę. Więc wyszedłeś na czysto.

Podał mi rękę, ale wiedziałem, że lepiej jej nie brać. Obaj szczerze się zaśmiali.

— To niezupełnie działa w ten sposób, jak chcieliśmy to wyjaśnić — powiedział Kaden. — Nie chciałeś zastosować się do zaleceń, a teraz wyszło na to, że utrudniasz egzekwowanie prawa, dokonujesz napaści z pobiciem i jeszcze paru włamań z naruszeniem własności. Prosiłiśmy cię grzecznie i ostrzegaliśmy, że w końcu wdepniesz w gówno. Tak bardzo wczuwałeś się w rolę Sherlocka i myślałeś, że żartujemy, ostrzegając, że będą konsekwencje. A zatem stawiamy tobie zarzuty. Bo, widzisz, jesteśmy ciekawi, dlaczego tak bardzo chcesz kogoś obwinić za zabójstwo Kasey Broach. Masz swoje alibi nagrane, świetnie, ale my musimy połączyć kropki, ponieważ wiemy, że trzeba je połączyć. A kiedy będziemy tym zajęci, zostawimy cię we wspólnej celi w Twin Towers.

Kaden wstał. Chwycił mnie mocno za biceps i wyprowadził na korytarz. Co miałem zrobić? Wierzcąć i krzyczeć? Bić się?

Zjechaliśmy na dół windą i udaliśmy do Twin Towers. Wyciągnęli mnie na odrętwiąłych nogach; nie dowierzałem, że zamkną mnie w akwarium razem z mordercami i gwałcicielami, a jednocześnie byłem o

tym przekonany. Pchnęli mnie w stronę Tower One. Sześciokątny kształt budynku wzmacniał efekt przereklamowanego panoptycznego projektu, zmieniając wnętrze w gabinet luster, w którym każdy moduł zewsząd otoczony był swoim zwielokrotnionym obrazem. Woń budynku zapadła mi w pamięci, przypominając tamte niekończące się cztery miesiące. Poplamiony beton, metaliczny jazgot, echo stłumionych przez ściany krzyków i brzęków. Gęste powietrze cierpko osadzało mi się w głębi gardła.

— Wpierw musicie mi postawić zarzut — powiedziałem — i pozwolić zadzwonić do adwokata.

Detektywi zostawili swoje glocki w szafkach na broń i przeszliśmy przez podwójne drzwi na ziemię niczyją opanowaną przez szeryfów w zielono podpalanych mundurach, wyposażonych w pieprzowy spray w kaburach. Za kolejną kratą zobaczyłem więźniów krążących po obszernej świetlicy, gadających jakieś bzdury i śmiejących się aż nazbyt głośno, z nutą agresji. Nie było wśród nich Frankela, ale na pewno wkrótce się pojawi. Dwie watahy przyglądały się, jak więzień z wygoloną głową i kocią bródką oparł się o wychudłego, czarnego dzieciaka, przyszpilając go do zakratowanego okna. Do grupy coś dotarło; głowy odwróciły się w stronę bramy i w moją, który stałem za nią.

Uwolniłem rękę.

— To wielkie gówno. Nie możecie tego zrobić.

Kaden odpiął mi kajdanki. Szeryf skinął na kolegę za kuloodpornym szkłem i z przyjemnym poszumem odsunął bramę, po czym pchnął mnie lekko. Wiedziałem, że nie ma sensu odwracać się i błagać, stałem więc i gapiłem się na mieszkańców. Świetlica ciągnęła się daleko, przynajmniej sto granatowych kombinezonów znaczyło metalowe ławki, zwisało z

podpórek i drążków. Powietrze było nieruchome, niechłodzone, a gorąco unoszące się z tych przepoconych, zestresowanych ciał drżało niczym niska, wibrująca nuta.

Brama za moimi plecami zamknęła się ze stalową bezwzględnością.

Okolo piętnastu skazańców zaczęło się do mnie zbliżać z wyraźnym zainteresowaniem. Na przód wysunął się mężczyzna z dwoma identycznymi krzyżami wypalonymi na przedramionach, rozcapierzając szeroko palce, jakby je naciągał. Przeszedłem na bok, stając na tle betonowej ściany, podczas gdy tamci rozstawili się strategicznie i podchodzili coraz bliżej.

Więzień ze znakami wypalonymi na przedramionach uśmiechnął się; jego rudy wąs rozjechał się na boki. Markował atak na mnie. Wyprowadziłem prosty i paskudnie chybiłem.

Pozostali zagwizdali i zaśmiali się, a któryś powiedział:

— Zupełnie jak Mike Tyson.

— Gówno — uściślił jeden z czarnych. — Białas jest jak Jack Dempsey, będą jaja.

Inny zbliżył się z mojej lewej. Zamachnąłem się mocno i trafiłem go w brodę, aż straciłem równowagę. Więzień ze znakami zaszedł mnie od prawej, zakładając nelsona od tyłu i przylegając do mnie całym ciałem; na policzku poczułem jego oddech zmieszany ze stęchłym dymem papierosowym. Wierciłem się, uderzałem łokciami, próbując zadać cios, ale on uniósł mnie z ziemi, a potem gruchnąłem o zimny beton i zobaczyłem dziesiątki białych tenisówek zbliżających się do mnie z ogromną prędkością.

Rozległ się metaliczny stukot i tłum rozpiierzchnął się, atakujący wręcz odfrunął ode mnie. Dwóch szeryfów po jego obu stronach. Kaden dzwignął mnie do góry i wyprowadził na korytarz, dalej do windy, gdzie bez słowa stanął po jednej stronie, po drugiej zaś stał Delveckio. Zupełnie

jak urzędnicy po pracy. Zanim uspokoił mi się oddech, wyprowadzili mnie hołem na jaskrawe słońce. Kaden wbił mi paluch w policzek.

— Damy ci cenną radę. Masz, kurwa, trzymać się z dala od tego śledztwa. Całkowicie. Nie. Poprawię się. Od wszystkich śledztw prowadzonych przez policję Los Angeles. Zrozumiano?

Jeszcze dyszałem jak miech.

— Zrozumiano.

Delveckio wepchnął mi w brzuch karton po butach z moimi osobistymi rzeczami. Szklane drzwi błysnęły; policjanci znikli. Zrobiłem kilka niepewnych kroków i usiadłem na kwietniku.

Dwie sekundy w bezruchu, a potem zacząłem gwałtownie się trząść. Ludzie przechodzili, nie zwracając na mnie uwagi, omawiali plany na weekend, narzekali na kawę. Po kilku minutach udało mi się wreszcie pozbiierać myśli. Moje pismo na zapalniczkach z trupią czaszką? Może zaszedłem dalej, niż sobie wyobrażałem? Lecz istniały też przeciwne dowody. Tylko dlatego, że ulegasz paranoi, nie znaczy, że nie chcą się do ciebie dostać. W zasadzie łatwiej byłoby zrobić kogoś wiecznie zdeorientowanego.

W noc zabójstwa Kasey Broach Morton Frankel był zajęty gwałtem na kimś innym. Ale został podejrzany, tak jak ja, o zabójstwo Broach. Czy był drugim kozłem ofiarnym? Czy może został wrobiony przez tego, kto wrabia mnie? Czy rzeczywiście chciał czegoś ode mnie? A może to mnie podprowadzono, żebym go zlikwidował? Oto ja, z lękiem wysokości, zwisam z diabelskiego młyna.

W końcu z pudełka po butach wydobyłem komórkę i wybrałem numer Chica. Odebrał w pół sygnału.

— Przyjedź po mnie — powiedziałem. — Mam sporo roboty.

328

Zanim Chic dojechał na miejsce, znacznie się uspokoiłem, ale na myśl o tych minutach bez ochrony w więziennej świetlicy nadal czułem lód w żołądku.

Chic zajechał i oznajmił:

- Jestem już zmęczony odbieraniem ciebie z więzienia.
- Udawaj, że jesteś moim alfonsem.
- Mów, jak mało zarabiasz.

Kiedy wyjaśniłem, że oddałem Johnniemu Ordeanowi włos do zbadania, Chic tylko potrząsnął głową.

— Oj, Drew-Drew. To pomniejsza liga. Masz chyba na tyle rozumu, żeby nie powierzać dowodu komuś, kto histerycznie traktuje powołanie.

— A co miałem zrobić?

— Na pewno można znaleźć kogoś, kto ma znajomości w firmach przeprowadzających testy na ojcostwo, gdzie by przebadali ten włos. Tam jest spokojnie, gdzie jest cień. Nie w świetle jupiterów.

Nie po raz pierwszy żałowałem, że nie urodziłem się ze zmysłem Chica.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, a ja obmyślałem następny ruch. Zadzwoniła komórka. To był Preston, spragniony świeżych wiadomości. Zdałem mu relację, a potem Chic zaczął gadać mi do wolnego ucha, więc włączyłem głośnik w telefonie. Teraz wszyscy mówiliśmy jednocześnie; Preston oczywiście dominował:

— Więc dobrze, ciebie wrobili, Morta wrobili. Ty nic nie rozumiesz.

— To właśnie próbowałem mu powiedzieć — wtrącił Chic. — Jeżeli Mort to nie ten facet...

— To dlaczego zachowywał się dziwnie wrogo wobec ciebie?

Rozdrażniony tym odbijaniem przez nich piłeczki, wykorzystałem moment, aby odpowiedzieć.



Lecz Chic mi nie pozwolił.

— Bo ten ziomal myślał, że go wrabiasz.

— On jeszcze nie rozumie całej tej historii — powiedział Preston. — Nadal nie zadajesz kluczowych pytań. A to...

Preston i Chic teraz grali po jednej stronie:

— Kto wrobił Morta?

Chic spoglądał na mnie wyczekująco. Ze strony Prestona dochodził tylko szum i trzaski. Najwyraźniej byli lepsi w zadawaniu pytań niż w wymyślaniu odpowiedzi. Siedzieliśmy sfrustrowani przez kilka chwil, aż Preston się rozłączył. Cisza, która zapadła, była jak przegrana.

Mój highlander stał zaparkowany na nieutwardzonym poboczu Mulholland, tam gdzie go zostawiłem.

Chic puścił do mnie oko, kiedy wysiadałem.

— Zadzwoń, jak się dowiesz, czego się dowiesz.

Zostawiłem odsunięty szyberdach i fotele były mocno nagrzane. Zamknąłem oczy i przemyślałem każde ogniwo w sprawie niczym paciorki różańca. Skąd miałem wiedzieć, kto miał motyw, aby wrobić Morta? Nic o nim nie wiedziałem. Gapiłem się na panoramę, najdroższy na świecie ślepy zaułek. Powoli zaczęło to do mnie docierać: poszukiwanie motywu, jak chciał Preston i Chic, było błędne. Sprowadzało się do okazji.

Nie: dlaczego ktoś miałby wrabiać Morta? Ale: kto mógł to zrobić?

Wyobraziłem sobie wgłębienie w przednim, prawym błotniku w volvo Frankela. W głowie układałem daty i to, do czego doszedłem, nie spodobało mi się.

Zadzwoniłem do szpitala i poprosiłem o połączenie z oddziałem Big Brontella.

Telefon odebrała niewy tłumaczalnie miła urzędniczka:

— Przepraszam, wyskoczył coś przegryźć. Niedługo wróci.

Zostawiłem numer mojej komórki, który kobieta uprzejmie zapisała,

a ja pokonałem pozostałe trzy kilometry do domu. Xena wyciągnęła z szafy moje wysokie niki'e'y i przeżuła czubki na pulpę, ale skoro zeszedł nocy prawdopodobnie uratowała mi życie, to uznałem to za cenę godną zapłaty. Podgrzałem trochę mielonego mięsa i wrzuciłem do jej salaterki – nagroda za złe zachowanie. Potem udałem się do gabinetu, sięgnąłem po księgę zbrodni i wszystkie notatki zebrane podczas śledztwa.

Byłem już w połowie schodów, kiedy zatrzymałem się, wróciłem na górę i zabrałem rękopis.

Jadąc przez miasto, manipulowałem dowodami, starając się ułożyć z nich ładny obraz. Otrzymałem kilka wersji, ale żadna nie była ładna.

Chociaż słońce o czwartej po południu nadal było silne, w oknie u Frankela paliło się światło, pozostałość po nocnej wizycie detektywów. Pojechałem dalej ulicą, obok stoiska z hot dogami, minąłem sklep z materiałami i przerażającymi manekinami na wystawie i zaparkowałem obok wypożyczalni samochodów. Mechanik Frankela był po drugiej stronie i właśnie zamykał warsztat. Doszedłem do niego, kiedy spuszczał kratę.

— Cześć, jestem Drew. Skierował mnie tu sąsiad, Mort — podałem rękę, a on uniósł swoją przepraszająco; pęknięcia w jego skórze wypełniał smar.

Oba ramiona oplatały mu cudownie skomplikowane tatuaże — smoki i piersiaste nimfy. Rysunek kończył się zgrabnymi kajdankami na nadgarstkach.

- Ach, tak, Morti, jasne.
- Mówił, że odwalasz dobrą robotę.
- Stłuczki we wrakach.
- Musisz być dobry. Morti normalnie nie chwali nikogo, co?
- No, nie.
- Wyklepałeś mu ten błotnik.
- Racja.

— Też mam taki. Wychodzę rano do wozu, no i jest. Błotnik. — Potrzęsnałem głową, wkurzony na wymyślonego pirata. — Zupełnie jak u Morta. Żadnej kartki, zupełnie nic.

— Mort myślał, że to jakiś dupek wjechał w niego motorem.

— Parkujemy obok siebie. Ten facet chyba uderzył w mojego przy tej samej okazji. Tydzień temu w środę.

Mechanik potrząsnął głową.

— Nie Morta. On dostał parę dni temu, w nocy. Znasz Morta... Przyjechał do mnie zaraz rano.

— Na pewno?

— Pewnie, że tak. Zostawił wóz zaraz z rana we wtorek, oddałem go, zanim wyjechał do pracy.

Tej nocy, kiedy dostałem od Juniora numer z tablicy rejestracyjnej, na błotniku Mortona pojawiło się wgniecenie. A poza Juniorem istniała tylko jedna osoba, która mogła o tym wiedzieć.

Na rozgrzanej twarzy poczułem wiatr i powiedziałem:

— Szybko pracujesz.

— On jest śmieszny z tym samochodem. Lepiej walnąć go w nos, niż wgnieść mu blachę. Chociaż ja bym tam nie chciał walić go w nos.

— Nie — potwierdziłem. — Ja też nie.

Siedziałem w samochodzie, z łokciami opartymi o kierownicę i twarzą w dłoniach. Oczy mnie bolały, szczególnie kiedy je pocierałem.

Musiałem przemyśleć i rozważyć każdą możliwość. Pozostały dwie rozsądne opcje tłumaczące wgięcie w błotniku w samochodzie Morta. Skoro ta pierwsza była aż tak nieprawdopodobna, skupiłem się na drugiej. Jeżeli Junior upiększył swoje opowiadanie o volvo, to będę nadaremnie wędrował złym śladem, zawężając pole do złoczyńców i bandziorów,

i wybiorą takiego, który mi się spodoba. Wgniecenie w przednim błotniku — znaczący zbieg okoliczności w tym scenariuszu — czyniło to mało prawdopodobnym. Musiałem jednak nabrać przekonania.

Zadzwoiłem do Hope House i wyjaśniłem Caroline, jak spędziłem czas, od kiedy ostatnio się widzieliśmy.

— Jak przyjdzie właściwa pora — powiedziała — będziesz miał ładne podstawy, aby zaskarżyć policję.

— Teraz chciałbym, abyś sprawdziła, czy Junior jest absolutnie pewny co do wszystkiego, co powiedział mi o brązowym volvo. Łamcie go kółem, czy co wy tam, psychologu, robicie.

— Zakładamy śruby na kciuki.

Podziękowałem jej, potem zatrzymałem się po colę i tankowanie na stacji benzynowej, gdzie wzmacniałem u Juniora miłość do palenia. Niebo na horyzoncie oraz w obrysach drzew i budynków robiło się pomarańczowe. Zadzwoił telefon.

— Junior jest przekonany co do volvo — powiedziała Caroline. — Obraził się, że kwestionujesz jego pamięć.

— Pewno, że jest. Powiedz mu, że odwzajemnię mu się za miesiąc na wieczorku w sądzie. — Wsiadłem do higlandera, włączyłem silnik i odbiłem od krawężnika.

Piętnaście minut później stałem przed domem zabójcy w północnym Hollywood.

Zaparkowałem w cieniu, pół kwartału dalej, pod nisko zwisającymi gałęziami. Cienie migwały na przedniej szybie, a suche liście szorowały dach. Z mojego punktu obserwacyjnego widziałem tylko garaż i róg domu.

Ten widok wymagał scenografii łącznie z horrorem — dramatyczne oświetlenie, posępne niebo, złowieszcze chmury. Lecz Los Angeles nie idzie łatwo na współpracę. Pod wieczór nieco się ściemniło, oczywiście, ale wszędzie dominowało jeszcze słońce, podmiejska nijakość. Wciąż ścieliły się resztki ciepła, uwięzione przez dławiący bezruch powietrza w dolinie. Czuć było kompostem i smażonym mięsem. W górze buczał leniwie odrzutowiec, kierując się do Burbank.

Drzwi garażu były uniesione, tył vana otwarty — najwyraźniej Lloyd coś robił, chociaż z mojej ograniczonej perspektywy nie dostrzegalem wokół domu żadnego ruchu. Teraz używał vana; nie będzie ryzykował wyciągania drugiego wozu, nie po raz kolejny.

Nie wierzyłem w to — po prostu nie mogłem — ale kto inny miałby tu sens? Kto mógł włamać się do mojego domu, pobrać mi krew i umieścić ją na ciele Broach? Kto mógł podrzucić włos na miejsce zbrodni bez

wzbudzenia podejrzeń? Kto był pomocny, dopóki podążałem błędnym tropem? Kto posiadał próbki do podrobienia mojego pisma na kartoniku zapalek? Kto pokazał mi odcisk Richarda Collinsa, dopiero jak potwierdził, że ten ślad nie należy do niego samego? Kto samodzielnie wskazał Morta z całego grona właścicieli brązowych volvo, których ja namierzyłem i wyznaczył go jako osobę najbardziej zdolną do popełnienia zbrodni? Kto miał nieograniczony dostęp do sprzętu, baz danych i wyrzucanych pistoletów? Kto wiedziałby doskonale, jak wbić ostrze w nieprzytomną ofiarę, aby morderca uchodził za leworęcznego? Kto byłby odpowiednio blisko miejsca podrzucenia ciała Broach, bo sam je tam porzucił?

Caroline dobrze to ujęła: Tego właśnie nie rozumiesz w bagnie, w którym się taplasz. Wszyscy są w porządku. Wszyscy są niedobrzy. To po prostu zależy od tego, jak chcesz na to spojrzeć.

Wiedziałem, że muszę podejść do garażu i zobaczyć to wszystko na własne oczy. Jego dom, wieczór, spokojna dzielnica — wszystko wydało się surrealistyczne, iluzoryczne rekwizyty rzeczywistości.

Część mojego rękopisu zsunęła się z miejsca dla pasażera. Wpatrywałem się w pierwszą stronę, leżącą obok. Dobrze nam się współpracowało. Okazywał się przerażająco przydatny, gdy pomagał mi dopasować elementy fabuły, i to do tego stopnia, że czasami przynosiłem mu całe sceny, aby poddał je własnej obróbce.

Wysiadłem, delikatnie zamknąłem drzwi i podkradłem się pod omszałym, drewnianym płotem z przodu posesji. Nieregularny dom stawał się coraz bardziej widoczny. Minąłem ślepą ścianę, kuchenne drzwi, o które, szlochając, opierał się Lloyd, kiedy wychodziłem od niego w poniedziałek wieczorem.

Zatrzymałem się i przycisnąłem ucho do drzwi. Odgłos ruchu głęboko we wnętrzu. Krzesło szorujące o podłogę?

Słońce schowało się już dość mocno, tak że kiedy zanurkowałem do garażu, musiałem zmrużyć oczy, aby dojrzeć odległe kąty. Pojazd obok vana, ukryty pod czarną plandeką, wyglądał na bezkształtny stos. Samochód ustawiony był jak wcześniej, tak że szeroko otwarte tylne drzwi vana opierały się o niego. O prawy przedni błotnik.

Byłem tu wcześniej. Pamiętałem, jak tylne drzwi vana ciężko opierały o przykryty samochód, jak stęknęły, kiedy Lloyd je zatrzaskiwał.

Jęk rozległ się ponownie, niczym echo snu, kiedy obracałem na zawiasach ciężkie drzwi. Oparłem je sobie o ramię i obejrzałem sąsiedni wóz. Nieużywany samochód Janice. Zebrawszy fragment plandeki, pociągnąłem miękki materiał i odsłoniłem przód brązowego volvo. Z wgiętym przednim błotnikiem. Tam, gdzie metal zgiął się do środka, biały szew, spękany na bokach, z łuszczącą się farbą. Dookoła wgniecenia widoczna była oryginalna warstwa. Pszeniczne złoto.

Co mi mówił Kaden? Brąz to drugi co do popularności kolor volvo, zaraz po głównianym żółtym.

Uniosłem do góry materiał, aż zobaczyłem wylupaną dziurę po kuli w górnym prawym narożniku przedniej szyby. Strzał, który oddałem zeszłej nocy na podjeździe u sąsiada.

Cofnąłem się, materiał osunął się bezgłośnie na miejsce, drzwi vana otworzyły się ze skrzypnięciem, aż natrafiły na rowek, który wybiły w karoserii volvo.

Lloyd przemalował volvo żony, aby, w razie gdyby ktoś — taki jak Junior — spostrzegł je na miejscu przestępstwa, Janice nie wyskoczyła w bazie wydziału ruchu drogowego. W okręgu LA były sto pięćdziesiąt trzy

brązowe volvo. Jedyny problem polegał na tym, że samochód Janice figurował w systemie jako żółty.

Zadzzwoniła moja komórka, a właściwie eksplodowała w zamkniętej przestrzeni garażu, napędzając mi stracha. Pojawiła się nazwa dzwoniącego: CDRS HOSPTL. Rozejrzałem się, wyłączyłem głośność i szepnąłem do słuchawki:

— Moment — i zerkając nerwowo na dom, ruszyłem szybko zwirowym podjazdem, starając się jednak cicho stawiać kroki.

Na powrót bezpieczny w highlanderze, pod ochroną rozłożystego drzewa, odetchnąłem głęboko, uniosłem telefon i powiedziałem:

— Przepraszam.

Bas Big Brontella zawibrował w słuchawce tuż przy uchu:

— Pomóc ci, Drew-Drew?

— Możesz sprawdzić, czy Janice Wagner leczy się u was w centrum onkologii? — zapytałem.

— Nie. Ale sprawdzę. — Słyszałem, jak klepie w klawiaturę, i zastanawiałem się, jak jego wielkie paluchy mieszczą się na klawiszach. — Była u nas cztery miesiące temu, ale nie teraz. Została zwolniona do domowego hospicjum szesnastego września.

Szesnasty września. Tydzień przed śmiercią Genevieve.

Zebrałem rękopis na kolanach, bo chciałem mieć pewność, że dobrze pamiętałem. Patrzyłem wprost na słowa Lloyda na tej Stronie: „Wrócił. Tym razem druga pierś. Po raz trzeci, wóz albo przewóz”.

— Nie leczyła się na raka piersi, co? — zapytałem.

— Piersi? Nie. Na...

— Białaczkę — dokończyłem za niego.

W głowie mi huczało, przewertowałem rękopis. Nie mogłem w to uwierzyć, ale miałem to tu, czarno na białym. Motyw. „Przepraszam za bałagan. Janice jest jedynaczką, oboje rodzice zmarli. Nie mamy żadnej pomocy”.



Janice nie miała rodziny, z której ktoś mógłby zostać dawcą szpiku. To oznaczało, że przed powolną śmiercią mógł ją uratować jedynie ślepy los. A jeśli nie los, to mąż.

Lloyd mógł zabić Kasey Broach i pobrać szpik z jej ciała. Po co więc podawał sevofluran?

— Szpik pobiera się od osoby żyjącej, tak? — zapytałem.

Ponad odgłosem stukania w klawiaturę Big Brontell powiedział:

— Tak jest.

Proszę, proszę, żeby to on też zabił Genevieve. Żeby to był on, a potem zorientował się, że następną ofiarę musi utrzymać przy życiu, aby szpik został należycie pobrany. Niech ewoluuje jako morderca, aby można go oskarżyć o oba zabójstwa i obciążyć nimi jego sumienie, a nie moje.

Targały mną wątpliwości. Dlaczego Genevieve miałyby widnieć w rejestrze dawców szpiku? O ile się orientowałem, jej krewni nie byli chorzy, a ona sama nie przepadała za inwazyjnym miłosierdziem. Poza tym, gdyby Lloyd ją zabił, mój guz mózgu okazałby się dogodnym zbiegiem okoliczności.

— Jakie jest prawdopodobieństwo znalezienia dawcy? — zapytałem.

Big Brontell odpowiedział:

— Jeden do dwudziestu tysięcy. Mniej więcej. Oczywiście, wybór ogranicza się do osób, które poddadzą się testom.

— Czy w rejestrze są osoby dobrane dla typu Janice? — zapytałem.

— Osoby zamieszkałe w Los Angeles?

— Zaraz sprawdzę. — Telefon przesunął się głośno po policzku Brontella, a potem usłyszałem jego oddech, gdy stukał w klawiaturę.

Gorączkowo przeszukiwałem rękopis, chcąc porównać własną pamięć z czcionką dwunastką: „- Nikt z nas nie pasował. — Pani Broach zrobiła ruch ręką nad ich trójką na kanapie. — Tylko Kasey. Była aniołem

Tommy'ego. Jeździła tam za każdym razem, zastrzyki w biodro, igła taka gruba, nigdy nie narzekała, ani razu”.

Wyobraziłem sobie posiniałe ciało Kasey Broach rozłożone na spękanym asfalcie pod rampą autostrady: „Prawe biodro znaczyło paskudne obtarcie”. Szukałem w pamięci, czy podobne obrażenie znajdowało się na ciele Genevieve. Usunięcie śladów punkcji po kilku igłach nie powinno być trudne, ukrycie śladów ekstrakcji pod połyskującą raną. Czy to sprawdzałem? Czy ktokolwiek to sprawdzał?

Co on powiedział przy naszym ostatnim pożegnaniu? „Przepraszam, Drew, ale Janice i ja musimy martwić się o siebie”.

Rzeczywiście, przepraszam.

Nie był sadystą, chociaż wprowadził sznur do krępowania, aby nas zwieść, i sevofluran, aby utrzymać je przy życiu i łatwo nimi manipulować. Xanax, aby czuły się względnie spokojne, gdyby przypadkiem odzyskały przytomność — ludzki aspekt niehumanitarnego czynu. Nie chciał, aby ofiary bardziej cierpiały, tak samo, jak nie chciał, abym ja cierpiał. Po prostu pragnął, aby jego żona żyła, bez względu na koszty. Czy przeprosił swoje ofiary tak, jak mnie przeproszał? Czy płakał, kiedy przyciskał maski z gazem do ich twarzy, aby przestały się rzucać? Kiedy przystawiał nóż, by zadać ostatnie cięcie?

Odezwał się Big Brontell:

— W LA jest dwóch dawców.

Wstrzymywany oddech palił mnie w piersi. Modliłem się w duchu. Oby nazwisko Genevieve było jednym z nich, bo wtedy będę niewinny.

— Sprawdźmy — odpowiedział Big Brontell tak niespiesznie, aż chciało mi się wyć. — Kasey Broach, ale usunęła nazwisko z aktywnej listy.

Ale dla Lloyda uzyskanie zgody na skorzystanie z listy dawców szpiku i znalezienie nazwisk obecnych i przyszłych byłoby jak pstryknięcie palcami.

Głos miałem całkowicie zdławiony.

— A to drugie?

— Sissy Ballantine.

Ukryłem twarz w dłoniach; była mokra i gorąca.

— Jest na liście jako rodzinny dawca — mówił Big Brontell. — Oczekiwanie na przeszczep.

Więc jej szpik był zarezerwowany dla brata lub siostry, co znaczyło, że nie będzie dostępny dla Janice. To z kolei oznaczało, że Lloyd musiał pobrać szpik siłą od którejś z dwóch dawczyń i zabić ją dla zatarcia śladów. Kasey Broach, od dawna nieaktywna na liście dawców i dlatego mniej podpadająca przy śledztwie, stanowiła mądrzejszy wybór.

— Dzięki serdeczne, Brontell. Naprawdę nie wiesz...

— Czekał. — Potem krzyknął obok słuchawki. — Unieruchomić cztery kończyny i podać haldol! — I z powrotem do mnie: — Muszę biec, Drew-Drew. Potrzebują mojej postury na psychiatrycznym.

Rozłączył się, a ja zamknąłem telefon i odłożyłem na miejsce dla pasażera. Kiedy podniosłem oczy, przy oknie stał Lloyd.

Lloyd dał mi znak ręką, abym opuścił szybę. Drugiej ręki nie widziałem, gdyż stał na krawężniku, pochylony pod nisko zwisającą gałęzią. Kiedy nacisnąłem przycisk, nie spuszczałem z oczu tej ukrytej ręki, w której coś trzymał. Byłem gotów na jej każde drgnięcie. Zacisnąłem w pięści gładki i twardy telefon.

— Cześć, Lloyd.

Brązowe dockersy miał zebrane w pasie wiekowym, parcianym paskiem. Ceglastoczerwone polo wciśnięte do spodni wystawało mu z jednej strony; musiał niedawno przy czymś się wysilać. Faliste blond włosy znaczyły krople potu przy czole i na skroniach.

— Cześć. Chcesz czegoś?

Wskazałem strony rękopisu na kolanach, dodając sobie fasonu, żeby głos nie zdradził adrenaliny tętniącej mi w żyłach.

— Przyjechałem, żeby jeszcze raz spróbować, może mógłbyś obejrzeć kilka stron. Właśnie przeglądałem...

Zmienił pozycję i poruszył ręką, a ja byłem bliski roztrzaskania mu twarzy pięścią uzbrojoną w motorolę. Jednak przede mną nie pojawiła się broń, tylko rolka srebrnej taśmy izolacyjnej, którą bezwiednie obrał na palcu.

— Drew, teraz czuję się za bardzo... zdruzgotany. Nie mogę ci pomóc. Ani się z tobą zobaczyć. To naprawdę niewłaściwa pora. To zupełnie niemożliwe.

Pomimo wszystkich swoich ohydnych czynów mówił prawdę. Rzeczywiście wyglądał na zdruzgotanego, pogrążonego w żalu i rozpacz. Jakby alarm tyle razy rozbrzmiewał mu w głowie, że już więcej nie rejestrował tego dzwonu. Tak jak ja, dotarł do tego miejsca, bo był zdesperowany, wybierając mniej okropny z dwóch scenariuszy. Po jego twarzy poznawałem, że dręczą go wątpliwości.

— Dobra. W porządku. Przepraszam za kłopot. — Wrzuciłem bieg. — Na razie.

— Na razie, Drew — powiedział cicho.

Ruszyłem, przyglądając mu się we wstecznym lusterku. Stał na krawężniku i patrzył za mną, potem ze zgarbionymi ramionami skierował się do domu, jakby przygnieciony myślami.

Skręciłem za róg, zatrzymałem się i wybrałem numer.

— Poproszę z detektywem Ungerem.

Po kilku chwilach Cal podniósł słuchawkę.

— Tu Drew. Jestem obok domu Lloyda Wagnera. Musisz tu przyjechać ze wsparciem. Lloyd ma volvo z wgniecionym błotnikiem, przemalowane na brąz. Jego żona ma białaczkę. W całym Los Angeles ten sam typ szpiku ma dwóch dawców. Jednym z nich była Kasey Broach.

Usłyszałem skrzypnięcie krzesła, kiedy Cal usiadł.

— Czy ten drugi dawca to Genevieve?

— Nie — odparłem. — Jakaś dziewczyna o nazwisku Sissy Ballantine.

— Powiedziałeś Sissy Ballantine?

— Tak. Dlaczego?

Głos Cala był pełen napięcia.

— Właśnie dostałem meldunek na biurko. Ballantine została porwana przed domu w Culver City kilka godzin temu. Sąsiad widział, jak jakiś mężczyzna wepchnął ją do białego vana. Wyłączyłem bieg, a potem silnik we highlanderze.

— Nigdzie nie idź — ostrzegł mnie Cal. — Nie zbliżaj się do tego domu. Już jedziemy.

— Byle szybko.

— Nie zbliżaj się do domu. Obiecuję, Drew.

Zatrzasnąłem telefon, z bagażnika wyciągnąłem klucz do kół i wróciłem ulicą.

Tak cicho, jak tylko potrafiłem, zbliżyłem się od strony żywoplotu sąsiadów. Drzwi garażu były opuszczone, a ze środka dochodził zgrzyt taśmy odrywanej z rolki. Wstrzymując oddech, podkradłem się pod boczne okno garażu, brodząc wśród wonnego jałowca. Szyb strzegły zakurzone rolety, ale w miejscu, gdzie sztywne szczelbelki dochodziły do dołu, mogłem zajrzeć do ciemnego wnętrza.

Z tyłu vana wystawały nogi i pas Lloyda. U jego stóp leżała folia malarska. Wyłonił się z wnętrza z rolką taśmy w ustach i skalpelem x-acto w ręku. Sądząc po niewykorzystanym materiale, kończył już zadanie.

Wycofałem się, od czasu do czasu zerkając tylko przez ramię. Drzwi do kuchni zostawił otwarte. Wślizgnąłem się do środka. Brudne naczynia, kruszynki i puste słoje opanowały blaty, które kilka dni temu posprzątałem; niedojedzone burrito leżało na gumowej pokrywie kubła na śmieci — Lloyd starał się jak mógł.

Z kluczem do kół w ręku przycisnąłem się w ciemnym holu ze szczeliną światła pod drzwiami sypialni w odległym końcu. Poprzez nerwowe tykanie kuchennego zegara i stateczny chód szafkowego, stojącego w

salonie, docierał do mnie szum sprzętu medycznego. Znowu ruszyłem. Zdjęcia Lloyda i Janice wisiały w odstępach na ścianie, ukazując ich podróż przez lata małżeństwa. Zdjęcie ślubne, oboje roześmiani, w objęciach jak para na balu maturalnym. Papier toaletowy i puszki uczone do zderzaka ich gremlina, na tylnym oknie napis „Szczęścia!”. Basen na Hawajach, powieści rozłożone na leżakach, z uniesionymi w toaście koktajlami przyozdobionymi owocami. Byłem świadom kroków stawianych na lekko wypaczonych deskach podłogi, oddechu palącego w piersiach, a ta szczelina światła była coraz bliżej. Siwe nitki pojawiły się we włosach Janice, zanim zostały wyrwane przed szczytem El Captain w Parku Yosemite. Zmarszczki szerokiego uśmiechu znaczyły ich twarze, gdy trzymali się za ręce przy stoliku z kutego żelaza na patiu w Wenecji. Na większości zdjęć zostali uchwyceni, gdy patrzyli na siebie, a nie w obiektyw, jakby nie mieli siebie dość, jakby skrywali jakąś tajemnicę przed resztą samotnego świata.

Dotarłem do drzwi sypialni i położyłem rękę na olbrzymiej, antycznej gałce. Szum maszynierii w tle, tłumiony przez zegary, przez moje myśli. W wyświechtanej tradycji narracji pamięć przywiodła mi wspomnienie, kiedy stałem przed innymi drzwiami i bałem się wejść.

Zanim straciłem odwagę, wszedłem do pokoju.

Łóżko stało w oddali; wyglądało dziwnie z materacem położonym na wysokiej skrzyni i otoczonym metalową barierką. Było ustawione pod kątem w stosunku do okna, tak aby Janice mogła patrzeć na pochyłość porośniętą drzewami. W pokoju dominowała woń zleżanego jedzenia, przepoconej pościeli i resztek ludzkich odchodów nie do końca usuniętych z basenów i płótna. Warstwa środka antyseptycznego, przeróżne monitory i stojaki na kroplówki wyrastające zewsząd jak sprzęt elektroniczny przeniosły mnie z powrotem do sali, w której przebudziłem się



przed czterema miesiącami i odkryłem krew Genevieve pod paznokciami.

Janice wyglądała na miękką i opuchniętą. Brak włosów sprawiał, że jej głowa wydawała się nietypowo okrągła. Nie miała ani rzęs, ani brwi; wyraziste, błękitne oczy płonęły w głębi, w którą się zapadły. Koszula frotte rozsunęła się z przodu, odsłaniając sterczące kości nad piersiami. Usta miała wilgotne, luźne policzki zachodziły na nie jak u niemowlęcia. Szkarłatny worek, z lekko spienioną zawartością, zwisał z metalowego drąga, podając, jak się domyślałem, świeży szpik kostny do jej żył. Strzykawki, butelki z tabletkami i fiolki tłoczyły się na metalowej tacy pod ścianą. Poważne nazwy na nalepkach atakowały mnie farmaceutyczną terminologią. CYOXIN. BUSULFAN. CYCLOSPORIN. Po prawej stronie, pod zamkniętymi drzwiami, słychać było przeciąg.

Uniosła wymęczoną rękę, ze zwisającym workiem luźnej skóry, jakby chciała mnie odgonić. Otworzyła powoli usta, kilkakrotnie, układając je w słowo. Głos był pozbawiony mocy, a wargi, bezwładne od nadmiernego wysiłku, zakrywały zęby, zamieniając usta w rozedrganą czeluść, parodię krzyku. Nie do pomyslenia było minąć ją i zignorować. Zbliżyłem się z szacunkiem dla łoża śmierci. Z przerażeniem zorientowałem się, że chce zawołać męża. Nagle, w popłochu, uświadomiłem sobie, że z mojej ręki zwisa żelazny klucz do kół.

— Nie — wyszeptalem — nie chcę cię skrzywdzić. Szorstki, tak suchy, że prawie niesłyszalny szept:

— Niech... przes... tanie.

Zostawiłem ją wyczerpaną w łóżku. Odległe drzwi otworzyły się na krótki korytarz, który prowadził do kolejnych drzwi, lekko niedomkniętych. Nasłuchując skrzypnięć w starym domu, zapowiadających powrót Lloyda, szedłem przed siebie na drżących nogach, a mroczny pokój był

coraz bliżej. Powoli przypominałem sobie, że to mieszkanie teściów, wąska sypialnia z kuchenką i łazienką. Niczym jakiś upiorny teren budowy został wyłożony folią i tkaniną. Okna i rozsuwane drzwi balkonowe zasłonięto prześcieradłami w maskujący, zielony deseń. Zdaje się, że jego żona nie zdawała sobie sprawy, do czego służyło tylne wejście, chociaż najwyraźniej wyczuwała, że dzieje się coś złego. Folia malarska, starannie rozłożona, ślizgała mi się pod nogami i czułem się, jakbym stąpał po lodzie. Znaczyły ją krople krwi, wiele z nich było już dawno zaschniętych. Przechodziłem nad zwojami rurek, najwyraźniej elementami sprzętu medycznego, pojemnikiem na gaz przewróconym na bok. Bliżej mi nieznanne urządzenie w gładkiej obudowie, wielkości starego grzejnika, pracowało, warkocząc. Jakiś procesor, domyśliłem się po napisach i miernikach. Na laminowanym blacie gmatwanina kartonów z chirurgicznymi rękawicami, partia pokaźnych strzykawek, zwoje bawelnianego sznura, popękane worki do transfuzji. Tam, na ruchomej, metalowej tacy, spoczywał zakrzywiony nóż do filetowania firmy Shun z wyraźną japońską grafiką, czarną na tle nierdzewnej stali. A tuż za nim, na kozetce, niemal upozowana na kolejny nieożywiony przedmiot, leżała na boku młoda kobieta.

Miała zamknięte oczy, a Lloyd, dobra dusza, podparł jej głowę poduszką. Patrzyłem, jak jej górny bark unosi się wraz z oddechem. Skórę na lewym biodrze miała podziurkowaną tam, gdzie wcześniej została wbita wielka igła do punkcji, aby wyciągnąć szpik z kości miednicy. Śladów było mniej i skupiały się w jednym miejscu, bardziej niż się spodziewałem. Lloyd musiał chyba wiele razy wkłuwać się w to samo miejsce, naciągając skórę, aby dotrzeć do nowej kości.

Dziewczyna leżała, wycieńczona i nieprzytomna, oczekując na pchnięcie nożem. Wyobrażałem sobie, że Lloyd, skoro podawał xanax, nie lubił tej części zadania, więc zostawiał ją na sam koniec, kiedy van

będzie już gotowy do transportu ciała. Nie mógł jej pozwolić żyć dłużej, tak samo, jak nie uwolnił Kasey Broach, zabrawszy jej to, czego potrzebowała jego żona. Ból i widoczne ślady zabiegu byłyby dowodem, że pobrano szpik, a stąd pozostawał już tylko mały krok, aby skojarzyć listę pacjentów z Janice. Porzucenie ciała także pomagało w utajeniu kradzieży szpiku. Dowiedziałem się od samego Lloyda, że podczas autopsji patolodzy zasadniczo wyciągają organa ofiar i ważą je, badają widoczne obrażenia, pobierają płyny ustrojowe i próbki tkanek. Nie mają potrzeby szukać perforacji w kości, wpierv starannie usunawszy ciało. Tym bardziej że nie będzie to pacjent, który mógłby narzekać na ból gdzieś głęboko w środku.

Za urządzeniem, zabezpieczony w żaroodpornym słoju, pozostawiony na podłodze niczym niepotrzebny but, stał gzejak. Mój guz znalazł mordercę szybciej ode mnie. Chwilę trwało, zanim oderwałem wzrok od znajomego pęku komórek, który Lloyd porwał podczas swojej kampanii z gazem, każąc mi uwierzyć, że to ja sam go zniszczyłem. Prawdopodobnie planował zostawić go na miejscu zbrodni, potęgując moją dezorientację i poczucie winy.

Zbliżyłem się do dziewczyny. Sissy Ballantine? Położyłem klucz na cienkim materacu przy jej boku i dotknąłem jej. Dziewczyna powoli uniosła powieki.

— Z tyłu — powiedziała spokojnie.

Odwróciłem się gwałtownie, prawie potykając się o szeroki przewód od jakiegoś urządzenia medycznego. W drzwiach stał Lloyd.

— Cholera — powiedział ze smutkiem. — Cholera by cię, Drew.

Zrobiłem pół kroku w lewo w nadziei, że zasłonię klucz do kół. Jeżeli go nie zdenerwuję, to ta sytuacja wcale nie musi jakoś burzliwie się

zakończyć. Prawda? Metalowa taca wbiła mi się w plecy. Sissy mruczała coś za moimi plecami, a potem jej głos osłabł.

— Nie mogłem pozwolić, aby umarła, Drew — powiedział Lloyd. — Nie mogłem. Szczególnie, kiedy miałem możliwość zrobienia czegoś.

Odezwałem się chropowatym głosem:

— Ale dlaczego... dlaczego wybrałeś mnie?

Spojrzał na podłogę, na moje buty, ale nie na mnie.

— Przez ostatnie dwa lata codziennie rejestrowałem się na stronie z listą oczekujących do przeszczepu. Dzień w dzień. I wpatrywałem się w te dwie kobiety. Których szpik pasował do Janice. Jedna, która usunęła się sama, druga, której szpik był już zarezerwowany dla kogoś innego. Nie mogłem nic zrobić. W dzień pracowałem przy denatach, w nocy patrzyłem, jak umiera mi żona. — Oparł rękę o wpół otwarte drzwi, poruszając nimi nieznacznie na zawiasach. — Ale pewnej nocy zostałem wyrwany ze snu. Do Genevieve, która leżała w swoim domu, w sypialni. Byłem oszołomiony. Sanitariusze powiedzieli, że zostałeś zabrany do szpitala, że dostałeś ataku. Że jesteś w szoku. Że będą cię operować. Wróciłem i spojrzałem na Genevieve, na jej niczym nieskalane ciało na biodrze. I wtedy zrozumiałem, jak mogę to zrobić.

— Więc jej nie zabiłeś?

— Nie, nie zabiłem jej. — Zaciśnął usta w smutnym grymasie. — Dla mnie się nie nadawała. Ani dla Janice. Ale była. Inspiracja. I byłeś ty. Przerażony. Paranoik. Powiązany z detektywami, którzy już uważali cię za mordercę. Wystarczyło, że następnej skaleczę biodro, a potem będę popuszczał tobie linę. Przynosiłeś mi coraz to nowsze elementy. Faceta, który pracował w supermarkecie. Stu pięćdziesięciu trzech właścicieli brązowych volvo kombi, z których można było wybrać kandydata. Miałeś

tyle pomysłów, wiesz... — Błądząc gdzieś myślami, czubkiem buta bawił się rurą, która gdzieś zza niego wchodziła do pokoju. W końcu spojrzął na mnie. — Żeby to zadziało, potrzebowałem takiego Drew. A ty nadałaś się idealnie.

Poczułem się dziwnie senny od ciężaru tego odkrycia i usypiającego szumu filtra, więc skupiłem się na słowach. Lecz przychodziło mi to z dużą trudnością.

— Pomogłem ci napisać te wszystkie książki — mówił Lloyd. — Pomyslałem więc, że ty pomożesz mi przy tej.

— Wiem, że wiele tobie zawdzięczam — powiedziałem. — Ale czy aż tak wiele?

Patrzył na mnie, ja na niego. Przeniósł ciężar ciała do przodu, aż drzwi przygniotły go do framugi. Nie widziałem jego rąk, co mnie denerwowało, więc schowałem swoje za plecy i chwyciłem metalową tacę. Klucz do kół leżał za daleko, na kozetce.

— Więc... — powiedziałem.

— Więc. — Zmarszczył brwi, usta lekko mu zadrżały, jakby powstrzymywał płacz, ale potem na jego twarz wrócił spokój. — Co teraz zrobimy?

— Wezwiemy karetkę dla Sissy. I dla Janice. Przyjedzie po ciebie paru znajomych gliniarzy. Wejdziemy do środka i wszystko wyjaśnimy.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Nie. Oto, co zrobimy. Zabiję ciebie. I zabiję Sissy. A potem podam szpik Janice.

Nagle fala gorąca dotarła do linii blizny na głowie, aż skóra mnie zaswędziała i zapiekła. Opuszkami palców natrafiłem za plecami na rączkę noża.

— Jak chcesz to zrobić? — zapytałem.

Lloyd pochylił się, sięgając po coś za drzwiami.

Ogarnęła mnie omdlewająca fala. Wyczułem coś, nie zapach, ale jakby zmianę gęstości powietrza. Zachwiałem się o pół kroku, ale jakoś zapanowałem nad nogami. Kiedy podniosłem oczy, ujrzałem tuż przed

sobą maskę gazową; cylindryczne filtry sterczały ze szczęki niczym żuwaczki u owada. Drzwi były teraz szeroko otwarte i widziałem pojemnik, który ukrywał za nimi. Lloyd trzymał palce na metalowym zaworze na górze pojemnika. W drugiej ręce miał plastikową maskę z wytłoczonymi wklęsłościami na usta i nos. Rura prowadziła z powrotem do dyszy. Spojrzałem tępo na końcówkę rury u stóp i dopiero teraz odróżniłem cichy syk, który cały czas się z niej wydobywał, przytłumiony szumiącym filtrem.

Lloyd odkręcił zawór, przekierowując uciekający gaz do maski i rzucił się przed siebie. Zasłoniłem się jedną ręką, a drugą na ślepo sięgałem po nóż, ale udało mu się wcisnąć mi maskę na twarz. Poderwałem się, ale wciągnąłem gaz w płuca i poczułem, jak słabną mi kolana. Machałem rękami, uderzyłem w tacę i runąłem na ziemię z metalicznym łomotem.

Szukałem noża wśród fałdów plastikowej folii, aż w końcu trafiłem na chłodną rączkę. Kiedy Lloyd rzucił się na mnie, wtlaczając maskę w moją twarz, pchnąłem ostrze ku górze i poczułem, jak trafia z oporem w jego brzuch. Kiedy upadał, nóż z puknięciem pokonał początkowy opór wierzchnich powłok. Lloyd runął na mnie; maska gazowa przekrzywiła się i przesunęła w jego gęste, kręcone włosy. Bezwładnymi nogami uderzyłem w słój — brząk tłuczonego szkła, a potem woń formaliny jak w szkolnym gabinecie biologii. Lloyd szlochał przerażony, krzywiąc się. Obie dłonie, którymi trzymałem nóż, były uwięzione pod jego ciałem. Pobielale palce, napierające na plastik, wbił w moje policzki, przyciskając mi nierówno maskę do nosa i ust.

Zacharczał i upadł, plując krwią na moją pierś.

Spalona guma.

Cuchnący odór owiewa mi głowę, wypełnia nozdrza, spowija mózg. Nie mogę się go pozbyć.

Prowadzę samochód. Zegar na desce rozdzielczej wskazuje pierwszą dwadzieścia w nocy.

Pojawia się dom Genevieve, a ja szarpię kierownicą, wjeżdżam na krawężnik i miażdżę zraszacz na skraju ozdobnego trawnika.

Otwarte drzwi samochodu za mną uruchamiają gong, biegnę chodnikiem do domu, mięśnie ud mi płoną. Ciało, złane potem, pulsuje jakimś nieznanym przerażeniem. Wpadam na werandę. Ze środka dochodzi muzyka.

Chwytam glinianą doniczkę, która wylatuje mi z rąk, pęka podstawka. Odstawiam donicę, chwytam klucz z ziemi. Mocuję się z zamkiem. Upuszczam klucz. Odbija się i wlatuje do wysokości kolan, ale nie trafia między szczeliny podestu.

Z głową w jakimś paskudnym smrodzie trafiam kluczem w zamek, przekręcam go i napieram na drzwi. Wpadam do środka, uderzam w stolik. Kryształowy przycisk do papieru ześlizguje się jak krążek do hokeja i z chrzęstem roztrzaskuje o marmurowe kafle na tysiące kawałków.

Crescendo skrzypiec, grzmiące rogi, szaleńcze zawodzenie sopranu.

*Perché tu possa andar... di là dal mare...*

Nieomal frunę w górę schodów, nogami ledwo dotykam stopni.

Genevieve leży na twarzy i piersi, kolana ma zgięte pod sobą, jakby klęczała.

Już nie żyje.

Wokół niej krew wsiąkła w biały dywan. Okno jest otwarte, a jej kremowa, jedwabna koszula nocna, zsunięta z białego ramienia, łopocze w powietrzu.

Coś pęka mi w piersi, wydaję z siebie krzyk, podbiegam. Chwytam ją delikatnie za ramiona i obracam. Jedna ręka, zablokowana w łokciu, uderza mnie w twarz.

Nieubłagane crescendo trwa.

*Amore, addio! Addio! Piccolo amor!*

Zwisa mi na rękach, delikatna dłoń skurczona, palec wskazujący wyprostowany, zupełnie jak na obrazie Michała Anioła, tylko że nikt po nią nie sięga. Ma wbity nóż aż po rękojeść. Oszalały, szlochając, chwytam oburącz za stal i uwalniam ostrze. Genevieve stacza się z moich kolan.

Marzenie senne spowija czernią, nadciąga z peryferii i zasłania widok.

Przez mgłę sevofluranu słyszę syreny.



Było tak późno, że aż wcześnie, ale niebo jeszcze się do tego nie przyznawało. Na progu zaszczylił mnie „Los Angeles Times”, pierwszy, od kiedy odnowiłem prenumeratę po więzieniu. Wymazany od stóp do głów krwią Lloyda Wagnera zatrzymałem się i pochyliłem, żeby go podnieść. Może sprawy w końcu wracały do normalności.

Nad moim zdjęciem, na którym byłem blady i niezadowolony, nagłówek, jak zwykle w ślad za plotką, głosił: DANNER PONOWNIE ARESZTOWANY.

Może sprawy nie wracały do normalności.

Wszedłem do domu, a Xena rzuciła mi się na powitanie. Zerwałem z siebie poplamioną koszulę i wyrzuciłem ją do śmieci, potem powędrowałem do bawialni i zasiadłem w moim czcigodnym fotelu. W telewizji gadające głowy trajkotały o śmierci Lloyda i oczywiście o moim w niej udziale. Nie podały, że to nie ja zabiłem Genevieve Bertrand, że już nie żyła, kiedy ją znalazłem. Dowody na to spoczywały niedostępne w moim mało godnym zaufania płacie czołowym i, chociaż ci z Fox News bardzo się starali, nie mogli się do niego podłączyć.

Lecz ja już teraz mogłem.

Cal, dla uzyskania stroboskopowego efektu fleszy, polecił ustawić podium przed domem w północnym Hollywood, skąd zdał szczegółową relację o tym, jak wpadli na miejsce i zastali mnie i Sissy Ballantine wracających do przytomności w prowizorycznym gabinecie zabiegowym. W tle dwaj postawni sanitariusze wywozili Janice na wózku, a nam, widzom, pokazano jej podróż do ambulansu.

To ujęcie było trafne. Była nieświadomą gwiazdą całej historii. Wcale nie okazałem się protagonistą, ale — podobnie jak Kasey Broach i Sissy Ballantine — jednym z aktorów. Morton Frankel, kozioł ofiarny, odegrał swoją rolę tak dobrze jak ja; dwóch drugoplanowych aktorów z LA, stojących dokładnie tam, gdzie mają stanąć, i recytujących swoje kwestie. Na przygotowania Lloyda reagowałem szybko i z zapalem, któremu trudno było dorównać, dzwoniąc do niego w ciągu zaledwie kilku godzin od zwolnienia z więzienia, rozdrapując wyimaginowaną ranę własnej winy, aż leciała krew. Książka po książce wzmacniałem w Lloydzie coraz bardziej urojone zaangażowanie w to, co wcześniej było jedynie suchą, naukową pracą. Niektóre z najbardziej diabolicznych zabójstw w moich powieściach nie byłyby aż tak pomysłowe, gdyby nie Lloyd. A jego zbrodnia nie byłaby tak dobrze zaplanowana, gdyby nie ja. Albo tak nieprawdopodobna.

Nieprawdopodobna fikcja? Zdecydowanie. Lecz przecież nie chcemy tworzyć opowiadania w wersji zbyt oczywistej. Chcemy opowiedzieć coś, co trafi nas głęboko w brzuch, niczym zagięty nóż do filetowania.

Nigdy bym się tego nie domyślił, ale Lloyd okazał się lepszym autorem kryminalów ode mnie.

Wyłączyłem telewizor i poklepałem Xenę po za dużym łbie, oddając się kilku minutom błogiej ciszy.

Zadzwoił telefon. Nie moja komórka, ale cudowny, soczysty dzwonek

stacjonarnego, zharmonizowany z lekko opóźnionymi aparatami na piętrze. Dźwięk wypełnił pokoje. Dzięki temu wydawało się, że mój dom znowu działał.

Podszedłem do bezprzewodowego telefonu zawieszonego na ścianie w salonie i odebrałem.

— Już skończyłeś się popisywać? — zapytała Caroline.

— Mam nadzieję.

— Jesteś cały? — Coś w jej głosie zdradzało wielką troskę.

Zastanawiałem się przez chwilę, a potem, zgodnie z prawdą, odpowiedziałem:

— Tak, jestem.

— Nie odbierałeś komórki — dodała.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że miałem wyłączony dzwonek jeszcze od pobytu w domu u Lloyda. — Więc znalazłam w twoim formularzu opiekuna telefon domowy. Mam coś, co cię rozweseli.

— Co?

— Mnie?

— Z dowozem?

— Tak.

Caroline rozłączyła się. Xena bezceremonialnie wetknęła mi pysk między nogi. Zazdrosna, bez wątpienia.

Poszedłem do samochodu po do połowy napisaną książkę i niepodpisany CD od Genevieve, który wcześniej wepchnąłem pod dywanik.

Kiedy z powrotem znalazłem się na górze, usiadłem przy biurku, położyłem kartki pod podkładkę myszki i wsunąłem płytkę do komputera. Na monitorze pojawił się iTunes. Ekran zapytał, czy chcę odzyskać informacje o ścieżce i albumie, identyfikując wypaloną muzykę z biblioteki online.

Chciałem.

Kiedy iTunes przeprowadzał szukanie, na ekranie pojawił się poziomy, wirujący pasek, aby wesprzeć moją cierpliwość.

Sięgnąłem po telefon na biurku, aby zadzwonić do Chica. Słuchawka poskarżyła się, sygnalizując nagromadzone wiadomości. Wykręciłem numer poczty głosowej: „Witaj. Masz czterdzieści dziewięć zachowanych wiadomości”.

Moi adwokaci i ja sam przesłuchaliśmy cyfrowe kopie wszystkich wiadomości, przygotowując się do procesu. Moje wiadomości zostały również zachowane w samym systemie, od momentu, kiedy policja pozbawiła mnie dostępu do poczty, aż do dnia, kiedy firma telekomunikacyjna zawiesiła mój abonament. Przesłuchiwałem je teraz, usuwając kilka pierwszych z dwudziestego drugiego i dwudziestego trzeciego września. Preston narzekał na mnie za niedotrzymywanie terminów, na brakującą obwolutę i antologię, w której też miałem mieć swój udział. April pytała, o której ma przyjść na kolację tego wieczoru.

Syntetyczny głos podawał znajomy czas, aż przechodziły mnie dreszcze: „Piąta wiadomość. Przysłana dwudziestego trzeciego września, o pierwszej zero osiem”.

Pogrążająca mnie wiadomość od Genevieve. Cofnąłem się w fotelu.

Głos z lekkim akcentem szeptał mi do ucha:

— To ja.

Fala gorąca zalała mi twarz, aż zapłonęła blizna na głowie. Wysłuchałem tej wiadomości nieskończoną ilość razy podczas uwięzienia i procesu. Nie tak to się zaczęło.

Komputer skończył wyszukiwanie. iTunes potwierdził to, co już wiedziałem. *Madame Butterfly* — Disc 3.

Z miniaturowych głośników przy komputerze zaczęła lecieć pierwsza ścieżka, akompaniament do wiadomości od Genevieve.

— Chciałam ci powiedzieć, że jestem spokojna. Nic mi nie jest, czuję się dobrze. Słyszałam, że jesteś z kimś innym, a ja... ja się z tego cieszę.

— Wilgotny oddech. — Przepraszam. Za to, jak cię zraniłam, jak zraniłam innych. — Jaki kruchy jej głos, jaki delikatny francuski akcent. — Może kiedyś będzie to twoja książka. Może zrozumiesz.

Na komputerze *Madame Butterfly* zawodziła: *Verrà, verrà, vedrai.*

— Może mi wybaczysz. Za tamto i za to. Proszę cię tylko o jedno. Moja ostatnia prośba. Nie osądzaj mnie. Mam nadzieję, że na jakiś czas postarasz się we mnie wcielić. Czy nie to właśnie robisz? Poczujesz ten ból. Napisz o tym, żeby inni nie musieli czuć się tacy samotni.

*Salite a riposare, affranta siete... al suo venire vi chiamerò.*

— Żegnaj, moja miłości.

Stuknięcie odkładanej słuchawki.

*Tu se con Dio ed io mio dolor...*

Delikatnie odłożyłem słuchawkę na widełki. Jej prawdziwa wiadomość, tak odmienna od zmienionej wersji odtwarzanej do znudzenia w sądzie. Jak za każdym razem przypomina mi Preston, wszystko sprawdza się do redakcji. Powoli sięgnąłem po wystrzępiony rękopis i przewertowałem kartki: Poza detektywami Lloyd Wagner znał sprawę Genevieve lepiej niż ktokolwiek inny, gdyż zajmował się wszystkim — od odzyskania moich wiadomości w poczcie głosowej po dopasowanie noża do rany.

Oryginalna wiadomość oczyściłaby mnie i oskarżenie odstąpiłoby od zarzutów. Jeżeli jednak nikt nie uwierzyłby, że zabiłem Genevieve, to Lloyd straciłby idealnego kozła ofiarnego. Kozła, którego wszyscy — policja, media, ława przysięgłych — uznają za winnego morderstwa. Kozła, którego detektywi z chęcią doprowadzą przed sąd. Kozła, który już nieomal uwierzył, że traci zmysły. Lloyd wiedział, że nie może usunąć

zapisów rozmów i numerów dzwoniących, ale mógł cyfrowo przeorganizować nagrania poczty głosowej, czyniąc je tak zagmatwanymi jak całą resztą procesu, zanim podsunął je jako dowody. Sam mi powiedział, że nie wyobrażał sobie, że mogę zostać skazany, wzięwszy po uwagę guz mózgu. Będę wolny, ale naznaczony, gotowy do zrobienia. Śledztwo idealne jako powieść, gdzie nikt nie będzie zaglądać pod skórę, aby znaleźć ukryte dziury. Ze wszech miar było to ryzykowne, ale kiedy życie jego żony wisiało na włosku, okazał się nader skory do gry *va banque*.

Ponownie odtworzyłem wiadomość od Genevieve, wyobrażając sobie, jakie wywarła na mnie wrażenie w noc dwudziestego trzeciego września. Ostrzeżenie przed samobójstwem, nie dziecięca skarga.

A co powiedzieli dobrzy lekarze?

„Ze względu na wielorakie zaangażowanie płatu skroniowego w reakcje emocjonalne i podniecenie, istnieją liczne dowody na to, że kiedy pacjent osiągnie ów newralgiczny stan, ostateczne załamanie umysłowe może zostać uruchomione przez intensywnie silne emocje”.

Intensywnie silne emocje. Wiadomość od byłej narzeczonej, która oświadcza, że zamierza popełnić samobójstwo, zdecydowanie mieści się w tej kategorii.

April, twarda sztuka z Zachodu, spała głęboko. Nie tak jak ja; jej nie obudzi dzwoniący telefon. W ciemnościach nocy poszedłem do gabinetu, usiadłem i odsłuchałem wiadomość od Genevieve. Zaskoczony, wstałem tak gwałtownie, aż przewrócił się fotel.

A potem, przerażony i wzburzony, popędziłem do Genevieve, aby zastać ją w typowo dramatycznej sytuacji, w stroju jak najbardziej zbliżonym do gejszy, skuloną nad ostrzem, które wbiła sobie w brzuch, a operowa pieśń o śmierci niosła się echem od ścian.

Z rękojeści zdjęto jej odciski. Tego można się było spodziewać — jej nóż, jej dom. Moje odciski, kiedy usuwałem nóż, bardziej mogły wprawić w osłupienie.

Genevieve była praworęczna, odwrotne dźgnięcie ustawiło ostrze w sposób, jakby cios zadał mańkut. Kiedy przewracała się do przodu, trzonek noża uderzył o podłogę, wprowadzając ostrze tak głęboko, iż pozornie wyglądało, że sprawcą ciosu był mężczyzna ważący ponad dziewięćdziesiąt kilogramów.

Wystarczająco proste, aby dało się rozsypać, gdybym się nie pojawił i nie nabałagał na miejscu zbrodni.

Dla okazania wdzięczności za objawienia minionych godzin wydobyłem bordeaux rocznik osiemdziesiąty drugi, które przechowywałem od lat, i wylałem je do zlewu. Kiedy skończyłem, pozwoliłem Xenie wylizać szyjkę butelki. Po co miałyby się zmarnować.

Wyszedłem na taras, oparłem nogi o barierkę i spojrzałem na światła miasta. Ci wszyscy ludzie, te wszystkie historie.

Xena gonila za kikutem ogona i tarzała się w zeschniętych liściach.

Zacząłem jako niewinny i chciałem oczyścić własne sumienie. Odkryłem, że nie jestem mordercą. I złapałem zabójcę.

Mogłem z tym żyć; jak ktoś kiedyś mi powiedział, zasadniczo i tak nie mamy wyboru. Jakim tworem jest człowiek, i takie tam.

Rozległ się dzwonek u drzwi, głęboki gong, aż Xena uniosła kwadratowy łeb znad łap.

Wstałem i wszedłem do środka.

Jestem wolnym obywatelem, przynajmniej do następnego guza mózgu. Cal podsunął prasie wiadomość Genevieve, co — na dokładkę do sensacyjnych doniesień o machinacjach Lloyd'a — pozwoliło mi odzyskać dobre imię, jakkolwiek wątpliwa była jego sława przed procesem. Sprzedaż moich książek nadal rośnie.

Szeryf potwierdził mój opis wydarzeń z więziennej świetlicy, ale zanim mogłem oficjalnie złożyć skargę na Kadena i Delveckio, wszelkie zaległe zażalenia na mnie zostały oddalone. Morton Frankel oczekuje na proces, ale poinformowano mnie, że — jak to się mówi w uświęconych czeluściach Centrum Parkera — ma przesrane.

Czasami wpada Cal i na tarasie z widokiem na panoramę miasta palimy cygara. Jeszcze nie dostał awansu, ale jego kapitan zorientował się w sytuacji i twierdzi, że nastąpi to lada chwila. Rozmawialiśmy wiele o sprawie, ja i Cal, a potem nagle z tym skończyliśmy.



Nadal nie miałem kontaktu z rodziną Bertrand i wątpię, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Mój związek z brzydota otaczającą jej córkę naznaczył mnie winą, nawet jeżeli jej nie pono- szę i nie wzbraniam im ich własnego podejścia do wydarzeń.

Sissy Ballentine szybko wróciła do zdrowia i ostatecznie oddała szpik bratu. Spotkałem się z nim na wczesnym lunchu, który był lepszym pomysłem w teorii niż w niezręcznej rzeczywistości. Z wątlých ramion zwisała klasyczna koszula do gry w kręgle, na brodzie pojawiały się mu pierwociny brody i wyglądał na zmieszanego i zawstydzonego całym tym szumem. Kiedy się z nim przywitałem, przez skórę dłoni wyczu- łem kości. Sissy wyszła za mną i uściskała mnie pospiesznie. — Dziękuję — powiedziała, uśmiechając się szeroko, jak przystało na zdrową osobę i niech mnie diabli, jeżeli przez moment nie miałem ochoty skończyć z Derekiem Chainerem.

Broachowie w efekcie stracili jedno dziecko, ponieważ tamto stracili przed laty. Pomyślcie o tym następnym razem, kiedy będziecie czuć się bezpiecznie na swoim miejscu w boskim porządku świata.

Chemia podawana w domu pozbawiła Janice Wagner szpiku w trakcie przygotowań do drugiego przeszczepu, do którego nigdy nie doszło i którego nie można było niczym

zastąpić. Zmarła około tygodnia po śmierci Lloyda. Trudno nazwać to sprawiedliwością i niezupełnie karmą.

To chyba po prostu jest życie.

Państwo Broach zgodzili się na ekshumację i kiedy korder ściągnął uszkodzone ciało na biodrze Kasey, kość pod spodem okazała się przed śmiercią okaleczona nakłuciami. Zdjęcia trafiły do prasy brukowej .

Szpik Kasey, jak możecie się domyślać, nie przyjął się u Janice. Z tego, co się dowiedziałem, nie jest to skomplikowany zabieg, ale na tyle trudny, że zestawów do samodzielnych przeszczepów nie ma w sprzedaży. Lloyd nie uzyskał wystarczającej ilości szpiku z samego biodra Kasey; musiałby także pobrać go z lewej strony, ale detektywi doszli do wniosku, że podwójne okaleczenie ciała byłoby już trudne do zatajenia.

Od samego początku Lloyd działał pod presją czasu. Kiedy kości Janice zostały wyjąłowane, musiał szybko zabrać się za Broach — stąd broń i najbliżsi sąsiedzi — a z Sissy Ballantine spieszył się jeszcze bardziej. Jeden z lekarzy leczących Janice stwierdził później, że Lloyd najwyraźniej uporał się z problemami, że dzięki jego chemo-koktajlom białaczka Janice uległa tymczasowej remisji, więc drugi przeszczep prawdopodobnie przyjąłby się. Lecz oczywiście reszta szpiku Sissy Ballantine — sprawnie pobrana z obu boków miednicy — nie

dotarła przez filtr do żył Janice. Zamiast tego została wyjęta z maszyny i zamrożona dla brata Sissy, dla którego pierwotnie była przeznaczona.

Stan zdrowia Janice nie pozwalał w żadnej mierze na wnikliwe przesłuchanie. Odeszła z tego świata, nie zdradzając nikomu, ile wiedziała o tym, co robił Lloyd w pokoju na końcu korytarza. Ktoś chyba mi powiedział, że nawet nie zdawała sobie sprawy ze śmierci męża w sąsiednim pokoju.

W dzień po jej śmierci Cal pokazał mi wpis w dzienniku Lloyda, pełen bolesnych wyrzutów sumienia i próśb o wybaczenie, wyraźnie ukazujący jego żal i boleść, aż poczułem ukłucie współczucia.

Ukłucie.

Długa podróż przez Styks przyniesie zapewne Lloydowi pocieszenie, że jego żona nigdy nie poznała pełnej wersji wydarzeń.

Jaka była jego wersja? Jak ująłby to Chic, robił, co mógł. Lloyd był facetem, jak każdy inny, podatnym na pasje i ciśnienie. Facetem, którego żona umierała powoli, wmęczar-niach. Dzień po dniu wchodził do rejestru dawców i wpatrywał się w nazwiska tych dwóch opornych właścicieli pasującego szpiku, a jego umysł niebezpiecznie zbliżał się do szaleńczego pomysłu — pomysłu — dzięki któremu on i Janice dotrwią do dwudziestej piątej rocznicy. W przeciwieństwie do innych

przeciętniaków Lloyd posiadał niezwykłą umiejętność wyjścia naprzeciw tym naciskom. Będę u siebie przed domem albo będę czekał na wezwanie i przypomnę sobie jakąś inną zmarszczkę, którą Lloyd laboratoryjnie usunął z faktury swojego planu. Nigdy nie rozważałem skutków pierwszego telefonu od niego, kiedy, przed laty, zadzwonił do mnie podekscytowany morderstwem, dziwną śmiercią w gorącej balii na Manhattan Beach. Wciągnął mnie do tego mój pisarski głód. Zgodziłem się być jego poddanym, kiedy zaangażowałem Lloyda w planowanie moich opowiadań. Zawsze chciałem, aby moja fabuła była bardziej realna, niż sam potrafiłbym wymyślić. Potrzebowałem kogoś, kto tym żył. Potrzebowałem kogoś, kto znał ten zapach. I dostałem to.

W końcu powieść nie musi być prawdziwa. Tylko przekonująca.

Wiosna nadchodzi powoli, chociaż nie widać tego po pogodzie. Mam psa mordercę, który atakuje poduszki, buty i książki w twardej okładce. Mam podopiecznego, który potrafi malować graffiti i nadzwyczaj dobrze otwierać zamki, jak na swój wiek. Zabiera mnie na mecze Dodgersów, pograć w kosza, a najczęściej do sądu, jak pogwałci warunki zwolnienia. Nadal widuję się z Genevieve w pewnych momentach, pod zaparowanym prysznicem, kiedy nucę piosenkę, prowadząc samochód — ale teraz coraz rzadziej.

Dzisiaj rano, pod koniec śniadania, zgadnijcie, kto się pojawił na tarasie? Gus. Szeroki uśmiech, wypchane policzki, sterczące siekacze, jak cwaniak z trzeciej klasy, który wrócił po jakiejś tajemniczej grandzie, gdzie poznał tajemnice, o których my nigdy się nie dowiemy. Poczłapał przez taras i zabrał się zawzięcie do wygryzania dziury w wężu ogrodowym. Wstałem i zasunąłem drzwi balkonowe. Za mną wyszła Caroline i rzuciła Gusowi kawałek tosta. Wiewiórka spojrzała na nas obojętnie, a potem czmychnęła swoją ścieżką pośród bluszczu.

Jak cała reszta nas, starał się trzymać jeden wiewiórczy krok przed kojotami.

## Podziękowania

Aaron Priest i Lisa Vance aż nadto potwierdzili powszechną opinię co do swoich umiejętności i wdzięku w roli agentów. Marc H. Glick, Rich Green z Creative Artists Agency oraz Jess Taylor, jak zwykle służyli nieocenionym wsparciem i wkładem w moją pracę. Uważam, że spotkało mnie prawdziwe szczęście, kiedy znalazłem energicznego i wnikliwego redaktora w osobie Josha Kendalla — jestem winien ogromną wdzięczność jemu, Clare Ferraro i wielu innym w wydawnictwie Viking za entuzjazm, który okazali zarówno mnie, jak i niniejszej powieści. Dziękuję także pani doktor Melissie Hurwtiz, Lucy Childs, Nicole Kenealy, Richardowi Kimowi, doktorowi Jamesowi Kryzańskiemu, Michaelowi Sebastianowi i Maureen Sugden. I w końcu podziękowania dla Delinah, na którą zawsze można było liczyć i która nigdy nie prosiła, abym był ostrożny.